

Kay Hooper

Śladami  
Caroline

LIBROS

**Kay Hooper**

**Śladami Caroline**

*After Caroline*

# Prolog

*1 lipca*

Czasem niewiele trzeba, żeby wydarzyło się nieszczęście. Przyczyna może być zupełnie błaha. Mała plama na szosie, utworzona przez olej wyciekający z samochodu, który zatrzymał się dość nieoczekiwanie w miejscu, gdzie nie było pobocza, zjazdu lub choćby poszerzenia drogi. Ona niczego nie zauważyła. Prowadziła starego forda, kiedy nagle straciła nad nim panowanie. W następnej chwili samochód szybko obracał się wokół własnej osi.

Rzucało nią niby szmacianą lalką. Trzymała się kurczowo kierownicy i liczyła, że odzyska kontrolę nad pojazdem. Ale jej wysiłki na nic się zdawały wobec siły odśrodkowej. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Zielony letni krajobraz wirował jej szaleńczo przed oczami, pisk opon ryjących rozgrzaną nawierzchnię rozdzierał uszy. Inne samochody hamowały z jazgotem, koła wrzynały się w asfalt, klaksony trąbiły, powiększając ogłuszającą kakofonię.

Kiedy obracający się samochód zaczął wpadać na przeszkody, nastąpiły prawdziwe zderzenia. Najpierw były to wybujałe krzaki porastające pobocze, potem małe drzewka. Silne szarpnięcia rzucały nią i wozem raz za razem. Miała wrażenie, że wirowanie staje się coraz wolniejsze, ale wtedy podwozie natrafiło na przeszkodę, która nie chciała ustąpić pod jego naciskiem. Rozległ się zgrzytliwy jęk rozrywanego metalu. Samochód przekoziółkował - i to nie raz, równie gwałtownie jak wtedy, gdy wirował wokół osi.

Nie zdawała sobie sprawy, że zamknęła oczy, aż do chwili gdy forda wyrzuciło w górę po raz ostatni, szarpnęło przeraźliwie karoserią, a potem wóz zamarł w bezruchu.

W tej samej chwili zrozumiała, co to takiego martwa cisza. Słyszała jedynie walenie własnego serca. Później, jakby ktoś pokręcił potencjometrem, dobiegły ją krzyki ludzi i dźwięk klaksonów samochodowych. Ostrożnie uniosła powieki, starając się mruganiem powstrzymać łzy przerażenia.

Widok, jaki ukazał się jej oczom, zapierał dech w piersi. Przedniej szyby po prostu nie było. Dostrzegła, że długa maska samochodu jest zmiażdżona i przypomina monstualny akordeon. Drzwi od strony pasażera zostały wepchnięte do środka, tak że mogła spokojnie oprzeć o nie łokieć bez konieczności pochylania się w prawą stronę. Choć drzwi przy kierowcy zdawały się nietknięte, wiedziała, nie odwracając głowy, że tył samochodu również jest zgruchotany. Znalazła się w ciasnym pudle z pogniętego metalu.

Zmusiła się, by puścić kierownicę, i uniosła dłonie na wysokość oczu. Niepewnie przypatrywała się palcom aż do momentu, gdy uznała, że nadal ma ich dziesięć i wszystkie są sprawne. A potem, gdy głosy ludzi zaczęły się zbliżać do wraku samochodu, podsunęła się odrobinę w górę. Robiła to bardzo ostrożnie, spodziewając się bólu świadczącego o zranieniach. Udało jej się nawet sięgnąć do nóg, nagich pod letnią sukienką.

Nic się jej nie stało. Nie miała nawet zadrapania.

Nie była religijna, jednak patrząc na to, co wyglądem nie przypominało już samochodu, pomyślała, że może ktoś nad nią czuwał.

- Nic się pani nie stało?

Spojrzała przez boczną szybę na twarz nieznanego mężczyzny. Był przejęty i zaniepokojony. Usłyszała własny niepewny śmiech.

- Nie, nic. Może pan w to uwierzyć?

- Nie - odpowiedział szczerze, powoli krzywiąc usta w uśmiechu. - Powinno panią zgnieść na placek. To musi być najszczęśliwszy dzień w pani życiu.

- Co pan powie... - Przesunęła się lekko i dodała: - Ledwie się ruszam. Nie mogę dosięgnąć klamki. Czy mógłby pan otworzyć drzwiczki?

Nieznajomy, mężczyzna w średnim wieku, o krzepkich ramionach świadczących o długoletniej ciężkiej pracy, szarpnął drzwi na próbę.

- Nie da rady. Nie ma na nich śladu uszkodzeń, ale wóz jest sprasowany od przodu i od tyłu, więc je solidnie zablokowało. Bez kleszczy rozwierających ani rusz. Niech się pani nie martwi, ekipa ratownicza i karetka są już w drodze.

Odległe syreny stały się głośniejsze, mimo to poczuła zimny dreszcz strachu.

- Bak jest pełen paliwa. Jak pan myśli...

- Niczego nie czuję - zapewnił ją. - Przez większość życia pracowałem w warsztacie samochodowym. Nie ma powodów do niepokoju. A tak przy okazji, nazywam się Jim. Jim Smith, choć pewnie trudno w to uwierzyć.

- Dziś uwierzę we wszystko. Jestem Joanna. Miło cię poznać, Jim.

Skinął głową.

- Mnie również, Joanno. Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Nic cię nie boli?

- Nic a nic. - Spojrzała ponad jego ramieniem na ludzi ześlizgujących się po nasypie. Głośno przełknęła ślinę, gdy zobaczyła, jak daleko potoczył się samochód. - Mój Boże. Wszystko świadczy o tym, że powinnam zginąć.

Jim obejrzał się i szybko otaksował szeroką ścieżkę zrytej ziemi, wyrąbaną wśród krzaków przez samochód. Potem ponownie skierował wzrok na kobiety i uśmiechnął się.

- Jak mówiłem, to chyba twój szczęśliwy dzień.

Joanna ponownie przyjrzała się zmiażdżonej karoserii, otaczającej ją ze wszystkich stron. Wstrząsnął nią dreszcz. Nigdy nie przypuszczała, że otrze się o...

W ciągu pięciu minut zjawiała się ekipa ratownicza i karetka pogotowia. Wszyscy byli zaskoczeni, ale też zadowoleni z faktu, że nic się jej nie stało. Jim odsunął się, robiąc miejsce ratownikom, i dołączył do gapiów stojących wzdłuż pobocza. Dopiero wtedy Joanna uświadomiła sobie, że stała się ośrodkiem sporego zainteresowania.

- Zawsze chciałam być gwiazdą - wymamrotała pod nosem.

Znajdująca się najbliżej sanitariuszka, energiczna kobieta mniej więcej w wieku Joanny, z identyfikatorem, na którym napisano „E. Mallroy”, zachichotała, słysząc jej słowa.

- Chodzą słuchy, że nie ma pani nawet zadrapania. Dlatego niech się pani nie zdziwi, kiedy lada chwila zjawi się ktoś z prasy.

Joanna miała zamiar odpowiedzieć kolejnym żartem, nim jednak zdołała otworzyć usta, jej spokój został raptownie i koszmarnie przerwany. Rozległ się huk, jak przy strzale z karabinu, a potem z dziesiątek gardeł wyrwał się okrzyk: „Cofnąć się!” Spojrzała w miejsce, gdzie była przednia szyba, i zobaczyła coś, co przypominało grubego czarnego węża o płonącym łbie, który spadał na nią z nieba.

Jakaś niewiarygodna siła uderzyła w nią z mocą rozpędzonego pociągu, a potem nastąpiła ciemność.

Nieświadoma upływającego czasu, Joanna miała wrażenie, że nie ruszała się z miejsca. Czowała się... zawieszona, jakby utknęła na granicy niebytu. Zadowolona dryfowała w stanie nieważkości, otoczona łagodną ciszą. Na coś czekała - tego była pewna. Miała się czegoś dowiedzieć. Panowała absolutna martwota, niemniej ciemność powoli zaczęła ustępować. Poczwała delikatne szarpnięcie. Obróciła się - lub tak się jej tylko zdawało - i pochyliła w stronę, gdzie ją ciągnięto.

Jednak niemal natychmiast została uwolniona i ponownie pogrążyła się w gęstniejącej czerni. Niespodziewanie odniosła wrażenie, że nie jest sama, że ktoś dzieli z nią mrok. Poczwała lekki jak piórko dotyk, tak subtelny, że nie była pewna, czy jest rzeczywisty, jakby ktoś lub coś przesunęło się obok niej.

„Nie zostawiajcie jej samej”.

Joanna niczego nie słyszała, ale sens nakazu rozumiała bardzo dokładnie, towarzyszące mu emocje zapierały dech w piersi. Usiłowała sięgnąć do tej drugiej cierpiącej obecności, ale zanim się jej to udało, ktoś krzyknął na nią ostro:

- Joanno? Joanno! No już, Joanno, otwórz oczy!

Wezwania były słyszalne i stawały się coraz głośniejsze.

Czuła, że ktoś wlecze ją w dół. Natychmiast się przeciwstawiła, nie chcąc słuchać poleceń. Porwał ją podmuch. Ostatecznie znowu czuła ciężar własnego ciała.

W tej samej chwili każdy nerw i mięsień wydawał się płonąć z bólu. Jęknęła, zmuszając się do uniesienia powiek.

Przezroczysta osłona zakrywała jej oczy, za nią widać było niewyraźnie krąg twarzy obcych ludzi, którzy zaczynali się uśmiechać. Za ludźmi widniało czyste błękitne niebo, upstrzone białymi obłoczkami. Znalazła się na twardym gruncie. Co tu robiła?

- Wróciła do nas - powiedziała jedna z twarzy, obracając się ponad ramieniem do drugiej. - Przenieśmy ją na nosze. - A potem odezwała się do niej: - Wszystko będzie dobrze, Joanno. Wyjdiesz z tego.

Joanna poczuła, że jej obolałe ciało zostało uniesione. Patrzyła półprzytomnie na mijane twarze innych ludzi. Nagle jedna z nich wydała się znajoma. Dostrzegła, że stara się jej coś powiedzieć, coś, co przypomniała sobie dopiero w karetce pędzącej na sygnale.

„To na pewno twój szczęśliwy dzień. Dwa razy wymknęłaś się śmierci”.

Do tego czasu zdołała już zebrać myśli i mogła jedynie zgodzić się z opinią Jima. Ostatecznie, jak wielu ludzi otarło się o śmierć? Niewielu. A jej się udało, wyszła z tego najwyraźniej bez szwanku - jeśli pominąć fakt, że jedyną częścią ciała, która nie bolała, był czubek nosa.

Jednak przeżyła i odczuwała nieskończoną wdzięczność.

W szpitalu przebadano ją, uspokojono i zastosowano odpowiednie leki. Lekarze stwierdzili, że niewiarygodne przeżycia tego dnia nie zostawiły na niej śladu. Miała tylko niewielki wypalony ślad przy prawej kostce u nogi, w miejscu gdzie powstał łuk elektryczny między metalem karoserii a ciałem, poza tym powiedziano jej, że może czuć się obolała po szoku, który wstrzymał akcję serca, i po późniejszych wysiłkach, żeby tę akcję przywrócić.

Dopisało jej ogromne szczęście, na dłuższą metę nie powinna bowiem doznawać żadnych przykrych następstw tego, co się jej przydarzyło. Tak twierdzili.

Jednak się mylili, bo właśnie tamtej nocy zaczął się sen na jawie.

## Rozdział pierwszy

- Caroline?

Joanna Flynn obróciła się, ale nie dlatego, że ktoś położył jej rękę na ramieniu. Sprawilo to raczej absolutne zaskoczenie w głosie, który zwracał się do niej imieniem jakiejś kobiety. Zdumienie i coś, co raczej wyczuła, niż usłyszała. Niezależnie od rodzaju emocji, właśnie ona zmusiła ją do reakcji.

- Nie - odpowiedziała. A potem z powodu wyrazu twarzy mężczyzny, który ją zaczepił, dodała: - Żałuję...

Mężczyzna okazał się nijaki z wyglądu, miał rudawe blond włosy i niebieskie oczy, w których dojrzała wstrząs wywołany jej widokiem. Cofnął dłoń i odezwał się trochę łamiącym się głosem:

- Nie - zgodził się z nią. - Nie może pani być... Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Jednak jest pani taka podobna... - Urwał i pokręcił głową. Uśmiechnął się przepraszająco, minął ją i poszedł przed siebie.

Joanna patrzyła za nim. Czuła się lekko zakłopotana, choć nie bardzo zdawała sobie sprawę dlaczego. Wiedziała, że często brano ludzi za kogoś innego, więc nie powinna zawracać sobie tym głowy tylko dlatego, że jej nigdy wcześniej się to nie przydarzyło. Nie potrafiła jednak zapomnieć szoku, jaki malował się na jego twarzy.

Znacznie dłużej, niż powinna, stała na zupełnie pustym chodniku w Atlancie, w ciepłych promieniach wrześniego słońca i patrzyła za nieznanym. Straciła go zresztą z oczu, zanim na tyle otrząsnęła się z niepokoju, by ruszyć w kierunku prywatnej biblioteki, gdzie pracowała.

Po prostu kolejna dziwna rzecz, jaka się jej zdarzyła, i to wszystko. Następny przypadek do odnotowania w części życiorysu, gdzie zapisywała niezwykle wydarzenia - części wypełniającej się od dnia katastrofy, jakiej uległa dwa miesiące wcześniej. Niektóre z nich nie miały prawie znaczenia.

Odczuwała zupełnie dla siebie nietypową niecierpliwość i niejasne, ale narastające poczucie niepokoju. Wypełniały ją obawy, choć nie umiała wskazać ich przyczyn.

Najważniejszy jednak był sen. Po raz pierwszy miała go w noc po wypadku i chociaż przez pierwsze kilka tygodni pojawiał się tylko czasami, teraz przeżywała go co noc. Zawsze taki sam - składał się z sekwencji obrazów i dźwięków, ustawionych niezmiennie w

identycznym porządku. Nie był koszmarem. Obrazy i sposób ich uszeregowania nie miały w sobie nic zatrważającego. Mimo to Joanna budziła się każdego ranka z walącym sercem i uczuciem dławienia w gardle.

Coś gdzieś było nie tak. Wiedziała o tym. Czuła to. Działo się coś niedobrego i musiała jakoś temu zaradzić. Bo gdyby tego nie zrobiła... doszłoby do czegoś przerażającego.

Nie wiedziała, co, ale nie opuszczało jej przekonanie, że byłoby to okropne.

A wszystko wydawało się straszliwie niejasne i doprowadzało ją do szaleństwa. Było tak nieokreślone, że powinna bez trudu o wszystkim zapomnieć, podobnie jak zapomina się o nieważnych, chaotycznych myślach rodzących się w mózgu nieprzytomnego człowieka. Joanna nigdy nie przywiązywała wagi do snów. Chciała przestać o nim myśleć, z innymi majakami radziła sobie przecież znakomicie. Tym razem jednak nie mogła.

Lekarz powiedział jej, że może miewać dziwaczne sny. W końcu przeżyła porażenie prądem elektrycznym o napięciu wystarczającym do zatrzymania akcji serca. W mózgu z natury rzeczy występują impulsy elektryczne, dlatego ich zaburzenie przez ingerencję tysięcy woltów z linii wysokiego napięcia wydaje się sensownym wytłumaczeniem. Zapewnił ją, że nie ma się czego obawiać.

Joanna nie potrafiła dzielić jego pewności.

„Huczenie oceanu wydawało się początkowo ogłuszające, przytłaczało wszystkie inne odgłosy. Dom, zbudowany wysoko na skarpie nad brzegiem morza, był piękny i opuszczony. Budził w niej sprzeczne uczucia: podziw, dumę i satysfakcję pomieszane ze strachem i niepokojem. Chciała skupić się na nich, zrozumieć je, ale wówczas coś gwałtownie odciągało ją od domu. Zarys budynku stawał się coraz bardziej niewyraźny, a potem zupełnie się rozmywał. A wtedy zjawiał się przed nią karuzelowy konik pomalowany w jaskrawe kolory - unosił się i obracał na lśniącej rurze z brązu jakby w takt muzyki, której nie słyszała. Czuła zapach róż. Kątem oka dostrzegła kwiaty w wazonie. Nagle ryk morza cichł zupełnie i słychać było głośnie tykanie zegara. Mijała kolorowy obraz stojący na sztalugach, zaczynała iść szybciej, bo musiała... gdzieś się dostać. Musiała... coś... odnaleźć. Słyszała szloch i próbowała biec w kierunku, skąd dochodził...”.

Joanna usiadła na łóżku, gwałtownie prostując plecy, wyciągnęła przed siebie ręce, serce waliło jej młotem. Cała się trzęsła, z trudem wciągała powietrze przez zaciśnięte gardło. Gdzieś w środku czuła ból i ogromny żal, na wszystkim kładł się lodowaty czarny cień strachu.



W miarę jak dochodziła do siebie, opuszczała ręce. Lęk, ból i żal powoli ustępowały, zostawiając po sobie znany jej niepokój. Joanna usiłowała przekonać samą siebie, że to był sen. Tylko sen.

Sen zmienił się, podobnie jak jego wpływ na Joannę. Strach, który od początku był jego nieodłączną częścią, jeszcze się spotęgował. Żal przybrał nową formę, tak samo jak ból. Kiedy sen rozgrywał się za jej zamkniętymi powiekami, przytłaczający niepokój i lęk także stały się inne - tak obezwładniające, że nie potrafiłaby zlekceważyć swoich odczuć.

Nabrała niezachwianej pewności, że musi coś przedsięwziąć. Nie wiedziała, co, ale wewnętrzny przymus nabrał takiej siły, że odrzuciła kołdrę i zsunęła nogi z łóżka. Zawahała się przez chwilę, kiedy uświadomiła sobie, co robi, ale potem szybko wstała. I tak był już ranek - choć bardzo wczesny. Dochodziła piąta trzydzieści.

W kuchni niewielkiego mieszkania nastawiła kawę, przeszła do salonu i zapaliła kilka lamp. Pokój był przyjemny, trochę przeładowany wygodnymi meblami i zbieraniną bibelotów z całego świata. Ciotka Sara uwielbiała podróże - każdego lata zabierała siostrzenicę do jakiegoś odległego zakątka globu.

Przyjaciele Joanny uważali, że musi być szczęśliwa, bo ma ciotkę Sarę, która zastępowała jej rodziców, ale na pewno nie była typową „mamušką”. To prawda. Dość niezwykły sposób wychowania sprawiał Joannie przyjemność. Mimo to w skrytości ducha zazdrościła przyjaciółom, że mieli ojców i matki.

Zbliżyła się do wygasłego kominka i wskazującym palcem dotknęła stojącego na nim zdjęcia ciotki Sary, oprawionego w srebrną ramkę. Patrzyły na nią przenikliwe oczy, a ciepły uśmiech przywoływał wspomnienia. Joanna poczuła się przez chwilę nieojajna, bo czasami myślała, że ciotka nie zapewniła jej wszystkiego, że jej dzieciństwo zostało pozbawione czegoś o szczególnym znaczeniu.

Nadal dotykając fotografii ciotki, przeniosła wzrok na inną srebrną ramkę stojącą nad kominkiem. Było tam zdjęcie jej rodziców. Zrobiono je, gdy matka miała mniej lat niż ona teraz. Jasnowłosa i delikatna, otoczona opiekuńczym ramieniem męża, uśmiechała się promiennie. Lucy Flynn wyszła za mąż za chłopca, którego kochała od dziecka aż do dnia śmierci i nie widziała poza nim świata. Jedno z najtrwalszych wspomnień z dzieciństwa Joanny to dźwięk głosu matki, łagodnie zwracającej się do męża i nazywającej go „kochanym”.

Wspomnienie Alana Flynna natomiast łączyło się dla Joanny z jego śmiechem - głębokim i radosnym. Bez cienia wątpliwości uwielbiał żonę i dziecko. Zawsze miały dostęp do niego. Nigdy nie był tak zajęty lub przytłoczony obowiązkami pracy jako prokuratora,

żeby nie znaleźć trochę czasu dla rodziny.

Joanna sięgnęła do srebrnej ramki ze zdjęciem rodziców. Jak wiele razy wcześniej, zastanawiała się, co by się stało, gdyby sędzia nie zachorował, wskutek czego ojciec miał wolne w tamten słoneczny czerwcowy poranek. Szczęśliwy zabrał wtedy żonę nad morze, by pożeglować ich małą łódką. Dociekała, dlaczego przeznaczenie akurat tamtego dnia oddaliło ją od rodziców i pojechała z ciotką Sarą na dość nieoczekiwaną wycieczkę do Disneylandu. Łamała sobie głowę, dlaczego służby meteorologiczne nie ostrzegły o zbliżającym się sztormie, a jeśli to zrobiły - czemu ojciec nie potraktował tego poważnie. Dlaczego jemu - pytała samą siebie - znakomitemu i doświadczonemu żeglarzowi nie udało się bezpiecznie doprowadzić do brzegu niewielkiej łodzi?

Z niejakim zdumieniem zdała sobie sprawę, że od tamtego wydarzenia minęło dwadzieścia lat.

Z zamyślenia wyrwał ją syk ekspresu do kawy, który skończył parzenie. Odwróciła się od kominka, zostawiając wspomnienia. Uznała, że to sen dziwnie ją nastrajał. Tak, była po prostu w dziwnym nastroju.

Kiedy jednak nalewała sobie pierwszą tego dnia filiżankę kawy, czuła się bardziej zaniepokojona niż zwykle, gdyż przeżycia związane z tragedią z dzieciństwa nigdy nie były dla niej tak przytłaczające jak tego cichego ranka. Ogarniały ją ból, żal i niewysłowiona złość. Czuła się porzucona, zostawiona samej sobie. Jakby coś rozdarło bardzo starą ranę, którą w sobie nosiła. Cierpiała i nie mogła pozbyć się wrażenia, że ją opuszczono, jak w tamten czerwcowy wieczór, kiedy ciotka Sara tuliła ją i razem płakały.

Jakby wszystko działało się od nowa.

Minął pierwszy tydzień września, a potem drugi. Uważała, że udawało się jej utrzymać pozory pogody ducha, choć w środku nerwy miała napięte do granic możliwości. Sen nawiedzał ją co noc, a razem z nim niepokój, z którego nie potrafiła się otrząsnąć. Prześladowało ją nieodparte wrażenie, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Więcej niż raz przyłapała się na tym, że zamiast pracować, wpatrywała się przed siebie i czujnie nasłuchiwała, wyciągając szyję do bólu - a przecież zupełnie nie wiedziała, co próbuje usłyszeć.

Później zaczęły się jej przytrafiać inne rzeczy. Dziwne zdarzenia, których nie umiała wyjaśnić. Dlaczego widok dziecka płaczącego w sklepie spożywczym, któremu matka nie chciała kupić cukierka, nagle tak bardzo nią wstrząsnął? Dlaczego smuga dymu z papierosa sprawiła, że zapragnęła głęboko się nim zaciągnąć? Dlaczego częściej zaczęła nosić spódnice

niż spodnie, choć nigdy ich nie lubiła? I dlaczego za każdym razem, gdy patrzyła w lustro, była jakby zaskoczona, jak gdyby odbicie niezupełnie odpowiadało jej oczekiwaniom.

Czuła się jak szybkar - w jej wnętrzu rosło ciśnienie, osiągając poziom, który ledwie wytrzymywała, aż stawało się niebezpieczne. Wiedziała, że musi coś zrobić. Tyle że nie miała pojęcia, co to miałyby być. Zzerała ją frustracja. Dopiero w połowie września sen przyniósł rozwiązanie.

„Huczenie oceanu wydawało się początkowo ogłuszające, przytłaczało wszystkie inne odgłosy. Dom, zbudowany wysoko na skarpie nad brzegiem morza, był piękny i opuszczony. Budził w niej sprzeczne uczucia. Podziw, dumę, satysfakcję pomieszane ze strachem i niepokojem. Chciała skupić się na nich, zrozumieć je, ale wówczas coś gwałtownie odciągało ją od domu. Zarys budynku stawał się coraz bardziej niewyraźny, a potem zupełnie się rozmywał. A wtedy zjawiał się przed nią karuzelowy konik pomalowany w jaskrawe kolory, który unosił się i obracał na lśniącej rurze z brązu jakby w takt niesłyszalnej muzyki. Czuła zapach róż. Kątem oka dostrzegła kwiaty wazonie. Nagle ryk morza cichł zupełnie i słychać było głośnie tykanie zegara. Papierowy samolocik wznosił się i opadał, niesiony bryzą, której nie czuła. Mijała kolorowy obraz stojący na sztalugach, zaczynała iść szybciej, bo musiała... gdzieś się dostać. Musiała... coś... odnaleźć. Słyszała szloch. Jakieś dziecko aż się zanosilo płaczem, próbowała biec w jego kierunku, ale nie mogła się ruszyć - i wtedy zauważyła drogowskaz i wiedziała już, dokąd musi się udać...”

Joanna obudziła się i stwierdziła, że siedzi wyprostowana na łóżku, ma szeroko rozłożone ręce, a serce wali jej jak młotem. Powoli opuściła ramiona. W pogrążonej w ciemności sypialni usłyszała, jak szepcze sama do siebie:

- Cliffside.

Niczym na drogowskazie z nawiedzonego filmu złażyła z niego farba, litery były mocno naruszone zębem czasu. Cliffside. Niezbyt wiele. W samych Stanach Zjednoczonych setki, jeśli nie tysiące mięscin nosiło tę nazwę.

Jednak zawodowa bibliotekarka, zajmująca się wyszukiwaniem potrzebnych danych, ma narzędzia i wiedzę, by dokładnie ocenić różne możliwości. Joanna nie traciła czasu i przystąpiła do - jak się spodziewała - długich poszukiwań. Szczęściem nie miała akurat dużo pracy, dlatego całymi godzinami mogła siedzieć przy komputerze i wyświetlarce do mikrofilmów.

Przedzieranie się przez informacyjny gąszcz należało do jej zawodowych

obowiązków, toteż była zadowolona. Nie tylko dlatego, że zadanie stawało się przez to łatwiejsze, mogła dzięki temu szukać drogowskazu ze snu bez wzbudzania niepotrzebnych podejrzeń. Nikt z jej otoczenia nie wpadłby na to, co naprawdę zajmuje jej myśli, lub dostrzegł niepokój i strach. Nikt też nie potrafiłby wyobrazić sobie, że każdej nocy budziła się z niesamowitego snu ze ściśniętym gardłem i paniką dławiącą oddech.

Pozornie Joanna prowadziła normalne życie. Każdego dnia szła do pracy i codziennie wracała potem do domu. Twarz, na którą patrzyła w lustrze, nie ulegała zmianom, uśmiechała się równie łatwo i często jak kiedyś. Współpracownicy nie widzieli niczego niezwykłego w jej oddaniu pracy, nawet wtedy gdy rezygnowała z przerw na lunch, byle tylko posuwać się dalej. Ponieważ nie miała rodziny i była ostatnio zbyt zajęta, by często widywać się z przyjaciółmi, nikt nie spędził z nią wystarczająco dużo czasu, żeby zauważyć, że jej życie pod żadnym względem nie było normalne.

Joanna o tym wiedziała. Czowała się przedziwnie pozbawiona kontroli nad własną osobą, jakby niósł ją prąd, czyniąc niezdolną do wyboru własnej drogi. Czy tego chciała, czy nie, dryfowała bezwolnie w kierunku miejsca o nazwie Cliffside. Nigdy nie wierzyła w przeznaczenie, jednak w miarę upływu dni nabierała przekonania, że los żądał od niej, by poświęcając całą energię, skoncentrowała się na jednym. Na znalezieniu Cliffside.

Ale dlaczego? Prześladowana snem, który właściwie stał się treścią jej życia, nie potrafiła zrozumieć, co się z nią dzieje. Wierzyła jedynie, że ma to coś wspólnego z wypadkiem samochodowym, bo sen zaczął się tuż po nim, niemniej to nie dawało odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. W chwilach największej frustracji nie umiała się oprzeć wrażeniu, że prąd elektryczny po prostu zniszczył jej umysł, nawet jeśli sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Wypadek stał się w jakiś sposób katalizatorem, ale sen nie był zwykłym wynikiem przypadkowego przebiegu impulsów elektrycznych w mózgu.

Sen coś oznaczał. Joanna wiedziała, że dopóki nie zrozumie, o co w nim chodzi, jej życie nigdy nie będzie już do niej należało.

Rzuciła się na szukanie Cliffside, próbując dopasować do konkretnego miejsca widziany we śnie skalisty brzeg, o który rozbijały się białe grzywy fal. Wykreślenie miejscowości usytuowanych w głębi lądu skróciło listę o połowę, wyeliminowanie stanów, których wybrzeże stanowiły niziny, jeszcze zmniejszyło ich liczbę, jednak nadal pozostały dziesiątki Cliffside, z których każde musiało zostać sprawdzone oddzielnie pod względem zgodności ze szczegółami ze snu.

Było to znużające i powolne zajęcie. W połowie trzeciego tygodnia września, kiedy Cliffside nadal zdawało się jedynie mrzonką, Joanna zaczęła poważnie się zastanawiać, czy

aby nie pomieszało się jej w głowie. Nie czuła się już sobą. Ulubione jedzenie już jej nie smakowało. Pociągały ją kolory, które wcześniej nie robiły na niej wrażenia. Po raz pierwszy w życiu zaczęła obgryzać paznokcie - ten nerwowy nawyk był tak bardzo do niej niepodobny, że przeraziła się nie na żarty. Od chwili gdy budziła się każdego ranka, przepełniał ją niepokój i dręczył wewnętrzny przymus. Ten stan tylko nieznacznie łagodniał w ciągu dnia.

Cliffside. Było jak gwiazda przewodnia wisząca przed nią na niebie, wabiąca i odpychająca zarazem. Wszystko inne w życiu przestało się dla niej liczyć.

W kolejną niedzielę musiała zrobić sobie przerwę w ślęczeniu nad stosami książek i wycinków, które zgromadziła w salonie, i pojechać do centrum handlowego oddalonego o kilka kilometrów. Nie przygotowała listy zakupów. Czuła się po prostu przemęczona, zniechęcona, a zbliżająca się noc nie nastrojała optymistycznie - dlatego zabawa przy kupowaniu nowego flakonika perfum lub butelki olejku kąpielowego wydawała się dobrym pomysłem.

Od razu poprawił się jej humor. Ale potem, gdy wyszła z domu towarowego, niosąc zakupy w niewielkiej papierowej torbie z plastikowymi uszkami i nadrukowanym eleganckim logo, ktoś mocno chwycił ją za ramię.

- Caroline?

Przerażona Joanna spojrzała na zaszokowaną kobietę. Zobaczyła piękną blondynkę o egzotycznych rysach, kocich oczach trochę nierealnego zielonego koloru, jaki nadawały im szkła kontaktowe, ubraną w kosztującą co najmniej dwieście dolarów jedwabną bluzkę i spłowiełe dżinsy.

- Nie - odpowiedziała Joanna. - Żałuję, ale nie.

Kobieta cofnęła rękę. Objawy wstrząsu zniknęły powoli z jej twarzy, gdy uśmiechała się uprzejmie.

- Bardzo przepraszam, wydawało mi się, że jest pani... kimś innym. - Roześmiała się, nadal najwyraźniej poruszona, wymamrotała kolejne przeprosiny i weszła do sklepu, który Joanna właśnie opuściła.

Patrząc za nieznaną, Joanna nagle zaczęła wpatrywać się w swoje niewyraźne odbicie w szybie drzwi. Znowu Caroline. Pomyślała, że to podważa teorię przypadku - w końcu dwa razy wzięto ją za kogoś innego w bardzo krótkim czasie. Jednak nie to martwiło ją najbardziej, ale szok, jaki wywołała u mężczyzny i kobiety, gdy brali ją za Caroline. Dlaczego jej widok robił na nich aż takie wrażenie? Dlaczego uznanie jej za tamtą kobietę wprowadzało ich w osłupienie, dlaczego nie mogli wprost uwierzyć w to, co widzieli?

Kim była Caroline? Czemu Joanna czuła, że to pytanie jest najważniejsze?

- O mój Boże - Joanna nie zdawała sobie sprawy, że mówi do siebie, ale ponieważ była sama w pokoju, gdzie przeglądało się mikrofilmy, nie miało to znaczenia. Nikt jej nie słyszał. Nikt też nie zobaczył wyrazu osłupienia, jaki malował się na jej twarzy. Sprawdzając odnośniki do Cliffsida w Oregonie w „Portland Citizen-Times”, właściwie bez powodu sięgnęła po wydanie z lipca. I wtedy na coś natrafiła.

„Caroline McKenna, lat 29, zginęła w wypadku, tracąc panowanie nad samochodem na śliskiej od deszczu autostradzie w odległości niecałych dwudziestu kilometrów od miejsca zamieszkania. Znana osobistość usytuowanego na wybrzeżu miasta Cliffsida w Oregonie, bardzo aktywna działaczka miejscowej społeczności, pozostawiła męża i córkę. Pogrzeb odbędzie się 4 lipca w Cliffsida”.

Caroline. Zginęła w dniu mojego wypadku.

Kobieta o imieniu Caroline, która mieszkała w Cliffsida w stanie Oregon. Kobieta, która straciła życie w wypadku samochodowym 1 lipca. Kobieta, która mogła być tak podobna do Joanny, że dwoje ludzi doznało szoku na jej widok, gdy zobaczyli, że żyje i jakby nigdy nie idzie chodnikiem w Atlancie.

Do tego jeszcze uporczywy, nawiedzający ją sen z drogowskazem mającym napis „Cliffsida”.

Joanna wpatrywała się w nekrolog Caroline McKenny. Czytała go raz po raz. Niewiele można było się z niego dowiedzieć o jej życiu - lub śmierci. Wypadek samochodowy. Młoda, rzutka kobieta, która przedwcześnie straciła życie i zostawiła męża i córkę. Niespełnione nadzieje.

Dlaczego jednak tak bardzo ją to obeszło? Ich życiorysy w wielu sprawach wydawały się stanowić przeciwności. Caroline była mężatką, miała dziecko, Joanna była bezdzietną panną. Joanna pracowała zawodowo, Caroline najwyraźniej zajmowała się działalnością społeczną. Mieszkały na przeciwległych krańcach państwa, jedna w małym mieście, druga w metropolii. Niemniej tego samego lipcowego dnia obie miały wypadek samochodowy. Jedna przeżyła, druga nie.

Nieznaną jej kobietą umarła w odległości prawie pięciu tysięcy kilometrów, właściwie nic nie łączyło jej z Joanną poza niemal identycznym wiekiem i najwyraźniej fizycznym podobieństwem - mimo to Joanna czuła, jak nigdy przedtem, przemożną chęć dowiedzenia się czegoś więcej o życiu Caroline i miejscowości Cliffsida. Z drugiej strony nie widziała w tym najmniejszego sensu.

Skopiowała nekrolog i niejako automatycznie założyła nowy skoroszyt, by dodać go do innych zawierających zgromadzone przez nią materiały. Napisała na nim po prostu „Caroline”. Najbardziej przejęła się tym, że pierwszą informacją, jaką w nim umieściła, był nekrolog Caroline McKenny.

Zamknęła skoroszyt, odłożyła go na bok i wróciła do przeglądania gazety w poszukiwaniu innych wzmianek o Cliffsides lub Caroline. Niczego jednak nie znalazła. We wszystkich numerach „Portland Citizen-Times” z tego roku do lipcowych włącznie jedyną rzeczą godną odnotowania w Cliffsides była śmierć Caroline.

Niemniej w sierpniowym wydaniu natrafiła na krótki artykuł o planowanej rozbudowie niewielkiego szpitala w Cliffsides. Dzięki zapisowi uczynionemu przez Caroline McKennę miało powstać nowe skrzydło. W testamencie zostawiła dla kliniki niewielki skrawek gruntu, przylegający do istniejących budynków, oraz dość pieniędzy na stworzenie nowej części kliniki, a także na wyposażenie i płace dla personelu. Zgodnie z planem znalazłyby się tam laboratorium, najnowszy sprzęt diagnostyczny, oddział kardiologiczny i centrum pourazowe.

Ze wzmianki, którą Joanna skopiowała i włożyła do skoroszytu „Caroline”, można było dowiedzieć się czegoś o samej Caroline, choć nie bezpośrednio. Miała pieniądze, to było więcej niż pewne. Przewidywany koszt rozbudowy zamykał się w granicach trzech milionów dolarów.

Trzy miliony dolarów.

- Zatem istnieje między nami zasadnicza różnica - wymamrotała Joanna do siebie, lekko drwiąco.

Z treści artykułu wynikało też, że albo Caroline interesowała się opieką medyczną, albo żywiła silne przekonanie, iż społeczność jej miasteczka potrzebowała większej placówki medycznej. O innych powodach, którymi mogła się kierować, trudno było coś powiedzieć. Nie wspomniano bowiem o jakiegokolwiek innej jej darowiźnie na cele charytatywne. Nie napisano także, czy mężowi i dziecku zostawiła w testamencie coś z posiadanego majątku.

Dopiero następnego dnia w czasie przerwy na lunch Joannie udało się dostać przez Internet do redakcji gazety ukazującej się w Cliffsides i do miejskiego archiwum. Zaczęła znajdować to, czego szukała. Zdobyła informacje o mieście i mieszkających tam ludziach, poczynając od klimatu i sytuacji gospodarczej, skończywszy na liczbie ślubów, chrzcin i pogrzebów odnotowanych w ratuszu.

Natrafiła na zdjęcie Caroline McKenny, zrobione rok wcześniej, kiedy razem z mężem pozowała z grupą wspomagającą miejscowy teatr.

Mogłaby być siostrą Joanny.

Włosy zmarłej kobiety, choć blond, były ciemniejsze, ale miała taką samą sylwetkę, rysy twarzy, a nawet smukłą budowę. Na monitorze komputera delikatne cechy wyglądu nabierały ostrości. Jej twarz kształtem przypominała trochę serce, gładkie ciemne włosy swobodnie rozpuszczone sięgały ramion, były krótsze o kilka centymetrów od jaśniejszych włosów Joanny. Miała duże oczy i miękkość w obrysie ust, przywodzącą na myśl dziecko, robiła wrażenie kruchej i delikatnej.

Mąż, Scott McKenna, stał po jej prawej stronie. Okazał się śniadym, przystojnym mężczyzną po trzydziestce, dobrze zbudowanym i wyższym od Caroline o kilkanaście centymetrów, choć miała buty na wysokich obcasach. Ciemny garnitur sprawiał, że wyglądał nie tyle na ponuraka, ile na... osobę bardzo powściągliwą. Uśmiechał się nieznacznie, mimo to emanowała z niego dziwna aura nieprzystępności i chociaż stali z żoną obok siebie, nie dotykali się.

Patrząc na tych dwoje i grupę, która ich otaczała, Joanna powoli uświadamiała sobie, że stały niepokój, który towarzyszył jej przez wiele tygodni, przeistoczył się w przekonanie tak silne, że nawet nie próbowała go zwalczać. Pierwszy raz od przebudzenia po wypadku dokładnie wiedziała, co powinna zrobić. Ulga, którą poczuła, zupełnie ją oszołomiła.

Żeby odzyskać własne życie, będzie musiała pojechać do Cliffside i poznać życie obcej kobiety, która umarła w dniu, gdy obie uległy wypadkowi samochodowemu. Joanna nie wiedziała dlaczego, a jednak była pewna, że coś ją łączy z Caroline, i dopóki nie zrozumie, na czym ta więź polega i jakie są jej przyczyny, nie zazna spokoju.



## Rozdział drugi

Holly Drummond wyszła z gabinetu i krytycznym okiem otaksowała kontuar recepcji. Zrobiła to bardziej z nawyku niż z potrzeby sprawdzania. Bliss Weldon, pracująca na dziennej zmianie, znakomicie wywiązywała się z obowiązków i można było na niej całkowicie polegać. W recepcji panował absolutny spokój. Bliss siedziała przy komputerze pochłonięta pracą. Telefony milczały żaden gość nie przyszedł z pretensjami. Wszystko szło jak w zegarku - każdy dyrektor hotelu życzyłby sobie podobnej sytuacji.

Holly zerknęła do notatnika i pokiwała głową. Tylko jedna osoba miała zameldować się w hotelu tego popołudnia - zarezerwowała niewielki apartament na dwa tygodnie z możliwością przedłużenia pobytu. To bardzo dobrze, po prostu świetnie. O tej porze roku goście nie trafiali się często, dlatego Holly była zadowolona, bo mogła w każdej chwili powiedzieć, że po sezonie połowa pokoi jest wynajęta, co satysfakcjonowało ją i właściciela hotelu.

Przeszła przez hol w kierunku drzwi prowadzących na werandę, zadowolona z panującej atmosfery elegancji i komfortu. Hotel nazywający się po prostu „Gospoda” liczył ponad pięćdziesiąt lat. Ponieważ nie oszczędzano na remontach i ostatni raz modernizowano go niecałe pięć lat wcześniej, był bardzo ładny. Na marmurowe posadzki i tapety ścienne wybrano materiały najlepszego gatunku, a znakomicie wyszkolony personel wykonywał obowiązki dyskretnie i efektywnie. „Gospoda” miała cztery gwiazdki w rankingu i solidną opinię miejsca, gdzie gość mógł spodziewać się komfortu najwyższej klasy. W rzeczywistości była główną atrakcją turystyczną okolicy. Piękne krajobrazy, cisza i spokój oraz „Gospoda” przyciągały turystów do Cliffside, którzy z kolei zostawiali pieniądze pozwalające rozwijać się miejscowej gospodarce. Mówiąc ogólnie, wszyscy na tym korzystali.

Holly przeszła przez otwarte drzwi i znalazła się na werandzie z widokiem na morze. Leżaki, stoliki i wygodne krzesła stały rozlokowane zachęcająco pod zadaszeniem i poza nim, skąpane w promieniach ciepłego październikowego słońca. Odpoczywało tam ponad dziesięciu gości hotelowych, część czytała gazety, inni pili kawę i rozmawiali.

Skinęła głową kelnerce stojącej z boku i dbającej o spełnianie życzeń gości, a potem poszła dalej. Zmierzała do leżaka na samym końcu werandy, na którym wylegiwał się w słońcu smukły, ciemnorudy mężczyzna. Nie był sam - na podłodze obok siedziała osiemnastoletnia dziewczyna i flirtowała z nim zawzięcie, zachęcana jego leniwym

rozbawieniem.

Holly zmarszczyła czoło, ale w chwili gdy do nich podeszła, wypogodziła się i powiedziała miło:

- Cześć, Amber. Myślałam, że jedziesz dzisiaj na wycieczkę.

Szczupła blondyneczka zerwała się na równe nogi. Poczucie winy i jednocześnie bunt malowały się na jej twarzy.

- Powiedziałam rodzicom, żeby jechali beze mnie. Kto chciałby oglądać krajobraz ciągnący się całymi kilometrami? Mówiłam właśnie panu... mówiłam Cainowi, że chętnie przesłabym się po sklepach i coś kupiła.

- Wspaniały dzień na zakupy - odpowiedziała Holly trochę oschle. Aż za bardzo zdawała sobie sprawę z różnicy dwunastu lat między sobą a dziewczyną.

Amber wsunęła dłonie do kieszeni bardzo krótkich szortów, których nie powinna nosić co najmniej od miesiąca, i uśmiechnęła się promiennie.

- Też tak uważam. Cainie, czy... czy nie przeszedłbyś się ze mną?

Cain Barlow odchrząknął, a rozleniwiony ton głosu pasował do jego uśmiechu, gdy powiedział:

- Nie słyszałaś o najnowszym odkryciu psychologów kretynów? Mężczyźni to myśliwi, kobiety to zbieraczki. Dlatego bez powodu lubicie zakupy, a my ich nie znosimy.

Amber popatrzyła na niego z góry, aż nazbyt widocznie zmieszana i boleśnie zawiedziona.

- Och, no cóż... może potem przejdziemy się po klifie?

- Chyba będziesz musiała wykreślić mnie z listy, Amber. Dziś po południu muszę jechać do Portlandu.

- Aha. - Amber zmusiła się do uśmiechu, mając nadzieję, że efekt będzie druzgoczący.

- No, to może innym razem.

- Jasne.

Blondyneczka posłała Holly kolejne na wpół wyzywające spojrzenie i ruszyła przez werandę w kierunku budynku.

- Myślisz, że nauczyła się tak chodzić ze starych filmów z Mae West? - zakpił Cain.

- Pozwala po prostu, żeby hormony nią rządziły - odpowiedziała Holly. - To jedno, drugie to obcasy, za wysokie o jakieś osiem centymetrów. Nie powinieneś jej podpuszczać, Cain. Bardzo łatwo złamać osiemnastoletnie serce.

- Podpuszczać ją? Siedziałem sobie tutaj zajęty własnymi sprawami i czekałem na ciebie, kiedy się zjawiła i niemal wepchnęła mi się na kolana. Co miałem robić? Zachować się

niegrzecznie wobec córki jednego z twoich gości hotelowych? - Wyciągnął rękę, żeby dotknąć Holly, ale ona cofnęła się, okazując niewielkie zniecierpliwienie. Cain zmrużył oczy.

- Oczywiście twoim zdaniem powinienem ją przepędzić.

Wzgardzając miejscem opuszczonym przez Amber u stóp Caina, Holly usiadła na leżaku obok.

- Uważam, że wykorzystujesz swój urok bez zastanowienia - powiedziała.

- Holly, to przecież jeszcze dziecko. Jest ode mnie dwadzieścia lat młodsza.

- Kolejny powód, żebyś był ostrożniejszy. - Holly spojrzała w notatnik i zmarszczyła czoło.

Cain splótł długie palce na płaskim brzuchu i patrzył na nią przez chwilę. Jego niemal zastygła twarz wyrażała zupełną obojętność, jedynie przenikliwe zielone oczy błyszczały żywo.

- Dobrze. Odnotowane dla przyszłych poczynań. A teraz powiedz, czy nie planowaliśmy spaceru wzdłuż klifu, zanim odciągnął cię telefon?

- Nie mogę iść.

- Niech zgadnę. Dzwonił władca?

Holly wpatrywała się w niego, nadal marszcząc czoło.

- Dzwonił Scott. Dlaczego za każdym razem, kiedy o nim mówisz, musisz być taki uszczypliwy?

- Bo go nie lubię - odpowiedział Cain przymilnie. - I nie podoba mi się, kiedy rzucasz wszystko i jesteś na każde jego zawołanie.

- To nie w porządku. Jest moim pracodawcą. Poza tym ciężko mu teraz - wyjaśniała Holly. - Od śmierci Caroline...

- Od śmierci Caroline całe miasto tonie we łzach współczucia i żałuje biednego Scotta - przerwał jej Cain, zdecydowanie się naigrywając. - A ten skurwysyn ciągnie z tego ile wlezie.

- To, co mówisz, jest okropne.

- Naprawdę? Przecież to współczucie jest prawdziwe.

Holly wstała gwałtownie z leżaka i zasłoniła się notatnikiem niby tarczą.

- Posłuchaj - zaczęła - przyszedłam tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, że mam się spotkać ze Scottem w ratuszu, bo musimy omówić niektóre sprawy związane z budową nowego skrzydła kliniki. Nie powinno mi to zabrać więcej niż godzinę, więc gdybyś jeszcze tu był...

- Nie będę. Tak jak powiedziałem małej Amber, muszę jechać do Portlandu. - Cain nie

poruszył się nawet, jedynie na nią patrzył. Wydawał się odprężony i czujny jednocześnie. Holly nie miała pojęcia, co myślał.

Zresztą nigdy nie wiedziała, co chodziło mu po głowie. To wystarczyło, by doprowadzić do obłędu każdą kobietę.

- Rozumiem. - Skinęła głową. - Lunch był... zabawny.

- Tak, tak. Oczywiście byłoby znacznie zabawniej, gdybyśmy deser zjedli w moim łóżku. Ale ostatnio najwyraźniej nie masz czasu... albo ochoty... na słodycze, mam rację, Holly?

- To ty jesteś zbyt zajęty - broniła się. - Ile razy w czasie ostatnich tygodni musiałeś jechać do Los Angeles albo Nowego Jorku? Przestań udawać, że to przeze mnie bardzo rzadko się widzimy. - Holly usłyszała we własnym głosie nutę typową dla zaniedbywanej kobiety, dlatego całym wysiłkiem woli postarała się ją usunąć. - Posłuchaj, oboje pracujemy i...

- Kilka miesięcy temu też pracowaliśmy, ale jakoś udawało się nam znaleźć czas. - Jego głos stał się bardziej stanowczy. - Zanim biedny Scott zaczął we wszystkim polegać na tobie.

- To nie w porządku - odpowiedziała, wiedząc, że się powtarza.

- Tak, pewnie nie w porządku. W końcu jestem egoistycznym draniem. Przypominałaś mi o tym wystarczająco często. - Wzruszył ramionami, chcąc w ten sposób zakończyć nieprzyjemną wymianę zdań, choć przecież tak naprawdę guzik go to obchodziło. - Biegnij pomagać Scottowi w radzeniu sobie z problemami, ja powinienem oszczędzać siły. Do Portlandu długa droga.

Holly odwróciła się, ale po zrobieniu dwóch kroków przystanęła. Niech to szlag trafi! - zakląła w myślach. Nienawidząc się za to, obróciła ku niemu głowę.

- Długo będziesz w Portlandzie? To znaczy... zobaczymy się jutro?

- Najprawdopodobniej wrócę dziś w nocy - odparł.

Odczekała chwilę, żeby się upewnić, czy Cain nie chce powiedzieć czegoś więcej. A potem, odzyskując godność, skinęła mu głową.

- Szerokiej drogi. Jedź ostrożnie.

Lśniące zielone oczy złagodniały na sekundę, Cain także skinął jej głową.

- Coś mi się zdaje, że żadne z nas nie będzie już tak szalone za kierownicą jak trzy miesiące temu. Nie martw się, będę ostrożny.

Z wysiłkiem odwróciła się i opuściła werandę energicznym krokiem. Do momentu gdy znalazła się wewnątrz budynku, czuła na sobie jego wzrok, jednak nie obróciła się ani nie

zatrzymała. Przywołała się do porządku, mówiąc sobie, że musi wrócić do zajęć. Pracowała dla Scotta McKenny, właściciela „Gospody” i wielu innych nieruchomości i firm w Cliffside. A skoro jej potrzebował przy planowaniu nowego skrzydła miejskiej kliniki, powinna mu pomóc.

Wiedziała, że powiększył się rozdźwięk między nią i Cainem.

Kiedy znajdowała się w połowie holu, otworzyły się drzwi frontowe. Usłyszała jednego z bagażowych mówiącego coś o walizkach i zaparkowaniu samochodu, a potem do środka weszła kobieta o jasnych włosach. Holly stanęła jak wryta, nieświadoma, że z wrażenia otworzyła usta i wpatruje się natarczywie w nieznaną. Jednak była tak zaskoczona, że nie potrafiła się opanować.

Blondynka przeszła parę kroków w głąb holu i dostrzegła Holly. Dalej szła już mniej pewnym krokiem. Była mniej więcej wzrostu dyrektorki hotelu, około metra sześćdziesięciu pięciu, miodowozłote włosy niedbale jej opadały na ramiona. Sportowe spodnie i sweter zdradzały smukłą, niemal delikatną sylwetkę. Twarz bardziej przypominała kształtem serce niż owal, miała niezwykle wielkie orzechowe oczy o ciemnej oprawie i zmysłowe, delikatne usta.

Zanim Holly zdołała wziąć się w karby, kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem i miłym głosem o silnym południowym akcencie zadała jej pytanie:

- Czyżbym powiedziała coś niewłaściwego?

Holly zamrugnęła oczami. Dziwnie się czuła, słysząc zupełnie obcy głos dobywający się z dobrze znanych ust.

- Och, nie. Mój Boże, przepraszam. Po prostu jest pani niesłychanie podobna do kogoś, kogo znałam.

- Dlaczego mówi pani w czasie przeszłym?

- Umarła kilka miesięcy temu.

- Teraz ja powinnam przeprosić.

- Nie ma o czym mówić. Nie byliśmy... zbyt zaprzyjaźnione. - Holly uśmiechnęła się i ruszyła do przodu, wyciągając rękę.

- Nazywam się Holly Drummond, jestem dyrektorką „Gospody”. Mówmy sobie po imieniu.

- Miło cię poznać, Holly. Jestem Joanna. Joanna Flynn.

- Zatem witaj, Joanno. Mam nadzieję, że dasz mi znać, jeśli będzie coś, co mogłabym zrobić, żeby ci uprzyjemnić pobyt u nas. - Choć jej słowa stanowiły zawodową formułkę, Holly traktowała je bardzo poważnie, dlatego jej szczerość była aż nazbyt wyczuwalna.

- Na pewno, dziękuję. - Joanna uśmiechnęła się. - Teraz chciałabym przede wszystkim się rozpakować, jakoś zadomowić i rozprostować nogi po długiej jeździe. Może później trochę sobie porozmawiamy?

- Zwykle jestem w pobliżu - odparła Holly ze śmiechem.

Przez chwilę patrzyła za Joanną idącą ku recepcji, a potem ruszyła swoją drogą. Do ratusza było niedaleko, dosłownie kilka przecznic. Poszła pieszo, bo potrzebowała zarówno trochę ruchu, jak i świeżego powietrza, które ułatwiało myślenie. Musiała się zastanowić, jak ostrzec Scotta. Do licha, nie tylko jego - całe miasto.

„Cześć, zgadnij, co się stało. W «Gospodzie» mamy nowego gościa, kobietę. Wystarczy jedynie przefarbować jej włosy na ciemno i nałożyć niebieskie szkła kontaktowe, żeby wyglądała jak Caroline! Co ty na to...”.

- Diabli nadali! - Holly mamrotała pod nosem. - Co on pomyśli, kiedy cię zobaczy, Joanno Flynn? Co poczuje...

Apartament na czwartym piętrze okazał się uroczy. Składał się z bawialni, sypialni i łazienki - całość przestronna i wygodna. Wbrew archaicznej nazwie „Gospoda” była hotelem świadczącym pełen zakres usług, z dwudziestoczterogodzinną obsługą kelnerską pokoi, telewizją kablową i zgodnie z informacjami, które Joanna uzyskała od przyjaznego bagażowego, gdyby brakowało czegokolwiek, wystarczyło o to poprosić.

Kiedy tylko mężczyzna wyszedł, postanowiła się zadomowić. Włączyła telewizor, nastawiła go na CNN, żeby słyszeć w tle wiadomości, gdy rozpakowywała walizkę i układała rzeczy w szafie. Skończyła, podeszła do dużego okna w sypialni wychodzącego na niewielki balkon i wyszła na zewnątrz, by podziwiać widok na ocean.

Po prawej stronie dostrzegła pokryty dachówkami okap, częściowo osłaniający werandę. Na wprost rozpościerał się kilkuakrowy zielony trawnik, dalej dostrzegła szczyt klifu, za nim ocean. U podnóża urwiska ciągnęła się plaża, zalewana wodą w czasie przyływu - jak dowiedziała się od bagażowego - ale nie było czego żałować, bo pas piachu był wąski, a poza tym prowadziła do niego ścieżka dość trudna do pokonania. Tylko kilku gości poszło tam więcej niż raz.

Joanna spojrzała w lewo, podążając wzrokiem za grzbietem klifu ku południu. Zamarła w bezruchu i niemal nie oddychając, przez długą chwilę po prostu stała i patrzyła. Potem ostrożnie stawiając kroki, wróciła do pokoju, jakby uważne ruchy były konieczne, żeby zapobiec jakiemuś straszному wydarzeniu. Przeszła do bawialni, usiadła przy małym stoliku, na którym wcześniej położyła notatnik.

Nigdy przedtem nie prowadziła dziennika, teraz jednak wydało się jej, że to dobry pomysł na czas pobytu w Cliffside. Żeby uporządkować myśli, zachować jasny umysł. Robiąc głęboki wdech, otworzyła notatnik i wygładziła stronę dłonią. Sięgnęła po długopis, przewidując dodany do wyposażenia pokoju przez administrację hotelu. Na górze kartki napisała datę. Nie zastanawiała się, co napisać. Po prostu zaczęła prowadzić długopis po kartce.

„Właśnie przyjechałam do Cliffside. W «Gospodzie» moja sypialnia ma niewielki balkon z widokiem na ocean. Z tego właśnie balkonu, dokładnie tak jak we śnie, widać tamten dom”.

Dom robił wrażenie nawet z daleka.

Joanna siedziała na gładkim ogromnym kamieniu na szczycie klifu, w połowie drogi pomiędzy „Gospodą” a domem ze snu. Nie odrywała od niego oczu. Oceniała, że nadal dzieli ją dystans ponad półtora kilometra, a z powodu kąta, pod którym patrzyła, drzewa rosnące pomiędzy budynkiem i główną drogą Cliffside zasłaniały jej część pięknego krajobrazu, jaki mogła obserwować z balkonu sypialni, niemniej widok i tak był wspaniały.

Dom miał dach o wielu wierzchołkach, niezliczone okna odbijające promienie słoneczne i dużą werandę od strony oceanu, skąd bez wątplenia roztaczał się zapierający dech w piersi widok. W to wszystko wpleciono niemal niezauważalne elementy stylu wiktoriańskiego - podobnie jak w hotelu „Gospoda”. Z miejsca, gdzie Joanna siedziała, dom powinien wyglądać dość ponuro. Wydawał się przylepiony do skalistego cypla, samotny, odizolowany. Jedyne daleko w dole grzywy fal rozbijały się o podnóże klifu. Mimo to wcale nie był ponury, sprawiał raczej wrażenie... dostojnego.

Uczucia, jakie budynek wzbudzał w Joannie, utrudniały jej skupienie myśli, bo łączyły się ze snem, który nękał ją przez tak wiele tygodni. Dla niej był mroczny i groźny. Sprawiał, że stała się nieufna, prawie wystraszona.

Podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi rękoma. Wsłuchiwała się w grzmot fal uderzających o klif. Twarz owiewała jej chłodna oceaniczna bryza. Słońce zachodziło za linię wody, sprawiając, że okna w odległym domu zdawały się płonąć czerwienią. Dreszcz, który wstrząsnął Joanną, nie miał nic wspólnego ze spadkiem temperatury.

Dom Caroline. Nie miała pojęcia, skąd wie, że patrzy na dom, w którym żyła Caroline, ale była pewna, że to on. Najprawdopodobniej mąż i córka Caroline nadal w nim mieszkają.

Po trzech miesiącach od jej śmierci na pewno pogodzili się już jakoś z poniesioną stratą, jednak wygląd Joanny mógł sprawić im... przykrość. Nawet bagażowy w hotelu i recepcjonistka w „Gospodzie” przerazili się na jej widok. A Holly Drummond, atrakcyjna brunetka, zdawała się ledwie trzymać na nogach z powodu szoku.

W czasie przygotowań do podróży Joanna nie zastanawiała się specjalnie nad swoją dość nagłą decyzją przyjazdu do Cliffside. Kiedy jednak usiadła na gładzie i wpatrywała się w dom Caroline, czuła narastającą panikę. Czego się spodziewała po przyjeździe? Czy pobyt tutaj miał stanowić rodzaj egzorcyzmowania ducha Caroline McKenny z jej snów - jeśli oczywiście chodziło o ducha zmarłej kobiety?

Zaczęła się niepokoić, że przyjeżdżając do Cliffside pod wpływem impulsu, uruchomiła jakiś proces, który natychmiast nabrał takiej szybkości, że straciła nad nim kontrolę. Przez chwilę miała nieprzewartą pokusę, żeby wrócić do hotelu, spakować rzeczy i złapać pierwszy samolot do Atlanty, gdzie było jej miejsce. Jednak zanim zdążyła poddać się wybuchowi paniki, jakiś głos przyciągnął jej uwagę.

- Przepraszam, ale nie powinna pani...

Joanna szybko obróciła głowę. Tym razem prawie się nie zdziwiła, gdy zobaczyła osłupienie mężczyzny, który nie zdradzał wcześniej swej obecności, lecz teraz zbliżał się do niej. Był wysoki, miał szerokie ramiona i atletyczną budowę, bardzo ciemne włosy i niemal czarne oczy, a choć jego twarz była zbyt kanciasta, żeby uznać go za przystojnego, charakteryzowało ją coś niezwykłego, co przykuwało uwagę.

Dostrzegła zaparkowanego na skraju lasu blazera, stał na wąskiej polnej drodze, której wcześniej nie zauważyła. Choć z tej odległości napis na boku samochodu nie był czytelny, oznakowanie łatwo dawało się rozpoznać.

- Jest pan policjantem? - zapytała zaskoczona brakiem munduru. Mężczyzna bowiem miał na sobie dżinsy i rozpiętą jasną nylonową wiatrówkę na ciemnym podkoszulku.

Potwierdził wolnym skinieniem głowy i podszedł bliżej. Dzielilo ich teraz jedynie kilkadziesiąt centymetrów. Mimo że już się otrząsnął, nadal marszczył czoło.

- Jestem szeryfem. Griffin Cavanaugh. - Głos miał niski i trochę zachrypnięty, ale Joanna nie potrafiła się domyślić, czy zawsze miał chrypę, czy była to po prostu reakcja na jej widok.

- Rozumiem. Czy robię coś złego, szeryfie?

Nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w jej twarz tak intensywnie, że niemal czuła dotyk jego wzroku.

- Nie powinna pani siadać zbyt blisko krawędzi urwiska. To bywa niebezpieczne. W



tym właśnie miejscu jakieś cztery, pięć miesięcy temu ktoś spadł.

Ponieważ Joanna nie miała lęku wysokości, ani przez chwilę nie wahała się z wyborem miejsca, gdzie chciała usiąść - znajdowała się tak blisko krawędzi klifu, że gdyby zwiesiła z głazu nogę, nie znalazłaby dla niej oparcia. Jednak słowa szeryfa sprawiły, że spojrzała na poszarpane, ostre skały znajdujące się daleko w dole. Poczowała lekki dreszcz. Nie namyślając się dłużej, zsunęła się z kamienia i stanęła przed mężczyzną.

- Ta osoba, która spadła... - zaczęła - czy on... ona... zginęła?

- Raz na jakieś pięć lat tracimy kogoś w ten sposób. - Pokiwał głową. Mówił trochę nieobecny tonem. - To turyści nie mający na tyle rozsądku, by stać trochę dalej.

- Nie ma tu żadnego znaku ostrzegawczego. - Joanna miała ochotę wystąpić w obronie turystów. - Skoro to niebezpieczna okolica, dlaczego nie informują o tym żadne znaki, szeryfie?

- Ponieważ za każdym razem, gdy je ustawię - jego oczy zwęziły się nieznacznie, w głosie zaś zabrzmiał niepokój - są niszczone przez wiatr albo wandalów. Mieszka pani w „Gospodzie”?

- Tak, tam się zatrzymałam.

- Zatem powinna pani była przeczytać ostrzeżenie wiszące na drzwiach pokoju. Urwisko za hotelem jest ogrodzone poręczami. Zaleca się, by goście hotelowi nie zapuszczali się w inne okolice. Jest pani teraz na terenie prywatnym.

Joanna obejrzała się odruchowo w stronę oddalonego domu.

- Tak, to jego ziemia - powiedział szeryf, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. - Nie ma żadnej tablicy, **ale** stanowczo odradza się chodzenie tędy. Okolice jest bardzo zdradziecka, pani...?

- Flynn. Joanna Flynn.

Skinął jej głową.

- Zatem, pani Joanno, wszyscy byliby zadowoleni, gdyby dla własnego dobra ograniczyła pani spacerować po klifie do miejsc na terenie należącym do hotelu.

- Rozumiem. - Nie miała zamiaru mówić nic więcej, ale kiedy szeryf odwrócił się i zaczął odchodzić, usłyszała własny głos: - Szeryfie? Sporo ludzi, również i pan, dziwnie zareagowało dzisiaj na mój widok.

- Jest pani podobna do kogoś, kto mieszkał w okolicy - odpowiedział rzeczowo.

- Tak mi mówiono. Holly Drummond powiedziała, że kobieta, do której jestem podobna... nie żyje.

- Tak. Zmarła trzy miesiące temu. - Niezależnie od tego, co Griffin Cavanaugh w

tamtej chwili odczuwał, zatrzymał to dla siebie. Na jego twarzy widać było jedynie spokój i opanowanie, a głos nie zdradzał żadnych uczuć.

- Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym wiedzieć, jak się nazywała? Jak umarła? - Joanna nie wiedzieć czemu postanowiła udawać, że nigdy nie słyszała o Caroline. Nie miała zamiaru przyznawać się nikomu w Cliffside, że przejechała tysiące kilometrów z powodu chęci poznania niejasnych więzi ze zmarłą kobietą.

- Po co? - spytał obcesowo.

- Zdaje się, że jestem tak do niej podobna, że mogłaby być moją siostrą. - Joanna zmusiła się do wzruszenia ramionami. - To ciekawe.

- Nazywała się Caroline McKenna. Zginęła w wypadku samochodowym. Nawierzchnia autostrady była bardzo śliska, jechała zbyt szybko i straciła kontrolę nad pojazdem. Chce pani wiedzieć coś jeszcze?

Joanna nie dała się zwieść jego szorstkości.

- Czy naprawdę jestem do niej bardzo podobna? - spytała.

Popatrzył uważnie, lustrując ją od góry do dołu, a potem powiedział:

- Gdyby ufarbowała pani włosy na ciemno i zmieniła kolor oczu, jej matka nie dostrzegłaby różnicy.

Nie była pewna, czy w jego głosie przeważał ból, czy złość, ale to wystarczyło, by się zorientowała, że nie powinna drążyć tematu.

- Rozumiem. Dziękuję za ostrzeżenie i informacje, szeryfie.

- Nie ma za co. - Patrzył ponad jej głową w przestrzeń, gdzie słońce chowało się za linią horyzontu. - Zaraz zrobi się ciemno. O tej porze roku zmierzch zapada bardzo szybko. Radziłbym pani wracać do hotelu.

Joanna świetnie wyczuwała, kiedy ktoś dawał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę, dlatego postanowiła zastosować się do sugestii. Będzie tu przynajmniej przez dwa tygodnie, więc ma mnóstwo czasu na dowiedzenie się wszystkiego. Jednak zanim odwróciła się, by iść do hotelu, mężczyzna spytał:

- Po co pani tu przyjechała?

- Na wakacje.

- W październiku?

- Lubię jesień.

- Pani jest z południa - dodał, marszcząc czoło.

- Nie lubi pan południowców? - Zmusiła się do nadania głosowi obojętnego tonu.

Udał, że nie słyszy.

- Powiedziałbym, że z Georgii.

- Tak, rzeczywiście z Atlanty w Georgii, ale ostatnio nie próbowaliśmy odłączać się od federacji, dlatego to, że tu jestem, nie powinno panu przeszkadzać. - Joanna odpowiedziała jakby od niechcenia na jego stwierdzenie będące zarazem pytaniem.

Szeryf uśmiechnął się nieznacznie, ale jego rozbawienie nie trwało długo.

- Przebyła pani długą drogę tylko po to, żeby spędzić urlop w miejscu, gdzie poza krajobrazem nie ma nic godnego uwagi?

- To już moja prywatna sprawa, szeryfie. Skoro jednak musi pan wiedzieć, dodam, że moim celem jest spędzenie wakacji w każdym stanie. Zupełnie przypadkowo wybrałam Oregon jako pierwszy na Zachodnim Wybrzeżu.

- A Cliffsides?

Joanna nie potrafiła się zorientować, czy jej uwierzył. Wzruszyła ramionami.

- W Izbie Turystyki powiedzieli mi, że to bardzo ładna miejscowość, a ja chciałam jedynie ładnego kawałka wybrzeża, gdzie mogłabym odpocząć. To panu wystarczy?

- Na razie tak - odrzekł. - Życzę miłego dnia, pani Joanno.

- Nawzajem, szeryfie.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku hotelu, zmuszając się do nonszalanckiego kroku. Początkowo zamierzała przypisać zainteresowanie szeryfa małomiasteczkowemu wścibstwu, ale takie wyjaśnienie nie trzymało się kupy, gdyż turystyka miała zasadnicze znaczenie dla miejscowej gospodarki. Bardziej prawdopodobne wydawało się, iż uznał pojawienie się w miasteczku kobiety ładną podobną do Caroline McKenny za coś więcej niż przypadek.

Joanna uświadomiła sobie w tej samej chwili, że w Cliffsides znacznie więcej osób będzie żywiło takie same podejrzenia.

Doszła do starannie wystrzyżonego trawnika hotelu i zatrzymała się, by spojrzeć za siebie. Szeryf nadal stał w miejscu, gdzie się rozstali, ale nie patrzył za nią. Zamiast tego spoglądał na dom stojący samotnie w oddali.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Joanna przespała spokojnie całą noc. Kiedy jednak obudziła się następnego ranka około ósmej, czuła niepokój. Miała pewność, że sen znowu ją nawiedził. Jednak nie wyśniła wszystkiego - przynajmniej nie pamiętała, żeby tak było - ale bez wątplenia widziała konika z karuzeli i papierowy samolocik, a także płatki róż padające z nieba niczym deszcz.

Długi czas wylegiwała się w wygodnym łóżku, wsłuchując się w szum oceanu i gapiąc w sufit. Rozmyślała o poprzednim dniu i starała się ocenić wrażenie, jakie zrobiło na

niej Cliffside i mieszkańcy, których poznała. Sądząc po reakcjach, z jakimi się spotkała, było jasne, że uda jej się dotrzeć do wielu ludzi, którzy znali Caroline. To oznaczało z kolei, że zyska wiele źródeł informacji.

Gdyby tylko Joanna wiedziała, jakie pytania powinna zadać.

Wstała, wzięła prysznic i zamówiła śniadanie do pokoju. Ostatnią poranną kawę wypła, stojąc w oknie balkonowym i patrząc w kierunku odległego domu Caroline, który nadal budził w niej niepokój. Zastanawiała się, w jaki sposób najłatwiej byłoby się tam dostać.

Szeryf Cavanaugh powiedział, że „odradzałby kręcenie się po okolicy”. Ale wspomniał też, że nie ma tam żadnych tablic ostrzegawczych. Tak więc z punktu widzenia prawa nie złamie żadnego przepisu, jeśli powędruje wzdłuż klifu w kierunku domu. Oczywiście, gdyby ją na tym przyłapano, gorliwy szeryf mógłby zdradzić, że wiedziała o zakazie.

Przez krótką chwilę smętnie rozbawiona nietypową dla siebie lekkomyślnością wyszła z pokoju i zjechała windą do holu.

Holly Drummond powitała ją serdecznie, stojąc obok kontuaru recepcji.

- Dzień dobry, Joanno.

Joanna była aż nazbyt świadoma, że druga kobieta, która się tam znajdowała, taksowała ją spojrzeniem, najprawdopodobniej wynikającym z nieświadomego odruchu, wywołanego jej podobieństwem do Caroline. Trochę ją to krępowało, ale zaraz skarciła się w duchu, mówiąc sobie, że dla własnego dobra powinna przywyknąć do takich reakcji.

- Cześć, Holly. Posłuchaj, zastanawiam się właśnie, czy istnieje jakiś punkt informacyjny o Cliffside i okolicy...

- Możesz spytać mnie albo kogokolwiek z personelu w recepcji - odpowiedziała Holly. - Większość zna okolice zupełnie dobrze. Nie mamy niczego specjalnego, ale mnóstwo broszur jest wyłożonych obok telefonów wewnętrznych, a każde z nas pomoże ci z prawdziwą przyjemnością. Co chciałabyś wiedzieć?

Trafne pytanie! - pomyślała Joanna.

- Hmm... Nic szczególnego, przynajmniej nie w tej chwili. - Widząc zaciekawienie w oczach Holly, Joanna zdobyła się na uśmiech. - Jestem bibliotekarką, zajmuję się wyszukiwaniem potrzebnych ludziom informacji, dlatego myślę, że chęć dowiedzenia się wszystkiego o miejscu, gdzie spędzam urlop, to takie skrzywienie zawodowe. Niezależnie od tego, jak bardzo się staram wypoczywać, ostatecznie niezmiennie ląduję w lokalnej bibliotece i czytam o założycielach miasta. Wiem, że to absurdalne.

- Nie mam pojęcia, czy to absurdalne. - Holly uśmiechnęła się. - Ale moim zdaniem brzmi znacznie lepiej niż granie w golfa albo kupowanie „śmieci, które potem tak naprawdę do niczego się nie przydają, a tak postępuje większość ludzi.

- Wiem, wiem, ale przyjaciele bez przerwy mi powtarzają, że nie powinnam pracować, jeśli nikt mi za to nie płaci.

- Znam to uczucie. - Holly spojrzała jakoś smutno na notatnik, z którym się nie rozstawała. - Czasem myślę, że moja praca nie ma przerw. Kto powiedział, że życie ma być sprawiedliwe...

- Moja ciotka Sara - poważnie odrzekła Joanna.

- Naprawdę?

- Uhm. Wychowała mnie i do dnia śmierci była niezachwianie pewna, że dostajesz od życia tyle, ile sama dajesz. Jeśli jesteś fair wobec innych, oni będą w porządku wobec ciebie. Kiedyś słyszałam, jak rozmawiała z łobuzem i pytała go tonem zatroskanej cioteczki, dlaczego marnuje życie, napadając ludzi. Szedł z nią kawał drogi, żeby wyjaśnić swój punkt widzenia.

- Zdaje się, że była prawdziwą damą - powiedziała wesoło Holly.

- W rzeczy samej. - Joanna uśmiechnęła się i dodała: - Chyba się przejdę i popatrzę na ocean.

- Im wcześniej, tym lepiej - odparła Holly - chyba że lubisz spacerować w zacinającym deszczu. Prognoza pogody mówi, że po południu będzie lać.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Joanna pomachała jej ręką i ruszyła w stronę werandy.

- Joanno?

- Tak?

- Nasza biblioteka jest o trzy przecznice stąd - powiedziała z uśmiechem. - Tuż za budynkiem sądu. To miły spacer albo krótka przejażdżka samochodem. To tak na wszelki wypadek.

Joanna pomachała do niej raz jeszcze, żeby potwierdzić, że zrozumiała, uśmiechnęła się i wyszła na werandę. Czy wystarczająco dobrze wyjaśniła przyczyny swojej ciekawości? Nie była pewna, ale tylko to przyszło jej do głowy, poza tym w jakiś sposób uzasadniało wizyty w miejskiej bibliotece i zadawanie pytań. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Dryfujące po niebie nabrzmiące deszczem chmury zwiastowały trafność prognozy pogody. Porywisty wiatr niósł posmak soli znad wzburzonego oceanu. Joanna nie stała zbyt długo przy balustradzie za „Gospodą” i nie dłużej niż pięć minut wpatrywała się w fale, a potem odwróciła się i poszła klifem na południe.

Dochodząc do skraju trawnika, rozejrzała się czujnie dookoła. Dręczyły ją absurdalne wyrzuty sumienia, że przekracza granicę terenu hotelowego. Denerwowała się nie na żarty. Nie powstrzymało jej to przed energicznym marszem, który rozpoczęła, gdy tylko upewniła się, że nikt jej nie zauważył. Tym razem trzymała się w pewnej odległości od krawędzi klifu, choć cały czas miała ocean w zasięgu wzroku. Kierowała się do lasu.

Zgodnie z przyjętym planem chciała przejść przez las i dotrzeć w pobliże domu Caroline. Nie wiedziała natomiast, co dalej. Oczywiście nie miała zamiaru pukać do drzwi. Zależało jej też, by nikt jej nie zobaczył. Nie miała też pojęcia, czego mogłaby się tam dowiedzieć. Jednak im dalej szła, tym większej nabierała pewności, że jest tam coś, co powinna zobaczyć, odkryć.

Nie mając nawet mglistego wyobrażenia, czego szukać, rozpoznała to natychmiast, kiedy pojawiło się na polanie, oddzielonej od posiadłości Caroline linią lasu nie szerszą niż sto pięćdziesiąt metrów. Na przypominającej półksiężyc polance, tuż nad krawędzią urwiska zbudowano altanę, trochę w stylu wschodnim i przywodzącą na myśl małą pagodę.

W środku stał pomalowany w jaskrawe kolory karuzelowy koń z jej snów, wyglądał jak nowy.

Joanna bezwiednie ruszyła przed siebie. Zrobiła dwa kroki po twardej, solidnej podłodze i powoli położyła dłoń na kosmyku grzywy namalowanej na łbie. Jej zdaniem figura była prawdziwym karuzelowym koniem typowych rozmiarów. Żerdź, na której go umieszczono, została na stałe przyśrubowana do podłogi i kopuły dachu altany.

- Teraz potrzebny mi tylko papierowy samolocik i poszybuję... - wymamrotała do siebie.

- To nasza posiadłość.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej przerażony, kiedy Joanna się odwróciła. Mała dziewczynka cofnęła się o krok, jej i tak duże oczy jeszcze się powiększyły, a twarz stała się biała jak ściana.

- Nie bój się - odezwała się Joanna odruchowo. Nie poruszyła się, żeby dziecka bardziej nie wystraszyć. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Wyglądasz jak moja mama.

Joanna nie była przygotowana na taką sytuację, co więcej w ogóle nie brała jej pod uwagę, dlatego teraz czuła się zupełnie zdezorientowana. Wpatrywała się w ośmio-, może dziewięcioletnią dziewczynkę, która straciła jedno z rodziców zaledwie trzy miesiące wcześniej. Biedne dziecko, widząc niemal idealnego sobowtóra matki w miejscu, które z pewnością kochali, znalazło się na granicy szoku.

- Mam na imię Joanna - starała się mówić jak najciszej, kierując się wyłącznie intuicją. - Właśnie przyjechałam do Cliffside na wakacje. Już wczoraj, kiedy tu dotarłam, mówiono mi, że jestem bardzo podobna do kogoś... kto tu mieszkał. Kogoś o imieniu Caroline. Czy to twoja mama?

Dziewczynka pokiwała wolno głową. Przez cały czas nie spuszczała oczu z Joanny. Nawet raz nie mrugnęła powiekami.

- Współczuję ci z powodu jej straty. Moja mama zmarła, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku. Tatuś też.

- W... w katastrofie samochodowej? - spytała z wahaniem w głosie córka Caroline.

- Nie, ale też w wypadku. Mój tata lubił żeglować, pewnego dnia wypłynęli razem na małej łódce i zaskoczył ich sztorm.

- Łódka zatonięła?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

Dziewczynka zmarszczyła lekko czoło i przez krótką chwilę zapatrzyła się w przestrzeń, gdzieś obok Joanny.

- Nie boisz się teraz oceanu?

- Gdybym wtedy z nimi płynęła, pewnie bym się bała, ale tak się nie stało. Poza tym to dawne dzieje.

- Ja się boję samochodów. Nie chcę do nich nawet wsiadać.

- Świetnie rozumiem, co czujesz - powiedziała Joanna, całym sercem dzieląc smutek dziewczynki.

- Moje imię piszę się ry, e, gy, a, ny. A wymawia jak „riii-gan” - zaczęła trochę obronnym tonem, ale zaraz powiedziała, o co jej chodzi: - Regan, tylko jedno e i jedno a. Wszyscy uparli się żeby je pisać przez dwa a i wymawiać z krótkim e, jak Reagan.

- Znacznie bardziej mi się podoba z jednym a i jednym długim e - Joanna oznajmiła rzeczowo. - Miło mi cię poznać, Regan.

- Nie mówisz jak moja mama. - Regan przechyliła trochę ciemną głowę. - Tutaj w okolicy w ogóle nikt tak nie mówi.

- To dlatego, że mieszkam bardzo daleko stąd - wyjaśniła Joanna. - W Atlancie, w Georgii.

- Czy stamtąd są Bravesi?

- Aha. - Joanna uśmiechnęła się. - Bravesi są z Atlanty. Lubisz baseball?

- Pewnie. Mama też lubi... lubiła. - Regan wetknęła rączki głęboko w kieszenie na przodzie dzinsów i zgarbiła ramiona. - Tata nie lubi. Nie lubi niczego poza swoją pracą.

Słyszając w ostatnich dwóch zdaniach wyrzut, Joanna wyjaśniła:

- Czasami, kiedy dorośli tracą kogoś, kogo kochają, pracują przez cały czas, żeby tak bardzo ich to nie bolało.

- Pracował przez cały czas jeszcze przed wypadkiem. - Dziewczynka popatrzyła na nią z niespodziewaną dojrzałością w oczach.

*Lekcja do zapamiętania: nie traktuj malej dziewczynki jak idiotki.*

- Rozumiem, niektórzy już tacy są - powiedziała szybko.

Regan zdawała się zadowolona z tego prostego stwierdzenia. Niemal się uśmiechnęła.

- To samo powtarza moja nauczycielka.

- Nauczycielka? Ejże, dlaczego w takim razie nie jesteś teraz w szkole?

- Uczę się w domu - odparła Regan. - To przez samochód i autobus. Szkoła jest na drugim końcu miasta, za daleko, żeby chodzić pieszo... Słyszałam, jak lekarz mówił tacie, żeby nie zmuszać mnie do jazdy samochodem, aż będę gotowa. Dlatego nauczycielka przychodzi do mnie. Pani Porter.

- Lubisz ją?

- Jest w porządku. - Regan ponownie wzruszyła ramionami. - Przepada za jednym z talk-show w telewizji. Zawsze rano mam przerwę, żeby mogła go obejrzeć.

- Często tu przychodzisz w trakcie tej przerwy? - zapytała Joanna.

- Nie, tylko czasami. - Regan zawahała się, a potem dodała trochę naburmuszona: - Altana to ulubione miejsce mamy. Kiedy byłam mała, mama zabierała mnie na targ i jeździłam tam na karuzeli. Tak strasznie to lubiłam, że szukała i szukała, aż znalazła konika z karuzeli, którego mogła kupić, a potem ustawiła go tutaj. Przez to jej ulubione miejsce stało się też moim ulubionym miejscem.

- Zdaje się, że była wspaniałą mamą?

- Aha. - Twarzyczka Regan zaczęła się wykrzywiać, ale mała sporym wysiłkiem woli szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Regan - Joanna udała, że niczego nie spostrzegła - czy pozwoliłabyś mi przyjść tu czasami? Jeśli się nie zgodzisz, więcej się nie pojawię.

- Przychodź. Jeśli chcesz, to możesz nawet usiąść na koniku. Mama siadała.

- Dziękuję, niewykluczone, że się skuszę... - Zanim Joanna dokończyła zdanie, usłyszały odległe dzwonienie.

- To pani Porter wali w dzwonek ogrodowy - wyjaśniła Regan. - Oznacza, że program w telewizji się skończył i muszę wracać do domu.

- Rozumiem. - Joanna uśmiechnęła się do niej. - Miło było cię poznać, Regan. Jestem



pewna, że jeszcze się spotkamy.

- Zostajesz przez jakiś czas w Cliffside?

- Co najmniej przez dwa tygodnie.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Regan na wpół się odwróciła, ale po chwili stanęła w miejscu i popatrzyła na Joannę z dziwnym wahaniem w oczach. Widać było, że usiłuje podjąć jakąś decyzję, a potem odezwała się nieśmiało: - Joanno? Skąd wiadomo, że ktoś dorosły się boi?

- Chyba zależy to od dorosłego - odrzekła wolno. - Kiedy ja się boję, siedzę sztywno i mam nadzieję, że to, co mnie przeraziło, minie.

- Kiedy ja się boję, mam złe sny - powiedziała Regan. - Myślę, że mama też miała wtedy złe sny. Ostatniego lata przyśniło się jej bardzo dużo złych snów. Przed wypadem.

- Regan...

Ponownie dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Regan dodała szybko:

- Muszę bieć. Cześć, Joanno.

- Cześć... - Joanna stała w altanie Caroline, z ręką opartą na karuzelowym koniku, i patrzyła za Regan biegnącą w stronę domu.

## Rozdział trzeci

Griffin Cavanaugh rozparł się przy biurku i wyglądał przez okno. Naprzeciw i trochę w bok od biura szeryfa znajdowała się miejska biblioteka. Zza biurka świetnie widział jej drzwi frontowe. Zerknął na zegarek i zmarszczył czoło.

Była tam już od trzech godzin. Co prawda taki sposób spędzania deszczowego popołudnia w środę nie wydawał się czymś niezwykłym, niemniej turyści rzadko uznawali niewielki lokalny księgozbiór za źródło rozrywki, które braliby pod uwagę, planując urlop. Jednocześnie bardzo wątpił, by po dwudziestoczęterogodzinnym pobycie w Cliffside Joanna Flynn zdążyła na tyle się znudzić, żeby przeglądanie roczników „National Geographic” mogło wydawać się jej atrakcyjne.

Co tam robiła?

Rutynowo zanotował numer rejestracyjny jej samochodu, tyle że wóz był wypożyczony, więc się nie łudził, że uzyska użyteczne informacje z agencji w Portland. Gdyby oczywiście próbował się czegoś dowiedzieć. I gdyby miał choćby cień powodu do rozpytywania o nią. A nie miał.

Nie powstrzymało go to, co prawda, od zatelefonowania do Atlanty, gdzie dzięki pomocy kolegów policjantów otrzymał odpowiedzi na kilka prywatnych pytań dotyczących Joanny Flynn. Wszystkiego dowiedział się niemal natychmiast i przynajmniej się uspokoił. Nie odnotowano jej w kartotece sądowej, a największym wykroczeniem, jakie popełniła, był nie zapłacony mandat za złe parkowanie. W lecie miała wypadek, samochód został doszczętnie zniszczony, ale nikt inny nie brał w nim udziału, dlatego nie postawiono jej żadnego zarzutu. Pracowała w prywatnej bibliotece w Atlancie, od kilku lat wynajmowała to samo mieszkanie, rachunki i podatki zawsze płaciła na czas.

Urodziła się w Charlestonie, oboje rodzice utonęli, osierocając ją dwadzieścia lat temu. Wychowała ją ciotka. Miała ważny paszport i jako nastolatka wyjeżdżała z kraju w każde wakacje.

Zdaniem policjantów z Atlanty były to wszystkie ważne informacje na temat Joanny Flynn.

- Hej, Griff?

- No? - Szeryf nawet nie próbował udawać, że jest pochłonięty papierkową robotą, mimo że na biurku leżały sterty kartek i teczek. Obejrzał się i popatrzył na jednego ze swych

zastępców, który właśnie wchodził do pokoju. Życie w małej mieścinie ma swoje dobre strony, a jedną z nich, jak się przekonał już wcześniej, jest psychologia, gdy chodziło o zmaganie się z wymogami biurokracji. Zresztą nie było nic, co musiałby natychmiast załatwić. - O co chodzi, Mark?

- Dzwonił właśnie Ralph Thompson w sprawie nowych miejsc do parkowania, jakie chce zrobić przy swoim sklepie. Co władze miasta postanowiły w tej sprawie?

- Nic z tego. Twierdzą, że okroiliby park o dziesięć metrów.

- No cóż, mówiłeś to od początku. - Mark Beller westchnął i przewrócił oczyma. - Szczerze mówiąc, nie bardzo mam ochotę przekazywać mu oficjalną odpowiedź. Od czasu, gdy wlepiłem mu mandat za blokowanie tylnego wejścia, patrzy na mnie, jakbym mu otrul psa albo jeszcze gorzej.

Griffin ponownie zerknął za okno. Wynajęty samochód Joanny nadal stał przed biblioteką.

- Pójdę i sam mu powiem - odezwał się do Marka. - Osobiście, żeby pokazać, jak bardzo się przejmuję. On to doceni. Poza tym chciałbym rozprostować nogi.

- Na zewnątrz leje jak z cebra.

- Nie jestem z cukru. - Szeryf odsunął krzesło od biurka, wstał i sięgnął po kurtkę ortalionową.

Mimo że był na służbie, miał na sobie ciemne spodnie i bladoniebieską koszulę bez krawata. Choć jego zastępcy nosili regulaminowe mundury, Griffin upierał się przy cywilnym, raczej sportowym odzieniu. Utrzymywał, że to jedyny przywilej, jaki daje władza w małej mieścinie, bo poza tym przysparzała mu jedynie kłopotów. Choć burmistrz wzdychał ciężko przy każdym spotkaniu z szeryfem, jak do tej pory nikt nie miał nic przeciwko jego stylowi ubierania się na służbie.

- Słyszałeś pewnie o Joannie Flynn - rzucił Mark.

- Co z nią? - odpowiedział pytaniem, niczego nie dając po sobie poznać.

- No, że jest w mieście i że gdyby ufarbować jej włosy, wyglądałaby zupełnie jak pani McKenna.

Griffin, który nikomu nie wspomniał o spotkaniu z Joanną, nie był specjalnie zaskoczony. W końcu Cliffsides to zapadła dziura.

- Tak, wiem o tym.

- Ludzi to zastanawia.

- Co?

- Wszystko. Z tego, co wiem, w magistracie zupełnie serio rozmawiano o reinkarnacji.

Strażacy są zdania, że chodzi o bliźniaczki rozłączone po urodzeniu, niektórzy nawet się o to założyli. Janie mówi, że jej klientki w salonie piękności są zdania, że pani McKenna upozorowała swoją śmierć z jakichś tajemniczych powodów i wróciła teraz do Cliffsida, żeby kogoś prześladować, chociaż Ted z banku uważa, że to raczej nieprawdopodobne.

- Mniej prawdopodobne od reinkarnacji?

- Dzielę się z tobą tym, o czym mówi się w mieście, to wszystko - odpowiedział Mark urażony.

- A co, pół miasta przysłało ci faksy ze swoimi pomysłami czy jak? - Griffin nie ustępował.

- Prawie. - Mark się uśmiechnął. - Nie uwierzyłybyś, ile mieliśmy telefonów dziś rano. Co powinienem mówić ludziom, szefie?

Griffin zapiął suwak kurtki i poprawił ją na ramionach.

- Mów, że nie wtykamy nosa w sprawy Bogu ducha winnych turystów, niezależnie od tego, kogo przypominają.

Rozpuść taką wersję. Nie chcę, żeby któryś z policjantów dolewał oliwy do ognia i podsyczał plotki.

- Nie trzeba niczego dolewać i tak w mieście aż huczy - skwitował Mark.

Przechodząc przez dyżurkę, gdzie panował zupełny spokój, Griffin pomyślał, że to szczerza prawda. Plotki w Cliffsida na ogół nie były złośliwe, ale wybuchały z potężną siłą, gdy tylko ktoś wzbudził szersze zainteresowanie.

Joanna Flynn zdecydowanie przyciągała uwagę.

Griffin nawet nie próbował zaprzeczać, że jego też nurtuje ciekawość. Tak jak nie zaprzeczyłby, że kobieta budziła jego obawy. Wyczuwał niepokój szemrzący pod cienką powłoką pozornego bezruchu panującego w Cliffsida, napięcie, jakiego w zeszłym roku o tej porze nie było. Martwił się, że niesamowity sobowtór Caroline McKenny, który się tu zjawił - zwłaszcza teraz, w krótkim czasie po jej śmierci - może jedynie pogorszyć istniejący stan rzeczy.

Nie dysponował żadnym śladem, którym mógłby podążać, by ustalić źródło swych obaw. Jedynie instynkt policjanta wskazywał mu ciszę, tam gdzie powinny brzmieć słowa. Dostrzegał też ukradkowe spojrzenia współmieszkańców. Wszyscy też jakby bardziej się pilnowali. Wydawało się, że jest tak jak zawsze, przynajmniej z pozoru. Ludzie uśmiechali się do siebie, wymieniali pozdrowienia, życie toczyło się zwykłym trybem. Niemniej śmierć Caroline McKenny zmieniła miasto, więc Griffin zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie tu jak dawniej.

Deszcz trochę złagodniał, zanim Griffin wyszedł na zewnątrz, dlatego mógł spokojnie przejść na drugą stronę ulicy bez narażania się na kompletne przemoczenie. Wszedł do biblioteki, która mieściła się w niewielkim dwupiętrowym budynku. Zobaczył tam jedynie bibliotekarkę - kobietę w średnim wieku - zajęłą pracą przy biurku.

- Dzień dobry, szeryfie - odezwała się, gdy uniosła wzrok i go dostrzegła. Wyglądała na miłą osobę. Mówiła niespodziewanie głośno i radośnie jak na kogoś, kto pracuje w tradycyjnie cichym miejscu. Szybko jednak wróciła do swej roli, dodając surowo: - Przetrzymuje pan książki.

Griffin dopiero teraz przypomniał sobie o kilku tomach wypożyczonych parę tygodni wcześniej.

- Przepraszam, pani Chandler. Przyniosę je jutro, słowo.

- Przeczytał je pan?

- Nie - przyznał pokornie.

- No cóż - przymknęła na chwilę oczy, niezadowolona - niechże pan nie odnosi, skoro ich pan nie przeczytał. Gdyby ktoś pytał o te tytuły, zadzwonię do pana. Proszę jednak przeczytać, zanim pan je przyniesie!

- Oczywiście, proszę pani.

- Powinien być pan bardziej obowiązkowy - zauważyła pani Chandler.

- Popracuję nad tym. - Uśmiechnął się do niej. - Tymczasem chciałbym spytać, czy jest tu Joanna Flynn?

- Jest - odparła, nie udając, że nie wie, o kogo pyta. - Siedzi na górze w czytelni mikrofilmów. Robi wrażenie, jakby biblioteka była jej drugim domem.

- Co czyta?

- Historię miasta, przynajmniej tak powiedziała. Pytała o założycieli miasta, o drzewa genealogiczne mieszkańców. Stwierdziła, że posiadłości są u nas śliczne, i chciała wiedzieć, która do kogo należy. Skserowała kilka map i planów. Robiła wrażenie zadowolonej, kiedy dowiedziała się, że księga rejestru urodzin, zgonów i ślubów jest u mnie, a nie w magistracie. Interesowała się też nekrologami w gazecie. - Pani Chandler przerwała na chwilę, a potem dodała celowo: - Aż dziw bierze, taka jest podobna do Caroline, prawda? Gdyby nie głos i kolor...

- Tak. - Ponieważ szeryf nie miał wystarczająco dobrego oficjalnego powodu do rozmowy z Joanną, nie powiedział nic więcej. Skinął po prostu głową bibliotekarce i ruszył w kierunku schodów, żeby dostać się na pierwsze piętro, gdzie trzymano większość miejskiego archiwum.

Stare schody z desek zaskrzypiały pod jego nogami, ale postać pochylona nad przeglądarką mikrofilmów była tak zaabsorbowana, że nie usłyszała kroków. Griffin zatrzymał się niecały metr od biurka i przyglądał uważnie kobiecie, starając się zachować obiektywizm. Okazało się to jednak nadspodziewanie trudne. Nawet w sztucznym oświetleniu jej włosy połyskiwały złoto. Mimo że marszczyła twarz w skupieniu, wyglądała uroczo. Podobieństwo do Caroline także z profilu było uderzające. Czyżby chodziło o zagubioną dawno temu bliźniaczkę? Kiedy na nią patrzył, nie wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Zaryzykowałby pieniądze i założył się o to, gdyby nie był absolutnie pewny, że Caroline nie miała siostry.

Niemal w tej samej chwili, gdy Joanna zdała sobie sprawę, że nie jest sama, zrobił głęboki wdech i ruszył w jej stronę. Przestraszyła się, gdy go zobaczyła, podnosząc wzrok znad ekranu. Być może dlatego gwałtownie poruszyła ręką - niewykluczone jednak, że zrobiła to celowo, żeby nie zobaczył, co czytała z takim zainteresowaniem.

Ta ostatnia możliwość nie napawała go optymizmem.

- Witam, szeryfie. Dziwne, że tu się spotykamy.

- Dzień dobry, pani Joanno.

Griffin usiadł na krześle obok niej. Poczł delikatny zapach perfum. Spodobał mu się, choć jednocześnie zaniepokoił z niejasnego powodu, którego nie potrafił zdefiniować. Dopiero po chwili wiedział, o co chodzi. Spodziewał się po prostu, że będzie pachniała dymem papierosowym.

- Proszę, szeryfie, żeby mówił mi pan po imieniu. - W jej głosie raczej słycać było oschłość niż przyjazny ton. - W końcu dzień po dniu bywamy w tych samych miejscach i wpadamy na siebie.

Griffin milczał przez moment, jakby bił się z myślami. Postanowił jednak, że nie będzie przejmował się jej sarkazmem. W każdym razie nie dzisiaj.

- Nie łązę za tobą, jeśli to masz na myśli - odrzekł. - Moje biuro jest po drugiej stronie ulicy, widziałem, jak wchodziłaś. Czy zdajesz sobie sprawę, że siedzisz tu przynajmniej od trzech godzin?

- I co z tego? - spytała wojowniczo.

- Nic, po prostu pomyślałem, że może będziesz miała ochotę na przerwę. Chętnie postawiłbym ci kawę, co ty na to?

- Czy to jakiś podstęp? - Popatrzyła na niego niepewnie.

- Nie. - Roześmiał się wbrew sobie. - Właśnie miałem zrobić sobie przerwę i przyszło mi do głowy, że może ty też.

Niedaleko na tej ulicy jest kafejka, gdzie parzą wspaniałą kawę. Więc jak?

- Dobrze, czemu nie. - Joanna wzruszyła ramionami. - Daj mi jednak chwilę, bo muszę odłożyć rzeczy tam, skąd je wzięłam.

- Koniec pracy na dzisiaj? - zapytał przymilnie.

- Tak myślę. Siedzenie dłużej niż trzy godziny w bibliotece, kiedy jest się na wakacjach, nawet jeśli na dworze pada, to lekka przesada. Chyba zgodzisz się ze mną?

- Zależy, czego się szuka - odpowiedział.

Joanna przerwała nawijanie filmu na rolkę i spojrzała na szeryfa, a następnie zwróciła się do niego refleksyjnym tonem:

- Posłuchaj, szeryfie: założmy, że za cel urlopu wybrałeś małe ciche miasteczko, a gdy tam dotarłeś, okazało się, że jesteś cholernie podobny do kogoś, kto niedawno zmarł. Co byś zrobił?

- Chyba wiem, czym się zajmujesz - odezwał się po chwili łagodnie. - Ze zwykłej ciekawości chciałbym dowiedzieć się o tej osobie jak najwięcej.

Skinęła potakująco głową.

- Dlaczego w takim razie mam bez przerwy wrażenie, że nie pochwalasz tego, co robię?

- To nie tak. Po prostu się martwię. Widzisz, wielu ludzi wciąż jeszcze dobrze pamięta śmierć Caroline McKenny.

- Mogę to sobie wyobrazić. Każda śmierć w małej, żywej społeczności dotyka wielu osób. Jak myślisz, dlaczego siedzę w bibliotece i przeglądam stare gazety, zamiast rozpytywać ludzi? Bo nie chcę nikomu sprawiać większej przykrości, wystarczy, że wyglądam jak ona i przywołuję wspomnienia. - Wciągnęła powietrze. - Miałam dziś rano dość niespodziewane spotkanie. Poznałam córkę Caroline. Nie chciałabym natykać się na takie niespodzianki, szeryfie. W każdym razie nie tego rodzaju.

Obserwował jej zwinne palce, gdy chowała mikrofilm. Miała piękne dłonie.

- To musiało być dla ciebie trudne - powiedział wolno.

- Ale jeszcze trudniejsze dla tej biednej dziewczynki. Mogłabym lepiej się sprawić, gdyby nie zaskoczenie.

- Wiem, o co ci chodzi.

- I rozumiesz? - Złożyła plik papierów. Bez wątplenia były to kopie niektórych tekstów, jakie znalazła na mikrofilmach, razem z mapami i planami, o których wspominała pani Chandler. Włożyła je do dużej torby na ramię.

- Rozumiem powody, jakimi się kierujesz, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o

Caroline.

Aż do chwili gdy Joanna popatrzyła na niego w zamyśleniu, Griffin nie zdawał sobie sprawy, że nazywa zmarłą po imieniu.

- Dobrze ją znałeś?

Jak mam na to odpowiedzieć? - pytał sam siebie w myślach.

- Dość dobrze. To małe miasto, a mieszkam tu od ponad dziewięciu lat.

Joanna wstała bez słowa komentarza, przerzuciła torbę przez ramię i poszła zwrócić mikrofilmy. Griffin uśmiechnął się smutno, również podniósł się z miejsca i czekał na jej powrót. Tak, zachowanie Joanny było w pełni uzasadnione, ale nie jej postawa. Jeśli powodowała nią zwykła ciekawość, którą łatwo wytłumaczyć, dlaczego postępowała tak ostrożnie?

Kiedy Joanna wróciła, zeszli razem po schodach, nie odzywając się słowem. Griffin wyczuwał, że jest trochę spięta, choć nie dawała tego po sobie poznać. Niepokoiło go, że „odczytywał” ją intuicyjnie. Czy było tak dlatego, że wyglądała niemal zupełnie jak Caroline i przez to odnosił wrażenie, że ją zna? Czy wyczuwał spięcie Joanny, bo wiedział, że w podobnej sytuacji Caroline byłaby spięta?

- Znalazłaś wszystko, czego szukałaś, Joanno? - zapytała pani Chandler.

- Większość - odparła Joanna. - Niewykluczone, że znowu przyjdę, zwłaszcza jeśli będzie padało. O ile się zorientowałam, masz całkiem spory zbiór beletrystyki.

- Niezły. Przyjdź, kiedy zechcesz. Zawsze tu jestem - zapraszała bibliotekarka.

Kiedy wyszli z biblioteki, przestało padać, choć na niebie gromadziły się chmury zapowiadające dalsze ulewy, a w powietrzu utrzymywał się zapach deszczu. Joanna przystanąła gwałtownie i spojrzała na swój samochód.

- O raju, stanęłam w miejscu, gdzie wolno parkować tylko przez godzinę.

- Zauważyłem - zgodził się Griffin.

- A ja nie. Wlepisz mi mandat?

- Nie - powiedział po prostu, a kiedy spojrzała na niego zdziwiona, wzruszył ramionami. - Zwykle nie przejmujemy się strefami parkowania poza sezonem turystycznym. Jeśli rozejrzysz się dookoła, zauważysz, że nikt nie jeździ w kółko, żeby znaleźć wolne miejsce do postawienia samochodu.

Joanna popatrzyła dookoła na niemal puste ulice i odezwała się:

- Pojmuję. Jednym słowem, nie spotkają mnie z twojej strony żadne oficjalne konsekwencje, jeśli zostawię wóz, gdzie stoi, i pójdę z tobą na kawę?

- Mam teraz popołudniową przerwę - oznajmił. - Więc nie jestem na służbie, chyba że



ktoś dokona napadu na tutejszy bank.

Joanna posłusznie popatrzyła w kierunku, który wskazywał. A potem poszli razem do oddalonej o kilka przecznic kafejki.

- Czy posada szeryfa w małym miasteczku to spokojne zajęcie? - zapytała po chwili.

- Na ogół tak - odparł. - Pomyślał, że naprawdę ją to interesuje, dlatego dodał: - Częściej zdarzają się awantury niż przestępstwa, a sędzia ma tak mało do roboty, że urzęduje jedynie dwa dni w tygodniu. Jak zwykle po sezonie. W lecie jest trochę więcej zamieszania, ale i tak moja praca ogranicza się głównie do pilnowania, żeby ludzie przestrzegali podstawowych zasad współżycia i żeby zbytnio nie poniosło dzieciaków po balu maturalnym.

- Wspomniałeś, że jesteś tu od przeszło dziewięciu lat. - Mówiąc to, spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Nie wiem dlaczego, ale nie wyglądasz na prowincjusza. Urodziłeś się w Oregonie?

Pokręcił przecząco głową, zastanawiając się, czy rozszyfrowała go intuicyjnie, czy było to widać.

/

- W Nevadzie, ale wychowywałem praktycznie w całym kraju. Ojciec jest zawodowym żołnierzem.

Joanna pokiwała głową, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, minęła ich starsza pani, idąca z naprzeciwka, która choć wymamrotała słowa powitania do Griffina, nie spuszczała wzroku z Joanny.

- Mój widok zupełnie jej nie zdziwił, ale zdecydowanie zaciekawił - szepnęła Joanna trochę zasmucona. - Dam głowę, że wie, jak się nazywam. Nie musiałam przedstawiać się facetowi na stacji benzynowej, kiedy brałam paliwo, ani w bibliotece. Czy wszyscy w tym mieście znają moje nazwisko?

- Jeśli ktoś nie zna - odpowiedział, otwierając drzwi do kawiarni - to z pewnością pozna przed zmierzchem. A przy okazji, mam na imię Griffin, Joanno. - Przytrzymał dla niej drzwi, a kiedy uśmiechnęła się, słysząc ostatnią uwagę, Griffin musiał zwalczyć w sobie nagłą chęć, by wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Udało mu się oprzeć pokusie, niemniej czuł się przez to bardziej skrępowany, gdy szedł za nią przez salę kafejki.

Młodziutkiej kelnerce także nie trzeba było przedstawiać Joanny. Kiedy prowadziła ich do usytuowanego w rogu stolika, a potem niechętnie poszła po kawę, nawet nie usiłowała ukryć zaciekawienia.

- Chodzi o mnie czy o to, że przyszedłeś tu ze mną? - zapytała Joanna.

- Raczej o nią - odpowiedział swobodnie Griffin. - Liz słynie z wtykania nosa w nie

swoje sprawy.

- Rozumiem. - Mówiąc, rozglądała się dookoła. Doliczyła się około tuzina klientów. - Strasznie wścibskie miasteczko, szeryfie, chciałam powiedzieć, Griffinie.

- Boję się, że masz rację. - Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że wszyscy przypatrują się im niemal zupełnie otwarcie. - Pewnie będziesz gorącym tematem rozmów przez najbliższych kilka dni.

Patrzyła na niego na tyle intensywnie, że poczuł się nieswojo. Zastanawiał się, czy Joanna ma choćby nikłe pojęcie, jak dziwne wrażenie sprawia jej widok. Inne oczy, jasno-brązowe zamiast niebieskich, złote włosy zamiast czarnych, ale reszta prawie identyczna. Boże święty nawet głową kiwała tak samo jak Caroline, gdy się zamyśliła. Jednak różnice były na tyle nieznaczne, by zważyć we własny wzrok - i słuch.

- Przypuszczam, że w końcu przywykną - powiedziała z nadzieją.

- Nie inaczej - odparł jakby odruchowo. A potem, nie potrafiąc się powstrzymać, dodał: - To chyba niemożliwe, żebyście z Caroline były siostrami?

Joanna trochę drwiąco uniosła brew.

- Przyznaję, że sama się nad tym zastanawiałam. Dlatego sprawdziłam w bibliotece jej akt urodzenia. Urodziła się tu, w Cliffside, a jej rodzice byli praktycznie założycielami miasta. Ja zaś urodziłam się w Charlestonie w Karolinie Południowej, co prawda też w rodzinie silnie związanej z miastem. Poza tym przyszłam na świat trzy dni później niż ona. Pomijając jakieś nieprawdopodobne machlojki, dokonane w dwóch miejscach oddalonych od siebie o tysiące kilometrów, na dodatek bez widocznego powodu, nie potrafię doszukać się między nami jakiegoś związku.

- Chyba masz rację - powiedział. - Jednak dwie kobiety tak bardzo do siebie podobne i niespokrewnione... Czy może być inne wytłumaczenie?

- Nie wiem. - Joanna wyglądała na zamyśloną. - Jeśli wziąć pod uwagę teorię, że każdy z nas ma sobowtóra żyjącego gdzieś na ziemi...

- Proszę! Daruj sobie fantastykę naukową.

W tej samej chwili zjawiała się Liz z kawą. Joanna poczekała z komentarzem do odejścia kelnerki. A potem powiedziała:

- Wczorajsza fantastyka to dziś naukowy fakt. A może w to nie wierzysz?

- Wierzę, że najczęściej w grę wchodzi najprostsze wytłumaczenia - mówił, ważąc słowa - i prawie zawsze nie ma w nich elementów niezwykłości, Joanno. Tego przynajmniej nauczyłem się, kiedy byłem gliniarzem w mieście znacznie większym od Cliffside.

- Jesteś mocno stąpającym po ziemi realistą?

- Nazywaj to, jak chcesz. - Wzruszył ramionami. - Ale na ogół łatwo przewidzieć zachowanie ludzi, a ich motywy rzadko kiedy są skomplikowane. Zwykle prawda nie różni się od pozorów. To bardzo ułatwia mi pracę.

- Jakie w takim razie ja stwarzam pozory?

- Pozory... Joanny Flynn.

Po krótkim milczeniu Joanna uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie umiesz kłamać, Griffin.

- Bo nie kłamię - starał się mówić spokojnie. - Caroline McKenna nie żyje. W odróżnieniu od większości mieszkańców Cliffsida widziałem jej ciało, dlatego nawet gdybym chciał, trudno byłoby mi wmówić sobie, że nią jesteś.

- Przepraszam. - Uśmiech zniknął z jej ust. Spojrzała na kawę i zmarszczyła czoło. - Nie chciałam ci przypominać o...

- O czymś bolesnym? Joanno, byłem gliniarzem w Chicago ponad pięć lat. Widziałem wiele zwłok. Mogę bez hysterii rozmawiać o niej, a raczej o tym, co z niej zostało.

- Biorąc pod uwagę twoje zajęcie - Joanna popatrzyła na niego smutno - na pewno jest tak, jak mówisz. Kiedy jednak powiedziałam, że nie umiesz kłamać, nie chciałam dać do zrozumienia, że moim zdaniem dosłownie widzisz we mnie Caroline.

- Co w takim razie myślałaś? - Wiedział, że jego napięcie jest widoczne jak na dłoni, a głos trochę się załamuje mimo ogromnego wysiłku, żeby to zatuszować. Zdawał sobie doskonale sprawę, że cokolwiek by powiedział, chcąc zaprzeczyć, że śmierć Caroline wcale go nie obesła, zabrzmiałoby fałszywie.

- Uważam, że dostrzegasz we mnie jedynie podobieństwa do Caroline. Kiedy patrzysz na mnie, widzisz twarz Caroline, zresztą tak samo reagują wszyscy w mieście. Widzą kogoś bardzo podobnego do niej. Nikt nie patrzy na mnie. Nikt tu nie ma zielonego pojęcia, kim jest Joanna Flynn, dlatego nie widzą mnie jako takiej.

Po dłuższej chwili Griffin pokiwał potakująco głową.

- W porządku, wystarczy. To rzeczywiście jest... żenujące, przyznaję. - Pomyślał przy tym, że tłumaczyłoby to także zakłopotanie, które dręczyło go nieustannie. Usiłował wcześniej dopasować obraz dwóch kobiet, które przez przypadek były do siebie bardzo podobne, a przecież wiedział, że musiały się różnić pod wieloma względami. To wszystko.

- Jak twoim zdaniem się czuję? Ludzie przyglądają mi się, jakby dobrze mnie znali. Z góry coś zakładają. Czy wiesz, że kiedy tuż przed pójściem do biblioteki zajrzałam do kiosku, sprzedawca odruchowo wziął z półki paczkę papierosów i położył ją przede mną?

- Caroline paliła - wymknęło się Griffinowi.

- Wiem, bo właśnie to usłyszałam od sprzedawcy w chwili, gdy zdał sobie sprawę, co zrobił. Pani McKenna paliła, powiedział, dlatego przyjął, że... - Joanna westchnęła. - Biedny chłopak nie wiedział, w którą stronę patrzeć, zresztą podobnie jak ja. Zdradzę ci, że to szczególne uczucie.

Griffin zawahał się przez moment, ale zaraz potem odezwał się:

- Czy to oznacza, że zamierzasz skrócić urlop?

Upiła trochę kawy, nie spuszczać z niego złotobrzowych oczu. Nie odezwała się aż do chwili, gdy odstawiała filiżankę. A potem powiedziała jakby od niechcenia:

- Nie.

- Skoro uprzykrzamy ci pobyt...

- Jeśli stanie się to nie do wytrzymania - Joanna wzruszyła ramionami - zawsze mogę wyjechać. Tymczasem, zgodnie z tym, co dowiedziałam się w Izbie Turystyki, Cliffside oferuje mi wszystko, czego potrzebuję. Przepiękny krajobraz, ciszę i spokój.

- A gdyby zachowanie mieszkańców sprawiło, że poczułabyś się nieszczególnie?

- Wtedy podziwiałabym okolicę albo czytała, a do tego wystarczy weranda „Gospody”.

Griffin zastanawiał się, czy zdoła przyzwycząić się do brzmienia jej głosu i południowego akcentu. Sposób mówienia Joanny przewrotnie sprawiał mu przyjemność i niepokoił jednocześnie.

- Czy w Atlancie prowadzisz bardzo aktywne życie?

W jej oczach dostrzegł błysk rozbawienia, uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie, zupełnie inaczej niż Caroline.

- Mówiąc szczerze, wiodę raczej nudny żywot. Pracuję w prywatnej bibliotece.

Skinął głową, próbując nie zdradzić wyrazem twarzy, że wie o tym.

- Skąd zatem tęsknota za ciszą i spokojem?

- Och... Może tak naprawdę nie o to chodzi, a jedynie o zmianę otoczenia. W dużym mieście jest tak hałaśliwie. - Ponownie wzruszyła ramionami.

Griffin bardzo chciałby jej wierzyć, jednak intuicja gliniarza podpowiadała mu, że przyjechała do Cliffside na pewno nie tylko dlatego, że pragnęła zmiany otoczenia. Nie potrafił określić dokładnie, o co chodziło, nic nie wskazywało, że coś ukrywała, ale był pewny, że nie wyznała mu wszystkiego. Wbrew niewielu faktom, jakie poznał z jej nienagannego życia, miał absolutną pewność, że Joanna nieprzypadkowo zjawiała się w miasteczku. Miała jakiś powód, a on domyślał się, że kiedy go odkryje, nie będzie zachwycony.

- Gapisz się na mnie - wymamrotała Joanna.

Szybko przeniósł wzrok na kawę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nawet jej nie spróbował.

- Przepraszam.

- Opowiedz mi o Caroline.

Był zupełnie nieprzygotowany na to pytanie, ale kiedy spojrzał na Joannę, zrozumiał, że właśnie na to liczyła.

- Czyżbyś nie przeczytała o niej wszystkiego w bibliotece? - zapytał sztywno.

- Natrafiłam na kilka wzmianek. Wiem, że bardzo udzielała się społecznie, że cieszyła się tutaj dużym szacunkiem, że planowała poprawę jakości opieki medycznej i że była dbającą matką, działającą w szkole córki.

- Czy to ci nie wystarcza?

Joanna bardzo wolno pokręciła głową.

- Nic z tego nie przedstawia jej prawdziwego obrazu. Nadal mam wiele pytań dotyczących Caroline. Co robiła poza udzielaniem się w społecznych komitetach i malowaniem dekoracji do szkolnych przedstawień? Czy spełniała się w ten sposób? Miała jakieś hobby, zainteresowania? Czy lubiła zwierzęta? A co z muzyką - ludzie na ogół ją lubią, a ona? Czy kochała męża? Czy była szczęśliwa?

- Dlaczego mnie o to pytasz? - Griffin wciągnął głęboko powietrze.

- Bo nie dostaniesz hysterii, kiedy będziesz o niej mówił - zauważyła Joanna cicho. - Sam przecież tak powiedziałeś.

Niech to cholera! - zaklął w duchu.

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania.

- Nie potrafisz czy nie chcesz? - Joanna pokręciła głową, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. - Przepraszam, nie powinnam nalegać. Wygląda na to, że masz w miasteczku kolejną wścibską osobę, prawda?

- Joanno. - Griffin zmarszczył czoło. - Podtrzymuję to, co ci powiedziałem w bibliotece. Nie rozpytuj mieszkańców o Caroline. Mogłoby to sprawić przykrość zbyt wielu ludziom.

- Czy to polecenie szeryfa?

Nie umiał rozszyfrować wyrazu jej twarzy, jednak miał niejasne przeczucie, że była na niego wściekła.

- Nie, to prywatna prośba.

- Doceniam to. - Skinęła nieznacznie głową. - Chyba już czas, żebym wróciła do

hotelu. Dziękuję za kawę.

- Nie ma za co.

Kiedy się rozstawali przed kawiarnią, Joanna nie wyciągnęła do niego ręki na pożegnanie. Wymamrotała jedynie ciche „do zobaczenia” i ruszyła energicznym krokiem w stronę biblioteki i zaparkowanego samochodu.

Griffin stał przez chwilę i patrzył za nią aż do momentu, gdy zdał sobie sprawę, że wszyscy goście kafejki i Liz wpatrują się w niego. Miał ochotę odwrócić się i spojrzeć im wszystkim w oczy, ale ostatecznie poszedł swoją drogą, w przeciwnym kierunku. Zmierzał do Ralpha Thompsona, by zakomunikować mu, że nie dostanie pozwolenia na budowę dodatkowych miejsc parkingowych.

Kwadrans później, po cierpliwym wysłuchaniu wywodu o przeraźliwej bezczelności i nieskończonej ignorancji władz miasta, kiedy Thompsonowi zabrakło tchu, Griffin pożegnał go i pomaszerował do biura szeryfa. Samochód Joanny zniknął z parkingu przed biblioteką, mógł więc założyć, że wróciła do „Gospody”.

Przemknął do swojego pokoju, nie odzywając się do nikogo. Zamknął za sobą drzwi, z trudem powstrzymując się od przekręcenia klucza w zamku. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku, potem usiadł przy biurku i otworzył górną szufladę. Trzymał w niej kilka skoroszytów z tajnymi materiałami, ale nie sięgnął po żaden z nich. Zamiast tego wyciągnął kartkę bładoniebieskiego papieru. Była złożona na pół, a w miejscu zgięcia trochę się wytarła, bo rozkładał i składał ją już wiele razy. Teraz znowu patrzył na nią i czytał okrągłe, niemal dziecinne pismo, choć od dawna znał treść na pamięć:

*Griffinie,*

*muszę się z tobą zobaczyć. Spotkaj się ze mną w południe w starej stodole.*

*Caroline*

Złożył kartkę i schował ją do szuflady. Odchylił się na krześle i utkwiał wzrok w oknie. Deszcz znowu się rozpadał.

- Szlag by trafił ten deszcz - narzekał Scott McKenna.

- Mieszkamy w Oregonie - przypomniała mu Holly. - A tu często pada.

- Stanowczo za często. Powinienem wrócić do San Francisco.

- Gdzie oczywiście w ogóle nie ma deszczu. Za to trzęsienia ziemi zapewniają sporą frajdę. Poza tym mieszkasz tu od dwunastu lat. Zdążyłeś zapuścić korzenie.

- Czyżby?

Holly oderwała wzrok od klawiatury i popatrzyła na niego przez chwilę. Stał przy oknie gabinetu i wpatrywał się w zalany deszczem ogród przylegający do domu. Scott był wyjątkowo przystojnym mężczyzną o czarnych włosach i szarych smutnych oczach. Jego postawa zdradzała, że myślami błądził gdzie indziej. Holly pomyślała, że zawsze robił wrażenie samotnego, nawet gdy stał w tłumie. Miał w sobie coś. Zwróciła na to uwagę od pierwszej chwili, gdy go poznała.

- Poza tym tutaj ulokowałeś większość swoich pieniędzy - dodała. - Musisz chodzić koło własnych interesów.

Obrócił głowę i spojrzał na nią w typowy dla siebie bezpośredni, taksujący sposób, który już jej nie denerwował.

- Z większością poradziłabyś sobie sama - oznajmił.

- Co takiego? Ze sklepami, szklarniami, tartakiem i nowym skrzydłem kliniki, żeby nie wspomnieć o „Gospodzie”? Wiadomość dla ciebie, szefie: nie mam zamiaru się tym zajmować.

- Wiem, ale mogłabyś - odpowiedział, lekko się uśmiechając.

- Uhm, masz rację. - Skończyła wpisywanie liczb z notatnika do komputera stojącego na biurku Scotta. - Załatwione. Myślę, że to wszystko. Kosztorysy, oferty, lista materiałów, w tym także spis od dostawcy sprzętu medycznego. Koszty niwelacji terenu, a nawet prac ogrodniczych.

- Dziękuję, Holly.

- Nie ma sprawy. Zawsze chętnie coś zrobię, Scott. - Mogłaby powiedzieć więcej, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Córka Scotta zajrzała do środka. Jak zwykle Regan była poważna, w jej wielkich ciemnoniebieskich oczach niewiele można było wyczytać.

- O co chodzi, Regan? - zapytał Scott trochę szorstko.

- Pani Ames mówi, że jeśli mi pozwolisz, mogę zostać u niej dziś wieczorem i obejrzeć cały film. - Jej głos był zupełnie pozbawiony emocji.

- Dobrze. - Scott nawet nie zapytał o tytuł filmu.

Regan wycofała się za drzwi bez słowa równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Holly wróciła na krzesło przy biurku i popatrzyła na swego pracodawcę. Znowu patrzył w okno. Jego powściągliwość sprowokowała ją do komentarza. Holly bowiem zawsze, jak mawiają, świerzbil język.

- Czy gospodyni opiekuje się Regan, kiedy pani Porter idzie do domu?

- Nie trzeba się nią specjalnie opiekować - odrzekł Scott chłodno. - Wiesz dobrze, że

jest bardzo niezależnym dzieckiem.

- Jasne, jest niezależna. Poza tym trzy miesiące temu straciła matkę. Rozmawiałeś z nią?

- A co, twoim zdaniem, miałem jej powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. - Holly wzruszyła bezradnie ramionami, choć na nią nie patrzył. - Wiem jedynie, że uwielbiała Caroline, a mimo to nie widziałam, żeby płakała po matce. Ani w dniu wypadku, ani w czasie pogrzebu, nigdy. Czy ona w ogóle płacze?

Scott nie odpowiedział od razu, dopiero po chwili odezwał się cicho:

- Nie wiem.

- Scott...

- Holly, nie zmienię swojej natury tylko dlatego, że nagle zostałem samotnym ojcem. Regan była blisko związana z Caroline, nie ze mną. Zrobię wszystko dla tego dziecka, ale nie potrafię zająć miejsca Caroline.

Holly знаła się ze Scottem od ośmiu lat, jednak patrząc na niego teraz, nie miała zielonego pojęcia, co - jeśli w ogóle cokolwiek - czuł. Jego stosunek do córki zawsze był bardzo powściągliwy, z drugiej strony niewiele różnił się od jego postawy wobec wszystkich innych ludzi. Być może taką miał naturę.

- Wiem, że to nie mój problem, Scott, ale nie potrafię się tym nie przejmować. Moim zdaniem, jeśli nie wyciągniesz teraz ręki do Regan i nie pomożesz jej poradzić sobie ze śmiercią Caroline, będziesz tego żałował do końca życia. - Wstała zza biurka i dodała ożywiona: - To na dzisiaj koniec mojego wtykania nosa w twoje sprawy. Wracam do domu.

- Jedź ostrożnie.

- Jasne. - Doszła aż do drzwi, zanim się odwróciła i spojrzała na niego. - Dobranoc, Scott.

- Czy ten twój arogancki artysta wie, jakie ma szczęście? - zapytał, nie odrywając wzroku od okna.

- Trudno powiedzieć.

- Dobranoc, Holly. - Mówiąc, pokiwał głową, jakby jej odpowiedź wcale go nie zdziwiła.

Holly wyszła, bezszelestnie zamykając drzwi za sobą i zostawiając go samego.

Joanna wsunęła ostatnią kartkę papieru do skoroszytu „Caroline” i oparła się o poduszkę, podłożoną pod plecy. Zmarszczyła czoło. W papierowej teczce nadal miała bardzo mało informacji, starczyłoby ich ledwie do naszkicowania postaci. Żadnych kolorów,



wyraźnych rysów... szczegółów. Tak, rzeczywiście nie dysponowała czymś, co pozwoliłoby jej poznać szczegóły życia Caroline.

Przez trzy godziny zdołała przejrzeć całe roczniki lokalnej gazety, dzięki czemu wiedziała więcej niż w chwili przyjazdu - ale, jak powiedziała szeryfowi, nie znalazła tam nic, co ukazałoby jej prawdę o Caroline.

Była bogatą kobietą, która na dodatek wyszła za mąż za zamożnego mężczyznę. Kobieta udzielającą się w wielu akcjach charytatywnych, których większość dotyczyła opieki medycznej i rozwoju badań; prawdopodobnie zajmowała się tym z powodu brata, który zmarł na nieuleczalną chorobę, gdy była nastolatką. Kobieta najwyraźniej chętnie występującą publicznie. Kobieta znaną z dobrego gustu, która częściej nosiła sukienki niż spodnie - przynajmniej w czasie oficjalnych okazji.

Fakty... reszta to już tylko spekulacje.

W rzeczywistości Joanna dowiedziała się znacznie więcej o charakterze Caroline z przypadkowych rozmów niż z opisów przytaczanych w gazetach. Sprzedawca w kiosku, na przykład, powiedział jej, że sporo paliła, i dodał, że była bardzo nerwowa. „Biedaczka, obgryzała paznokcie”.

Chłopak zaprezentował własne starannie wymanikiowane paznokcie, więc jego współczucie stało się tym bardziej zrozumiałe. Joanna dokładnie przyjrzała się własnym dłoniom - miała zadbane, średniej długości paznokcie i tylko kciuk nosił ślady niedawnego obgryzania. Ciotka Sara była nieprzejednana w sprawach wyglądu i zachowania młodej damy, która powinna mieć wypielęgnowane dłonie i unikać histerycznych odruchów.

Inne różnice pomiędzy Joanną i Caroline? Ponad wszelką wątpliwość Caroline cechowała nerwowość ujawniająca się na różne sposoby, Joanna zaś nigdy taka nie była - poza jednym wyjątkiem: gdy w Atlancie poszukiwała Cliffsides, zaczęła bezwiednie obgryzać paznokcie. Dziwny zbieg okoliczności? A może coś innego?

Niespodziewany dreszcz sprawił, że Joanna opuściła dłonie. Pytała samą siebie, czy jest możliwe przejęcie odruchów innej osoby, której nigdy w życiu się nie spotkało? Nie, z pewnością nie. Podobnie jak niemożliwe byłoby powstanie rodzaju więzi psychicznej z drugim człowiekiem tylko dlatego, że „umarło się” tego samego dnia. To wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.

Ale przecież jej się to przytrafiło.

Joanna pokręciła głową, zmusiła się do przerwania rozmyślań o trudnych do wytłumaczenia sprawach i skoncentrowała się na faktach, jakie udało się jej ustalić.

Mężczyzna na stacji benzynowej, kiedy już przestał się na nią gapić, powiedział, że

Caroline McKenna była bardzo ostrożnym kierowcą i wszyscy o tym wiedzieli. Dlatego kiedy zginęła z powodu nadmiernej prędkości, wszystkim to bardzo wstrząsnęło. Niektórzy mówili, że coś w samochodzie musiało nawalić. To wstyd, żeby tę opinię podzielało całe miasto... On był pewny, że nic takiego nie mogło się zdarzyć, bo jego szef i szeryf niemal z lupą przebadali wrak i nie znaleźli śladów wcześniejszej usterki. Caroline musiała po prostu stracić kontrolę nad pojazdem. Tak właśnie uważają jego szef i szeryf.

Dziewczyna pracująca w sklepie z pamiątkami w „Gospodzie” w trakcie długiej, przyjaznej rozmowy, opowiadając o wizycie w miejscowej klinice, wspomniała, że Caroline McKenna cierpiała na jakieś straszliwe uczulenie, dlatego często chodziła do lekarza, zwłaszcza wiosną i wczesnym latem. Oczywiście zawsze od razu wchodziła do gabinetu, podczas gdy inni musieli wziąć numerek w rejestracji i czekać. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, bo Caroline była bardzo miła, poza tym przekonała męża do otworzenia apteki obok szpitala, w której ceny były niewygórowane, tak więc wszyscy na tym skorzystali...

*Lekcja do zapamiętania: zamiast zadawać pytania, wystarczy z ludźmi porozmawiać.*

Takiego właśnie potwierdzania doświadczeń zdobywanych w codziennym życiu nauczyła Joannę ciotka Sara, święcie wierząca, że wnikliwa obserwacja przynosi lepsze efekty od jakiegokolwiek szkoły, i przekonała ją do tego.

Tak więc... Caroline dwojako objawiała nerwowość usposobienia: paliła i obgryzała paznokcie. Nie szarżowała za kierownicą i miała bezpieczny wóz w dobrym stanie technicznym, a mimo to rozbiła się na śliskiej drodze, bo jechała za szybko. Cierpiała na alergię tak poważną, że dostępne w aptece bez recepty leki były nieskuteczne.

Zdobyte informacje nadawały jej postaci jakiś koloryt. To niewiele, ale zawsze coś.

Joanna mogła dodać do tego kilka domysłów, na jakie wpadła od przyjazdu do Cliffside. Caroline była dobrą matką, wystarczająco uwielbiającą dziecko, by zdobyć i umieścić w ulubionym przez siebie miejscu konika z karuzeli. Wnioskując z wypowiedzi Regan, Caroline kochała córkę bardziej niż ojciec.

Regan... Myśląc o niej, Joanna czuła niepokój. Mała rozpaczliwie tęskniła za matką. Robiła wrażenie pogodzonej z faktem, że Joanna różniła się od Caroline niemal zupełnie, z drugiej strony podobieństwo fizyczne mogło wystarczyć do wytworzenia między nimi więzi. Ale jeśli nawet taki rodzaj związku pomógłby teraz dziewczynce w jakiś sposób, to czekał ją kolejny ból po wyjeździe Joanny.

Z tego właśnie powodu Joanna chciała w miarę możliwości unikać córki Caroline. Jednocześnie coś w niej garnęło się do Regan, gdyż była pewna, że Regan tak naprawdę jeszcze nawet nie zaczęła sobie radzić ze śmiercią matki. W oczach dziecka dostrzegła

smutek, rodzaj melancholii i przedwczesnej dorosłości, które poruszyły w Joannie najczulszą strunę. Pragnęła przytulić małą, pocieszyć i chronić.

Chronić ją...

*Skąd wiadomo, że ktoś dorosły się boi?*

- Caroline zginęła w katastrofie - Joanna powiedziała do siebie stanowczym, rzeczowym głosem. - Samochód był zupełnie sprawny. Wydarzył się po prostu tragiczny wypadek.

*Kiedy ja się boję, mam złe sny. Myślę, że mama też miała wtedy złe sny. Ostatniego lata przyśniło jej bardzo dużo złych snów. Przed wypadkiem.*

- Regan jest nieszczęśliwą, zrozpaczoną małą dziewczynką, usiłującą zrozumieć, dlaczego straciła matkę. Próbuje znaleźć przyczyny tego zdarzenia. Doszukuje się sensu w sprawie zupełnie sensu pozbawionej.

*...bo jego szef i szeryf niemal z lupą przebadali wrak i nie znaleźli śladów żadnej wcześniejszej usterki...*

- Miał dostęp do informacji z pierwszej ręki, to wszystko. Starał się dowiedzieć, co sprawiło, że straciła kontrolę nad kierownicą, bo wiedział, że zawsze ostrożnie prowadziła samochód. Nie dlatego, że uznał wypadek za niemożliwy... Jeśli będę gadała do siebie, zwłaszcza tak głośno, to w końcu ktoś mnie zamknie.

Prawdopodobnie szeryf. Pomyślała, że zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością. Jeszcze nie wiedziała, czy po prostu jej nie ufał, czy też miał inne powody, ale z pewnością nie życzył sobie, by łąziła po mieście i zadawała pytania dotyczące Caroline.

Dlaczego? Dlatego, że ochraniał co wrażliwszych mieszkańców czy może nie chciał, żeby się czegoś dowiedziała? A gdyby rzeczywiście było coś do odkrycia, coś obciążającego? Ostatecznie on był tu szeryfem. Powinien znać szczegóły „wypadku” lepiej niż ktokolwiek. Zatem niewykluczone, że przyczyna śmierci Caroline nie była zupełnie jasna, może istnieje dowód obalający teorię zwykłego wypadku samochodowego. A nuż natrafi na świadectwo, że było to zaplanowane morderstwo. Szeryf zaś zataił wszystko, bo... no, właśnie, z jakiego powodu? Dlaczego szanowany przedstawiciel prawa z małego nadmorskiego miasteczka miałby ukrywać dowody morderstwa? Bo sam był w nie zamieszany? Bo starał się osłaniać kogoś, kto maczał w tym palce?

Joanna wyciągnęła się na łóżku i westchnęła. Dobry Boże, to żalosne! Przejechała ponad pięć tysięcy kilometrów, żeby dowiedzieć się czegoś o nieżyjącej kobiecie, a teraz na podstawie niejasnych poszlak doprowadza się do obłędu, wyobrażając sobie, że śmierć Caroline niekoniecznie była dziełem przypadku. To gorzej niż żalosne, to... szaleństwo.

Nigdy nie starała się oceniać innych, niemniej w Cliffside patrzyła na mieszkańców z powściągliwą podejrzliwością. Dlaczego? Bo śnił się jej noc w noc koszmar? Bo wbrew zdrowemu rozsądkowi nabrała przekonania, że Caroline w jakiś sposób nawiązała z nią kontakt i chciała jej pomocy? Bo pogrążona w rozpacz Regan przypominała Joannie małą dziewczynkę, którą kiedyś była w gorące czerwcowe popołudnie, kiedy jej świat zmienił się nieodwracalnie...

Zamknęła oczy. Czowała się zmęczona. Dochodziła dopiero dziesiąta wieczorem i było zbyt wcześnie na kładzenie się do łóżka, jednak miniony dzień okazał się bardzo długi i wyczerpujący. Wypełniły go niepokojące, nieznanne jej do tej pory uczucia. Poza tym spotkania z Griffinem i Regan wytrąciły ją z równowagi. Dziewczynka niemal sparaliżowana rozpaczą i twardy facet o najciemniejszych oczach, jakie widziała. Jakiego były koloru? Nie potrafiła określić.

Joanna wiedziała doskonale, że patrząc na nią, widział Caroline, podobnie jak wszyscy inni. Ale dostrzegał też... coś jeszcze. Może... pomyślała... może dostrzegał także ją...

„Szła wzdłuż klifu w kierunku altany, trzymając się z dala od drzew, bo las nie był bezpieczny. Usłyszała za sobą krzyk mewy. W końcu obejrzała się przez ramię i zobaczyła dziewczynę o długich blond włosach skaczącą z urwiska, jakby uczyła się latać. Chciała ostrzec ją, głośno wołając, ale było za późno, dziewczyna spadała... W miejscu, gdzie nad krawędzią klifu była jeszcze przed chwilą, zjawił się mężczyzna. Stał tyłem. Zaczął się odwracać, a ona tak strasznie się bała...”.

Joanna zbudziła się nagle, gwałtownie wciągając powietrze. Serce jej waliło. Zegarek na szafce nocnej pokazywał, że ledwie dochodziła północ. Za oknem słychać było basowe wycie wiatru. Nie padało, choć w prognozie pogody przepowiadali sztorm w nocy, i chyba mieli rację. Nadciągała burza.

Usiadła i przeczesała palcami włosy. Pamiętała każdy szczegół snu i towarzyszący mu niepokój, znacznie silniejszy od tego, jaki zmusił ją do przejechania przez cały kraj w poszukiwaniu zmarłej kobiety.

- Mój Boże, Caroline - wymamrotała. - Czy to właśnie się stało? Widziałaś tę dziewczynę zepchniętą z urwiska? Dlatego się bałaś?

Nie usłyszała odpowiedzi. Jedynie wiatr szumiał za oknem.

## Rozdział czwarty

W pierwszej chwili Holly pomyślała, że śni. Wydawało się jej, że łagodnie dryfuje, wsłuchiwała się w wycie wiatru i półświadomie czekała na nadejście sztormu. Lubiła taką pogodę i zawsze lepiej się jej spało w burzowe noce. Wtedy właśnie wyczuła jakiś ruch, jakby łóżko przesunęło się ciężko pod nią, przewróciła się na plecy, jęcząc cicho z niezadowolenia.

Coś dotknęło jej ust, ciepłe i twarde o lekkim posmaku kawy. Wydała z siebie kolejny dźwięk, tym razem wskazujący na odczuwaną przyjemność. Uznała, że sen się jej podoba. Ktoś ją całował i choć stykały się tylko ich usta, był w tym bardzo dobry. Podniecał, fascynował i uwodził, aż ogarnęła ją fala gorąca, czuła powolne pulsowanie powstające gdzieś we wnętrzu. Ocierał twarz o jej policzek, drażnił się z nią, kąsał delikatnie jej dolną wargę, a potem umiejętnie użył języka, rozpalając ją jeszcze bardziej. Wyciągnęła ręce spod kołdry, by go dosięgnąć.

Chwycił ją za nadgarstki i łagodnie, ale stanowczo przycisnął je do poduszki nad jej głową. Holly sprzeciwiłaby się temu, gdyby nie zabrakło jej tchu. Jego usta nadal przywierały do jej warg, brały je w posiadanie. Czuła, że jeśli nie zaspokoi jej pragnienia, eksploduje, spali się lub stopi.

A potem wreszcie dotknął jej piersi, zataczał powoli palcami kręgi. Materiał koszuli nocnej przydawał tej pieszczocie odrobiny szorstkości. Holly jęknęła, ogarnięta falami rozkoszy. Całował ją i gładził piersi niespiesznie, jakby czas przestał się liczyć. Wygięła plecy w łuk, żeby poczuć silniejszy nacisk jego dłoni, a kiedy rozpalając jej pożądanie, cofnął się, Holly wyjęczała żałośnie jego imię.

- Cain...

- Cieszę się, że wiesz, kim jestem - wyszeptał, obejmując przez nocną koszulę jej piersi i wodząc kciukiem po twardniejącym sutku. - Zaczynałem się bać, że prześpisz to wszystko. Otwórz oczy, Holly.

Spojrzała w jego błyszczące źrenice. Bez przekonania spróbowała uwolnić ręce, ale w chwilę potem zrezygnowała, usiłując zebrać myśli.

- Jesteś w moim pokoju - powiedziała, nagle zdawszy sobie z tego sprawę.

- Nie zamknęłaś drzwi od tarasu. To bardzo nierozsądnie, maleńka, nawet w tak małym mieście.

Pocałował ją, zanim zdążyła coś odpowiedzieć. Oddała pocałunek złąkniona

pieszczot. Wydawało się jej, że nie dotykał jej w ten sposób od wieków. Jej ciało pożałowało jego ciała z siłą, jakiej nie potrafiła zwalczyć.

Mimo to usłyszała własny głos:

- Nie możesz, do cholery, tak po prostu przychodzić do mojego pokoju, kiedy tylko masz ochotę.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał przymilnie, szczypiąc delikatnie jej sutek.

Ponieważ Holly wiedziała, jak łatwo go urazić - nawet gdyby miał temu zaprzeczyć - nie zaryzykowała sprawdzania, czy mówił poważnie.

- Jeśli teraz mnie zostawisz, nigdy ci tego nie daruję! - powiedziała stanowczo.

Pocałował ją. Przestał się z nią drażnić i uwolnił jej rękę. Zanim jednak zdążyła go objąć, cofnął się, ściągając z niej kołdrę, i patrzył na jej ciało w półmroku sypialni. Jedyne światło, jakie tam wpadało, pochodziło z lampy w holu, którą zawsze na noc zostawiała zapaloną. Wystarczyło, by widzieli się nawzajem.

Cain zdjął ubranie, zanim wśliznął się do jej łóżka. Holly żałowała, że w pokoju nie jest jaśniej, bo naprawdę chciała go zobaczyć. Kiedy wyciągnęła rękę i objęła go, to, czego nie udało się jej dojrzeć, dopowiedziała pamięć. Ciało było jędrne, skóra gładka i naprężona na dobrze ukształtowanych mięśniach. Gładziła palcami jego ramiona, barki i piersi. Znała je niemal tak dobrze jak własne, mimo to dotykając go, przeżywała za każdym razem rodzaj odkrycia, jakby robiła to po raz pierwszy.

- Cieszę się, że jesteś - szepnęła.

- Naprawdę? - Zsunął wąskie ramiączko koszuli nocnej z jej ramienia i pocałował to miejsce. - Chciałem, żebyś to ty przyszła do mnie, ale...

- Ale?

Opuściła bezwolnie ramiona, pozwalając, by ściągnął drugie ramiączko. Poczowała miły dotyk jedwabiu, gdy opuścił jej koszulę do bioder. Kiedy smukłe palce wolno przesuwali od obojczyka, między piersiami aż po pępek, niemal zapomniała o zadanym pytaniu.

- Ale wiedziałem, że nie przyjdiesz. - Roześmiał się. Był trochę zachrypnięty. - Przynajmniej nie teraz. Nie mogłem czekać. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz o tym?

- Nagle zniecierpliwiony zdarł z niej koszulę, wyszarpując ją spod niej, zanim zdążyła unieść biodra. Cisnął koszulę na podłogę.

Holly chciała zaprzeczyć albo przynajmniej zapytać, co robi, że doprowadza go do szaleństwa, ale zamknął jej usta swoimi, a potem całował szyję i piersi. Nie umiała zdobyć się na nic więcej poza cichym westchnieniem wyrażającym triumf. Wiedział dobrze, gdzie trafić wargami i jak jej dotykać. Miał świadomość, które miejsca jej ciała pożałowały go najbardziej,

więc dał jej to, czego oczekiwała.

Błogość przepelniała ją falami, każda była intensywniejsza od poprzedniej, a kiedy ostatecznie wszedł w nią, Holly wydawało się, że czekała na niego od zawsze. Jej ciało przyjmowało go z całą otwartością, poruszało się wraz z nim w rytmicznym tańcu, którego ją nauczył. Aż do poznania Caina nie miała pojęcia, do czego jest zdolna. Zastanawiała się, czy o tym wiedział. Zresztą nie była pewna, czy w ogóle miałyoby to dla niego jakieś znaczenie.

Spojrzała na niego zamglonymi oczami, wpijała paznokcie w jego ramiona i, jak zawsze, próbowała znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego wpatrywał się w nią z taką zachłannością, co takiego w jej twarzy przykuwało bez reszty jego uwagę w chwilach, gdy rozkosz sięgała zenitu, a ona krzyczała w uniesieniu.

I wtedy to się stało. Zapomniała o wszystkim i tylko ślepa, głucha i niema przyjemność wypełniła jej ciało bez reszty. Cain - co zawsze wyprowadzało ją z równowagi - kontrolował sytuację i własną przyjemność wstrzymywał do chwili, gdy Holly wróci do siebie. Dopiero wtedy przeżywał orgazm, wydając chrapliwy jęk ulgi.

Zanim któreś z nich się poruszyło, minęło trochę czasu. Potem Cain obrócił się, trzymając ją w ramionach, tak że znalazła się na nim. Była to pozycja, która sprawiała mu przyjemność przy rzadkich okazjach, kiedy spali ze sobą, a ponieważ Holly to również odpowiadało, nie protestowała.

Odzyskując powoli siły, położyła mu ręce na piersiach i oparła na nich podbródek.

- Zostaniesz na noc? - spytała.

- Mam nadzieję, że mnie przygarniesz. Na wypadek gdybyś nie słyszała, zdradzę ci, że za oknem szaleje burza.

Kiedy o tym wspomniał, usłyszała grzmot pioruna i deszcz dzwoniący o szyby sypialni. Takie dźwięki zawsze ją koiły, ale teraz była odprężona i wcale nie chciało się jej spać.

- Nie puściłabym cię, nawet gdyby nie padało - powiedziała.

- Nie?

- Nie - droczyła się, uśmiechnięta. - Ale od dziś zacznę zamykać drzwi od tarasu.

Cain odchrząknął.

- Więc będę musiał czekać na zaproszenie, co?

- Muszę dbać o reputację - powiedziała poważnie Holly. - Mieszkanie w hotelu łączy się z kilkoma niedogodnościami, a jedną z nich jest ciągła obecność innych ludzi, którzy cię obserwują.

Cain przeczesywał palcami jej włosy, rozsypując jedwabiste pasma na ramionach.

- Naprawdę myślisz, że ktoś z mieszkańców Cliffside powyżej dwunastego roku życia nie domyśla się, że jesteśmy kochankami?

- Chyba nie. Ale nie mam zamiaru potwierdzać ich podejrzeń.

- Więc będę się musiał wymknąć o świcie? - zapytał lekko drwiąco.

- Cóż... mógłbyś wyjść przez taras i spotkać się ze mną na werandzie przy śniadaniu. Nikt by się nie domyślił, że nie przyszedłeś od siebie. A tak przy okazji, przyszedłeś, bo naprawdę chciałeś?

- Aha.

Holly zawahała się, a potem dodała:

- Nie byłam pewna... To znaczy po wczorajszej rozmowie odniosłam wrażenie, że nie za bardzo mnie lubisz.

Błyskawica rozświetliła pokój na krótką chwilę, sprawiając, że jego oczy odbiły światło niczym źrenice kota w ciemności.

- Nieprawda - odrzekł niemal oschle. - Chodzi o to, że doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Bo muszę pracować, żeby zarabiać na życie?

- Nie. Bo nie potrafisz przejrzeć Scotta McKenny.

Holly głęboko wciągnęła powietrze.

- I co bym zobaczyła? Cain, Scott był dla mnie zawsze bardzo dobry. Nigdy nie spotkało mnie od niego nic gorszego niż ostrzejsze słowo. Co takiego miałabym dojrzeć?

- On potrafi tylko brać. Zawsze taki był i taki pozostanie.

- Brać? Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. - Holly nagle poczuła się niezręcznie, zsunęła się z Caina i okryła oboje kołdrą.

Cain nie próbował jej w tym przeszkodzić, położył się na boku, opierając głowę na zgiętym ramieniu, żeby lepiej ją widzieć.

- Nie rozumiesz? Nigdy nie zwróciłaś uwagi, że jego życie jest starannie obmyślane, że Scott rzadko miewa problemy z czymkolwiek? Ty zajmujesz się „Gospodą”, Dylan York i Lyssa Maitland doglądają większości jego interesów, a kiedy wyjeżdżają z miasta, lecisz z pomocą biednemu Scottowi.

- To nasza praca, Cainie...

- Jesteście na jego zawołanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ma gospodynię, pokojówki i ogrodników do zajmowania się domem. A jeśli uważasz, że Caroline nie była jedynym rodzicem w tym domu, radzę, przemyśl to raz jeszcze. Teraz, kiedy jej zabrakło, co się dzieje? Skoro Regan tak bardzo się boi jazdy samochodem albo szkolnym



autobusem, czy spróbował pomóc córce? Czy choćby ją przytulił, potrzymał za rękę, kiedy chowali jej matkę? Nie. Po prostu kogoś wynajął. Tym razem padło na nauczycielkę i oczekuje po niej, a pewnie też po gospodyni, że otoczą dziewczynkę opieką.

Holly była zbyt uczciwa, by nie dostrzec prawdy w niektórych jego stwierdzeniach, ale nie czuła się najlepiej, gdyby musiała przyznać to otwarcie.

- Dobrze więc - powiedziała - założmy, że jest taki, jak mówisz. Ale ja pracuję dla tego człowieka. A to... Bardzo mnie martwi, że ciągle jesteś wobec niego tak wrogo usposobiony.

Po chwili milczenia Cain wyciągnął rękę i pogłaskał Holly po policzku.

- Zawrzyjmy układ, maleńka. Ograniczysz się do tego, co masz w umowie o pracę i za co ci płaci, a ja nie pisnę już słowa na jego temat.

- Tylko to, co w umowie...

- Jesteś dyrektorką „Gospody”, to pełnoetatowe zajęcie. Nie zatrudnił cię do użerania się z wykonawcami i dostawcami materiałów do budowy nowego skrzydła kliniki ani do biegania i podlewania roślin w szkółce leśnej, ani do rozwiązywania problemów tartaku, kiedy kierownik się rozchoruje. Do twoich obowiązków należy prowadzenie hotelu. Więc nim zarządzaj. A następnym razem, kiedy biedny Scott wezwie cię, żebyś wprowadziła dane do komputera, bo nie nauczył się go obsługiwać, powiedz, żeby wynajął do tego kogoś na umowę-zlecenie. Albo niech zatrudni sekretarkę na pełny etat, bo zdaje się, ktoś taki jest mu potrzebny.

- Lyssa i Dylan wrócą za kilka dni. - Holly przygryzła dolną wargę. - Wtedy wszystko się lepiej ułoży...

- Nie o taki układ mi chodzi, Holly.

- Do licha! Nie zapędzaj mnie w kozi róg!

- Jezu. - Cain pokręcił głową. - Jesteś upartą kobietą. Posłuchaj, proszę jedynie o kompromis. Przez to wszystko widzimy się najwyżej raz w tygodniu. Jeśli nie ograniczysz się do jednego etatu, będziemy mieli dla siebie bardzo mało czasu.

- Zgadza się z tobą, ale...

- Ale co? Chciałbym, żebyśmy pobyli trochę razem. Następną wystawę mam dopiero na wiosnę, a maluję w dzień, kiedy ty zajmujesz się tym miejscem. To daje nam wieczory i weekendy, jeśli oczywiście zechcesz wygospodarować czas. - Popatrzył jej w oczy. - Czy nasz związek jest tego wart?

Holly wiedziała od początku, że się zgodzi. Od ośmiu miesięcy, kiedy zostali kochankami, Cain po raz pierwszy okazał, że chce czegoś więcej niż tylko przypadkowych

spotkań w łóżku i wspólnego lunchu. Nie potrafiłaby udać, że jej na tym nie zależy.

- Holly?

- Dobrze. - Szybko skinęła głową. - Obiecuję, że od tej chwili zrobię, co w mojej mocy, żeby ograniczyć się do tego, za co Scott mi płaci, i że nie będę na każde jego skinienie.

Wystarczy?

Zamiast odpowiedzieć, Cain pochylił się i pocałował ją, a potem położył się i przyciągnął Holly do siebie.

- Zwróć uwagę, że nie pieję z zachwytu.

- I mądrze - powiedziała, przytulając się do niego. - Nie ma nic gorszego niż facet piejący z zachwytu tylko dlatego, że udało mu się dopiąć swego.

Cain odchrząknął.

Holly zamknęła oczy i wsłuchiwała się w bicie jego serca. Kiedy odezwał się jakby od niechcenia, przepędził nadchodzącą senność, która zaczęła ją ogarniać.

- Nie wspomniałaś słowem o Joannie Flynn. Cały dzień ludzie mi mówili, że jest bardzo podobna do Caroline. To prawda?

- Zdziwiająco podobna. - Holly postarała się, by jej głos brzmiał rzeczowo. - Ma blond włosy i oczy o żółtawym odcieniu, mówi ze strasznie silnym południowym akcentem, ale wystarczyłoby ją przefarbować i mogłaby uchodzić za bliźniaczkę Caroline.

- Hmm. Pewnie prędzej czy później natknę się na nią.

- Tak myślę. - Holly zamilkła na dłuższą chwilę, a potem dodała: - Cain? Dlaczego nigdy mnie nie namalowałeś?

- Nie znam cię wystarczająco dobrze, maleńka - odparł natychmiast, niemal wesoło, jakby od dawna czekał na to pytanie.

- Aha. - Holly więcej się nie odezwała. Miarowy oddech Caina już od dłuższego czasu świadczył, że mężczyzna śpi. Ona zaś leżała z otwartymi oczami i wsłuchiwała się w szalejącą za oknem burzę. Myśli kłębiły się w jej głowie. Była bliska krzyku, który mógłby złagodzić napięcie, jakie w niej narosło.

Chciała wierzyć, że wrogość Caina do Scotta wynikała jedynie, jak twierdził, ze złości, iż inny mężczyzna ją wykorzystuje. Naprawdę pragnęła w to wierzyć. Jednak obawiała się, że w rzeczywistości wcale tak nie jest. Panicznie się bała, że kobietą, której obaj pragnęli, nie była ona, lecz Caroline.

Cain nie wiedział, że w niecały tydzień po śmierci Caroline Holly poszła do niego. Nie zastała go w domu, więc zajrzała przez okno do pracowni i wtedy po raz pierwszy i jedyny zobaczyła portret Caroline.

Wyglądało na to, że ją znał wystarczająco dobrze.

Burze przestały szaleć w czwartkowy ranek. Po śniadaniu zjedzonym w pokoju hotelowym Joanna wyszła na zewnątrz, by przekonać się, że świeci słońce. Stała na progu werandy, odetchnęła rześką bryzą i ponad klifem zapatrzyła się na ocean. Widok był piękny, dzień śliczny, mimo to nie widziała powodów do radości.

Tej nocy dręczył ją niepokój, a kiedy wreszcie zasnęła na dobre, znowu śniła. Tym razem nie o dziewczynie zepchniętej z urwiska. Nie. Wrócił sen, który przywiódł ją do Cliffside - o domu, urwisku, koniku z karuzeli, różach, obrazie i papierowym samolociku. Przez cały czas zegar głośno tykał i rozlegał się rozdzierający serce płacz dziecka. Brakowało jedynie drogowskazu, ale dla Joanny wszystko było jasne. W końcu jest tutaj, nie potrzebuje zatem drogowskazu.

Rano jak zawsze obudziła się wyczerpana i pełna niepokoju, dlatego dzień wydał się jej raczej jasny niż słoneczny, a szum fal rozbijających się o skały drażnił uszy. Chciała oszczędzić sobie tych odczuć i odizolować się od niebezpiecznego urwiska. Chciała coś zrobić.

Kusiło ją, żeby wrócić do biblioteki i przejrzeć do końca roczniki miejscowej gazety, natrafiła bowiem na ciekawą wzmiankę o tym, jak Scott McKenna zapoczątkował budowanie szklarni w Cliffside, prawdopodobnie dlatego, że jego żona kochała kwiaty. Ale nie zdążyła jej ani przeczytać, ani skopiować, bo przerwał jej gorliwy szeryf. Była absolutnie zdecydowana poznać fakty z przeszłości - Griffin powiedział, że kiedy to się stało? cztery, pięć miesięcy temu? - i dowiedzieć się wszystkiego o biedaczce, która spadła (została zepchnięta?) z urwiska.

Nie chciała jednak zjawiać się w bibliotece zbyt prędko, zwłaszcza że Griffin mógłby zobaczyć ją z okna swego biura. Spędzanie deszczowego popołudnia w bibliotece to jedno, ale siedzenie tam, gdy na dworze świeci jasne słońce, to zupełnie coś innego.

Po dłuższym namyśle Joanna pokiwała głową. Należy pochodzić po sklepach. Oczywiście. Turyści zawsze coś kupują. Dlatego pójdzie do miasta i zobaczy, co sklepy mają do zaoferowania. Przy okazji porozmawia z ludźmi.

Nie przejmowała się ostrzeżeniem Griffina - szlag by trafił faceta, który uznał, że miała wrażliwość mastodonta! - zresztą Joanna nie miała zamiaru rozpytywać o Caroline, chyba że jej rozmówca sam poruszy ten temat. A biorąc pod uwagę jej podobieństwo, można się było tego spodziewać niemal po wszystkich. Nadal wątpiła, by rozmowa, którą ktoś sam zacznie, mogła sprawiać mu przykrość.

- Zdaje się, że najwyższy czas...

Joanna odwróciła się zaskoczona i spojrzała w pełne zdziwienia oczy Holly.

- Och, przepraszam. Aż nie wiem, jak to powiedzieć, ale nie dość, że z przodu jesteś bardzo podobna do Caroline, to z tyłu do złudzenia przypominasz Amber.

- Amber? Mówisz o dziewczynie, która biega tu dookoła w szortach?

- Właśnie. Miałam zamiar jej powiedzieć, że chyba najwyższy czas spakować krótkie spodenki, ale trafiłam na ciebie.

- Musi być ode mnie młodsza co najmniej o dziesięć lat - zaprotestowała Joanna. - I chyba nie poruszam się tak jak ona, proszę, powiedz, że nie mam jej ruchów.

- Nie, nie. - Holly się roześmiała. - Chodzi o twoje włosy. Mają ten sam kolor i długość, poza tym jesteście tak samo zbudowane. Jest pewnie trochę niższa od ciebie, ale kiedy włoży buty na obcasach, można się pomylić.

- Tylko tego mi trzeba - Joanna westchnęła - żebym wyglądała jak ktoś jeszcze. Czy jest tu jakiś zakład fryzjerski? Może przefarbuję włosy na ogniście rudo?

- Tylko nie rób niczego zbyt pochopnie. - Holly ponownie się roześmiała.

- Nie zrobię. Jestem bardzo rozważna i nie mam skłonności do podejmowania nieprzemyślanych decyzji. - A w myślach dodała: Poza pokonaniem ponad pięciu tysięcy kilometrów, żeby dowiedzieć się czegoś o zmarłej kobiecie...

- Kolejna nauka ciotki Sary? - zapytała Holly z zaciekawieniem.

- Jedna z wielu. - Tym razem to Joanna się roześmiała. - Zawsze przemyśl wszystko dokładnie... siedź prosto i nie trzymaj łokci na stole.

- Powiedziałabym, że lekcje cioteczki Sary były bardzo wartościowe. - Holly ściągnęła usta w ciup jak rasowa damulka.

- Nauczyłam się je doceniać - odpowiedziała Joanna. - Wpoila mi też, że należy być przebiegłym i energicznym klientem. A propos, jakie są tutejsze sklepy?

- Gotowe na twoje przyście - powiedziała Holly wesoło. - Ale mówiąc uczciwie, ubrania w „Na rogu” są pierwszorzędne. Kierownik sprowadza je z Los Angeles i San Francisco, a nawet z Nowego Jorku, Atlanty i Nowego Orleanu. Ale jeśli niekoniecznie zależy ci na szmatkach, spróbuj w „Jeszcze jednej rzeczy”. To maleńki antykwariat, czasami można tam znaleźć coś naprawdę wyjątkowego. Oba sklepy są na głównej ulicy, zresztą jak większość, bo tam właśnie jest centrum handlowe.

- Brzmi nieźle, dzięki.

- Powinłam dodać, że sklep „Na rogu” - wtrąciła Holly z odrobiną poczucia winy w głosie - należy do właściciela „Gospody”, ale nie dostaję prowizji za podsyłanie klientów,

słowo!

- Taka uczciwość jest wbrew twoim interesom, doceniam to.

- Mam po prostu wrażliwe sumienie. - Holly westchnęła.

- Nie przejmuj się. Potrzebny mi nowy sweter na wypadek, gdyby nadal miało być tak chłodno, a „Na rogu” zdaje się najodpowiedniejszym miejscem, żeby go kupić.

- Mają piękne swetry. A gdybyś nie chciała dźwigać zakupów, przyniosą wszystko do hotelu.

- Wspaniale. W takim razie zamiast jechać samochodem, po prostu się przejdę. Bardzo dziękuję, Holly.

- Nie ma za co, baw się dobrze, Joanno.

Machając ręką, Joanna wróciła do hotelu, żeby wziąć portmonetkę, a potem wyjść frontowymi drzwiami, skąd do miasta prowadziła prosta droga. Po pięciu minutach była już na zewnątrz i energicznym krokiem zmierzała do centrum. Jakby mimochodem pomyślała, że mężczyzna i kobieta, którzy wzięli ją w Atlancie za Caroline, to prawdopodobnie kierownicy sklepów lub zaopatrzeniowcy z Cliffside, a może ludzie wykonujący inną pracę, która zmusiła ich do przejechania ponad pięć tysięcy kilometrów w interesach.

W każdym razie wykonywane zajęcie zgotowało im zaskakująco dziwne spotkanie.

Ewentualne natknięcie się na nich w Cliffside napawało Joannę niepokojem. Gdyby do niego doszło, całe miasteczko dowiedziałoby się w okamgnieniu, że pomyłono ją z Caroline w Atlancie, a to z kolei zapewne wzbudziłoby podejrzenia dotyczące powodów, dla których przyjechała tu na „wakacje”. Niewiele jednak mogła na to poradzić, żywiła jedynie nadzieję, że nadal są w podróży i nie wrócą przez najbliższe dwa tygodnie.

Mniej więcej po dziesięciu minutach doszła do głównej ulicy, nie natykając się na nikogo. Przed sobą miała czysto utrzymane ulice i chodniki z atrakcyjnie zaaranżowanymi wystawami sklepowymi. Niemal od razu dostrzegła na końcu przecznicy szyld „Na rogu”.

Lecz już w pierwszym sklepie zdążyła stracić całe zainteresowanie ubraniami. Przystanęła gwałtownie na chodniku, jakby chciała wniknąć w ścianę. Sam sklep nie robił specjalnego wrażenia - sprzedawano tam przedmioty z wikliny, począwszy od koszyków, na meblach skończywszy. Na wystawie jednak znajdował się oprawiony w złoconą ramę obraz z jej snu.

- Oczywiście, musieliśmy go zdobyć - wyjaśniała Kellie Hayes Joannie, gdy obie podziwiały płótno. - Mała dziewczynka z koszykiem na kolanach na ukwieconej łące. Pomyśleliśmy, że będzie idealnie pasował do naszego sklepu. Pan Barlow nie chciał go

sprzedać, ale ostatecznie zgodził się na umieszczenie go w witrynie. To jasne, nie musi sprzedawać wszystkich swoich obrazów. Artyści zarabiają tak dużo pieniędzy w galeriach San Francisco czy Nowego Jorku! A ten jest jego ulubiony. Zdradził mi, że nie sprzedałby go za żadne skarby.

- Nie słyszałam wcześniej jego nazwiska, ale zupełnie nie znam się na sztuce nowoczesnej - odpowiedziała Joanna. - Jest sławny?

Pomyślała, że to ważny szczegół. Obraz namalowany przez miejscowego artystę musi coś oznaczać, bo inaczej dlaczego stałby się częścią jej snu? Co go łączyło z Caroline?

- O tak, droga pani, bardzo sławny. Nigdy nie maluje obrazów marynistycznych. Czy to nie dziwne jak na kogoś, kto mieszka na wybrzeżu? Słynie zwłaszcza z portretów. Ludzie z całego kraju zabiegają, żeby ich malował. Czasami wykona coś - jak ten obraz - dla własnej przyjemności. Słyszałam też, że miewa uczniów, choć nigdy nie widziałam u niego nikogo obcego. W każdym razie pisali o nim w wielu magazynach poświęconych twórcom i sztuce. Uważają go za jednego z artystów, któremu zostanie zlecone namalowanie portretu prezydenta. Może sobie to pani wyobrazić? Ale na nim oczywiście to nie robi wrażenia.

- Naprawdę?

- Och, na pewno. Pan Barlow to uroczy mężczyzna i przystojny, lecz czasami tak spojrzy na człowieka, że można by pomyśleć, że w środku się z siebie wyśmiewa. Nie żeby był nieuprzejmy, to chyba wynika z tego, że uważa życie za dobry dowcip.

- Wygląda na to, że dobrze go pani zna. Od dawna tu mieszka? - spytała Joanna jakby od niechcienia.

- Zaraz, zaraz, kiedy kupił ten mały domek? - Kellie zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć. Wpatrywała się przy tym w obraz. - To musiało być co najmniej cztery, pięć lat temu. Przez pierwsze kilka lat spędzał tu tylko lato. A potem, rok temu...

- Coś się zmieniło? - Joanna zachęcająco pokiwała głową.

Nigdy nie miała problemów z rozszyfrowywaniem ludzi i czytaniem w twarzach, wykazując przy tym intuicyjne zrozumienie. W tej chwili miała zamiar w pełni wykorzystać tę umiejętność. Już po minucie od przywitania się wiedziała, że Kellie z radością porozmawia o czymkolwiek i wystarczy tylko podsunąć jej temat. Była urodzoną plotkarką i z pewnością znakomicie orientowała się w cudzych sprawach.

- Moim zdaniem to nie tajemnica. - Roześmiała się. - Wszyscy wiedzą, że pan Barlow zwrócił tamtego lata uwagę na Holly Drummond. Zna ją pani? Zarządza „Gospodą”. Kiedy nadeszła jesień, on po prostu nie wyjechał. Stanowią ładną parę, chociaż ludzie mówią, że on nigdy się z nią nie ożeni, a ona marnuje czas, jeśli na to liczy. Osobiście uważam, że coś go tu

trzyma, a ona jest taka inteligentna i ładna.

- Pewnie ma pani rację - wtrąciła Joanna. - Hmm... Czy gdzieś w miasteczku można zobaczyć inne obrazy pana Barlowa?

- Och, nie, moja droga. On sam powtarza, że nie ma zamiaru stać się miejscowym artystą i sprzedawać turystom obrazów. Jeśli jednak to panią interesuje, Sam może mieć coś, na co mogłaby pani rzucić okiem. Prowadzi księgarnię dwoje drzwi dalej. Powinien mieć album z kilkoma reprodukcjami obrazów pana Barlowa. - Kellie uśmiechnęła się.

Joanna kupiła koszyk.

- Muszę przyznać, że wygląda pani niemal jak Caroline McKenna - rzekł Sam Atherton, kiwając głową. Wydawał się trochę nieufny, niemniej podobieństwo bardzo go zaintrygowało. Nie potrafił oderwać wzroku od Joanny. - Była bardzo miłą kobietą, damą i moją stałą klientką. Często przychodziła kupować książki, w większości dla Regan. Jej córeczka naprawdę lubi czytać i ma żywą wyobraźnię. Wie pani, powiedziała mi kiedyś, że na dnie urwiska żyją wróżki?

- Dla mnie zawsze to były trolle - wtrąciła Joanna, idąc za nim na tyły przeładowanej księgarni. - Niedaleko miejsca, gdzie mieszkałam, stał most. Święcie wierzyłam, że żyją pod nim trolle.

- Zdaje się, że dogadałaby się pani z małą Regan. - Uśmiechnął się odruchowo. - Sam nigdy nie posunąłem się w marzeniach poza rolę zawodnika między drugą a trzecią bazą w meczu baseballowym „Gigantów”. O, jest. W tej książce znajdzie pani sporo o Cainie Barlowie.

- Świetnie, tego właśnie szukałam - odparła, biorąc od niego ciężki tom. - Ma pan też przypadkiem coś o historii okolicy?

- Oczywiście - odpowiedział po krótkim wahaniu. - Tam, przy ścianie... - Poprowadził ją w drugi koniec księgarni, cały czas zagadując i nie odrywając od niej oczu. - Domyślam się, że ma pani dość słuchania o swoim podobieństwie do Caroline McKenny, ale jest naprawdę zdumiewające. Ludzie nie przestają o tym gadać.

- Dlatego zaczęłam się nią interesować i nic na to nie poradzę - wtrąciła Joanna.

- To zrozumiałe. Sam co prawda nie znałem jej zbyt dobrze, choć od lat była moją klientką. Zawsze zachowywała się uprzejmie, ale o sobie niewiele mówiła.

Joanna zorientowała się, że księgarz próbuje udawać brak zainteresowania. Było jasne - wiedział coś więcej o Caroline albo też po prostu jej nie lubił i nie palił się do opowiadania o tym ze szczegółami. Nie był ani tak szczery, ani obojętny, jak można by pomyśleć. Miała nieodparte wrażenie, że ważył każde słowo w tej niby swobodnej pogawędce i nie powiedział

nic ponad to, co musiał.

Dlaczego? Nie chciał, żeby się o czymś dowiedziała - ale o czym?

- A co pan powie o panu McKennie? - zapytała z udawaną obojętnością.

Zniszczona twarz Sama nigdy nie zmieniała wyrazu, ale jego oczy zabłyśły, a głos wiał lodowatym chłodem:

- Cóż, niewiele o nim wiem. Nie jest zapalonym czytelnikiem. Przychodzi czasami, ale raczej rzadko. Zawsze ujmująco grzeczny... można powiedzieć - oficjalny.

Na pewno nie lubi Scotta McKenny i nie zależy mu, czy to zauważę, czy nie, pomyślała Joanna.

- Należy do niego spora część Cliffsides, prawda? - spytała.

- O, tak. Ma tartak stojący niecałe dwadzieścia kilometrów stąd. I niezły kawałek gruntu. „Na rogu” i kilka innych sklepów. „Gospodę” i kilka domków letniskowych, które latem wynajmuje. No i szklarnia. - Sam zmarszczył czoło, na krótką chwilę zmrużył czujne oczy. - Wie pani, teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to zabawne. Scott McKenna ma tyle rzeczy w mieście, a jedynie szklarnię firmuje własnym nazwiskiem. - Popatrzył na półkę przed sobą i zdjął z niej książkę. - Proszę bardzo, pani Joanno, najlepsza historia okolicy, jaką mam w księgarni.

- Dziękuję panu.

Przeszła z nim do lady, przy której zapłaciła. Przez cały czas prowadzili nieobowiązującą, bląhą rozmowę. Joanna pomyślała, że nie jest jedynym człowiekiem w Cliffsides, który umie zachować kamienną twarz. Ona też to potrafi. Jednak wewnątrz czuła zdecydowany niepokój. Może po prostu przesadzała, dopatrując się ukrytych znaczeń tam, gdzie mogło chodzić o naturalną nieufność wobec nieznajomych. Prześladowała ją myśl, że Sam nie miał powodu, żeby pilnować się przed nią... a może miał?

Kilka minut później znalazła się przed księgarnią. Dwie książki w torbie reklamowej włożyła do koszyka. Rozglądała się za kolejnym sklepem. Jak do tej pory natrafiła na plotkarkę, która bez wątpienia miała najświeższe wiadomości, i księgarza, który choć wiele mówił, niewiele powiedział. Ale z drugiej strony, czego mogła się spodziewać - czy jest wiele osób opowiadających nieznajomym wszystko, co wiedzą?

- Ciotka Sara wydaje mi się bardzo podobna do mojej ciotki Alice - powiedziała Mavis, odruchowo przecierając nieskazitelnie czysty blat przed Joanną, na którym stała jej cherry coke. - Zawsze miała jakieś powiedzenie lub przysłowie na podorędziu. Takie coś chyba ułatwia życie, mam rację? To znaczy, dysponowanie odpowiedzią na większość pytań.



- Daje zasady, którymi można się w życiu kierować - zgodziła się Joanna.

- To właśnie powtarzam swojemu chłopakowi, Danny'emu. On twierdzi, że wystarczy trzymać się dziesięciorga przykazań, ale ja się upieram, że ludzie, którzy byli tu przed nami, doszli do jakichś wniosków, dlatego więc nie mielibyśmy z tego skorzystać. Moja ciotka Alice przeżyła wielki kryzys i dwie wojny, toteż moim zdaniem należało słuchać, co miała do powiedzenia.

- Och, ma pani rację. Ciotka Sara nigdy mi źle nie doradziła, nigdy.

- Zupełnie jak ciocia Alice. - Mavis uśmiechnęła się porozumiewawczo do Joanny. - Pewnie obie byłyby zadowolone, gdyby usłyszały, że pamiętamy ich nauki, nie uważa pani?

- Z pewnością. Ciotka Sara mówiła, że jest się sławnym dopiero wtedy, gdy pewna liczba ludzi pamięta o tobie, kiedy już odejdiesz.

- Święta prawda. - Mavis pokiwała głową, a w chwilę potem dość żywiołowo i niespodziewanie dodała: - O rany, pani wygląda zupełnie jak ona!

- Jak Caroline? Już to słyszałam.

- No, ale mówi pani inaczej, zupełnie inaczej i jest pani swobodna, i miła, ona z kolei była jakby wstydliva, nieśmiała...

- Nieśmiała? Czytałam gdzieś, że dość często występowała publicznie.

- Och, jasne, ostatnio nawet bardzo często. Komitety społeczne i komitet rodzicielski, tego typu sprawy. Kiedy jednak była z kimś sam na sam, jak my teraz, ot tak, zwyczajnie, zawsze wydawała się nieśmiała. Cicha, ledwo co bąknęła słowo. Nie uśmiechała się zbyt często. Była piękna, to znaczy, co ja gadam, przecież wystarczy, że spojrzy pani w lustro, ale jakby... przygaszona. Po prostu nic w niej nie iskrzyło. Rozumie pani?

- Tak myślę - odparła Joanna powoli.

- Inaczej bywało jedynie wtedy, gdy przychodziła z Regan. Bardzo kochała córeczkę i to od razu rzucało się w oczy.

- Wiele osób mi o tym mówiło - powiedziała Joanna i pomyślała: Czy dlatego Caroline chciała, żebym tu przyjechała? Bo Regan grozi jakieś niebezpieczeństwo? Co to może być? - Poznałam Regan. Wydała mi się... jakby zmrożona. Bardzo samotna. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że ma jeszcze ojca.

Uśmiech zniknął z twarzy Mavis, dziewczyna odwróciła wzrok od Joanny, jakby nie bardzo chciała rozmawiać na ten temat. Krępowwała się początkowo, ale w końcu powiedziała:

- Ma ojca, ale z tego, co widziałam i słyszałam, jest tak, jakby ta biedna mała była zupełną sierotą. Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który tak mało interesowałby się własnym dzieckiem.

*Kolejna osoba, która nie lubi Scotta.*

- To znaczy teraz stał się obojętny? Czy...

- Nie, zawsze tak traktował Regan. Moim zdaniem niektórzy faceci w ogóle nie powinni zostawać ojcami. Wszyscy wiedzieli, że Caroline pragnęła mieć dzieci, a on po prostu godził się na to, tak jak się godził na inne jej pomysły.

- Czy Caroline miała... dar przekonywania? - zapytała Joanna ostrożnie.

- Na pewno wobec mężczyzn. - Mavis ponownie patrzyła na Joannę. Odchrząknęła cicho, co można było uznać za oznakę podziwu. - Miała coś w sobie, pani mnie rozumie? Rodzaj demonstracyjnej bezradności, jakby zawsze potrzebowała faceta, żeby coś dla niej zrobić. Nawet szeryf był w mniejszym lub większym stopniu na jej zawołanie.

- Byli blisko ze sobą? - Choć kosztowało ją to sporo wysiłku, Joannie udało się zachować w głosie ton umiarkowanego zaciekawienia.

- No cóż. - Mavis zastanowiła się chwilę. - Kiedyś słyszałam, że byli bardzo blisko, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Sama jednak nie widziałam niczego, co by o tym świadczyło. Mówiąc szczerze, może to zwykłe plotki. Wiem natomiast na pewno, że zawsze miał dla niej czas, kiedy go potrzebowała. Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość, szeryf pomaga każdemu w miasteczku. To naprawdę bardzo dobry szeryf. I zawsze udaje mu się wszystkiego dowiedzieć. To znaczy niewiele mamy tu przestępstw, ale jeśli już coś się zdarzy, szeryf Cavanaugh stosunkowo szybko dobiera się do sprawcy. Mój Denny mówi, że kiedy szeryf rozwiązuje jakiś problem, jest jak terier tropiący szczura.

Świetnie. Po prostu znakomicie. Mnie wydał się podejrzany, pomyślała Joanna.

- Wygląda na to, że nadaje się do tej pracy. - Udało jej się wymyślić obojętny komentarz.

- I to jak! Mamy szczęście, że tu jest.

Joanna kurtuazyjnie potaknęła, ale jej myśli były dalekie od uprzejmości. Terier uganiający się za szczurem mógł uchodzić za symbol człowieka oddanego prawdzie, ale jeśli ten człowiek był w jakiś sposób związany z ofiarą tak zwanego wypadku, a może nawet przyczynił się do katastrofy, jak daleko posunąłby się w poszukiwaniu prawdy?

- Jeszcze jedną colę, pani Joanno? A może coś do jedzenia? Jeszcze trochę i będzie pora lunchu.

- Nie jestem głodna, dziękuję - rzekła Joanna, uśmiechając się nieznacznie. - Skoro odpoczęłam, chyba pójdę na dalsze zakupy.

- Jak na małe miasteczko mamy zupełnie nieźle zaopatrzone sklepy, prawda? - spytała Mavis z dumą w głosie.

- Uhm - odpowiedziała Joanna. - Prawda.

Było już po godzinie czternastej, kiedy Joanna wyszła z „Na rogu” i zobaczyła Griffina opartego niedbale o staroświecką balustradę przy schodach prowadzących do sklepu. Najwyraźniej na nią czekał. Joanna niczego nie niosła, bo wszystkie zakupy zostawiła w sklepie, ponieważ obiecano dostarczyć je do hotelu. Fragmentaryczne wiadomości, które poznała tego dnia, sprawiały, że miała mętlik w głowie.

Co więcej, zastanawiała się, czy rezerwa, jaką wyczuwała u innych, była rzeczywista, czy tylko tak się jej zdawało. Biorąc pod uwagę stan swego umysłu, nie zdziwiłaby się, gdyby wynikała z jej wyobraźni. Ale jeśli ludzie naprawdę zachowywali się powściągliwie, to dlaczego? Bo była nieznaną kobietą bardzo podobną do Caroline? Czy dlatego, że zadawała pytania? Bo w tym małym miłusim miasteczku wydarzyło się coś innego niż przypadkowa śmierć?

Stojąc na chodniku, na pewno wiedziała jedynie, że sama odczuwa rodzaj nieufności. Zwłaszcza teraz, gdy znalazła się naprzeciw tego mężczyzny. Nie uważała się za dobrą aktorkę, postanowiła jednak za wszelką cenę grać dalej rolę zwyczajnej turystki rozkoszującej się wakacjami w malowniczej miejscinie.

Dlatego nie zastanawiając się, powiedziała:

- Musimy zaprzestać podobnych spotkań, szeryfie. Ludzie wezmą nas na języki.

- Nie robią nic innego. - Nie czekając na jej odpowiedź, zapytał: - Jak poszło ci z zakupami, Joanno?

- Po prostu wyśmienicie. Kupiłam masę naprawdę wspaniałych rzeczy.

- Ciekaw jestem, po co ci koszyk? - pytał dalej. - I zegar w kształcie budynku sądu w Cliffside?

- Śledziłeś mnie? - zapytała zaczepnie.

- Ani przez chwilę, robiłem codzienny obchód i to wszystko. Upewniałem się, czy poczciwi mieszkańcy Cliffside są bezpieczni i zadowoleni.

Joanna rozejrzała się po centrum miasta, stosunkowo tłoczonym w słoneczne czwartkowe popołudnie. Nie zdziwiła się, dostrzegając ukradkowe spojrzenia rzucone w ich stronę. Ale nie to było problemem - uderzyło ją, że pozornie zwykłe zaciekawienie osobą zaskakująco podobną do Caroline w oczach niektórych nabierało dla niej złowróżbnego wyrazu. Czuła groźbę wiszącą w powietrzu. Jakby wszyscy o czymś wiedzieli, znali jakąś ponurą tajemnicę i nie chcieli, by ją poznała.

*Chyba przesadzam z podejrliwością. Szukam dziury w całym.*

- I zegar, i koszyk mi się podobały - skłamała.

- Jestem dobry w tym, co robię.

Joanna nie miała zielonego pojęcia o rodzaju poczucia humoru Griffina. Jak do tej pory zdobył się co najwyżej na uśmiech, a z bardzo ciemnych oczu nic nie dawało się wyczytać. Nie miała pewności, jak poważnie się nią interesował. Nie dowierzał niewinności jej poczynań czy może zachowywał się po prostu jak każdy małomiasteczkowy gliniarz?

W końcu wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Koszyk zawsze się przyda. Każdemu. A zegar to po prostu pamiątka z Cliffside.

- Domyślam się, że będziesz używała swojej pamiątki z Cliffside, kupionej u Mertona, jako przycisku do papieru.

- Domyśły to nie jest chyba twoja najmocniejsza strona. Przyciskiem do papieru jest replika wnętrza „Gospody”, a to oczywiście pamiątka z miejsca, gdzie mieszkam. Mówiąc dokładnie z miejsca, gdzie się zatrzymałam.

Z powagą pokiwał głową.

- A haftowana poduszka? Rozumiem, że to obraz architektonicznego cacka, jakim jest nasz maleńki teatr.

- Haft wydał mi się doskonały - odpowiedziała Joanna.

- Hmm. Czy mogę spytać, skąd się bierze to szczególne upodobanie do architektury Cliffside?

Jego słowom nadal towarzyszył jedynie cień uśmiechu. Miał twarz rasowego pokerzysty. Nieźle, jak na szeryfa. Joanna zakasłała.

- Posłuchaj, tak się złożyło, że te wszystkie przedmioty bardzo przypadły mi do gustu. Chyba nie jest zbrodnią kupowanie rzeczy, które ci się podobają.

- Nie. Moim zdaniem są po prostu trochę zaskakujące. Przysięgłbym, że nie jesteś kobietą, która kupuje tego rodzaju śmiecie dla turystów.

- No cóż, najwyraźniej się myliłeś.

- Niewykluczone. Przyznam nawet, że trafiłem jak kulą w płot, jeśli mi wyjaśnisz, co cię opętało, żeby kupić szkatułkę oblepioną muszelkami?

- To... prezent dla kogoś zaprzyjaźnionego - zaryzykowała.

- Mężczyzny czy kobiety? - zapytał nieustępliwie.

- Kobiety. Dlaczego?

- Lubi pokera?

- Nie odróżniłaby karety od dwóch par. - Joanna zamrugnęła oczami. - Czemu pytasz?

- Nawet nie zajrzałaś do środka, prawda?

- No więc...

- Joanno, kiedy otworzysz to małe pudełko, znajdziesz talię kart... tylko dla dorosłych.

- Nic dziwnego, że pan Tony dopytywał, czy aby na pewno chcę to kupić - wymamrotała Joanna, przypominając sobie niepewną minę sprzedawcy.

- Czy twoja przyjaciółka ucieszy się z takiego prezentu? - zapytał Griffin uprzejmie.

- Powiedzmy, że powinnam lepiej się przyjrzeć tej szkatułce - wydusiła Joanna z westchnieniem.

- Zrozum, nie musisz czegoś kupować w każdym sklepie tylko dlatego, że tam weszłaś.

- Dlaczego myślisz, że...

- Chyba pudełko gwoździ, które kupiłaś w sklepie z żelastwem, ostatecznie mnie przekonało. Przypuszczam, że w Atlancie są gwoździe? Prawdopodobnie nie różnią się specjalnie od naszych.

Joanna całym wysiłkiem woli starała się zachować kamienną twarz, ale Griffin zaczął się uśmiechać i wtedy nie wytrzymała. Miała niejasne wrażenie, że jej śmiech balansuje niebezpiecznie na granicy hysterii, ale on zdawał się tego nie zauważać. Zyskała przynajmniej tyle, że zmalowało wewnętrzne napięcie. Kiedy wreszcie oparła się o balustradę, próbując odzyskać oddech, podał jej z uśmiechem chusteczkę do nosa.

- Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

Otarła załzawione oczy i oczyściła nos, usiłując opanować chichot. Uznała, że to atak hysterii.

- O Boże. Nie rozśmieszaj mnie znowu. Nie grasz uczciwie, wiesz o tym?

- Hej, mogłaś się przecież jakoś wytłumaczyć z tych gwoździ - powiedział. - Na przykład obluzowaną deską w podłodze pokoju hotelowego. To nie moja wina, że nie umiesz zmyślać na poczekaniu.

- Mydlenie oczu. Postanowiłeś, że mnie złamiesz i tyle, mam rację? Zgrywałeś się na poważnego, a ja próbowałam wyjaśniać jakieś absurdy - odparła, myśląc jednocześnie: Udawaj, że nic sobie z tego nie robisz. Zachowuj się zwyczajnie.

Oddała Griffinowi chusteczkę, który nie mógł sobie darować drobnej złośliwości:

- Naprawdę miałem nadzieję, że będziesz umiała wyjaśnić sprawę tych gwoździ. Powiedz, Joanno, czy skończyłaś kurs zdobywania informacji, czy przychodzi ci to naturalnie?

- Nikomu nie sprawiłam przykrości pytaniami. - Westchnęła. - Słowo, Griffinie. Czy to moja wina, że zaczęli opowiadać o Caroline? Przy moim wyglądzie to chyba byłby cud,

gdyby nikt o niej nie wspomniał. Co miałam robić, przerywać każdemu, kto wymówił jej imię?

- Tylko mi nie wmawiaj, że to wszystko dzieło przypadku - przerwał jej. - Rozpracowujesz to miasteczko ze skutecznością ankietera dokonującego spisu ludności.

- Nie bądź złośliwy, szeryfie.

- A uśmiecham się? - spytał poważnie.

Popatrzyła na niego uważnie.

- No więc... trochę, gdzieś w oczach.

Zamknął na chwilę powieki i westchnął.

- Musimy o tym porozmawiać. Słuchaj, może postawię ci lunch? Wiem, że jeszcze nie jadłaś, a ja...

- Chodziłeś za mną i na dodatek marzyłeś o wspólnym lunchu - wpadła mu w słowo.

- Mniej więcej - odparł wcale nie skruszony. - Mam ochotę na włoską kuchnię. Co ty na to?

- Nie zauważyłam w mieście szyldu włoskiej restauracji - powiedziała, rozglądając się dokoła. - Gdzie jest?

- Około dwudziestu pięciu kilometrów autostradą wzdłuż wybrzeża w kierunku Portlandu. I co powiesz? Zostawisz na jutro oglądanie drugiej części ulicy?

- Co sobie ludzie pomyślą, kiedy tak oboje pojedziemy? - zapytała.

- Pomyślą, że byliśmy głodni - wyjaśnił rzeczowo. - Muszę jeszcze tylko dać znać kolegom, gdzie będę. Wierzysz, że ta wiadomość nie wydobędzie się poza biuro szeryfa?

Po wszystkich rozmowach, jakie z nim odbyła, Joanna dokładnie wiedziała, co miał na myśli.

- Nie, och, nie. Wydaje mi się, że w miasteczku nie ma wielu tajemnic. - *Poza tą jedną, która się liczy?*

- Rzeczywiście. - Wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić w kierunku biura szeryfa. - A tak przy okazji, strasznie żałuję, że nie poznałem nigdy twojej ciotki Sary, musiała być prawdziwą damą.

Przejechali ponad piętnaście kilometrów od Cliffside, kiedy Griffin zjechał na prawe szerokie pobocze i zgasił silnik. Joanna rozejrzała się dokoła. Przed nimi wiała się droga, po lewej stronie krawędź stromego urwiska opadała do oceanu, po prawej rósł las.

- Dlaczego stanęliśmy? - zapytała.

- Pomyślałem, że powinnaś coś zobaczyć. - Wysiadł z blazera i przeszedł na drugą

stronę jezdni, gdzie wąski pas ziemi graniczył z niską poręczą, która stanowiła jedyną barierę dzielącą autostradę od przepaści.

Joanna niechętnie powoli ruszyła za nim. Wiedziała, co ma zamiar jej pokazać. Nie była pewna, czy chce to oglądać. Gdy dołączyła do niego, wołała patrzeć, jak morska bryza rozwiewa mu ciemne włosy. Zauważyła, że miał nieobecny wzrok.

*Kim była dla ciebie, Griffinie? Byliście kochankami?*

- W tym miejscu jej samochód wypadł z drogi - powiedział. - Zbliżała się do miasta i najwyraźniej straciła panowanie nad kierownicą na ostatnim zakręcie. Samochód jechał za szybko, balustrada nie stanowiła żadnej zapory, dlatego po prostu stoczył się w dół.

*Czy w twoim głosie słychać ból czy złość?*

Joanna popatrzyła wzdłuż długiego odcinka balustrady, nowszego od reszty, głośno przełknęła ślinę i zapatrzyła się w ocean ponad krawędzią urwiska.

Tutaj klif był wyższy niż przy „Gospodzie”. Skały w dole były przeraźliwie poszarpane, ostre i sterczały groźnie w górę. Każdy samochód bez wątpienia rozbiłby się na nich na kawałki.

Przez chwilę popatrzyła w dół, poczuła zawrót głowy. Serce zaczęło jej walić. *Czy dlatego tu jestem, Caroline? Chcesz mi udowodnić, że ktoś przyczynił się do twojej śmierci.* Nagle Joanna nabrała absolutnej pewności, że tak właśnie było. Nie miała wątpliwości, że Caroline McKenna została zamordowana.

Niemal natychmiast zamknęła oczy i dopiero gdy obróciła się trochę, otworzyła je ponownie, żeby spojrzeć na niego. Na twarzy szeryfa malowała się powaga.

- Dlaczego twoim zdaniem powinnam to zobaczyć? - zapytała tonem normalniejszym, niż się spodziewała.

- Bardzo interesujesz się Caroline - odrzekł trochę zachrypniętym głosem, pasującym do kamiennej twarzy i pozbawionych wyrazu oczu. - Tutaj zginęła. Z samochodu niewiele zostało, a z niej jeszcze mniej, ale udało nam się zebrać wystarczająco dużo z tego, co ocalało, żeby dokonać identyfikacji zwłok i odtworzyć przebieg wydarzeń.

- Jesteś pewny, że to był wypadek? - powiedziała, nie mogąc powstrzymać się od zadania tego pytania.

- To nie było samobójstwo, jeśli o to ci chodzi - odpowiedział, marszcząc czoło. - Teraz ich prawie nie widać, ale były tu ślady ostrego hamowania od połowy ostatniego zakrętu przez całą drogę do tego miejsca. Usiłowała zatrzymać samochód, ale jej się nie udało.

- Czy twoim zdaniem... - Joanna zagryzła na chwilę dolną wargę. - Czy to możliwe, że

ktos zepchnal ja z jezdni? Ze ktos inny byl sprawca wypadku?

- Masz na myśli innego kierowcę, pijanego albo zabawiającego się po wariacku?

Joanna zawahała się przez moment, a potem skinęła głową.

- Czy to możliwe? - powtórzyła.

- Wszystko jest możliwe, Joanno. Ale to mało prawdopodobne. Nie było żadnych śladów, które by o tym świadczyły.

- A szukałeś ich?

- Oczywiście, że szukałem. Masz mnie za kiepskiego gliniarza? Sporej liczbie ludzi, w tym jej mężowi, musiałem wyjaśnić, co zaszło. Płacą mi za umiejętność rozwiązywania takich zagadek.

- Chodziło mi tylko o...

- Posłuchaj! Nikt nie majstrował przy jej samochodzie. Nie znaleźliśmy uszkodzeń poza tymi, które powstały przy przebicciu balustrady i spadaniu. Ani odrobiny lakieru z innego samochodu, żadnych śladów wcześniejszego zderzenia, nic. Padało. Nawierzchnia była mokra, jechała za szybko i wpadła w poślizg. Koniec raportu, pani Flynn. I koniec historii.

- Przepraszam. - Odruchowo wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia. - Nie chciałam niczego sugerować ani podważać twoich kompetencji. Po prostu wszyscy powtarzali, że jeździła bardzo ostrożnie i...

- Popełniła błąd. To się zdarza.

- Pewnie masz rację. - Joanna nie odezwała się więcej, aż do czasu gdy doszli do samochodu i wsiadła do środka. Dopiero wtedy powiedziała: - Miałeś całkowitą słuszność, kiedy mówiłeś, że klif jest niebezpieczny. Najpierw tamta kobieta, a potem Caroline.

- Jaka kobieta? - Griffin zamarł na chwilę w bezruchu, choć zamierzał wrzucić bieg, i zmarszczywszy czoło, popatrzył na Joannę.

- Wspomniałeś, że cztery czy pięć miesięcy temu ktoś spadł w przepaść.

- A, tak - odpowiedział, ruszając i kierując wóz z powrotem na jezdnię. - Ale to nie była kobieta. Ofiarą był mężczyzna.



## Rozdział piąty

Joannie, choć się starała, trudno było po tym wszystkim dobrze się bawić w trakcie lunchu. Wmawiała sobie, że sen był najprawdopodobniej wynikiem zwykłego wytrącenia z równowagi. Caroline poniosła śmierć, spadając z urwiska. Joanna wiedziała, że co najmniej jeszcze jedna osoba zginęła na ostrych poszarpanych skałach - dlatego jej wewnętrzny niepokój stał się źródłem koszmarnego snu o kobiecie - blondynce - która runęła w dół na spotkanie śmierci.

Proste. Zdecydowała, że najpewniej to w całości dzieło jej mózgu i nie ma nic wspólnego z Caroline, że to jedynie sen. Koszmarem, który powstawał z napięć i obaw, jak większość podobnych majaków. Ostatecznie przez większość życia śniła i nie miało to najmniejszego znaczenia, a to, że jeden sen zmusił ją do przyjechania tutaj, nie oznaczało, iż wszystkie muszą mieć związek z rzeczywistością.

Co prawda nie do końca udało się jej przekonać samą siebie, ale myślenie pomagało skoncentrować się na tym, co działo się tu i teraz. Ponieważ Griffinowi zmienił się nastrój, gdy tylko dojechali do restauracji, udało się jej, choć z niemałym wysiłkiem, zachować pozory odprężenia.

- Ciotka Sara mawiała, że jeśli gliniarz zabiera kogoś na lunch, to najpewniej zależy mu na zdobyciu odcisków palców - powiedziała, kiedy zajęli wskazane przez kelnerkę miejsca w rogu sali „U Donatellego” i przeglądali menu. Ponieważ szczytowe godziny lunchu już minęły, a na obiad było za wcześnie, praktycznie mieli restaurację dla siebie.

- Czy zaraz potem dodawała, żebyś nie trzymała łokci na stole? - zapytał Griffin obojętnie.

- Obowiązkowo. Nauczyła mnie też gotować, szyć, prowadzić samochód, tańczyć, żeglować i jeździć konno.

- Szczerze mówiąc - zaczął Griffin, z brwiami uniesionymi z wrażenia - wyobrażałem sobie ją jako typową starą pannę z włosami upiętymi w kok, z okularami na nosie, w grubych pończochach, ale chyba się myliłem.

- I to jak. - Joanna z trudem powstrzymała się od śmiechu. - Po pierwsze, nie była starą panną. Pochowała czterech mężów. A kiedy umarła cztery lata temu, miała niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Jej włosy były płomiennie rude, uwielbiała krótkie spódnice i wysokie obcasy. Jej drugi mąż był policjantem, dlatego wydaje mi się, że dobrze wiedziała,

co mówi, kiedy chodziło o was, chłopaki.

- To znaczy, że szczególnie ostrzegła cię przed gliniarzami?

- Przed gliniarzami? Nie. Pamiętam jednak doskonale, jak powiedziała, że podejrzliwość tkwi w naturze policjanta. Skoro zatem wiozłeś mnie tu taki kawał drogi, żeby zdobyć odciski...

- Gdybym chciał, mógłbym je mieć już od dawna. - Griffin lekko się uśmiechnął. - Zresztą po co? Coś mi szepcze, że nie masz kryminalnej przeszłości.

- Intuicja gliniarza?

- Nieważne. Mam rację?

- Tak. Nigdy w życiu nie spróbowałam nawet oszustw z parkometrem. - Joanna westchnęła. - Boże, jak to nudnie zabrzmiało.

- Praworządnie, nie nudnie. Dziękuję ci w imieniu całej policji.

Joanna zachichotała, a potem zajrzała w menu.

- Co mają dobrego?

- Wszystko, zwłaszcza małże i ser...

Kilka minut później podeszła do nich kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Gdy zniknęła, Joanna postanowiła, że nadszedł czas wyjaśnienia sobie wszystkiego z szeryfem. Nadal niechętnie zdradziłaby mu, że przyjechała z Oregonu tylko po to, by dowiedzieć się czegoś o zmarłej kobiecie. Nie podobał się jej widoczny jak na dłoni jego brak zaufania, a jako szeryf mógł jej bardzo utrudnić życie. I dlatego że... że to się jej nie podobało. Coś w jego ciemnych oczach, gdy podejrzliwie się w nią wpatrywał, martwiło ją bardziej, niż chciałyby przyznać.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, ile może mu powiedzieć, nie podsycając jego podejrzliwości.

- Oświeć mnie w jednej sprawie - zaczęła. - Dlaczego przejmujesz się tym, że ludzie rozmawiają ze mną o Caroline?

- Nie przejmuję się - odpowiedział natychmiast. - Zresztą wyjaśniłem ci powody, dla których... tego nie lubię. Możesz kogoś urazić...

- Griffinie, czy mógłbyś przyjąć, że mam choć trochę taktu? Rozmawiam jedynie z tymi, którzy chcą ze mną pogadać, i sama nigdy nie poruszam tematu Caroline.

- Przy takim podobieństwie byłoby cudem, gdyby ktoś o niej nie wspomniał. Sama to stwierdziłaś.

- No dobrze, ale co jest złego w rozmawianiu o niej? Co jest złego w tym, że Sam Atherton powiedział mi, że Caroline kupowała książki dla Regan, albo w tym, że Mavis

opowiedziała mi o nieśmiałości Caroline, gdy były sam na sam, albo w tym, że Julia wspomniała o słabości Caroline do niebieskiego i zielonego koloru, i że kochała jedwab. Kogo mogło to dotknąć?

- Nikogo - przyznał z oczywistą niechęcią. - Ale...

- Ale co? - Joanna odczekała chwilę, a potem dodała: - Ty mnie o coś podejrzewasz? Jakie mam motywy? Griffinie, jaki nikczemny cel mogłabym mieć w zadawaniu pytań o Caroline?

Odchylił się na krzesło, westchnął, usta lekko wykrzywił mu uśmiech. Nagle zamrugął ciemnymi oczami.

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- W takim razie czym się zamartwiasz?

Griffin odezwał się dopiero po chwili:

- Nie wiem, Joanno. Czuję, że chodzi ci o coś więcej i dlatego chcesz zostać.

Chociaż trochę się tym wystraszyła, starała się tego nie okazać.

- Caroline interesuje mnie tylko dlatego, że jestem do niej aż tak podobna, że mogłaby uchodzić za moją siostrę bliźniaczkę, poza tym zaciekała mnie. Prawdopodobnie nadal będę rozmawiała z ludźmi, ale obiecuję, że nikomu nie wyrządzę przykrości, dobrze?

- Dobrze. - Griffin wolno pokiwał głową.

- W porządku. - Widząc kelnerkę zbliżającą się z sałatkami, dodała: - Więc możemy pogadać o czymś innym.

- Tak - odezwał się beztrąsko, jakby otrząsnął się z podejrzliwości. - Opowiedz mi coś więcej o ciotce Sarze.

- Jako nastolatka na dobre uciekła z domu, żeby przyłączyć się do cyrku. Byłam jedynym dzieckiem w Charlestonie, którego ciotka umiała żonglować pomarańczami, stojąc jednocześnie na grzbiecie galopującego konia. Musiałam bez przerwy o niej opowiadać.

- Dam głowę, że nie trzeba cię było długo prosić. - Zachichotał. - Wychowywała cię?

- Od dziewiętego roku życia. Moi rodzice utonęli podczas wypadku na łodzi. - Joanna podziękowała kelnerce ruchem głowy i wzięła widelec. - Tak się szczęśliwie złożyło, że ciotka Sara zawsze była częścią mojego życia i naprawdę chciała zostać moją prawną opiekunką.

Griffin kiwnął potakująco głową.

- Dziewięć lat to strasznie mało. Musiało ci być bardzo ciężko po stracie rodziców.

Joanna nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, jak bolesne są te stare rany, które ponownie dały o sobie znać po wypadku. Dwadzieścia lat, a mimo to udręka po stracie

rodziców była równie dotkliwa jak w momencie, gdy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że odeszli na zawsze. Jako dziecko nie rozumiała nieodwołalności wyroków losu. Nie pojmowała ich jeszcze długo. Choć ciotka Sara okazywała jej miłość i była w pobliżu, Joanna często łapała się na myśleniu o tym, że chce coś powiedzieć mamie, coś pokazać ojcu. Przez całe lata szok wywoływany uświadamianiem sobie, że ich już nie ma, był dla niej nie do zniesienia.

Czy trzy miesiące po śmierci Caroline Regan pojęła ostateczność tego faktu? Czy ojciec dziewczynki - lub ktokolwiek - przytulił ją, gdy szlochała z żalu i z powodu straty? Czy każdej nocy płakała w poduszkę przed zaśnięciem i budziła się przygnębiona przez sny o szczęśliwszych czasach?

- Joanno?

Spojrzała ponad stołem na Griffina i usiłowała sobie przypomnieć, o co pytał.

- Och... tak, nie było mi łatwo. Zresztą zawsze tak jest, kiedy traci się kochaną osobę.

Niespodziewanie w jego ciemnych oczach pojawiły się oznaki silnych emocji. Joanna czuła to, co w nich dostrzegła, dzieliła jego ból. Empatia nie była jej obca, łatwo wczuwała się w sytuację innych ludzi i rozumiała ich, jednak nigdy przedtem nie odbierała czyjś cierpienia z taką intensywnością. Była bliska łez.

Musiała rzeczywiście wyglądać na wytrąconą z równowagi, bo Griffin odchylił się nagle do tyłu i utkwiał wzrok w talerzu. Kiedy ponownie spojrzał na Joannę, jego oczy już niczego nie wyrażały.

- Tak - powiedział niemal od niechcenia. - Masz rację. W pracy miałem często do czynienia ze śmiercią i nigdy nie było to łatwe.

Joanna nie potrafiła wykorzystać jego udawanej nonszalancji, żeby zyskać coś dla siebie. Zaczęła jeść automatycznie, nie czując zupełnie smaku. Czy przyczyną zachowania szeryfa była Caroline? Czyżby kochał ją tak bardzo, że jej odejście stało się dla niego niesłychanym cierpieniem? A może odczucia Griffina dotyczące samej Caroline i jej śmierci były bardziej skomplikowane i nie ograniczały się do zwykłego żalu? Joanna chciała go o to zapytać, ale nie umiała znaleźć właściwych słów.

Milczenie nie trwało długo - jak można się było spodziewać - i Joanna odezwała się po chwili zupełnie spokojnie:

- To, że miałam ciotkę Sarę, bardzo mi pomogło. Tak naprawdę nie była kobietą stworzoną do matkowania, uznawała życie za rodzaj przygody. Jeśli czegokolwiek się od niej nauczyłam, to mam nadzieję, że właśnie takiego podejścia do rzeczywistości.

- Przejechałaś sama ponad pięć tysięcy kilometrów tylko dlatego, że chciałaś tu

spędzić urlop, to brzmi jak przygoda - wtrącił uprzejmie.

Ponieważ Joannie zależało, by właśnie tego nie uważał za wyjątkowy wyczyn, szybko powiedziała:

- Och, to drobiazg. Kiedy skończyłam liceum, ciotka podarowała mi w prezencie wycieczkę do Egiptu. Pojechałam sama, dysponując jedynie listą miejsc, jakie polecała mi odwiedzić, i ludzi, których powinnam poznać. Miała tam masę przyjaciół, dlatego nie brakowało mi towarzystwa, niemniej większość zwiedziłam sama.

- Nie ma wątpliwości, że lubisz przygody. - Griffin się uśmiechnął.

Joanna po raz pierwszy zastanowiła się, co o tej sytuacji powiedziałyby ciotka Sara. Odpowiedź przyszła jej do głowy bez trudu. Stwierdziłaby, że jej siostrzenica postąpiła słusznie, pokonując pięć tysięcy kilometrów, żeby rozwikłać zagadkę męczącego snu, zaleciłaby jednak ostrożność, bo otaczali ją wyłącznie nieznajomi. Obcy ludzie, którzy wiedzieli wszystko o Caroline.

Przezorność byłaby zalecana zwłaszcza wobec tego człowieka.

Joanna udała, że się uśmiecha w odpowiedzi na jego słowa. Trzymała się kurczowo tematu rozmowy, który był jej wystarczająco dobrze znany, żeby mogła mówić bez emocji, i to tak długo, by wypełnić czas posiłku i drogi powrotnej w niepokojącym towarzystwie mężczyzny starannie ukrywającego przed nią swe tajemnice.

- Może i lubię przygody, ale to ciotka Sara była naprawdę odważna. Wiesz, że przejechała przez całe Indie na słoniu? Jako jedyna znana mi osoba pojechała na biegun północny. Zresztą na południowym też była. I na Madagaskarze. Znasz kogoś, kto zawędrował na Madagaskar? Gdyby na krawędzi świata istniały smoki, jestem pewna, że i tam by dotarła, żeby je zobaczyć...

W piątkowy rano, po krótkiej wizycie w bibliotece, Joanna przystąpiła do „rozpracowywania” dalszej części Main Street. Niepokój, który sprowadził ją do Cliffside, nie złagodniał ani odrobinę. Budząc się każdego ranka, czuła, że jest nawet silniejszy. Musiała coś zrobić, żeby dać upust wewnętrznemu napięciu - a jedyne, co przychodziło jej do głowy, to kontynuowanie prób dowiedzenia się czegoś o Caroline, zwłaszcza o jej śmierci. O morderstwie.

Joanna wiedziała, że gdzieś czekała na nią odpowiedź. Gdzieś tkwiła przyczyna, która skłoniła ją do przyjazdu do Cliffside.

Wystarczyło jedynie tam dotrzeć.

Przy tej części ulicy znajdowało się sporo sklepów, w tym dwa jubilerskie, sklep typu

„mydło i powidło”, grawer, dwa sklepy z pamiątkami dla turystów i kilka butików z ciuchami.

Początkowo Joanna spodziewała się, że i tym razem łatwo jej pójdzie z uzyskiwaniem fragmentarycznych informacji o Caroline, wkrótce jednak przekonała się, że przyjęła wariant zbyt optymistyczny. Weszła najpierw do butiku z ubraniami. Młoda sprzedawczyni (Sue, jak wskazywał identyfikator), bardzo uprzejma i miła, zaproponowała pomoc w zakupach, ale natychmiast się wycofała, kiedy Joanna powiedziała, „że chce się po prostu rozejrzeć”. Przez następne piętnaście minut miała nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowana.

Nie to, że ktoś na nią patrzył. Ktoś ją obserwował.

Odetchnęła z ulgą dopiero po wyjściu na zewnątrz. Marzyła o tym, by jak najszybciej minąć szybę wystawową i znaleźć się poza zasięgiem utkwionych w sobie, nieruchomych oczu.

*To dlatego, że wyglądam jak Caroline. Ot i wszystko.*

Prostując ramiona i zmuszając się do miłego uśmiechu, weszła do następnego sklepu, gdzie sprzedawano pamiątki. Samotny ekspedient - mężczyzna w średnim wieku - nie ruszył się zza kasy, czytał gazetę i słuchał radia, z którego dobiegały stare przeboje.

Joanna, świadoma jego zupełnego braku zainteresowania, wybrała byle co. Dopiero podchodząc do kontuaru, zdała sobie sprawę, że trzyma w ręku żelaznego bobra - do blokowania drzwi. Uznając, że tak absurdalna rzecz przełamie lody, stanęła przy kasie i powiedziała „dzień dobry” sprzedawcy.

- Czy to wszystko, proszę pani? - zapytał uprzejmie, ale ton jego głosu nie zachęcał do rozmowy.

- Tak, dziękuję. - Patrzyła, jak pakuje bobra, i dodała obojętnie: - Ma pan tu bardzo ładne rzeczy.

- Dziękuję pani. Należy się trzydzieści osiem pięćdziesiąt.

Joanna podała mu dwie dwudziestodolarówki i spróbowała ponownie:

- Nazywam się Joanna Flynn.

Kiedy wręczał jej resztę i pakunek, nie umiała niczego wyczytać w jego oczach.

- Miło mi, proszę pani. Dziękuję za odwiedzenie naszego sklepu.

Zdaniem Joanny jego obojętność była wystudiowana. Gdy się odwracał i brał gazetę, tak ostentacyjnie nie zwracał na nią uwagi, że poczuła się przezroczyista, ale wydawał się przy tym zbyt nienaturalny.

Na ulicy oparła paczkę o biodro i zmarszczywszy czoło, popatrzyła na następny sklep. Tym razem był to jubiler. Co ją tam czekało?

Pan Landers, sprzedawca, okazał się bardzo uprzejmy. Opowiedział jej zabawną historyjkę o Regan i naszyjniku, który kupowała dla matki. Kiedy jednak Joanna usiłowała sprawdzić, co myśli o Caroline, jego uśmiech przygasł jakby odrobinę, a w oczach zjawiała się czujność. Powiedział jedynie, że była miłą kobietą. Napomknięcie o Scotcie spowodowało, że pan Landers przypomniał sobie niespodziewanie o bardzo ważnej sprawie, którą musiał załatwić na zapleczu, i spytał w pośpiechu, czy może czymś jeszcze jej służyć.

Joanna wyszła, niczego nie kupując. To wszystko było bardzo... dziwne. Nie mogła uwierzyć, że Main Street dzieli się na dwie części - w jednej ludzie są otwarci i pomocni, w drugiej - przeciwnie. Mogła jedynie przypuszczać, że od wczorajszego dnia coś się zmieniło, skutkiem czego ludzie stali się wobec niej nieufni. Czyżby Griffin po powrocie z lunchu puścił pocztą pantoflową prośbę, żeby nie odpowiadać na jej pytania o Caroline?

Jeśli tak zrobił, to dlaczego? Dlaczego jej pytania miałyby być niebezpieczne?

Gdyby tego nie zrobił, jak wytłumaczyć dzisiejszy brak przychylności i obojętności ludzi? Naturalną niechęcią mieszkańców małych miasteczek do udzielania odpowiedzi na pytania i uznaniem przez nich, że zainteresowanie Caroline i jej rodziną przekroczyło pewną miarę? Czyżby otrzymała właśnie grzeczne ostrzeżenie? A może było coś złowróbnego w zachowaniu ostatnio spotkanych obywateli Cliffside?

Joanna, trochę zdenerwowana, weszła do kolejnego sklepu, butik z ubraniami. Tym razem przywitał ją uśmiech. Młodzianka sprzedawczyni przedstawiła się bardzo przyjacielsko jako Linn i bez wahania przyznała, że wie, kim jest Joanna.

- Przypuszczam, że wszyscy już to wiedzą - powiedziała szczerze. - Przy takim podobieństwie do pani McKenny trudno się temu dziwić, prawda? Czy szuka pani czegoś szczególnego, Joanno?

*Ach, te małe miasteczka!*

- Nie, właściwie nie. Choć przydałby mi się nowy sweter. Tu jest chłodniej, niż się spodziewałam.

Została zaprowadzona do działu swetrów. Linn zaproponowała kilka z nich. Zachowanie sprzedawczyni, choć przyjazne i ożywione, było profesjonalne. Nie robiła wrażenia chętnej do pogawędki, a gdy Joanna ostrożnie podsunęła temat Caroline, Linn odpowiedziała wymijająco i taktownie ją przeprosiła, mówiąc, że musi się zająć inną klientką.

Do tego czasu Joanna prawie na chybił trafił wybrała sweter. Przy kasie Linn uśmiechała się, jednocześnie taksując ją czujnym spojrzeniem. Tego się spodziewała, ale potwierdzenie oczekiwań okazało się mało przyjemne, toteż zamiast robić dalsze zakupy, postanowiła wracać do „Gospody”.

Idąc, próbowała skoncentrować się na tym, czego już się dowiedziała lub co usłyszała od innych. Dziś jedynie w bibliotece udało się jej zdobyć jakieś nowe informacje.

Turysta, który spadł z urwiska i zginął na miejscu, nazywał się Robert Butler. Był biznesmenem z San Francisco. Najwyraźniej szedł zbyt blisko krawędzi i poślizgnął się. Zdaniem wszystkich zainteresowanych inna przyczyna śmierci nie wchodziła w grę. Wypadek. Siostra przyjechała po jego ciało. Koniec historii.

Przy okazji domyśliła się, że kobieta i mężczyzna, którzy wzięli ją w Atlancie za Caroline, to najprawdopodobniej Dylan York i Lyssa Maitland, dwoje pracowników Scotta McKenny. Oboje, jak się dowiedziała, wyjechali akurat z miasta załatwiać dla niego jakieś sprawy. Ktoś wspomniał niejasno, że są na Wschodnim Wybrzeżu.

Wkrótce mieli wrócić. Za szybko.

Joanna odkryła też, że na tydzień przed śmiercią Caroline kupiła małą antyczną szkatułkę w sklepie o nazwie „Coś więcej”. Czy to ważne? Nie miała pojęcia. Jawiło się jako następny fragment układanki, jeszcze jeden fakt do kolekcji.

Joanna zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła złożyć kawałki w całość i zobaczyć obraz, jaki z nich powstanie.

W piątkowe popołudnie poznała Caina Barlowa.

Po lunchu zjedzonym samotnie w pokoju hotelowym Joanna marzyła jedynie o znalezieniu cichego i spokojnego miejsca, skąd mogłaby patrzeć na morze, porządkując kłębiące się jej w głowie myśli. Skończyło się na tym, że kupiła gazetę i usiłowała czytać na werandzie, ale było tam zbyt chłodno, a wiadomości pobudzały ją do myślenia, choć jak uznała - ostatecznie nie były zbyt ważne.

Dochodziła godzina szesnasta, kiedy zaniepokojona opuściła werandę. Na dworze nadal było jasno, do zmierzchu zostało kilka godzin, więc nie bała się, że ciemność ją zaskoczy. Ruszyła w stronę klifu, ale tym razem skierowała się na północ, przełamując chęć pójścia na południe, zdecydowała nie zbliżać się do domu McKennow. Głowę miała nabitą szczegółami z życia Caroline, potrzebowała czasu, by je uporządkować.

Trzymała się w odległości około metra od krawędzi urwiska i energicznie maszerowała. Ponieważ zabudowania Cliffside znajdowały się w głębi lądu, między miasteczkiem a poszarpaną linią klifu został pas terenu, na którym pobudowano domki letniskowe. Dzięki temu, że każdy został inaczej zaprojektowany, robiły wrażenie oryginalnych, nie przywodząc na myśl masowej produkcji. Większość należała do mieszkańców miasta. Powiedziano jej, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli



zechce się tam przejść.

Biegła tamtędy wąska ścieżka, która wiła się wzdłuż wybrzeża w bezpiecznej odległości od przepaści. Joanna postanowiła iść jej szlakiem. Minęła kilka chat, nikogo nie napotykając, i miała właśnie wracać do hotelu, kiedy pomiędzy drzewami obrastającymi w tym miejscu wybrzeże dostrzegła kolejny domek. I wtedy go zobaczyła.

Stał do niej tyłem, skupiony na obrazie ustawionym na sztalugach, choć można było odnieść wrażenie, że nie jest zajęty malowaniem. Joanna trochę bezmyślnie ruszyła w jego stronę. Kiedy znalazła się blisko, bez zastanowienia powiedziała:

- Myślałam, że pan nie maluje pejzaży.

Obrócił się błyskawicznie. Błyszczące zielone oczy najpierw się powiększyły ale potem je zmrużył. Utkwił w niej wzrok. Był przystojny, wysoki i zgrabny, z miedzianymi włosami przyciętymi trochę za starannie jak na artystę.

- Niech to diabli - zaklął niskim, przyjemnie brzmiącym głosem.

- Przepraszam, nie chciałam podchodzić z nienacka - tłumaczyła się. - Jestem...

- Joanna Flynn - dokończył za nią.

Westchnęła.

- Właściwie w ogóle nie powinnam zawracać sobie głowy przedstawianiem się. Od pierwszego dnia pobytu praktycznie nie musiałam nikomu mówić, jak się nazywam. - Popatrzyła na niego i nie umiała powstrzymać się od dodania: - A pan to Cain Barlow, miejscowy malarz.

Miał poczucie humoru. W jego oczach dostrzegła rozbawienie, kiedy odpowiadał uprzejmie.

- Tak się złożyło, proszę pani.

- Proszę nazywać mnie po imieniu.

- Dobrze, Joanno. Jestem Cain. - Nie odrywał wzroku od jej twarzy. Pokręcił głową, jakby niezupełnie ufał oczom. - Wybacz, że tak się gapię, ale z artystycznego punktu widzenia to naprawdę... fascynujące.

- Z mojego punktu widzenia także - odrzekła trochę złośliwie. - Już samo to, że wygląda się bardzo podobnie do kogoś innego, jest dziwne, ale gdy na dodatek znajdziesz się wśród ludzi, którzy znali tę drugą osobę... powiedzmy, że to nowe doświadczenie.

- Wyobrażam sobie.

Spojrzała na obraz.

- Jeśli przeszkadzam, pójdę sobie.

- Skończyłem na dzisiaj. - Mówiąc to, pokręcił głową. - Stałem tak i rozmyślałem.

- Słyszałam, że nie malujesz pejzaży - Joanna powtórzyła swoje pierwsze zdanie, wpatrując się w płótno, na którym bez wątpienia namalowano krajobraz.

Jak wszystkie jego obrazy, które dotychczas widziała - w sklepie z koszykami i na reprodukcjach w albumie kupionym w księgarni - także ten pełen był życia i kolorów. W odróżnieniu od pejzaży malowanych przez innych artystów, posługujących się odcieniami szarości i błękitu, on za pomocą ciepłych i jaskrawych kolorów przedstawiał północną ścianę chaty i fale rozbijające się o skalisty brzeg.

- Nie maluję ich często - odpowiedział. - Morze tak naprawdę mnie nie inspiruje.

- Jeśli tak wygląda twój brak inspiracji - powiedziała - bardzo chciałabym zobaczyć, co uważasz za rezultat prawdziwego natchnienia.

- Znasz się trochę na sztuce? - zapytał spokojnym głosem.

- Nie martw się. Nie powiem ci, że się nie znam, ale za to wiem, co mi się podoba.

- Większość ludzi tak uważa.

- Ja też tak myślę, ale... nie powiem tego. - Ponownie spojrzała na obraz i dodała powoli: - Sprawia, że... czuję. Odniosłam to samo wrażenie, kiedy patrzyłam na obraz w sklepie z wikliną. Wszystkie kolory żyją, zdają się wyskakiwać z ram.

- Cieszę się, że podoba ci się moja twórczość, Joanno. - Automatycznie wycierał pędzle poplamioną ściereczką.

Joanna odnotowała lekkie napięcie w jego głosie. Pomyślała, że najpewniej wynika ono ze skrępowania, jakie odczuwał, gdy rozmawiało się o jego malarstwie. Zgodnie ze skąpych informacjami, jakie o nim przeczytała, Cain Barlow był jednym z tych nieczęsto spotykanych, wyjątkowo utalentowanych artystów, którzy malowali z wewnętrznej potrzeby. Nie dbał o sukces komercyjny, zadowolając się sumami zapewniającymi chleb. Krytycy bardzo go cenili za to, że w ogóle nie przejmował się ich opiniami.

Prawdopodobnie nie liczył się także ze zdaniem innych ludzi.

Joanna oderwała wzrok od obrazu i spojrzała na niego. Przypomniała sobie, że jedno z jego dzieł widziała we śnie, przez który tu przyjechała. Co mogło go łączyć z Caroline?

- Teraz ty się we mnie wpatrujesz - odezwał się trochę rozbawiony.

- Przepraszam. Coś właśnie przyszło mi do głowy. Obraz w sklepie z wikliną... czy ta dziewczynka to Regan?

- Spotkałaś ją?

- Któregoś dnia. Rozmawiałam z nią przez chwilę. Obie przeżyłyśmy wstrząs. Czy to ona jest na obrazie?

- Nie pozowała do niego - odpowiedział Cain. - Zainspirowała mnie jednak, gdy

przypadkiem zobaczyłem ją na łące. Zrywała kwiatki dla mamy.

- Domyślam się, że znałeś Caroline?

- Wszyscy ją znali. Zresztą już pewnie sama się o tym przekonałaś. - Zaczął pakować pędzle do pudełka. Robił to metodycznie i bez pośpiechu. - Nie chodzi tylko o małomiasteczkową społeczność. Rodzina Caroline była tu od początku. A w takich miejscach historia wciąż się liczy.

- Odniosłam takie wrażenie. - Joanna pokiwała głową. - Ale wiesz, może to śmieszne, jednak większość osób, z którymi rozmawiałam, twierdziła, że ledwie ją znały. Czy była aż tak nieśmiała?

- Nieśmiała? Nie. Powiedziałbym raczej wyciszona. Wyszła za męża zaraz po szkole, a potem... poza matkowaniem Regan, co zresztą sprawiało jej przyjemność, o niewielu sprawach w życiu mogła decydować.

Joanna wystraszyła się nie na żarty, zarówno jego słowami, jak i nieukrywaną złością w głosie. Czy wywołało ją życzliwe zainteresowanie kobietą, które poruszyło w nim czułą strunę? A może Cain Barlow znał Caroline McKennę znacznie lepiej, niż wiedziały miejscowe plotkarki?

Zanim jednak udało się jej sformułować jakieś pytanie, rozmowę przerwało im zjawienie się Amber Wade, która przyszła ścieżką od strony „Gospody”, ubrana jak zwykle w króciutkie szorty i buty na bardzo wysokich obcasach. Kołysała biodrami prawdopodobnie bardziej, niż miała zamiar, a to z powodu nierównego terenu.

- Och - odezwała się, kiedy do nich podeszła. Posłała Joannie nieprzyjazne, wyzywające spojrzenie, po czym natychmiast obdarzyła Caina promiennym uśmiechem. - Myślałam, że będziesz sam, Cainie - dodała jakby od niechcienia.

- Panna Flynn zatrzymała się na chwilę - odpowiedział. - Czy panie się znają?

- Oficjalnie nie - Joanna przejęła inicjatywę, zwracając się do niej per ty. - Obie mieszkamy w „Gospodzie”. Witaj, Amber.

- Cześć. Widziałam cię tu i tam. - Amber spojrzała na obraz. - Och, jaki śliczny.

- Dzięki - powiedział Cain, nieznacznie się uśmiechając.

- Chciałabym, żebyś mnie namalował. Och, Cain, dlaczego mnie nie namalujesz?

Dopiero po chwili Joanna zorientowała się, że Amber powtarza „och” tak często, bo wtedy jej usta układają się jak do pocałunku. Zrozumiała też od razu, że Cain jest nachalnie podrywany przez dziewczynę, która gotowa była dać mu wszystko na pierwsze skinienie.

- Nie maluję osób pomiędzy trzynastym a dwudziestym rokiem życia - odrzekł trochę rozbawiony.

- Dlaczego? - Amber wyglądała na zmieszaną.

- Bo wtedy się rośnie. Forma zmienia się z dnia na dzień. Przeniesienie tego na płótno to beznadziejny trud.

Amber była zbyt młoda, by ukrywać cokolwiek, w tym także rozczarowanie i brak zrozumienia.

- Och, ale...

- A może odprowadzę panie do hotelu? - zaproponował. - Robi się późno, a poza tym i tak mam się tam spotkać z Holly.

Joanna chciała powiedzieć, że ma ochotę iść dalej wzdłuż wybrzeża, zanim wróci do „Gospody”, ale krótkie spojrzenie błyszczących zielonych oczu przekonało ją, że Cain potrzebuje pomocy. Zadowolona, że sama dawno już skończyła osiemnaście lat, wymamrotała, że z chęcią skorzysta z eskorty. Zauważyła milczącą wściekłość Amber.

- Dajcie mi pięć minut na schowanie tego wszystkiego - powiedział.

- Pomóc ci? - zapytała Joanna.

- Nie, dziękuję. - Mówiąc to, zniknął w letniskowym domku z obrazem w jednej ręce, a sztalugami i resztą rzeczy w drugiej.

- Tworzą z Holly ładną parę, nie uważasz? - Joanna zwróciła się do młodszej od siebie dziewczyny. Ciekawiło ją, czy Amber wie o ich związku.

- Ona go nie docenia - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Nie?

- Nie. Jest bez przerwy zajęta i... ciągle ma kwaśną minę.

Joanna nie zadała sobie trudu, by zwrócić jej uwagę, że gdyby Amber lepiej przyjrzała się tej kwaśnej minie, bez wątpienia pojęłaby, że sama jest jej przyczyną, ponieważ kręci się bez przerwy w pobliżu Caina - prawdopodobnie zbyt blisko jak na gust Holly.

- No cóż, obserwator z zewnątrz nigdy w pełni nie zrozumie więzi łączących mężczyznę i kobietę. Mam rację?

- Jestem bardzo spostrzegawcza - pochwaliła się Amber. - Nawet w sprawach psychiki.

Joannie udało się zachować poważną minę.

- Rozumiem. Uważasz, że Cainowi potrzebna jest... zmiana przyjaciółki?

Amber spiekła raka, a Joannie trudno było stwierdzić, czy dziewczyna szczerze wierzyła, że nikt nie zauważył jej zalotów, czy też nie podobała się jej śmiałość rozmówczyni.

- Ja... - zaczęła i uniosła brodę - na pewno wspierałabym i doceniała jego artystostwo.

Zachowanie powagi stawało się coraz trudniejsze, mimo to Joanna próbowała. Oparła

się pokusie, by powiedzieć Amber, że jeśli oczywiście nie uważa Caina za kiepskiego twórcę, ma na myśli wspieranie i docenianie jego arcyzmu, nie zaś „artystostwa”. A może po prostu uwielbianie jego sztuki.

W tej samej chwili Cain wyszedł z domku, zaoszczędzając Joannie konieczności odpowiadania. Ruszyli w kierunku hotelu. Ścieżka okazała się za wąska dla nich trojga, mimo to Amber trzymała się niemal kurczowo prawej strony Caina, a ponieważ rozmawiał głównie z Joanną, turystka z Atlanty musiała iść dość blisko jego lewego boku.

Nie wiedzieć kiedy Cain stał się trochę niegrzeczny i niemal protekcyjnie traktował Amber. Zaczynając ożywioną dyskusję o bieżącej polityce w Stanach Zjednoczonych, dał jej delikatnie do zrozumienia, że choćby wyszła ze skóry, nie dorówna ani jemu, ani Joannie. Nie zgodził się z Joanną w kilku sprawach, co jeszcze bardziej podgrzało atmosferę. Kiedy dochodzili do hotelu, na twarzy Amber malowała się frustracja pomieszana z głęboką urazą.

- Do zobaczenia, Amber - powiedział Cain uprzejmie, choć bez wątpienia obojętnym tonem. - Joanno, jak możesz twierdzić, że ten nowy projekt ustawy jest choćby w najmniejszym stopniu konieczny...

- Cześć, Amber. Daj spokój, Cain, oczywiście, że jest konieczny. Władze poszczególnych stanów muszą się zgodzić na to rozwiązanie. Są miliony przepisów i wszystkie wprowadzają jedynie zamieszanie. Bez czegoś w rodzaju wspólnego mianownika będzie jeszcze więcej żałosnych procesów, ciągnących się latami... - Joanna spojrzała ponad jego ramieniem i dodała sucho: - Już poszła.

- Strasznie nie lubię tego robić. - Cain westchnął. - Holly mówi, że łatwo złamać osiemnastoletnie serce.

- To prawda - zgodziła się Joanna. - Ale rzadko rozpryskuje się na tysiąc kawałków. Przy tym równie łatwo się goi, jak pęka. Boże, ona jest taka młoda.

- Wręcz dziecinna jak na osiemnastolatkę. Wiem. Dziękuję, Joanno. Już drugi raz zjawiała się u mnie. Za pierwszym razem byłem w domu i po prostu nie otworzyłem drzwi, kiedy pukala.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. - Joanna nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. - Wiesz może, jak długo ona i jej rodzice mają zamiar tu zostać?

- Jeszcze tydzień lub coś koło tego. Gdyby było lato, przyjechałoby trochę młodzieży w jej wieku. Ale jest październik, ona się nudzi jak mops, więc nabiła sobie głowę...

- Tak, wiem, artyści to takie romantyczne postacie - Joanna dokończyła zdanie za niego.

- Co jest zmorą naszej egzystencji - wyznał, smutno patrząc.

- Aha, masz rację. Zdaję sobie sprawę, że to ogromny ciężar - powiedziała z udawanym współczuciem. - Ale cóż poradzić, sam musisz go dźwigać, bo ja chyba już pójdę. Cieszę się, że cię poznałam, Cainie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Joanno - odparł.

Pomachała mu ręką na pożegnanie i poszła przez hol w kierunku wind, uznając, że nie ma nic dziwnego w tym, że Holly i Amber uległy fascynacji malarzem. Miał sporo uroku. Nadal jednak nie wiedziała, z jakiego powodu widziała we śnie jeden z jego obrazów i co go łączyło z Caroline. Byli przyjaciółmi? A może kochankami?

Było sobotnie popołudnie, kiedy Griffin znalazł Joannę siedzącą na ławce w miejskim parku. Na jej kolanach spał szczeniak cocker spaniela. Obok ławki leżały płócienna torba, kij baseballowy, brudna piłka do softballu i trzy podniszczone rękawice do baseballu. Joanna opierała jedną nogę o ogromną dynię.

- Tylko nie mów, że jego też kupiłeś - powiedział, siadając obok niej.

- Nie, po prostu się nim opiekuję - Joanna odrzekła poważnym głosem. - Wygląda na to, że harmonogram zajęć softballistów, amatorów rzeźbienia w dyniach i miłośników puszczania latawców został zakłócony przez chęć zysku. Pan Webster zaproponował grupce dzieciaków pięć dolarów za grabienie trawnika. Wszyscy poszli jak jeden mąż. A ponieważ Travis był na to za mały, obiecałam, że go popilnuję.

Griffin domyślił się od razu, że chodzi o niewielką grupę dzieci zwykle bawiących się o tej porze w parku. Pokiwał lekko głową.

- W tej dyni nikt nie rzeźbił - zauważył.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że miały zamiar to robić, taki rodzaj ćwiczenia przed Halloween, ale okazało, że nikt nie ma noża. Ich mamy o to zadbały. I nikt nie miał latawca, dlatego potrzebne im było te pięć dolarów.

- Aha. A jak ty się w to wplątałaś?

- Przystanęłam, żeby karmić ptaki i nie wiedzieć kiedy zostałam opiekunką psa. A tak przy okazji, czy ktoś zwrócił uwagę na odbicia piłek Jasona Riordana? Chłopak ma sporą siłę w rękach.

- O ile wiem, jego ojciec i ja - odpowiedział obojętnie. - Umiejętność odbijania piłek przez Jasona będzie z pewnością rozwijana.

Joanna uśmiechnęła się nieznacznie i spojrzała na Trávisa leżącego na jej kolanach. Leniwie bawiła się długim jedwabistym uchem szczeniaka.

- Podoba mi się to miasteczko. - Powiedziała to, czego się po niej spodziewano.

- Już się nie nudzisz?

- Absolutnie. Mówiłam ci, że wiodę spokojne życie, choć mieszkam w dużym mieście. Dobrze się tu czuję.

- Zwłaszcza jeśli zakupy należą do udanych. Słyszałem, że znowu kupiłaś wczoraj kilka pamiątek.

- I każda z nich to prawdziwe cacko - odparła swobodnie, zastanawiając się, jak by zareagował na opowieść o denerwujących wydarzeniach z tego ranka. Ale pewnie i tak wszystko o tym wiedział.

- Blokada drzwi też? - W jego głosie zabrzmiało uprzejme zaciekawienie. - Moim zdaniem w każdym domu powinno być coś do blokowania drzwi, ale trzydziestocentymetrowy bóbr z kutego żelaza może być trochę kłopotliwy w czasie podróży samolotem.

- Myślałam, żeby wysłać go pocztą - wymamrotała Joanna. Tak, z pewnością wie o wszystkim, pomyślała.

Griffin skinął głową. Nawet się nie uśmiechnął.

- Przypuszczam, że pasuje do wystroju mieszkania w Atlancie?

- Idealnie.

Nadal znęcałby się nad dumą Joanny, gdyby nie członkowie klubu rzeźbienia w dyni i puszczania latawców, którzy zjawili się w parku i zażądali zwrotu swoich rzeczy. Trochę czasu zajęła im decyzja, kto będzie niósł do domu ciężką dynię. Ostatecznie Griffin rozstrzygnął spór, obiecując, że przyszły maskaron zostanie bezpiecznie dowieziony do szkoły w poniedziałek rano, gdzie rzeźbienie odbędzie się pod okiem nauczyciela.

- Bardzo dyplomatyczne posunięcie - skomentowała Joanna, kiedy dzieci już poszły, zabierając też śpiącego szczeniaka. - Sam zawieziesz dynię?

- Prawdopodobnie.

Joanna odchrząknęła, wstała z miejsca i podniosła z ziemi płócienną torbę, której dziś używała zamiast torebki.

- Zostawisz ją tu do tego czasu?

- Mogłaby spokojnie poczekać - wyjaśnił, idąc obok Joanny, kierującej się ku Main Street. - Dokąd się wybierasz? Na dalsze zakupy?

- Niezupełnie. Idę do sklepu z żelastwem zwrócić gwoździe.

- Zła wielkość? - spytał uprzejmie.

- Och, pomyślałam po prostu, że wystarczy pudełko uszczelek.

- Do czego?

- Do tego samego co gwoździe. - Posłała mu niewinne spojrzenie.

Griffin nie bardzo wiedział, czy westchnąć, czy się roześmiać.

- Joanno...

- Jesteś dziś na służbie? - zapytała, nie pozwalając mu dokończyć.

- Nie mam służby, ale muszę być pod telefonem. Dlaczego pytasz? Potrzebujesz pomocy przy wyborze uszczerek?

- Nie, byłam tylko ciekawa, czy szeryf pracuje w weekendy.

- Tylko wtedy, gdy musi. - Griffin popatrzył na nią, zastanawiając się, z jakiego powodu Joanna wygląda tak dobrze w dzinsach i zbyt obszernym swetrze, skoro Caroline w takim stroju przypominała małą dziewczynkę. To było najdziwniejsze. Niesamowite, ale jej oczy miały tyle wyrazu, podczas gdy oczy Caroline były po prostu ciemne i widać w nich było jedynie spokój. Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że podobieństwo łączące obie kobiety nie jest aż tak duże, jak początkowo uważał on i inni mieszkańcy Cliffsida.

- Mój Boże, to pani!

Weszli właśnie na chodnik Main Street i oboje odwrócili się zaskoczeni. W ich stronę niemal biegł trzydziestokilkuletni mężczyzna, średniego wzrostu o miłych rysach twarzy i rudawych włosach. Wpatrywał się w Joannę. Było jasne, że jest przerażony.

Griffin popatrzył na Joannę akurat w chwili, gdy posyłała mu szybkie spojrzenie. Coś ścisnęło go w środku. W jej złotobrzowych oczach dostrzegł, że rozpoznała tego człowieka i miała poczucie winy.

- Tak myślałem, że to musi być pani - powiedział Dylan York, gdy znalazł się przy nich. - Kiedy dziś rano wróciłem do domu i wszyscy o pani mówili, wspominali, że jest pani z południa...

- Znacie się? - zapytał Griffin grobowym tonem.

- Niezupełnie - wyszeptała Joanna.

Dylan wyciągnął rękę i przedstawił się, wyjaśniając szeryfowi:

- Widziałem panią w Atlancie. Lyssa i ja natknęliśmy się na panią i oboje bez zastanowienia zwróciliśmy się do niej per Caroline. To był szok, rozumiesz? Oczywiście prawie natychmiast zdaliśmy sobie sprawę z pomyłki, ale samo przeżycie wytrąciło nas z równowagi. Miło panią poznać, Joanno. Naprawdę. Niemal wmówiłem sobie, że jest pani wytworem mojej wyobraźni.

- Cieszę się... że istnieję - odpowiedziała, uśmiechając się lekko.

- To, że jesteś w Cliffsida, Joanno, nie może być przypadkiem - powiedział, puszczając jej rękę. - Czy mogę ci mówić po imieniu?



- Oczywiście - zgodziła się, nie patrząc na niego, co Griffin zauważył już w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Dylana, a w jej oczach pojawiło się poczucie winy.

- Świetnie. Mam na imię Dylan. Lyssa chyba mi nie uwierzy. Oboje pracujemy dla Scotta McKenny, wiesz?

- Słyszałam - skwitowała Joanna. - Co do powodu mojej wizyty w Cliffside... uznajmy, że byłam ciekawa.

- Kupuję. - Dylan zmarszczył czoło. - Ale skąd wiedziałaś, gdzie jechać? Przecież ani ja, ani Lyssa nie wymieniliśmy nazwiska Caroline ani nazwy miasta. Nie wiedziałaś też, kim jesteśmy, bo się nawet nie przedstawiliśmy. Żadne z nas nie powiedziało nic więcej poza imieniem Caroline. Jak wpadłaś na to, żeby przyjechać do Cliffside?

To najlepsze pytanie, jakie ostatnio słyszałam, pomyślała.

Griffin czekał na jej odpowiedź, nie był jednak wcale zaskoczony, kiedy wykręciła się sianem.

- Pewnie nie wierzysz w przeznaczenie, co, Dylanie? Ja właśnie zaczynam. - Uśmiechnęła się.

W widoczny sposób oczarowany jej uśmiechem, Dylan zaczął mówić:

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale...

- Czasami miasto, gdzie trafiasz przez przypadek - weszła mu w słowo - jest właśnie tym miejscem, którego szukałeś. Mam przyjaciółkę, która twierdzi, że życie przebiega według ustalonego schematu i czasami robimy coś bezwiednie. Przypuszczam, że w ten sposób znalazłam się tutaj.

- W porządku - powiedział Dylan najwyraźniej zdumiony. - Ale jak...

Zapewne uznał, że złapał ją na haczyk, i nie miał, zdaje się, zamiaru popuścić, ale Griffin nie wytrzymał:

- Dylanie, czy to nie twój samochód blokuje dwa miejsca do parkowania? Co się z tobą dzieje?

- Do licha, Griff, zobaczyłem Joannę i...

- Joanna nie wyjeżdża dzisiaj z Cliffside, później możesz z nią porozmawiać. Jeśli jednak któryś z moich ludzi będzie akurat przejeżdżał i zobaczy, że nieprawidłowo parkujesz...

- Dobrze, już dobrze. Naprawdę chciałbym z tobą jeszcze porozmawiać, Joanno.

- W każdej chwili.

Griffin patrzył, jak mężczyzna uniósł rękę i ruszył w kierunku samochodu. A potem, nie zwracając uwagi, co ludzie sobie pomyślą, położył rękę na ramieniu Joanny i obrócił ją

twarzą do siebie.

- Do rzeczy, Joanno. - Jego głos stał się trochę zachrypnięty. On sam prawdopodobnie wyglądał na zdenerwowanego, ale czy ktoś to zauważy, guzik go obchodziło. W tej chwili interesowało go jedynie uzyskanie kilku odpowiedzi.

Joanna pokiwała nieznacznie głową i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Widzisz, wiedziałam, że tych dwoje ludzi, którzy nazwali mnie w Atlancie imieniem Caroline, musi pochodzić z Cliffside. Musieli tu mieszkać. I musieli ją znać. W Atlancie nie znaleźli się przypadkowo. To wszystko miało sens. Zresztą tylko to miało sens. A to oznaczało oczywiście, że w końcu tu wrócą. Miałam jedynie cichą nadzieję, że nie nastąpi to tak szybko.

Griffin potrząsnął nią - nawet nie próbował być delikatny.

- Do jasnej cholery! Joanno! Chcę wiedzieć, co tu robisz!

- Już ci mówiłam, co robię. Jestem na wakacjach i staram się dowiedzieć czegoś o Caroline. - Jej głos był spokojny, patrzyła na Griffina bez lęku. - Chcesz zadzwonić do biblioteki, gdzie pracuję, i zapytać, czy dostałam urlop? Dam ci nazwisko szefowej.

Nie dał się zbić z tropu.

- Przyjechałaś tu celowo, prawda? Przyjechałaś, wiedząc, że wyglądasz jak kobieta, która zmarła.

Joanna zawahała się, ale w chwilę później potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak. Wiedziałam, że jestem podobna do Caroline po tym, jak Dylan i Lyssa wzięli mnie za nią. I... dowiedziałam się, że zginęła. To jeden z powodów, dla których przyjechałam.

Griffin wpatrywał się w nią, usiłując coś z tego zrozumieć.

- Skąd wiedziałas, kim była Caroline i skąd pochodziła? Jak wpadłaś na to, że zginęła?

Joanna rozejrzała się dookoła, jakby czuła na sobie spojrzenia obcych ludzi, a potem skierowała wzrok na niego. Nie była już tak opanowana. Robiła wrażenie zaniepokojonej i czującej.

- Dowiedziałam się.

- Jak?

- Z gazet i publicznych archiwów.

- Joanno, skoro znałaś jedynie jej imię, jak, do diabła, mogłaś wpaść na coś więcej?

- Nawet gdybym ci powiedziała i tak byś mi nie uwierzył.

- Daj mi szansę.

- Dobrze. - Joanna uniosła brodę. - Niech to szlag. Zaczęłam mieć co noc ten sam sen, raz za razem. W tym śnie zobaczyłam drogowskaz, na którym było napisane „Cliffside”.

Kiedy ostatecznie udało mi się zlokalizować miasteczko, natrafiłam w gazecie na jej zdjęcie i nekrolog. Właśnie wtedy postanowiłam tu przyjechać.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał powoli, ani trochę nie przekonany do jej wersji wydarzeń.

- Czego nie powiedziałam? Że przejechałam pięć tysięcy kilometrów, żeby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o zmarłej kobiecie, bo jestem do niej podobna i dlatego, że...

- Dlatego że...

- Dlatego, że o ile wiem, obie umarłyśmy tego samego dnia. Tyle że ja miałam więcej szczęścia. Przywrócili mnie do życia. Tamtej nocy po raz pierwszy śniłam o Cliffside.

## Rozdział szósty

- Co sobie wszyscy pomyślą? Że mnie aresztowałeś? - Joanna usiadła ponownie na krześle w biurze Griffina. Tak naprawdę niewiele ją to obchodziło, poza tym wątpiła, by się do tego posunął.

- Pomyślałem, że to najbliższe miejsce oferujące trochę prywatności - powtórzył słowa, które usłyszała, kiedy kwadrans wcześniej ją tu przyprowadził.

Po przyjściu Griffin zamknął drzwi i jak do tej pory nie przeszkadzał im jego zastępca ani nikt inny.

- Twoje zachowanie wywoła nową falę plotek - odezwała się Joanna, myśląc przy tym: Założę się, że teraz nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. - Wyglądałeś na strasznie wkurzonego.

- Uważam, że miałem powód, żeby się wściec jak cholera - odrzekł nadal zachrypniętym głosem.

- Przeprosiłam cię już. Przepraszam, że do tej pory nie mówiłam ci całej prawdy, ale po prostu nie chciałam wyjść na wariatkę. - Patrzyła na niego uważnie, marszcząc czoło. - A ponieważ nadal nie wiem, co o tym myślisz, pewnie miałam rację.

- Sam nie wiem, co myśleć. - Griffin pokiwał głową bez uśmiechu. - To najdziwaczniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem, Joanno. Wprost niewiarygodna zbieżność waszego podobieństwa i wypadków samochodowych w miejscach oddalonych o ponad pięć tysięcy kilometrów, niemal w tym samym czasie...

- Dokładnie w tym samym czasie - wtrąciła Joanna stanowczo. - Powiadasz, że lekarze nie potrafili ustalić precyzyjnie czasu śmierci Caroline, że nastąpiło to tamtego dnia pomiędzy godziną dwunastą a trzynastą. Miałam na ręku zegarek w chwili, kiedy przewód wysokiego napięcia uderzył w samochód. Zegarek i moje serce zatrzymały się dokładnie o piętnastej trzydzieści pięć. Oczywiście czasu na Zachodnim Wybrzeżu.

Griffin zakasłał.

- Caroline też miała zegarek na rękę. Nie nosił żadnych śladów uszkodzeń po wypadku, dlatego nie można było polegać na nim przy ustalaniu godziny zgonu, ale... jego wskazówki zatrzymały się o dwunastej trzydzieści pięć.

Joanna splótła palce i patrzyła na nie przez moment, w chwilę później spojrzała na Griffina. Spodziewała się czegoś takiego, a mimo to potwierdzenie domysłu zaszokowało ją.

Ona i Caroline naprawdę umarły w tym samym czasie.

- Tego nie mogłam wiedzieć - zaczęła ostrożnie. - Nie napisali o tym w żadnym artykule.

- To prawda.

- A zatem... - Pokiwała głową. - Caroline i ja jesteśmy łącznie podobne, urodziłyśmy się w odstępie trzech dni i dwadzieścia dziewięć lat później obie miałyśmy wypadek samochodowy. Po katastrofie nie miałam nawet zadrapania, ale kabel zerwany w tym czasie dotknął karoserii i zostałam porażona prądem o piętnastej trzydzieści pięć. Bardzo możliwe, że Caroline właśnie wtedy umarła. Sanitariusze przywrócili mnie do życia. Caroline nie miała tyle szczęścia.

- Tamtej nocy miałaś ten sen po raz pierwszy?

Joanna opowiedziała mu już ze szczegółami, co widziała we śnie. Skinęła potakująco głową.

- Tamtej nocy. Od tego czasu powtarzał się całymi tygodniami i musiałam coś z tym zrobić. - Nie wspomniała jednak o palącej potrzebie przyjechania do Cliffside, wewnętrznym przymusie nie do odparcia. Teraz również to przemilczała. Griffin i tak uważał ją za szurniętą, więc nie było sensu jeszcze się pograżać. - Właśnie kiedy usiłowałam zlokalizować Cliffside, po raz drugi w Atlancie ktoś, jak przypuszczam Lyssa Maitland, na mój widok zareagował, nazywając mnie Caroline. Zaraz potem natrafiłam na nekrolog Caroline i...

- Zdecydowałaś się tu przyjechać. Z powodu snu.

- Z wielu powodów.

- Czy naprawdę wierzysz, że Caroline komunikuje się z tobą zza grobu?

Mimo że Joanna sama nie była pewna, co o tym myśleć, aż zazgrzytała zębami, słysząc nieukrywany sceptycyzm w jego głosie.

- Nie mam pojęcia o życiu pozagrobowym. Może nie ma czegoś takiego. Przynajmniej tak uważałam przed pierwszym lipca, myślałam, że śmierć to po prostu koniec. Nie wierzyłam w istnienie czegokolwiek, jakiegokolwiek formy bytu po śmierci. Teraz niczego nie jestem pewna, przynajmniej w tej sprawie. A może nie o to chodzi. Może... może powstał rodzaj dziwnego zespolenia między nią a mną, połączenie spowodowane podobieństwem. Niewykluczone, że każdy z nas ma gdzieś w świecie sobowtóra i jesteśmy z nim połączeni w sposób, którego nigdy nie zrozumiemy. Nie wiem. Wiem jedynie, że pierwszego lipca powróciłam do świata żywych, a ona nie. Wiem też, że nawet gdybyśmy wcześniej nie były powiązane, to tego dnia w jakiś sposób odnalazłyśmy się nawzajem. W tamtym momencie. Nie potrafię lepiej tego wyjaśnić, szeryfie.

Nawet jeśli lodowaty ton jej głosu zrobił na nim wrażenie, Griffin tego nie okazał.

- Uważasz, że ona czegoś od ciebie chciała?

- Myślę, że się bała. Moim zdaniem bardzo cierpiała na długo przed tym, zanim samochód stoczył się ze skarpy. Mam wrażenie, że w twoim uroczym miasteczku dzieje się coś niedobrego. - Joanna wzięła głęboki wdech. - Oczywiście nie mam żadnego dowodu na poparcie tego, co powiedziałam.

Griffin pokiwał głową.

- Założmy, że masz rację. - W jego głosie nadal pobrzmiwał sceptycyzm. - Założmy, że Caroline czegoś się bała, że była nieszczęśliwa. Ale ona nie żyje, Joanno. I ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie tego zmienić. Co w takim razie chcesz osiągnąć, próbując czegoś się o niej dowiedzieć?

- Dzieje się tu coś niedobrego - powtórzyła. - Nie wiem co. Nie wiem, kogo dotyczy. Nie wiem, dlaczego nie pakuję walizek i po prostu nie zostawiam tego wszystkiego. Wiem jedynie, że muszę tu być. Próbuję zrozumieć, kim była Caroline, jakie prowadziła życie. Nie mam wyboru.

- Zawsze jest jakieś inne wyjście - wtrącił obcesowo Griffin.

- W niektórych sprawach, ale nie w tej. Nigdy w życiu nie byłam czegoś tak pewna. Przykro mi, że tego nie rozumiesz.

- A jak niby mam zrozumieć? Mówisz o bardzo subiektywnych wrażeniach. Uczuciach, przeczuciach, wierze. Nie ma w tym niczego, o czym mógłbym powiedzieć: „Tak, to jest rzeczywiste”.

Joanna wychyliła się do przodu, oparła łokcie o blat biurka i powiedziała:

- Ja tu jestem. Jestem realna. Wyjaśnij to.

Mimo naprawdę ogromnej chęci wytłumaczenia wydarzeń Griffin mógłby stwierdzić jedynie, że nastąpił nieprawdopodobny zbieg okoliczności - ale gdyby to zrobił, nazwałby ją kłamczucha. Na to zaś nie miał specjalnej ochoty. Pozostawał jeszcze fakt, że jeśli rzeczywiście przyjechała tu w jakimś celu, coś pomogło jej w ukierunkowaniu poszukiwań Caroline. W przeciwnym razie, jego zdaniem, nigdy nie odnalazłaby tej miejsciny. Oczywiście, sprawdzi tę historyjkę, jeśli to będzie możliwe, niemniej w razie gdyby Joanna nie popełniła jakiejś fatalnej gafy - jak na przykład przekupienie szefowej Dylana i Lyssy - znalezienie czegokolwiek, co potwierdzałoby lub obalało jej opowieść, uznał za niemożliwe.

- Dobrze więc - powiedział ostatecznie, zdziwiony niechęcią w swoim głosie. - Przyjmuję do wiadomości, że przyjechałaś tu z powodu drogowskazu ze snu. Nie podoba mi się to, ale trudno. Pogodzę się nawet z tym, że uważasz, jakoby coś niedobrego działo się lub

dzieje w mieście. Od wielu dni zagadujesz ludzi o Caroline. Natknęłaś się choćby na ślad tego, że coś jest nie tak?

Joanna zawahała się, bo zamierzała spytać, czy przestrzegł mieszkańców, by z nią nie rozmawiali. Nie była jednak na to gotowa. Może nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

- Prawdę mówiąc, nie. Niejasne przeczucia, jednak nic konkretnego. Regan myśli, że jej mama czegoś się bała, ale nie musisz mi przypominać, że dziewczynka jest zrozpaczona, więc wszystko może jej przyjść do głowy. Usłyszałam kilka rzeczy o Caroline, które mnie zainteresowały, tyle że nie było w nich nic szczególnego. Niewykluczone, że małżeństwo McKenna nie należało do najlepszych, a może też po prostu nie znała się zbyt blisko z wieloma miejscowymi ludźmi, ale najpewniej kochała córkę i prowadziła aktywne życie.

- Co z tego?

- Nie wymagaj ode mnie logicznego myślenia - odpowiedziała, usiłując nie zdradzić napięcia i zdenerwowania, jakie ją opanowały. - To niemożliwe. Mam jednak niezachwianą pewność, że gdzieś tu jest odpowiedź, po prostu jeszcze na nią nie natrafiłam. Prawdopodobnie dlatego, że szukam w złym miejscu. - Przerwała na chwilę, usiadła prosto na krześle i dodała z niechęcią w głosie: - No i jeszcze ty tu jesteś.

- Ja? O co ci chodzi? - spytał zaskoczony.

- Kochałaś Caroline? - Joanna nie spuszczała z niego wzroku.

Nie robił wrażenia oburzonego albo złego, nie był też zaskoczony. Popatrzył na nią przez moment, jakby spodziewał się tego pytania, odpowiedział:

- Nie, nie kochałam.

Joanna mu nie uwierzyła.

- W takim razie musi być inna przyczyna.

- Czego?

- Tego, jak wyglądasz, kiedy o niej mówisz. Brzmienie głosu. Nie znam cię dobrze, Griffinie, ale potrafię wyczuć cierpienie, gdy się na nie natknę. A w tobie je wyczuwam. Głęboko cię dotknęło coś związanego z Caroline albo jej śmiercią. - To nie było pytanie. Wpatrywała się w niego i czekała. Przez chwilę nie była pewna, czy w ogóle zareaguje, ale ostatecznie Griffin zaczął mówić.

- Caroline przysłała mi wiadomość tamtego ranka. Prosiła, żebyśmy się spotkali w starej stodole niedaleko autostrady biegnącej wzdłuż wybrzeża. W południe.

Joannę ogarniało coraz większe napięcie, choć z obojętnego tonu głosu i wyrazu oczu Griffina niewiele mogła wyczytać. Co czuł w związku z tym? Wzięła głęboki wdech i zapytała ostrożnie:

- Często tak robiła?

- Nie, do cholery. Nic nas nie łączyło.

Nadal mu nie wierzyła. Jego słowa zdawały się mówić jedno, a łamiący się głos i zamglone oczy - drugie.

- Dlaczego więc chciała się z tobą spotkać w tak dziwnym miejscu?

- Nie wiem.

- Nie powiedziała ci...

- Nie spotkałem się z nią. - Opanowanie przychodziło Griffinowi z widocznym trudem. Chwilę milczał, a kiedy trochę się uspokoił, dodał: - Wskoczyło mi coś pilnego i kiedy się zorientowałem, było już dobrze po dwunastej. Pomyślałem, że nie czekałaby tak długo, dlatego nawet tam nie pojechałem.

- Popraw mnie, gdybym się myliła - powiedziała Joanna, nadal starając się postępować bardzo powściągliwie. - Odnoszę wrażenie, że nie przywiązywałeś specjalnej wagi do jej prośby.

- Nie, nie mylisz się. - Skrzywił się.

- Skoro nie wiedziałeś, czego to spotkanie mogło dotyczyć...

- Wybrała dziwne miejsce, ale nic nie wskazywało, że to coś wyjątkowo pilnego. Kiedy teraz myślę o tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że jechała do Portlandu lub gdzie indziej, a stodoła znajdowała się po drodze. Ale czego mogła chcieć? Udzielała się w kilku komitetach i nie po raz pierwszy zdarzyłoby się jej porozmawiać ze mną na przykład o zapewnieniu porządku albo o tym, jakie pozwolenia musi zdobyć, żeby zorganizować sponsorowany karnawał komitetu rodzicielskiego.

- Czy z takimi sprawami nie przyszłaby raczej do biura?

- Nie mam pojęcia. Tak, prawdopodobnie. Jezu, skąd mam wiedzieć, o czym chciała ze mną rozmawiać?

Joanna słyszała w jego głosie poczucie winy i wyrzuty sumienia. Pomyślała, że chyba wie, co jest ich przyczyną..

- Jesteś przekonany, że gdybyście się spotkali, ona by nie zginęła, prawda?

- Uważam, że... powinienem tam być. Gdybym się z nią spotkał przy starej stodole w południe, najprawdopodobniej nie pędziłaby na złamanie karku szosą nad urwiskiem o wpół do pierwszej.

- Tego nie możesz być pewny.

- Nie, ale dam głowę, że tak by było.

- Chodzi o coś jeszcze, coś, co cię martwi - powiedziała Joanna po chwili milczenia, w



czasie której próbowała czytać w jego twarzy. - Co to jest?

- Wtedy gdy to się działo, nie było niczego takiego. - Griffin westchnął. - Ale teraz, gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że Caroline była... roztrzęsiona przez ostatni tydzień, dwa przed wypadkiem. Znacznie bardziej niż zwykle.

Joanna wyprostowała się na krześle.

- Czy to oznacza, że przez cały czas, kiedy powtarzałam, że coś tu jest nie w porządku, zgadzałeś się ze mną?

- Nie, nie to miałem na myśli. Tutaj nic się nie działo, Joanno. Nie istniał żaden spisek dotyczący Caroline. Była po prostu roztrzęsiona. Coś musiało ją gnębić i chciała ze mną o tym porozmawiać. To mogło być wszystko...

- Wszystko, co bardziej niż zwykle wytrącało ją z równowagi?

- Joanno, nie zauważyłem, żeby wtedy działo się coś poważnego. Do licha, nikt tego nie dostrzegł. Życie toczyło się zwykłym trybem...

- Jakiś człowiek spadł z urwiska niewiele wcześniej - powtórzyła.

- Mówiłem ci, że to się zdarza co parę lat. Dlaczego łączysz to ze śmiercią Caroline?

- Bo wydarzyło się mniej więcej w tym samym czasie co jej wypadek, szukam w tym... dramaturgii. Katalizatora. - Joannie przypomniał się sen z dziewczyną spadającą w przepaść. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że coś przeoczyła. Nie sam fakt, że kobieta zleciała, ale to, że ktoś został popchnięty. - Przypuszczam, że w przypadku tego mężczyzny nie wykryto żadnych śladów świadczących, że to nie był wypadek. Morderstwa nigdy nie brano pod uwagę?

Griffin wpatrywał się w nią przez moment, ale jego niedowierzenie tym razem okazało się nieporównywalnie mniejsze, niż mogłoby być kilka godzin wcześniej.

- Nie.

- Sprawdziliście go?

- Z jakiego powodu? Tylko dlatego, że zginął w Cliffside?

- Griffin...

- Był turystą. Mieszkał w „Gospodzie” niecały tydzień, kiedy podszedł zbyt blisko krawędzi urwiska i spadł. To wszystko.

Joanna delikatnie pomasaowała skronie. Zaczynała ją boleć głowa, czym zresztą nie była zdziwiona. Spróbowała się skoncentrować.

- Turysta. Przyjechał sam?

- Sam. Czy to ma znaczenie? Źle wróży? Ty też jesteś tu sama.

Ponownie zagryzła wargi, nie dopuszczając, by jego sarkazm zbił ją z tropu.

- I zachowywał się jak zwyczajny turysta?

- Nie kupił żelaznego bobra.

- Griffinie!

- A jak zachowuje się zwyczajny turysta?

- Zajmuje się rzeczami, jakie zwykle robią tu samotni mężczyźni. Przyjechał, żeby robić piesze wycieczki? Podziwiać krajobraz? Słyszałam, że świetnie biorą tu ryby. Miał ze sobą sprzęt wędkarski?

- Nie mam pojęcia. Posłuchaj, o ile pamiętam, facet był zupełnie przeciętny. Nikt nie rozmawiał z nim dłużej, ot, ograniczał się do wymiany uprzejmości. Przywiózł tu ze sobą całkiem sporo dokumentów własnej firmy. Kiedy zadzwoniłem do jego siostry w San Francisco, przyjechała i zażądała wydania ciała. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, Joanno.

- Czy Caroline go znała?

- Nikt tu go nie... - Przerwał i zmarszczył czoło.

- Co?

Jeszcze bardziej się nachmurzył. Palcami jednej ręki bębnił po biurku. A potem pokiwał głową.

- Jezu Chryste! Pytasz mnie o najzwyczajniejsze rzeczy. Fakt, że na kilka dni przed wypadkiem Scott krótko rozmawiał z tym gościem w mieście, nie oznacza, że to jakaś diabelska sprawka.

- Scott McKenna?

Griffin potwierdził skinieniem głowy, nadal nachmurzony.

- Wpadli na siebie przed którymś sklepem. Wymienili kilka słów. Stałem zbyt daleko, więc nawet gdybym zwrócił na to większą uwagę i tak niczego bym nie usłyszał.

- To... łączy go z Caroline - doszła do wniosku Joanna.

- Naprawdę? A jeśli ten facet spytał Scotta o godzinę? To też będzie „związek”?

- Nie wiesz, co mówili.

- Nie, ale do jasnej cholery, bardziej wyglądało to na nic nie znaczące spotkanie niż na coś złowieszczonego.

Joanna zamierzała mocniej go przycisnąć w tej sprawie, ale ponieważ znowu zmarszczył czoło, powiedziała:

- Pomyślałeś o czymś. O czym?

- Butler był z San Francisco - wymamrotał w odpowiedzi. - Biznesmen z San Francisco. Scott pochodzi z San Francisco i nadal od czasu do czasu robi tam jakieś interesy.

Joanna po raz pierwszy od przyjazdu dostrzegła iskierkę nadziei.

- To chyba wystarczający związek, żeby go sprawdzić, mam rację?

Zanim Griffin powiedział słowo, zadzwonił telefon. Joanna przysłuchiwała się krótkiej wymianie zdań, z której wynikało, że burmistrz poszukuje szeryfa.

- Poproś, żeby chwilę zaczekał - polecił Griffin w końcu. Nacisnął jeden z guzików, odłożył słuchawkę, wstał i obchodząc biurko, zbliżył się do Joanny.

- Joanno...

Ona także podniosła się z miejsca.

- W porządku, i tak miałam już iść. Pamiętasz? Muszę zwrócić gwoździe. I kultywować paranoję.

- Moim zdaniem nie jesteś paranoiczką.

- Pewnie, bo to by oznaczało, że czuję się prześladowana, prawda? A ja w pewnym sensie jestem nawiedzana. Najłagodniej sprawę ujmując, twoim zdaniem wyobrażam sobie różne rzeczy, a w najgorszym razie jestem szurnięta. Co byłoby mniejszym złem?

Położył jej rękę na ramionach.

- Przestań. Zapewniam cię, że nie lekceważę tego wszystkiego. Sama jednak przyznasz, Joanno, że poza dalszym zagłębianiem się w twój sen i w moje poczucie winy niewiele mogę zrobić.

- Wiem. - Joanna zdołała się uśmiechnąć. - A może tym razem mi się poszczęści i zadam właściwie pytanie odpowiedniej osobie. Ale, ale, burmistrz czeka na rozmowę.

- Tak. - Griffin zawahał się, wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Trwało to bardzo krótko. Zaraz potem ruszył w stronę drzwi, które dla niej otworzył. - Do zobaczenia - powiedział.

- Będę w okolicy.

Szeryf zamknął drzwi i powoli wrócił do biurka. Usiadł, podniósł słuchawkę, ale zamiast od razu nacisnąć migoczący przycisk, oznaczający połączenie z burmistrzem, zadzwonił na telefon wewnętrzny do jednej z pracownic administracji.

- Shelley? Mogłabyś wyszukać akta ofiary wypadku z zeszłego lata? Chodzi o mężczyznę, który spadł z urwiska za „Gospodą”. Sprawdź, co wiemy o jego interesach w San Francisco i czy możemy zdobyć coś więcej. I jeszcze jedno... - Zawahał się i zaklął w duchu.

- Zbierz, co się da, o Scotcie McKennie, wszystkie dostępne dane. Poszukaj informacji, z kim prowadzi interesy w San Francisco. Nie, nie ma pośpiechu. Dzięki.

Mimo migoczącego światełka niemal zapomniał o burmistrzu.

Gospodarz miasta nie był zbyt zadowolony z szeryfa.

Gdyby ktoś zapytał Joannę, dlaczego wybrała właśnie to popołudnie - mimo że do

zmierzchu została niecała godzina - na spacer do altany Caroline, nie potrafiły dać sensownej odpowiedzi. Oczywiście mogłaby wyliczyć mnóstwo powodów, ale żaden z nich nie byłby wystarczająco dobry. Chciała się przejść i poczuć orzeźwiająca bryzę, która pomogłaby jej uspokoić myśli. Nie miała pojęcia, gdzie mogłaby pójść, żeby się czegoś dowiedzieć. Obraz bezradnej Regan, tłumiącej rozpacz, prześladował ją równie natarczywie jak sen, dlatego chciała ją zobaczyć i znowu z nią porozmawiać.

A może dlatego, że szeryf Griffin Cavanaugh dotknął jej policzka.

Szła energicznie przez las w bezpiecznej odległości od krawędzi urwiska, usiłując nie myśleć. Głowa nadal trochę jej dokuczwała, choć w hotelu wzięła aspirynę. Była pewna, że przyczyną bólu było napięcie, w jakim żyła przez ostatnie kilka dni. Choć naprawdę się starała, powstrzymanie kłębiących się pytań okazało się równie proste jak zatrzymanie machaniem ręki pociągu odjeżdżającego ze stacji.

Po dojściu do altany weszła do środka. Odruchowo pogłaskała rzeźbioną grzywę karuzelowego konika, jakby był żywym stworzeniem. Zdała sobie sprawę, że przesuwanie palcami po kolorowej grzywie było dla niej niczym dotykanie amuletu. A także sposobem zajęcia rąk, kiedy pozwalała błądzić myślom. Zastanawiała się, czy Caroline też to robiła. Kiedy usłyszała odpowiedź na to pytanie zadane w myślach, nie była specjalnie zaskoczona.

- Mama też go głaskała.

- Cześć, Regan.

Dziewczynka weszła wolno do altany, ale tylko trochę, tak że opierała się o balustradę. Wpatrywała się w Joannę.

- Pamiętasz moje imię - powiedziała.

- Oczywiście, że pamiętam. A ty pamiętasz moje?

- Joanna. Myślałam, że przyjedziesz wcześniej, a nie dopiero dzisiaj, Joanno.

Słyszac ledwie wyczuwalną nutę pretensji w jej głosie, Joanna szybko odparła:

- A ja myślałam, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli będę trzymała się z daleka.

- Dlaczego?

- Bo jestem jedynie podobna do twojej mamy.

Regan zastanawiała się nad tym przez chwilę. W jej ogromnych ciemnoniebieskich oczach malowała się powaga. Na koniec pokiwała głową.

- Nie musisz się martwić, Joanno. Wiem, że mama nie wróci. - Wetknęła ręce do kieszeni dzinsów i przygarbiła się, co było chyba jej normalną postawą.

- Nie ma nic złego w tym, że brak ci mamy, Regan.

- Tatusz za nią nie tęskni - odpowiedziała.

- Niektórzy ludzie - zaczęła Joanna - nie potrafią okazywać uczuć, co nie znaczy, że nic nie czują. Może twój tato jest właśnie taki.

Regan wzruszyła ramionami.

- Może, ale słyszałam, jak mama mu powiedziała, że jest bez serca. Zupełnie jak Blaszyński Człowiek, prawda? Nie można mieć uczuć, kiedy się nie ma serca.

- Każdy ma serce. - Joanna nie miała zielonego pojęcia, czy postępuje właściwie, próbowała jedynie dodać Regan otuchy. - Niektórzy ludzie po prostu nie umieją się otworzyć na innych.

- Tatusz chyba mnie nie lubi. - Głos Regan nagle się załamał.

- Oczywiście, że cię lubi, kwiatuszku.

- Skąd wiesz? - zapytała stanowczo.

- Bo tatusiowie zawsze kochają swoje małe córeczki. Tak samo jak mamy.

- Nawet kiedy są niegrzeczne?

Joanna miała ochotę podejść i objąć dziewczynkę, ale powstrzymała się.

- Małe dziewczynki nigdy nie są aż tak niegrzeczne, jak się im wydaje - odrzekła łagodnie, podejrzewając, że Regan najpewniej obwinia się w pewien sposób za śmierć matki i wyraźną niechęć ojca.

- Byłam niegrzeczna, Joanno. Strasznie niegrzeczna.

- Kwiatuszku, nie ma takiej rzeczy, którą mogłabyś zrobić, żeby mama i tatuś przestali cię kochać. Masz na to moje słowo.

*Cholera jasna! Czy to prawda, czy nie ona musi w to uwierzyć!*

Regan wciągnęła powietrze, a potem z ulgą je wypuściła.

Rysy dziewczynki złagodniały. Joanna była zadowolona, że to powiedziała. Uznała też, że dobrze zrobiła, nie pytając małej, co takiego przeszkrobała. Prawdopodobnie nie było to nic poważnego - kiedy ma się osiem lat, niewiele złego można zrobić - i im szybciej o tym zapomni, tym lepiej.

Nieważne, jak bardzo kuszące zdawało się jej skorzystanie z okazji do zadawania pytań, Regan była ostatnią osobą w Cliffside, którą wypytywałyby o Caroline, dlatego prawie nie zmieniając tematu, odezwała się ponownie:

- Czy dla ciebie nie jest trochę za późno na wychodzenie z domu?

- Czasami lubię patrzeć na zachód słońca. Jest piękny, prawda?

Joanna spojrzała za siebie, żeby popatrzeć na czerwieniejący horyzont, i skinęła głową.

- Bardzo. Woda wygląda jak szkło.

- Wiem, mama mówiła...

- Regan!

Obie się przestraszyły, Joanna błyskawicznie obróciła głowę. Do altany zbliżał się wysoki, przystojny i jednocześnie jakby posępny mężczyzna. Jego twarz nie wyrażała dosłownie niczego, miał jedynie trochę ściągnięte brwi. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Joannę. Nie pokazał przy tym po sobie, czy jej podobieństwo do Caroline zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie. Przeniósł potem wzrok na Regan i powiedział spokojnie:

- Pani Ames czeka na ciebie z kolacją, Regan. Czas wracać do domu.

Nie widząc u małej nawet śladu strachu, Joanna od razu się domyśliła, że to jej ojciec, i poczuła ulgę. W rzeczywistości Regan była jego nieodrodną córką - te same duże ciemne oczy i pewien rodzaj władczości kryjący się w linii brwi, u dziecka co prawda znacznie łagodniej zaznaczonej.

Jest bardziej podobna do niego niż do Caroline, choć w większym stopniu dotyczy to zachowania, a nie rysów, pomyślała.

Regan spojrzała na Joannę i uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Muszę już iść, Joanno.

- W takim razie do zobaczenia, Regan.

- Dobrze. Cześć.

Powaga ponownie zagościła na twarzy dziewczynki, kiedy wyszła z altany i minęła ojca, nawet na niego nie patrząc. Zniknęła pomiędzy drzewami w wąskim prześwicie prowadzącym do domu pana McKenny.

- Niezwykle podobieństwo - odezwał się Scott McKenna.

Sprawiedliwie czy nie, Joanna miała już wyrobione zdanie o tym mężczyźnie, a z pewnością nie było ono pochlebne. Kiedy więc napotkała jego wzrok, poczuła prawdziwą wrogość, jaka w niej drzemała od chwili przyjazdu do Cliffside.

- Więcej mnie od niej różni, niż z nią łączy - odparła obojętnie.

- Tak, to widać. - Scott zmrużył oczy.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Caroline prawie zawsze była bardzo powściągliwa i rzadko okazywała uczucia. Obawiam się, że o pani nie można tego powiedzieć. W pani oczach można wszystko wyczytać jak w książce.

Joanna postanowiła nie drążyć tego tematu. Oparła się łokciem o konika. Usiłowała robić wrażenie osoby zupełnie rozluźnionej.

- Któregoś dnia spotkałam tutaj Regan. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że przyszedłam.

- A gdybym miał?

- Będę o tym pamiętała, kiedy zjawię się następnym razem.

- Mógłbym wezwać szeryfa - nie dawał się zbić z tropu.

- Tak, mógłby pan. Zresztą szeryf przestrzegwał mnie, że nie powinnam chodzić po terenie prywatnym.

- No cóż - wtrącił Scott - skoro pani o tym wie...

- Wiem. Ale z całym szacunkiem, nic mnie to nie obchodzi.

Uśmiechnął się nieoczekiwanie jak Regan.

- Nie bardzo mnie pani lubi, Joanno, prawda? Zastanawiam się, dlaczego, w końcu zna mnie pani od niecałych dziesięciu minut.

- Boję się, że mam już taką wadę charakteru. Błyskawicznie dokonuję osądów.

- Zdaje się, że nie wypadłem najlepiej - powiedział nadal lekko uśmiechnięty. - Obserwator z zewnątrz często ma wypaczony obraz sytuacji, zwłaszcza gdy próbuje wejrzeć w sprawę małżeństwa.

Ponieważ Joanna niedawno powiedziała komuś innemu niemal to samo, trudno było się jej z tym nie zgodzić. Mimo to mogła pytać.

- Czy tam właśnie zaglądam?

- Tak myślę. Słyszała pani zapewne od ludzi, że Caroline była nieszczęśliwa, a ja... chłodny. Widzi pani, że Regan patrzy na mnie bez żadnych uczuć. I zakłada, że to moja wina, że jestem ludojadem, złoczyńcą burzącym wszystko dokoła.

- A jest pan? - zapytała.

Uśmiech Scotta stał się wyraźniejszy.

- Cóż, jestem, pani Joanno. Jestem. To, że wszyscy mówią, że jestem zimnym bydlakiem, nie znaczy, że to nieprawda.

Tylko kilka razy w życiu Joanna nie wiedziała, co powiedzieć. Był to jeden z tych przypadków.

Scott popatrzył w stronę zachodzącego słońca i powiedział:

- Zaraz będzie ciemno. Po zmierzchu urwisko jest jeszcze bardziej niebezpieczne. Radziłbym pani wracać do „Gospody”, Joanno. Miło było panią poznać. - Odwrócił się i poszedł przed siebie.

Joanna patrzyła za nim przez chwilę.

Niedziela okazała się deszczowa, burze przechodziły co jakiś czas, a to nie pomagało Joannie w rozproszeniu męczącego ją niepokoju. Nie mogła wyjść z hotelu na więcej niż dziesięć minut, bo zwykle od razu zaczynało lać, a pokój wydawał się jej mały i stanowczo za ciasny. Czuła, jakby ściany na nią napierały, zwiększając i tak ogromne napięcie. Nerwy miała naprawdę zszargane. Chodziło także o coś jeszcze.

„Tik-tak, tik-tak”. Zupełnie jak we śnie, w jej głowie rozlegało się tykanie zegara, przypominając o upływie czasu.

Miała przy tym irytujące wrażenie, że tykanie brzmiało szybciej niż poprzedniego dnia i wcześniej. Niewoliło ją, zmuszało do zrobienia... czegoś.

Do szaleństwa doprowadzała ją świadomość, że nie ma pojęcia, na czym polegało to coś.

Kiedy w końcu uciekła z pokoju, natknęła się na kilku mieszkańców miasteczka i gości hotelowych grających w pokera w bawialni. Najwyraźniej często spędzali czas w taki sposób. Skorzystała z okazji i porozmawiała z kilkorgiem nieznajomych, próbując zdobyć nowe informacje o Caroline. Poza tym wreszcie czymś się zajęła.

Nie osiągnęła jednak szczególnie wiele. W kilku rozdaniach wygrała niesłychanie wysokie (i istniejące tylko w wyobraźni) stawki i porozmawiała z wyjątkowo miłymi ludźmi, którzy jednak nic nie wiedzieli o Caroline. Dawali to do zrozumienia jasno i wyraźnie, gasząc temat już w chwili, gdy go podejmowała. Obdarzali ją przyjaznymi uśmiechami, czujnie obserwowali i grzecznie pytali, czy chce dobrać kartę.

Joanna uświadomiła sobie, że znowu obgryza paznokcie.

Amber jeszcze nigdy w życiu tak się nie nudziła. W miasteczku, gdzie diabeł mówił dobranoc, nie było nic do roboty, absolutnie nic. Po raz trzeci zmieniła pozycję w fotelu i głęboko westchnęła.

Matka spojrzała na nią znad książki i z dużą cierpliwością w głosie powiedziała:

- Kochanie, może byś gdzieś poszła i znalazła sobie jakieś zajęcie?  
- Niby dokąd? Utopić się? Jakbyś nie wiedziała, to ci powiem, że chyba tylko kaczkę cieszą się z takiej pogody.

- Nie mówiłam, żebyś szła na dwór, Amber. Jest już przecież po dwudziestej, za późno na wychodzenie z hotelu. Ale świetlica jest otwarta i sala gimnastyczna. Na pewno jeszcze grają w karty. Albo idź popływać. W domu zawsze chcesz iść pływać.

- To z powodu ratowników - odezwał się ojciec Amber, nie odrywając wzroku od telewizora. - Tu nie ma nikogo, kto by podziwiał to coś, co ma udawać jej kostium kąpielowy.



Amber poczuła, że się rumieni. Nienawidziła go w tej chwili, bo mówił prawdę. Na tutejszym krytym basenie nie było ratowników - jedynie ochroniarz w średnim wieku, który wszystko obserwował z oszklonej budki. Okropieństwo. Zupełnie inaczej niż w domu, gdzie na miejscowym basenie ratownikami byli chłopcy z college'u.

- No cóż - rzekła matka z odrobiną żalu - w takim razie zostaje jeszcze świetlica. Mają tam mnóstwo atrakcji, Amber. Układanki, gry wideo, stół do ping-ponga. Mogłabyś...

Dziewczyna zerwała się na równe nogi. Była uosobieniem nastolatki gotowej na wszystko, byle tylko uciec od mentorskiego tonu w głosie matki.

- Och, już dobrze. Pójdę. - Swym zdaniem dała znakomity popis.

- Tylko wróć przed dwudziestą trzecią - upomniała ją matka.

Amber wyszła z salonu apartamentu i zamknęła się w swoim pokoju. Wzięła z szafki klucz magnetyczny, wsunęła go do kieszeni, zastanawiając się, czy któreś z rodziców zada sobie tyle trudu, by zajrzeć do jej sypialni przed położeniem się do łóżka o dwudziestej trzeciej.

Nie miała złudzeń. Matka zajrzy.

Wychodząc, Amber uśmiechnęła się. Dobrze, będzie w sypialni, jak przykazano, o jedenastej. Niewinna jak kwiatusek. Świeżo wykąpana i uroczo uperfumowana, dobrze pachnąc we wszystkich odpowiednich miejscach. A kiedy rodzice położą się do łóżka, ubierze się w cudną sukienkę, którą kupiła wczoraj w mieście, krótką i cienką jak mgiełka, a potem wyśliźnie się drzwiami na taras, tak że nikt ze wścibskich ludzi w hotelu jej nie zauważy. I pójdzie sobie.

Niepotrzebne jej będzie żadne szczęście, po prostu nigdy nie wróci. Nigdy.

Przeszła wyłożonym dywanem korytarzem w kierunku holu i świetlicy, przepelniona niepokojem, ledwo nad sobą panując. Sama nie wiedziała, czy za chwilę się rozplacze, czy wybuchnie śmiechem. Była bardzo podekscytowana.

Tego wieczoru cały świat wyglądał dla niej inaczej. Po drodze do świetlicy pozdrowiła promiennie kilku napotkanych gości hotelowych, zadowolona z zaskoczenia, jakie wywoływała jej uprzejmość.

Nic nie wiedzą. Nikt niczego nie wie! - myślała.

Jakie to cudowne uczucie mieć tak wspانياły sekret! Triumfalnie i z politowaniem patrzyła na zwykłych ludzi siedzących w świetlicy. Trochę ich żałowała, że - na pewno - nie czuli tego, co ona. Przecież nie mogli wiedzieć ani zrozumieć.

Rozległ się grzmot pioruna. Kochała ten dźwięk. Jednak burza skończy się na długo przed północą. Nie ma wyjścia. To była noc Amber, a skoro tak, to musi być doskonała.

Zadowolona, chętnie zgodziła się zagrać w ping-ponga z kobietą w średnim wieku i nawet pozwoliła jej zwyciężyć. Wspaniałomyślnie dała się namówić na drugiego seta i także go przegrała. Potem przez kilka minut bawiła się układanką, którą ktoś zostawił niedokończoną. Mniej więcej pół godziny zajęła jej gra wideo, choć ledwie mogła usiedzieć na miejscu.

Podniecona kręciła się po pokoju, obserwowała przez chwilę grających w pokera. Często podchodziła do drzwi prowadzących na taras i wyglądała na zewnątrz w ciemność rozświetlaną błyskawicami szalejącej burzy. Zamówiła colę i popijając, chodziła niespokojnie.

Było już po dwudziestej drugiej, kiedy skierowała się do holu i dalej korytarzem do swojej sypialni. Chciała, oczywiście, żeby matka zastała ją niewinnie śpiącą w łóżku o dwudziestej trzeciej.

Śmiała się w duchu. Zatrzymała się na moment w holu i obejrzała, by jeszcze raz rzucić okiem na godnych pożałowania zwykłych zjadaczy chleba, zadowolonych z szarego życia, jakie wiodą. Zobaczyła coś, czego się nie spodziewała. Prawdopodobnie nie dostrzegłaby niczego dziwnego, gdyby nie stan ekscytacji, w jakim się znajdowała.

- Ciekawe, co on z tym robi - wymamrotała pod nosem.

Wzruszyła jednak ramionami, tracąc całe zainteresowanie. Ponownie skierowała się do pokoju. Zastanawiała się, których perfum użyje - a miała trzy ulubione zapachy.

Późnym wieczorem, gdy deszcz bębnił o szyby, grzmoty rozlegały się raz po raz, a paznokieć kciuka był obgryziony niemal zupełnie, Joanna marzyła o położeniu się do łóżka.

Tej nocy sen trochę się zmienił. Zawierał wszystkie zwykłe występujące symbole, ale zjawiały się przed nią zniekształcone, niczym odbicia w gabinecie luster. Fale oceanu rozbijały się o brzeg, ogromny dom stał na skarpie nad morzem, różane płatki opadały. Pełen kolorów obraz - wyraźnie widoczny; przedstawiał małą dziewczynkę z kwiatami namalowaną przez Caina - stał na sztalugach. Zegar głośno tykał, dziecko żałośnie łkało. Barwny konik z karuzeli obracał się i przemieszczał w górę i w dół zerdzi, a papierowy samolocik wznosił się i opadał, jakby niesiony zaczarowanym prądem powietrznym.

Tym razem jednak rozszłoszczona mewa wrzeszczała głośniejsze. Nieprzyjemny dźwięk powtarzał się raz za razem, niczym niesiony echem...

Joanna obudziła się gwałtownie. Pokój wypełniała szarość świtu. Choć minęła dopiero siódma, nie próbowała zasnąć ponownie. Była zupełnie rozbudzona i tak podminowana, że nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła obgryzać paznokieć drugiego kciuka. Zakłęła i odrzuciła kołdrę. Wszystko wydawało się jej lepsze od leżenia w łóżku i poddawania się

przytłaczającym uczuciom.

Choć wstała, napięcie nie zelżało.

Postanowiła nie zamawiać kawy do pokoju, tylko zejść na dół. Wzięła gorący prysznic, ale kąpiel nie przyniosła odprężenia. Wysuszyła włosy, zostawiając je rozpuszczone - była zbyt roztrzęsiona, żeby się nimi zajmować. Kiedy suszarka warczała, wydało się jej, że znowu słyszy krzyk mewy. Dopiero po chwili pomyślała, że to najprawdopodobniej syrena alarmowa.

Przyzwyczajona do wycia syren w Atlancie, uznała, że w Cliffside ten dźwięk działa na nią dziwnie rozpraszające A nawet niepokoi. Wóz strażacki? Karetka? Radiowóz Griffina?

Gdy wyszła z łazienki, nie słyszała już niczego, co choćby przypominało syrenę. Szybko się ubrała. Włożyła dzinsy i golf w paski, na który narzuciła rozpiętą koszulę flanelową. Zawiązała sznurówki przy butach na płaskim obcasie - miała zamiar wyjść z hotelu, nawet gdyby lało.

Postanowiła zajrzeć jeszcze na balkon i zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Deszcz przestał padać, choć niebo nadal było szare. Od oceanu wiała orzeźwiająca bryza, która niosła ze sobą słoną wilgoć. Chociaż fale rozbijały się o brzeg ze zwykłą zawziętością, odniosła wrażenie, że wokół panuje dziwny spokój. Joanna nie dostrzegła nikogo na werandzie poniżej, ale na północ od „Gospody”, tuż za terenem należącym do hotelu, zobaczyła całkiem spory tłum.

Stały tam karetka, straż pożarna i samochód Griffina.

W holu i windzie nikogo nie spotkała. Przy balustradzie natomiast zebrali się goście i obsługa hotelowa, widocznie zostali obudzeni na tyle wcześnie, żeby wiedzieć, co się dzieje. Stali pod zadaszeniem i pili kawę.

W grupce Joanna zauważyła Holly i jej asystentkę, Dane - obie wyglądały na przygnębione. Zresztą wszyscy sprawiali takie wrażenie. Jedna z kobiet nawet płakała. Joanna ruszyła w ich stronę, ale wtedy właśnie dostrzegła Griffina, stał na skraju hotelowego trawnika.

Niewykluczone, że gości poproszono o trzymanie się z dala, ale ona na to nie zważała. Przebiegła przez werandę, błyskawicznie pokonała schody i nie tracąc Griffina z oczu, popędziła po mokrej trawie. W odróżnieniu od zastępców, znajdujących się niedaleko krawędzi urwiska, którzy mieli na sobie regulaminowe płaszcze przeciwdeszczowe z oznaczeniami biura szeryfa i czapki zakryte plastikową osłoną, tego ranka był ubrany w długi czarny nieprzemakalny płaszcz. Podmuchy wiatru rozwiewały mu włosy. Kiedy się do niego zbliżała, wydał się Joannie zmęczony i ponury.

- Griffin?

Obrócił się szybko i choć wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę, coś jakby iskierka zaświeciło w ciemnych oczach na jej widok. Nie ruszył w stronę Joanny, ale gdy podeszła, ujął jej rękę w swoją dłoń i silnie ścisnął.

- Co się stało? - spytała.

- Nie powinno cię tu być, Joanno - odrzekł cicho. - Prosiłiśmy wszystkich, żeby nie podchodzili. - Nie puszczał jej dłoni.

- Ale co...

- Griff? - Wysoki, raczej szczupły mężczyzna o mokrych ciemnych włosach zbliżał się do nich od strony klifu, poły płaszcz uderzały o jego nogi.

Joanna miała niejasne przeczucie, że został właśnie wyciągnięty na linie z przepaści przez ratowników i że wcześniej w ten sam sposób go tam opuszczono.

- Do rzeczy, doktorze - powiedział szeryf.

Lekarz posłał Joannie trochę zdziwione spojrzenie zmęczonych niebieskich oczu, ale potem pokręcił głową i zaczął mówić.

- Widziałeś to samo co ja. Co mogę dodać?

- Znalazłeś jakieś ślady świadczące o tym, że piła?

„Ona?”, Joanna poczuła przeszywający chłód.

- Griff, wiesz dobrze, że fale zupełnie ją przemoczyły, więc nawet gdyby wlała w siebie beczkę wina, niczego bym nie stwierdził. Bez badań laboratoryjnych nie mogę nic powiedzieć ani o alkoholu, ani narkotykach.

- Jak zginęła?

Lekarz ponownie popatrzył na Joannę i odpowiedział obojętnym tonem:

- Zabił ją upadek, chyba że w trakcie sekcji znajdę coś innego, nieoczekiwanego. Jezu, Griff, spadła z wysokości prawie czterdziestu metrów.

- Została popchnięta? - W głosie Griffina nie słyhać było żadnych emocji.

- Nie wiem - odparł najwyraźniej przestraszony doktor. - Jeżeli nawet, trudno będzie to stwierdzić, bo przy upadku doznała licznych urazów. Ale poszukam ewentualnych śladów.

- Dzięki, doktorze.

Wysoki mężczyzna uniósł rękę na pożegnanie i odwrócił się ku urwisku w chwili, gdy ludzie znajdujący się przy krawędzi zaczęli ponownie robić coś z linami.

- Griffinie, o kogo chodzi? - zapytała Joanna.

- W pierwszej chwili pomyślałem, że to ty - odpowiedział równie obojętnym głosem jak wcześniej, choć uścisk jego dłoni stał się trochę silniejszy. - Ale to dziewczyna z hotelu.

Amber Wade.

Wstrząśnięta Joanna popatrzyła w stronę urwiska. Akurat w tym momencie ratownicy wciągali nosze ponad krawędzią. Ciało zostało zupełnie zakryte odblaskową pomarańczową płachtą, ale z jednej strony wysunął się kosmyk jasnych włosów.

## Rozdział siódmy

- Chyba żartujesz - powiedział Cain.

- Wykonuję po prostu swoje obowiązki. - Griffin westchnął. - Odpowiedz na pytanie.

Cain popatrzył na Holly, siedzącą obok niego przy stole na werandzie „Gospody”, potem spojrział na szeryfa, który zajmował miejsce naprzeciwko nich.

- Pytasz, czy zepchnąłem to dziecko z urwiska?

- Pytam, gdzie byłeś pomiędzy godziną dwudziestą trzecią wczorajszej nocy a siódmą dzisiejszego ranka - powtórzył Griffin. - Posłuchaj, wszyscy wiedzą, że się za tobą uganiała. Jej ojciec twierdzi, że mogła się wymknąć zeszłej nocy, kiedy myśleli, że śpi. Zajmowała osobny pokój z drzwiami prowadzącymi na werandę i z pewnością robiła to już wcześniej.

- Ale nie przyszła do mnie - odparł Cain. - Ani zeszłej nocy, ani jakiegokolwiek innej. Rany boskie, Griff, naprawdę myślisz, że kusilem tę biedną dziewczynę, że poprosiłem, żeby się ze mną spotkała, a pamiętaj, że lało jak z cebra, i potem ją zabiłem?

- Gdzie byłeś, Cain?

- W domu. Przez całą noc w swojej chacie.

- Sam?

- Tak, sam. Niech cię szlag!

Holly wychyliła się do przodu.

- Griff, jesteś pewien, że to nie był zwykły wypadek?

Popatrzył na nią przez chwilę, a później pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Gdyby się poślizgnęła, spadłaby bezpośrednio w dół, a leżała za daleko.

- A może skoczyła?

- Niewykluczone. Tak się nieszczęśliwie składa, że nastolatki popełniają samobójstwa każdego dnia - wyjaśnił jej Griffin. Ponownie spojrział na Caina. - Muszę jednak sprawdzić wszystkie ewentualności. Rozwiązać wszelkie możliwe równania. Jedno z nich zakłada, że ktoś ją popchnął.

- Ale nie ja. - Cain wymówił poszczególne słowa wolno i wyraźnie.

Holly pokiwała głową.

- Nie myślisz chyba, że Cain mógłby skrzywdzić Amber? Durzyła się w nim i wszystko. Cieleca miłość, zresztą każdy z nas przeszedł coś takiego. Nawet jeśli komuś się to

nie podobało, z pewnością nikomu nie przeszkadzało, i tak miała wyjechać za tydzień z rodzicami.

- Nie twierdzą, że ktoś planował ją zamordować, Holly - powiedział Griffin. - Wszystko mogło się stać z powodu nagłej złości.

Cain zeszywniał. Utkwił wzrok w szeryfie.

- Och, teraz rozumiem - odezwał się cicho. - Raz w życiu straciłem nad sobą panowanie i sprąłem faceta, który na mojej wystawie zachowywał się jak palant, i proszę, mam przyczepioną łatkę, że jestem nieobliczalny, kiedy się wścieknę.

- Trafił przez ciebie do szpitala - wtrącił Griffin obojętnie.

- Uderzył głową o kant stołu, kiedy padał.

- Wiem. - Szeryf skinął głową. - Wątpię, żebyś był bardziej skłonny do napadów złości niż ja. Ale popatrz na to z mojego punktu widzenia. Wszyscy w tym hotelu i połowa mieszkańców Cliffside wiedzieli, co Amber do ciebie czuje, bo się z tym obnosiła. Brakowało jedynie, żeby wieszala ci się u szyi przy każdym spotkaniu. Zawsze kiedy tu przychodziłeś, kręciła się w pobliżu. Nieważne, czy ją do tego zachęcałeś, czy nie, mogła stać się utrapieniem. Po prostu muszę to brać pod uwagę.

- Świetnie - rzekł Cain. - W takim razie weź pod uwagę także i to, że dla mnie Amber nie stanowiła problemu. Zadurzona małolata. Bez trudu udawało mi się unikać niezręcznych sytuacji, bo nie dopuszczałem, żebyśmy zostawali sami, a to było bardzo proste. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Joannę. Pomogła mi, chyba w piątek, kiedy Amber odwiedziła mnie w chacie.

- A co Joanna tam robiła? - zapytał Griffin, zanim ugryzł się w język.

W zielonych oczach Caina pojawiło się rozbawienie.

- Może namalować ci serce przebite strzałą na rękawie, żeby wszyscy o tym wiedzieli?

- Odpowiedz na pytanie, Cain.

- Spacerowała wzdłuż klifu i zatrzymała się przy mnie. Akurat pracowałem na dworze - padła sucha odpowiedź. - Zachowała się bardzo uprzejmie, bo towarzyszyła mnie i Amber do hotelu, gdy Amber się zjawiała.

- Mówiłeś, zdaje się, że Amber się z tobą nie spotykała - wtrącił Griffin.

Cain, nadal trochę rozbawiony, nie czuł się dotknięty wysuniętym podejrzeniem.

- Tak było. Nigdy i nigdzie nie umawiałem się z Amber, a tym bardziej w mojej chacie. W piątek przyszła tam niespodziewanie po raz drugi. Za pierwszym razem nie otworzyłem, kiedy pukała do drzwi.

Griffin pokiwał głową i wstał z miejsca. Z niezadowoleniem zdał sobie sprawę, że kończy przesłuchanie nie dlatego, że nie ma więcej pytań i jest zadowolony z odpowiedzi Caina, ale dlatego, że czuł się zmieszany świdrującym spojrzeniem oczu drugiego mężczyzny. *Serce przebite strzałą na rękawie. W dupę kopany!*

- Griff? - Holly zawahała się, a potem dodała ostrożnie: - Któregoś dnia szłam za Joanną i dopóki się nie odwróciła, myślałam, że to Amber.

Griffin nie wyglądał na zaskoczonego. Kiedy po raz pierwszy spojrzął na zniekształcone ciało leżące na skale i zobaczył jasne włosy...

- Nowa zmienna do twojego równania? - zapytał Cain w zadumie.

- Uhm - mruknął szeryf. - I jeszcze jedno. - *To się nie trzyma kupy. Cholera jasna, to się po prostu nie trzyma kupy.* - Gdybyście przypomnieli sobie o czymś ważnym, dajcie znać.

- Oczywiście - zapewniła Holly. Patrzyła, jak się odwrócił i ruszył w kierunku drugiego końca werandy. Nie wątpiła, że idzie na skraj urwiska za „Gospodą”, gdzie Joanna stała przy barierce i wpatrywała się w morze.

- Naprawdę uważasz, że ktoś chciałby zabić Joannę, spychając ją w przepaść? - zapytał Cain.

Holly popatrzyła na niego i westchnęła.

- Trudno doszukać się w tym jakiegoś sensu, prawda? Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, żeby ktoś chciał zamordować Amber albo Joannę.

- Ale twoim zdaniem w przypadku Joanny to bardziej prawdopodobne?

- Sama nie wiem. - Holly zmarszczyła czoło. - Możliwe. To jest... no cóż, Amber była zwykłą turystką, prawie dzieckiem, które nie żyło na tyle długo, żeby narobić sobie wrogów. Niewykluczone, że skoczyła, bo kto mógłby ją zepchnąć. Z drugiej strony, Joanna...

- Joanna także zjawiała się - Cain podjął w zamyśleniu przerwany wątek - jako zwykła turystka. Jednak okazała się zdumiewająco podobna do kobiety, która zginęła tutaj kilka miesięcy wcześniej. I zaczęła zadawać bardzo dużo pytań. Może... komuś nie podobały się jej pytania?

Słyszając własne myśli wypowiedziane na głos, Holly poczuła zimny dreszcz.

- Co wskazywałoby, że...? - zapytała. - Że śmierć Caroline nie była przypadkowa?

Tym razem Cain zmarszczył czoło, miał nieobecny wzrok, który Holly dobrze знаła. Zawsze tak wyglądał, kiedy wsłuchiwał się w wewnętrzny głos wzywający go do malowania.

- Niewykluczone - powiedział w końcu, starannie dobierając słowa. - Jeśli to Joanna, a nie Amber miała być ofiarą zgodnie z zamierzeniami sprawcy, na pewno musi się to w jakiś sposób łączyć z Caroline. Przecież Joanna nie narobiła tu sobie wrogów, przynajmniej nic o



tym nie wiem. Nikt nie okazywał też otwarcie, że chciałby się jej pozbyć. Zatem... co nie pasuje nam do obrazka? - Zadumał się na chwilę. - Jej podobieństwo do Caroline od razu rzuca się w oczy i nie daje się w żaden sposób wytłumaczyć. Nie wiadomo też, dlaczego o nią rozpytywała. Jakby przyjechała tu specjalnie, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Słyszałeś o Dylanie i Lyssie? - zapytała Holly.

Cain skinął głową.

- Że widzieli Joannę w Atlancie? Tak. To zastanawiające, że wkrótce potem zjawiała się u nas. Trudno tu mówić o przypadku.

- A co innego może wchodzić w grę? Dylan twierdzi, że nie mogła w żaden sposób domyślić się, skąd on i Lyssa pochodzą.

- Oczywiście, że mogła. Jeśli wystarczająco ją zaciekawili, wystarczyło, żeby niepostrzeżenie poszła za którymś z nich do hotelu. Za parę dolarów każdy recepcjonista staje się rozmowny.

- Nie pomyślałam o tym, ale oczywiście masz rację. Czy twoim zdaniem Griffin wpadł na to?

- Jasne. Nasz małomiasteczkowy szeryf nie jest w ciemną bity. To urodzony gliniarz, wszyscy znają jego głęboką niechęć do ludzi uchylających się od odpowiedzi na pytania. Nie wiem, co Joanna mu powiedziała, ale mogę się założyć, że przy tym podobieństwie do Caroline nie wierzy w jej przypadkowe zjawienie się w Cliffside. Nie winię go za to, że zaczął się zastanawiać. Zaczyna mnie to jednak bardzo niepokoić.

Holly zastanawiała się przez chwilę nad kolejnym pytaniem.

- Po co w takim razie przyjechała z tak daleka, jeśli nie miała jakiegoś celu? Tylko z czystej ciekawości? Bo dwoje nieznajomych wzięło ją za kogoś innego?

- Nie, musi być w tym coś jeszcze. - Cain zmarszczył czoło. - Może powinienem ją poprosić, żeby mi pozowała. W trakcie pozwania ludzie opowiadają niestworzone rzeczy.

„A o czym mówiła Caroline?”, chciała zapytać Holly, ale po chwili zrezygnowała. Zamiast tego zasugerowała:

- Griffin nie będzie zachwycony, gdy któreś z nas zacznie się wtrącać do śledztwa.

- Z pewnością - zgodził się Cain. - Zwłaszcza jeśli skupimy uwagę na Joannie.

- Myślałam, że ci przyłoży - uśmiechnęła się - kiedy zażartowałeś o sercu przebitym strzałą.

- Odniosłem takie samo wrażenie. - Cain zachichotał i dodał: - Nie powinienem sobie z tego kpić. Faceci tacy jak Griff zawsze wpadają na poważnie. Jeśli uważa, że nie powiedziała mu prawdy, to pewnie strasznie się wkurza. Zresztą nawet bez tych wątpliwości

chyba mu ciężko, bo Joanna jest tak bardzo podobna do Caroline.

- Co masz na myśli?

Cain wydawał się zupełnie zaskoczony.

- Byłem przekonany, że wiesz. W końcu mieszkasz tu jak rok długi. Ja wiedziałem od lat, choć spędzałem w Cliffsides tylko kilka miesięcy w lecie.

- O czym?

- A o tym, że Caroline kochała się kiedyś w Griffie. Zastanawiała się nawet nad zostawieniem Scotta.

Holly wpatrywała się w niego. Czyżby praca aż tak ją pochłaniała, że nie widziała, co się dzieje dookoła? Na pewno nie. Nawet jeśli nie była blisko z Caroline, to bez wątpienia zauważyłaby coś, gdyby małżeństwo jej pracodawcy zawisło na włosku. To jasne.

- Nigdy nie widziałam nawet najmniejszej oznaki czegoś takiego - zaprotestowała. - Pewnie chodzi o zwykłe plotki.

- Nie.

- Skąd ta pewność? To znaczy...

- Holly, wiem, że to prawda, bo Caroline sama mi o tym powiedziała. Wyznała, że nigdy nie czuła do Scotta tego, co czuła do Griffa. - Cain pokręcił głową. - Nie mam pojęcia, dlaczego mi zaufała, choć ludzie na ogół chętnie mi się zwierniają. Natykają się na mnie, kiedy stoję przy sztalugach i maluję, przystają, żeby popatrzeć, a mnie, jak wiesz, to nie przeszkadza. I zaczynają mówić. Prawdopodobnie byłabyś zaskoczona, słysząc, co wiem o mieszkańcach Cliffsides.

- Na to wygląda - odpowiedziała Holly.

- Posłuchaj. - Cain uśmiechnął się do niej. - Nikomu poza tobą bym nie zdradził, z czego zwierzyła mi się Caroline, zwłaszcza w sytuacji, kiedy nie wszyscy o tym wiedzą. Nie była kobietą, która obnosi się z uczuciami i aż za bardzo zależało jej na dobrej opinii, by zrobiła coś, co mogłoby ją zniszczyć. Poza tym ostatecznie nie związali się z Griffem, tak więc nikogo poza nimi nie powinno to obchodzić.

- A Scott wiedział?

- Caroline nigdy mu nie powiedziała. Była zdania, że niczego się nie domyślał. To wszystko, co wiem. Działo się to wiele lat temu, na długo przed narodzinami Regan.

- Ciekawe, czego jeszcze nie wiem o tym miasteczku? - wyszeptowała Holly wstrząśnięta bardziej, niż przypuszczała.

- Ciągłe jesteś zajęta - wytłumaczył jej Cain.

Popatrzyła na niego. Zrozumiała aluzję, mimo że powiedział to zupełnie obojętnie.

- Chyba masz rację. Ale staram się, jak mogę. Przynajmniej od chwili zawarcia naszej umowy.

- Wiem. - Uśmiechnął się do niej. - I doceniam to, możesz mi wierzyć. Tylko, Holly, pamiętaj, że kiedy następnym razem poproszę cię, żebyś została u mnie, zrób przysługę nam obojgu i zgódź się, nawet jeśli będziesz miała ważne spotkanie następnego dnia. Gliniarze mogą nie uwierzyć w alibi dawane przez kochaną osobę, ale to lepsze niż brak alibi.

- Mogłam skłamać Griffowi i powiedzieć, że byłeś ze mną - zauważyła.

- Mogłaś. Ale wtedy pomyślałbym, że według ciebie mam coś wspólnego ze śmiercią Amber.

Przez moment Holly była zupełnie zaskoczona. Cain miał rację. Gdyby miała wątpliwości, gdzie się podziewał zeszłej nocy, mogła wystąpić w jego obronie i stwierdzić, że spędzili ją razem. Ponieważ jednak wiedziała, że przenigdy nie skrzywdziłby tej biednej dziewczyny, po prostu nie przyszło jej do głowy, że mógłby potrzebować pomocy przy udowodnianiu swojej niewinności.

- To najprzyjemniejsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem - rzekł Cain z uśmiechem.

Holly nie potrafiła się powstrzymać i także się uśmiechnęła, a kiedy wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń, spleli swoje palce, mimo że kilkoro gości i część obsługi mogli to widzieć.

Po raz pierwszy nie czuła wyrzutów sumienia, dotykając go przy obcych. Pomyślała, że czyni postępy. A może nie.

Bo tak naprawdę nie myślała o oczach, które ich obserwowały. Nie zastanawiała się nawet nad śmiercią Amber i co to może oznaczać.

Holly myślała o Caroline. Zastanawiała się, czy uczucia, jakie żywiła do Griffa, minęły wraz z upływem lat, a może przeniosła je na kogoś innego. Na pewno jednak nie na oziębłego męża. Niewykluczone, że na kogoś, kto słuchał jej ze współczuciem, pozwalał wypłakać się na piersi. Na kogoś, kto podziwiał wyraźnie widoczną kobiecą kruchość Caroline i bez wątpienia wielbił jej elegancję i piękność.

Może to był ktoś taki jak Cain.

Holly nie była jeszcze gotowa, żeby zadać to pytanie, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Czyżby dlatego, że nie sposób walczyć ze zmarłą rywalką, a może bała się usłyszeć, że Cain kochał Caroline. Pewna była tylko tego, że właściwie nic nie wie. Nie знаła Caroline tak dobrze, jakby mogło się zdawać.

Bez przerwy zastanawiała się też, czy ktokolwiek z nich tak naprawdę znał Caroline McKennę.

Kiedy Griffin podszedł do Joanny, stała przy balustradzie, trzymając się jej oburącz. Wzrok skierowała gdzieś ponad horyzont. Zimny, silny wiatr targał jej długimi jasnymi włosami, zaróżowił policzki.

- Nie myślisz chyba, że Cain zabił tę dziewczynę? - zapytała trochę nieobecny głosem.

- Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby to zrobił - przyznał Griffin. - Ale nieraz już mnie życie zaskakiwało. Nie powinienem niczego zaniedbywać, Joanno. Powiedział, że byłaś z nim, kiedy w piątek nieoczekiwanie w pobliżu jego domu zjawiała się Amber.

Joanna skinęła głową.

- Starał się dziewczynę zniechęcić, jeśli o to ci chodzi. Uważał, żeby nie zranić jej uczuć, ale na ile mógł, na tyle okazywał, że jest dla niego stanowczo za młoda.

- Co zrobił? - zapytał Griffin.

Joanna obróciła głowę i spojrzała na niego, lekko się uśmiechając.

- Po pierwsze, zaczął dyskutować ze mną o polityce.

Dziewczyna nie mogła nam dorównać i dobrze o tym wiedziała.

- Jesteś pewna, że to właśnie chciał osiągnąć? Pokazać Amber, że jest dla niego za młoda?

- Oczywiście, a co innego mogłoby wchodzić w grę?

Griffin postanowił, że nie da się podejść dwa razy w ciągu jednego dnia. Zwłaszcza kiedy nie był pewny swoich uczuć wobec tej kobiety. Wiedział jedynie, że nie opowiedziała mu tej historii. Dręczyły go pytania, na które nie uzyskał odpowiedzi. Czy mógłby myśleć o kimkolwiek innym, skoro sprawa właśnie jej dotyczyła?

Zmuszając się do skupienia uwagi na tym, co się działo tu i teraz, oznajmił:

- Cain nie ma alibi na ostatnią noc.

- Ja także - uświadomiła mu Joanna. - Założę się, że to samo można powiedzieć o większości mieszkańców Cliffside. Mówiłeś, że chodzi o czas między dwudziestą trzecią a siódmą rano, prawda? Noc była burzowa, więc pewnie niemal wszyscy leżeli w łóżkach i albo spali, albo czytali jakąś dobrą książkę. Nie mają alibi.

- Wiem, wiem.

Griffin oparł się biodrem o poręcz i spojrzał na Joannę. Dobrze znał zapierający dech w piersi pejzaż Cliffside. Ona zaś była nowym elementem, nieznanym i... fascynującym. I miała też denerwujący zwyczaj wprowadzania go w stan zachwyty, jakiego żaden krajobraz nie potrafiłby wywołać. Na dodatek odciągała zupełnie jego uwagę od spraw, którymi powinien się zajmować.

Przestań o niej myśleć. Przestań. Nie teraz. Jeszcze nie teraz, przekonywał w duchu sam siebie.

- Może nikt jej nie zepchnął - odezwała się Joanna. - Może skoczyła.

- To niewykluczone. - Griffin całym wysiłkiem woli starał się skoncentrować. - Ale... dziewczyna jej pokroju, zarozumiała i kochliwa to nie ten typ. Uwierzyłbym raczej, że z zazdrości zrobiła Holly coś złego albo że rzuciła się z pięściami na Caina, słysząc odmowę, tylko...

- Moim zdaniem on jej nie odrzucił - przerwała mu Joanna. - W rzeczywistości prowadził własną grę. Jest na to za subtelny, Griffinie. Był... obojętnie przyjacielski. Zachowywał się tak, jakby nie widział, że się w nim durzy.

- Mogła to odebrać jako odrzucenie - powiedział Griffin.

- Kiedy widziałam ją ostatni raz - mówiła dalej Joanna - była sfrustrowana i sprawiała wrażenie, jakby grunt usunął się jej spod nóg, ale nie wydawała się zła lub zazdrosna, a już na pewno nie przybita.

- Ostatni raz widziałas ją w piątek?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- Coś musiało się zmienić podczas weekendu - Griffin snuł domysły. - Musiało. Moim zdaniem to nie był wypadek: albo skoczyła, albo została zepchnięta. Samobójstwo wydaje się bardziej prawdopodobne.

- Sam chyba w to nie wierzysz. Tylko dlatego, że była jeszcze smarkata?

Griffin zawahał się, a potem westchnął.

- Z powodu ulewnego deszczu trudno mieć pewność. Nie potrafiłbym udowodnić tego w sądzie, ale przy krawędzi urwiska, skąd spadła, znalazłem nikłe ślady, które wskazują, że mogły tam być dwie osoby.

- Jakie ślady?

- Przygnieciona trawa, wyrwane kawałki murawy i błota. Ślady, jakie mogą zostawić dwie osoby, z których jedna jest znacznie cięższa od drugiej. Ta lżejsza się szarpała.

Joanna wyraźnie widziała oczami wyobraźni dwie szamoczące się postacie na skraju urwiska. Siekł je deszcz, wiatr szarpał, błyskawice rozświetlały niebo. Wzdrygnęła się.

- To nie ma sensu. Była jeszcze taka młoda. Prawie dziecko. Kto chciałby zabić Amber?

- Nie mam pojęcia.

- Nikt niczego nie zauważył?

- Jak do tej pory nikt się nie przyznał, że coś widział. Moich dwóch zastępców chodzi

teraz od drzwi do drzwi w hotelu i wypytuje gości. Wątpię jednak, żeby się czegoś dowiedzieli. Jak sama powiedziałaś, to była burzowa noc.

- Kto ją znalazł? - spytała Joanna.

- Jeden z pracowników hotelowych. Miał zamiar zejść na dół i sprawdzić szkody wyrządzone przez sztorm na plaży. Zawsze to robi po takiej nocy.

- A więc to także na niewiele się zda?

Griffin pokiwał głową.

Joanna popatrzyła na niego, zamyśliła się przez moment, a potem westchnęła.

- Nie przypuszczam, żeby to mogło ci pomóc, ale... Pamiętasz, jak pytałam o osobę, która zginęła wcześniej tego roku? Wydawało mi się, że to kobieta, ale powiedziałaś, że to był mężczyzna.

- Pamiętam. I co z tego?

- Powodem, dla którego myślałam, że chodzi o kobietę, był mój inny sen. - Opisała mu go w kilku słowach. Nie potrafiła wyczytać z jego kamiennej twarzy, czy jej uwierzył, ale z pewnością nie zaczął nagle ufać snom bardziej niż kiedyś. - Powiązałam ten sen z drugim, tym o Cliffsides, i przyjęłam, że ma coś wspólnego z Caroline, że może widziała kobietę spychaną z urwiska. Zastanawiałam się nawet, czy ciemny mężczyzna mógł chcieć jej śmierci, bo była świadkiem tego, co zaszło. A gdy dowiedziałam się od ciebie, że to mężczyzna, nie miałam pojęcia, co myśleć. Kiedy jednak wyciągnęli z dołu ciało Amber i zobaczyłam kosmyk jej włosów zwisający z nosy, pomyślałam, że to może jej śmierć oglądałam we śnie.

- Proroczy sen? - zapytał Griffin spokojnie.

- Tak, tak, wiem. Nie wierzysz w takie rzeczy. Ale przecież istnieje wiele dowodów na to, że ludzie, którzy przeżyli poważny wypadek, zwłaszcza gdy obrażenia dotyczyły głowy, doświadczają czasami pozamysłowych wrażeń w tej czy innej formie, kiedy dochodzą do siebie. Może coś takiego i mnie się przydarzyło. Może prąd elektryczny otworzył drzwi do pokoju istniejącego we mnie, o którym nie miałam zielonego pojęcia.

Griffin bez trudu wykazałby, że elektryczność mogła po prostu poważnie zakłócić normalną pracę mózgu, co objawiło się w postaci dziwacznych snów i nielogicznych impulsów pchających ją do działania. Ale nie powiedział tego głośno.

- Widziałem w życiu zbyt wiele dziwnych rzeczy - odezwał się po chwili - żeby stwierdzić, że to niemożliwe, ale i tak nie pomoże nam to w żaden sposób. Wspomniałaś, że nie udało ci się zobaczyć we śnie twarzy tego mężczyzny.

Joanna była pewna, że jej nie uwierzył, ale przynajmniej otwarcie nie kpił z niej.

- Nie, nie widziałam. Obudziłam się w chwili, gdy zaczął obracać się w moją stronę.

- I nie zauważyłaś w nim czegoś szczególnego?

- Nie miał rudych włosów. - Uśmiechnęła się. - To wyklucza Caina.

- Jeśli padało, a ty nie stałaś zbyt blisko - Griffin nie dawał za wygraną - chyba trudno byłoby ci określić kolor włosów?

Uśmiech zamarł na wargach Joanny, pokręciła głową.

- Nie... nie padało. To znaczy niebo było zachmurzone i wszystko wydawało się szare i wilgotne, ale nie padało i na pewno nie było żadnej burzy.

Griffin zmarszczył czoło.

- Kiedy Amber została znaleziona, nie żyła prawdopodobnie od kilku godzin. A to oznacza, że zginęła przed świtem. Noc była czarna jak smoła, Joanno.

Joanna wciągnęła powietrze, poczuła kolejny dreszcz.

- No cóż. Wychodzi na to, że nie widziałam śmierci Amber. Nie przypuszczasz...

- Czego? - przerwał jej.

- Nie przypuszczasz chyba, że widziałam samą siebie? Griffinie? - starała się mówić spokojnie.

Griffin wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona.

- Nie. Nawet jeśli twój sen ma jakieś znaczenie, Joanno, zgodnie z tym, co kiedykolwiek przeczytałem albo słyszałem, sny niemal zawsze są symboliczne. Cokolwiek widziałaś, to nie była twoja śmierć.

- W twoim głosie jest tyle pewności. Jak ci się to udaje, skoro nawet nie wierzysz, że sen może mieć jakiegokolwiek znaczenie? - Joanna nie umiała ukryć, że jest wstrząśnięta.

Griffin nieznacznie pokręcił głową.

- Nigdy nie odmawiałem twoim snom znaczenia. Może coś oznaczają, ale skąd mam to wiedzieć? Wątpienie jest rzeczą zupełnie naturalną. Niezależnie od tego, co myślę o tych snach, jestem absolutnie przekonany, że żadne z nas nie może zobaczyć własnej śmierci.

Joanna zastanawiała się, dlaczego był o tym tak święcie przekonany, ale w tej chwili nie miała ochoty na filozoficzną dyskusję. Łatwiej i wygodniej było zaakceptować po prostu jego zdanie.

- Dobrze więc. Co w takim razie ten sen może symbolizować?

- Czy widziałaś, jak ten mężczyzna spycha kobietę? - zapytał Griffin.

- Nie. Kiedy pierwszy raz zjawiała się we śnie, nawet go nie widziałam. Tylko ją, spadała z urwiska, jakby chciała pofrunąć. A potem dostrzegłam jego. Stał w miejscu, w którym była przed chwilą, a kiedy zaczął się obracać w moją stronę, poczułam się... zupełnie

przerażona.

- I pomyślałaś we śnie, że to on ją zepchnął?

Joanna potaknęła.

- Byłam o tym przekonana. - Umilkła i uśmiechnęła się zagadkowo. - Ale później poczułam, że widziałam tę scenę oczami Caroline. To znaczy, byłam pewna, że patrzyłam na coś, co się naprawdę wydarzyło, coś, czego ona była świadkiem.

Dłonie Griffina zacisnęły się mocniej na jej ramionach, jednak zaraz potem puścił ją.

- Sam nie wiem, co wydaje się bardziej wiarygodne, czy to, że widziałaś oczami Caroline jakieś zdarzenie z przeszłości, czy też śmierć Amber.

Spróbuj mi uwierzyć, prosiła w myślach Joanna. Tak naprawdę nie winiła go. Sama żywiła spore wątpliwości. Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że dzieli ich spory dystans.

- Najlepszym wytłumaczeniem snu było prawdopodobnie przecucie, że coś niedobrego łączy się ze zgonem Caroline, coś nierozłącznie związanego ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, jakie stanowi urwisko, a wywołany tym niepokój sprawiał, że mój umysł pracował całą noc na najwyższych obrotach - powiedziała. - Ta blondynka to przypuszczalnie ja, podobnie jak obserwatorka. A ciemny mężczyzna na klifie to... przypuszczalnie przejaw mojego zdenerwowania. Myślę, że tego właśnie dowiedziałabym się na kursie psychologii.

- Kogo próbujesz przekonać, mnie czy siebie? - Griffin patrzył na nią spokojnie.

- Może nas oboje? - Wzruszyła ramionami. Nadal ulegała przymusowi, by mimo wszystko sprawić, żeby jej uwierzył. - Wiem tylko to, co już ci opowiedziałam. W tym mieście dzieje się coś nie tak, coś niedobrego i łączy się to w jakiś sposób z Caroline i jej śmiercią. Ja to wiem. Czuję. Griffinie, nawet ty musisz przyznać, że trzy osoby spadły z urwiska w czasie kilku miesięcy...

- Troje ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli ze sobą nic wspólnego - wpadł jej w słowo. - I na dodatek nie ma absolutnie żadnego dowodu przemawiającego za tym, że dwukrotnie nie chodziło o wypadek.

Joanna zmarszczyła czoło, była napięta jak struna.

- Najwyraźniej nie mieli ze sobą nic wspólnego? A gdyby istniało coś, o czym jeszcze nie mamy pojęcia?

- My? Joanno...

Nie dając mu szansy na kontynuowanie, błyskawicznie porządkowała w głowie myśli.

- Co mogło łączyć tych troje ludzi? Oczywiście oprócz pobytu w Cliffside. Mamy mężczyznę po trzydziestce, turystę. Kobietę, mieszkankę miasteczka,



dwudziestodwujęciolatnią, i osiemnastoletnią dziewczynę, turystkę. Dwoje z nich zatrzymało się w „Gospodzie” należącej do męża drugiej ofiary. Jednak ponieważ to jedyny hotel w mieście, trudno uznać to za fakt mający znaczenie. Pierwsza osoba zginęła w czerwcu, druga pierwszego lipca, trzecia na początku października. Pierwsza i trzecia spadły z urwiska w odległości około dwustu metrów od siebie, trzecia zaś wiele kilometrów dalej.

Griffin nie próbował już przedstawiać swoich zastrzeżeń. Zamiast tego metodycznie kontynuował:

- Dwoje szło pieszo tuż przed śmiercią, jedna zginęła w samochodzie. Zgon jednej osoby nastąpił o dwunastej trzydzięci, drugiej późnym popołudniem, trzeciej w nocy. - Przerwał na chwilę. - Jak dotąd nie widzę związku.

- Cóż, gdyby był oczywisty, dostrzegłbyś go znacznie wcześniej.

- Wielkie dzięki.

- Wiesz, co miałam na myśli.

Griffin westchnął.

- Tak, wiem. Posłuchaj, przejrzałem dokładnie całe akta dotyczące pierwszego zgonu, zresztą dobrze znasz ich zawartość.

Choć nie było to pytanie, Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- W porządku. Nie znalazłem tam niczego dziwnego.

- Ja także - zgodziła się. - Tyle że zapoznałam się jedynie z relacjami prasowymi. Czy jego rzeczy zostały spisane?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak. Ponieważ jednak przyczyna śmierci nie budziła podejrzeń, a pokój w hotelu należało opróżnić... Dlaczego pytasz?

- Czy miał coś, co wskazywałoby, że przyjechał jako najzwyczajniejszy turysta? Na przykład sprzęt wędkarski?

- Nie. Zanim jednak staniesz się bardziej podejrzliwa, zwróć uwagę, że niektórzy ludzie wyjeżdżają na urlop, żeby najzwyczajniej w świecie odpocząć. Pamiętam, jak jego siostra mówiła, że tuż przed wyjazdem sfinalizował jakąś bardzo wyczerpującą transakcję.

Sfrustrowana Joanna westchnęła.

- Więc jego śmierć to najzwyczajniejszy wypadek. Caroline jechała za szybko po śliskiej szosie. A Amber... co z Amber? Nie uważasz chyba, że spadła lub skoczyła, zatem...

- Niewykluczone, powtarzam, niewykluczone, że ktoś ją zepchnął. Nie wykluczam, że doktor Becket znajdzie podczas sekcji jakieś pośmiertne ślady wskazujące na morderstwo. Może dotrzemy do przypadkowego świadka, a może nie.

Joanna słyszała w jego głosie frustrację równą swojej, dlatego nie skrytykowała takiej

postawy. Był przecież twardo stąpającym po ziemi realistą. Bez dowodów i świadków mogących potwierdzić, że nie chodzi o wypadek, niewiele mógł zrobić.

Griffin rozmasował sobie kark. Był zmęczony.

- Napiłbym się kawy. A ty?

- Chętnie.

Odwróciła się od barierki i poszli razem przez murawę w kierunku hotelowej werandy. Przez kilka minut oboje milczeli, aż usiedli przy stoliku pod dachem i dostali po filiżance kawy. Dzień był przejmująco chłodny, jednak z dala od urwiska i poza zasięgiem bryzy niedogodności pogodowe okazały się mniej dokuczliwe.

- Co teraz? - zapytała Joanna, zadowolona, że wreszcie pije gorącą kawę.

Griffin pociągnął spory łyk z filiżanki, zanim odpowiedział.

- Mniej więcej to samo. Zadawanie pytań, przeglądanie raportu medycznego i domyślanie się, co, do cholery, przydarzyło się tej dziewczynie.

Joanna nie musiała pytać, żeby wiedzieć, iż Griffin skupi się w śledztwie na ofierze. Zdaniem większości gliniarzy - co potwierdza praktyka - śmiertelne wypadki, a nawet morderstwa mają bardzo proste przyczyny. Tylko niewiele jest planowanych, dominują zdecydowanie skutki nagłych emocji, działania impulsywne. Ktoś się wścieka, ktoś inny traci życie. Griffin musiał założyć, że Amber doprowadziła kogoś do białej gorączki, i szukał teraz potwierdzenia tej hipotezy. Nie interesowały go jej związki z Caroline ani z mężczyzną, który zginął przed nią, uznał bowiem, że nic ich nie łączyło.

Aż do tej chwili Joanna nie zdawała sobie sprawy, że ogarnia ją przeczucie, silne i nieracjonalne, o istnieniu związku między tymi zgonami. Nie wiedziała, dlaczego i jak się łączyły, nie wątpiła jednak, że Amber zginęła z powodu wypadku Caroline, a Caroline odeszła z tego świata dlatego, że wcześniej umarł mężczyzna o nazwisku Butler. Jeszcze nie rozumiała schematu, na którym opierało się powiązanie, nic nie wiedziała o serii wydarzeń, które wszystko spajały.

Była pewna, że ustalenie, dlaczego jedno z nich zginęło, stanowiłoby klucz do odnalezienia przyczyn śmierci pozostałych.

Intuicyjnie wiedziała, że lepiej będzie, jeśli zachowa to przekonanie dla siebie, przynajmniej na razie. Griffin nie drwił już otwarcie z tego, co mówiła, ale nadal jej nie wierzył. Nigdy nie zdoła go przekonać do znaczenia snów i przeczuc, zwłaszcza gdy chodzi o morderstwo. Żeby go zadowolić, będzie potrzebowała czegoś bardziej namacalnego. Czegoś, co mógłby wziąć w rękę i powiedzieć: „Tak, to jest realne”.

- Joanno?

- Hm? - Zamrugła oczami.

- Gdzie byłaś?

- Och, zamyśliłam się po prostu. - Nie potrafiła pozbyć się przejętego od Amber nawyku mówienia „och”. Dzięki niemu zyskiwała pewność siebie. Nieświadomie wpatrywała się w usta Griffina. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, natychmiast skierowała wzrok na filiżankę. Co się z nią działo? Nawet gdyby szukała miłości - a tak nie było - on wydawał się ostatnim mężczyzną na świecie, z którym chciałaby mieć coś wspólnego. Poza tym, że jej nie ufał, żył i pracował o pięć tysięcy kilometrów od miejsca, do którego za tydzień, dwa ona powróci. Sama.

I jeszcze sprawa Caroline. Caroline знаła Griffina przez lata, a w ostatnim dniu życia umówiła się z nim. Po co? Czyżby aż tak mu wierzyła, żeby powiedzieć, co złego się tu działo? A może powody były bardziej natury osobistej, wręcz intymnej?

Dreszcz przeszedł jej po plecach, kiedy uświadomiła sobie, że cała jej wiedza o tej sprawie pochodzi od Griffina. To o n powiedział, że Caroline chciała się z nim spotkać. To o n powiedział, że był zbyt zajęty i dlatego przegapił randkę. To o n powiedział, że nic ich nie łączyło. To o n stwierdził, że nigdy nie związałby się z mężatką.

I to jego raport zdecydował o uznaniu śmierci Caroline za wypadek.

W tej samej chwili Griffin pochylił się w stronę Joanny i niskim, nieco gliniarsko nakazującym tonem powiedział:

- Posłuchaj mnie. Nie bierzesz udziału w tym śledztwie.

- Nie mówiłam... - Spojrzała na niego. Wyraz jego twarzy był równie surowy jak ton głosu. Ponownie przeszył ją chłód, który tym razem nie miał nic wspólnego z pogodą. Nie chciała tak myśleć, naprawdę, ale nie umiała powstrzymać się od rozważania, czy ostrzegł ją dlatego, że nie chciał, by dowiedziała się prawdy.

- Nie musiałaś nic mówić, masz to wypisane na twarzy. - Jego głos wciąż brzmiał poważnie. - Joanno, musimy przyjąć, że Amber została zabita, zamordowana. To oznacza, że w miasteczku przebywa bardzo niebezpieczny osobnik, dlatego nie chcę, żebyś go szukała.

Joanna zawahała się, ale kiedy zobaczyła przymrużone oczy Griffina, zgodziła się.

- Wiem. - A ponieważ nadal się w nią wpatrywał, dodała: - Uwierz mi, nie jestem idiotką i nie mam zamiaru umierać. Na pewno nie chciałabym spotkać się z mordercą.

Wreszcie zadowolony Griffin odprężył się i skinął głową.

- To dobrze.

- Mam jednak cichą nadzieję, że w miarę postępów śledztwa będziesz mi mówił, co się dzieje - powiedziała niby od niechcienia.

- To małe miasto, pamiętasz? - Jego uśmiech był trochę drwiący. - Wszyscy będą wiedzieli o przebiegu śledztwa.

- Ale nie będą wiedzieli, co myślisz - mówiła przymilnie. - Założę się, że wszystko, co ważne, będzie jedynie w twojej głowie. - *Czy tamtego dnia spotkałeś się z nią, Griffynie? Czy to od ciebie uciekała, kiedy jej samochód stoczył się z urwiska?*

Uniósł filiżankę, jakby tym gestem wyrażał, że zgadza się z jej zdaniem, ale powiedział:

- Nie będzie tam nic ważnego, dopóki na coś nie wpadnę. - Dopił kawę i odsunął krzesło od stolika. - Do zobaczenia, Joanno.

- Cześć.

Joanna odprowadzała go wzrokiem do chwili, gdy zniknął wewnątrz hotelu, a potem zapatrzyła się na morze niewidzącymi oczami. Nie, nie chciała umierać. Jak do tej pory otarła się o śmierć wystarczająco blisko i przez jakiś czas nie chciałaby ponownie tego doświadczyć. Przez bardzo długi czas. Nie była też idiotką. Z drugiej strony nie mogła siedzieć beczynn timer i czekać, żeby ktoś inny rozwiązał zagadkę. Zwłaszcza w sytuacji, gdy czuła absolutną pewność, że to jest przyczyna, dla której się tu znalazła. Poza tym miała uzasadnione wątpliwości dotyczące szeryfa z Cliffside.

Nie zamierzała też złościć Griffina, wtrącając się do śledztwa prowadzonego w związku ze śmiercią Amber. Przeciwnie, chciała trzymać się od tego z daleka, przynajmniej przez jakiś czas. Planowała w miarę możliwości nie wchodzić Griffiniowi w drogę, co jednak nie oznaczało, że powstrzyma się od działania. Zamiast tego skoncentruje się na dwóch pozostałych „wypadkach”, które szeryf uznał za sprawy zamknięte - na śmierci turysty Roberta Butlera i katastrofie Caroline McKenny.

Pomyślała, że w przypadku Butlera dochodzenie będzie trudniejsze, bo był tu obcy, co oznaczało, że większość informacji o nim - a także o jakichkolwiek powiązaniach ze Scottem McKenną - znajduje się w San Francisco, gdzie mieszkał.

W tej chwili Joanna nie zamierzała jechać do San Francisco ani próbować czegoś się dowiedzieć przez telefon.

Zostawała Caroline.

Joanna nie mogła przestać o niej myśleć. Niezależnie od tego, co się tu wydarzyło, zawsze w ostatecznym rozrachunku sprowadzało się do śmierci Caroline. „Albo mam klapki na oczach albo...” - zastanawiała się Joanna. Albo co? Los przejął ster.

Los... a może Caroline?

Zanim Joanna skończyła śniadanie, pogoda znacznie się poprawiła. Zaświeciło słońce, a temperatura powoli rosła, zbliżając się do szesnastu stopni. Gdyby tylko Joanna mogła powiedzieć o swoim nastroju, że również się polepszył. Ale tak nie było. Śmierć Amber zwiększyła wewnętrzne napięcie, jakie czuła już wcześniej. Zdawało się jej, że eksploduje lada moment.

„Tik-tak, tik-tak”.

Dźwięk rozlegający się w głowie zmusił ją do wyjścia z hotelu i ponaglał do działania. Sporo wysiłku kosztowało ją powstrzymanie się od pobiegnięcia do wypożyczonego samochodu. Jedynie świadomość tego, co mogłoby się wydarzyć, nie pozwoliła jej docisnąć pedału gazu na krętej szosie wijącej się wzdłuż urwiska. Jechała powoli.

*Muszę się dowiedzieć, co się tu dzieje. Muszę. Zanim doprowadzi mnie to do oblędu.*

Zamierzała sprawdzić dwa miejsca za miastem. Pierwszym była stara stodoła, o której wspomniał Griffin, znajdująca się blisko drogi, gdzie Caroline chciała się z nim spotkać tuż przed tym, nim jej samochód stoczył się z klifu. Niepokój, jaki wywoływała myśl o powiązaniach Griffina z Caroline, sprawił, że chciała obejrzeć wszystko z bliska. Dodatkowo na jej decyzję wpłynęła zagadkowość obiektu - który jak utrzymywał szeryf - Caroline sama wybrała. Stara stodoła? Trudno było sobie wyobrazić, że Caroline uznała opuszczoną stodołę, stojącą w pobliżu szosy, za interesującą z jakiegokolwiek powodu. I tam właśnie chciała się spotkać z mężczyzną?

Pobrzmiewała w tym fałszywa nuta, dlatego Joanna musiała dać się prowadzić intuicji w sprawach dotyczących życia Caroline - zwłaszcza jej ostatnich kilku tygodni - które wydawały się dziwne lub nietypowe.

Nie zawracała sobie głowy pytaniem o kierunek. Zaczęła po prostu jechać wzdłuż wybrzeża w stronę Portlandu i rozglądała się uważnie. Spodziewała się, że bez trudu znajdzie budynek, i tak się stało. W odległości niecałych dwóch kilometrów od miejsca, gdzie Caroline zginęła, i nie więcej niż sto metrów od drogi stała zrujnowana i najwyraźniej nie używana stodoła.

Joanna zjechała z szosy i zaparkowała obok niej. Przez kilka minut spacerowała dookoła, przyglądając się wszystkiemu bardzo dokładnie, choć nie szukała czegoś określonego. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego. Panowała cisza, zakłócana jedynie szumem fal. Od razu pomyślała, że spotkania tu wydają się raczej mało prawdopodobne. Kiedy jednak obeszła stodołę naokoło, zauważyła, że w odległym końcu jest idealne miejsce do parkowania, skąd samochód - a może nawet dwa - był zupełnie niewidoczny z drogi. Ktoś najwyraźniej korzystał z tej możliwości. Ulubione miejsce schadzek nastoletnich kochanków,

kto wie?

Niewykluczone. Kiedy sama miała naście lat, znała doskonale kilka równie nieprawdopodobnych miejsc.

Wypaczone wierzeje otworzyły się bez trudu. Joanna przekonała się, że wewnątrz przechowywano siano. Ogromne bele stały ustawione ciasno i wysoko, zostawiając trochę miejsca jedynie pośrodku. Powietrze przepęśniała lekko mdląca woń wysuszonej trawy, nie było śladu wilgoci.

Nie zawahała się rozejrzeć także tu, bo świetnie pamiętała z dzieciństwa, ile małych „grot” i zakamarków może się znajdować w stodole pełnej siana - wystarczyło odpowiednio poukładać bele. Pewna swego, szybko znalazła jedną z nich. Wejście nie od razu dawało się zauważyć. Najprawdopodobniej nie powstała przez przypadkowe ułożenie siana, w czym Joanna się utwierdziła, gdy na końcu wąskiego „korytarza” odkryła w tylnym kącie stodoły jamę o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra, bez wątplenia używaną w celu potajemnych - lub przynajmniej ukradkowych - spotkań.

Panował tam półmrok, w którym ledwie można było coś dostrzec - jedyne światło wpadało przez szpary w ścianie zbitej z desek. Wystarczająco dużo siana leżało na klepisku, by wygodnie się na nim położyć. Na jednym z bali Joanna odkryła złożony starannie dość drogi koc. Obok stało pudełko po butach, zawierające dużą paczkę nawilżanych chusteczek higienicznych i spory asortyment prezerwatyw.

- Wszystkie nowoczesne udogodnienia - wyszeptała do siebie. Bardzo praktyczne, nawet jeśli odarte z romantyzmu.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że było to miejsce odwiedzane przez poznającą życie młodzież, jednak cena koca budziła pewne wątpliwości. Pasował raczej do kogoś dorosłego. Wyobraziła sobie chłopaka albo dziewczynę, jak wynoszą koc z domu - nie był z rodzaju tych, których braku nikt nie zauważy w przeciętnej rodzinie, więc po co mieliby ryzykować? Tani kocyk albo specjalnie kupiona mata wystarczyłyby w zupełności.

Prawdopodobnie tak - szeptał jej wewnętrzny głos - ale to tylko domysły. Nie ma dowodów na to, że szesnastoletnia Suzie nie gwizdnęła koca z bielizniarki matki, i to tylko dlatego, że siano okazało się stanowczo za bardzo drapiące dla jej wrażliwego tyłeczka.

Brak dowodów.

A jednak Caroline - delikatna i przyzwyczajona do wygod, dojrzała kobieta - z pewnością pomyślałaby o kocu, gdyby wybrała to miejsce na spotkania z kochankiem. Chciałaby się także zabezpieczyć i mieć pod ręką coś do usunięcia śladów zostawianych przez ukochanego, tak by mąż nie mógł niczego podejrzewać.

Mogła też równie dobrze poprosić kochanka, żeby spotkał się tu z nią w pewne ciepłe lipcowe popołudnie. Randka, która w jakiś sposób straszliwie się nie udała...

Możliwości interpretacji nurtowały Joannę bardzo boleśnie. Czuła, jak coś ściska ją w dołku. Nie było oczywiste, z kim Caroline mogła się tu umawiać. Griffin twierdził, że poprosiła go o spotkanie w stodole w dniu jej śmierci. Doszła do wniosku, że kobieta nie zapraszałaby mężczyzny do sekretnego miejsca, chyba że też by je znał. Musiał odwiedzać je już wcześniej.

Zostawiła koc i pudełko tam, gdzie je znalazła, i zaczęła się wycofywać przepełniona jeszcze większym niepokojem. Jednak nie wyszła stamtąd od razu. Przez jakiś czas oglądała jeszcze grubą pokrywę siana zalegającą klepisko. Nie potrafiłaby powiedzieć, co skłoniło ją do rozkopywania jej nogą. Po kilku minutach zdała sobie sprawę, że z wytężoną uwagą czegoś szuka.

W tej samej chwili dostrzegła metaliczny poblask. To był naszyjnik, misterny złoty łańcuszek i niewielki wisiorek w kształcie serca.

Joanna uklękła i wzięła go do ręki. Mrużąc oczy w półmroku, próbowała odczytać napis wygrawerowany z przodu serduszka. Obróciła je trochę i wtedy niespodziewanie pojawiły się litery ułożone w „Kocham cię”. Przekręciła serce na drugą stronę i tam też zobaczyła efekt pracy grawera. Trudniej było odczytać znaki, ale w końcu jej się to udało. Dwa słowa, napisane prostymi literami.

„Twoja Regan”.

## Rozdział ósmy

- No, mów, doktorze.

Doktor Peter Becket odsunął fotel od biurka, tak jak pozwalały warunki w ciasnym pokoiku wykorzystywanym jako gabinet, kiedy okoliczności zmuszały go do pracy w piwnicach kostnicy. Potarł twarz dłońmi w geście zmęczenia, a potem spojrzał na Griffina stojącego w drzwiach.

- Przywieźliśmy ją dopiero dwie godziny temu. Jeszcze jej nie pokroiłem, Griff.

- Wiem. Ale przeprowadziłeś już badanie wstępne, prawda?

- Uhm.

- I co? - Griffin nalegał niecierpliwie.

- Czemu tak ci na tym zależy? - zapytał trochę zaciekawiony Becket. - To znaczy, do licha, wiem, że była jeszcze niemal dzieckiem i przykro mi z tego powodu, tak jak wszystkim, ale... dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Na tym polega moja praca. Na drzwiach mojego biura, na lśniącej plakietce jest napisane „Szeryf”. To samo mam napisane w kontrakcie. Uczciwi obywatele Cliffsides płacą mi za przejmowanie się, kiedy jakiś turysta spadnie z urwiska i skręci sobie kark.

Becket nie przerwał mu, ale w chwilę potem powtórzył:

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne, Griff?

Opierając się ramieniem o framugę drzwi, Griffin zaklął pod nosem i westchnął.

- Ważne, bo mam paskudne przeczucie, że ktoś pomógł tej dziewczynie polecieć. Powiedz, że się mylę. Proszę!

- Rano myślałem, że pytasz niejako w obowiązku, automatycznie - odparł Becket powoli. - Zobaczyłeś coś, co przeoczyłem?

- Grunt był trochę wydeptany, to wszystko.

- Musiało być coś więcej. Nie podejrzewałbyś morderstwa, gdybyś opierał się tylko na tak nikłej poszlace.

Zarówno rodzaj pracy, jak i osobowość sprawiały, że Griffin niezbyt chętnie wykladał karty na stół nawet wobec kolegi i przyjaciela, dlatego wzruszył po prostu ramionami i odpowiedział wymijająco:

- Jeszcze nie podejrzewam morderstwa. Może to zwykły wypadek, dziewczyna z kimś się pokłóciła i została w złości zepchnięta. Chcę po prostu wiedzieć, jakie pytania



powiniennem zadawać, i tyle.

- Uhm, racja. - Becket odchrząknął i odezwał się po dłuższej chwili. - Pewnie dlatego nie dałeś mi nawet czasu na zrobienie sekcji. - Gestem nie pozwolił Griffinowi, żeby mu przerywał. - Nieważne. Mam dość swoich zmartwień, toteż obejdę się bez twoich. Posłuchaj, badanie wstępne nie pozwala na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków. Znalazłem siniaki na nadgarstku, które mogą wskazywać, że tuż przed śmiercią ktoś trzymał ją mocno za ręce, i kilka innych na ramionach, których nie potrafię wytłumaczyć. Nie mogę też stwierdzić z całą pewnością, że zeszłej nocy nie była tam sama. Spodziewam się jednak, że sekcja wykaże zgon na skutek obrażeń odniesionych przy upadku.

- Zdołałbyś ustalić, czy przed śmiercią miała stosunek płciowy?

- Znaleźliśmy ją kompletnie ubraną - przypomniał Becket.

- Wiem. Ale możesz przecież stwierdzić, czy uprawiała seks kilka godzin przed śmiercią?

- Niewykluczone. - Lekarz wzruszył ramionami. - Na pewno w sytuacji, gdy jej ewentualny partner nie używał prezerwatywy. Nie myślisz chyba o gwałcie?

- W zasadzie nie biorę tego pod uwagę, bo była całkowicie ubrana. Gdybyś jednak znalazł jakieś ślady gwałtu...

- Natychmiast się o tym dowiesz.

- Dzięki, doktoru.

- A teraz idź stąd, dobrze? Pełne sprawozdanie będziesz miał dziś po południu, z wyjątkiem wyników testu toksykologicznego.

- A test toksykologiczny?

- Za kilka dni, Griff. Możesz sobie pójść?

Griffin się wycofał. Zamiast wyjść tylnymi drzwiami kostnicy lub przez rampę, którą dostarczano zwłoki do autopsji, jeśli śmierć denata nastąpiła poza szpitalem, a potem odbierano je stamtąd celem pochówku, postanowił opuścić budynek frontowymi drzwiami. W małym miasteczku, gdzie zgon w wyniku wypadku lub choroby zdarza się stosunkowo rzadko, ogromne dwuskrzydłowe drzwi kostnicy przygnębiały ludzi swoim widokiem. Wszedł po schodach na górę, pomachał ręką pielęgniarce pełniącej dyżur w izbie przyjęć i nie zatrzymując się, opuścił szpital.

Nie wsiadł jednak od razu do samochodu. Stał na dworze, wciągając w płuca rześkie poranne powietrze i rozglądał się dookoła z gliniarskiego nawyku. Niewielki szpital znajdował się ulicę dalej od Main Street i przecznicę za biblioteką. Za nim, trochę z tyłu usytuowany był teren, który Caroline przekazała na budowę nowego skrzydła kliniki. Scott

nie zwlekał z wypełnieniem woli żony i zdążył zlecić przygotowanie gruntu pod budowę, zanim testament się uprawomocnił.

Griffin nie zastanawiał się nad tym, co widział. Podświadomie odnotował, że spychacze najwyraźniej wykonały już swoje zadanie. Wsiadł do blazera i ruszył w kierunku biura.

Ranek był wyjątkowo paskudny. Uczucie nudności nie złagodniało. Od czasu kiedy zobaczył pasmo blond włosów denatki i przysłała mu do głowy przerażająca myśl, że zabita, leżąca na skałach dziewczyna to Joanna, miał wrażenie, jakby ktoś walnął go pięścią w żołądek. Ulga, która go ogarnęła, gdy okazało się, że to nie ona, sprawiła, że popadł w rodzaj dziwnego otępienia. Dopiero kiedy spotkał Joannę, dotknął jej, porozmawiał i przekonał się, że nic się jej nie stało, wrażenie minęło, ale złe przeczucia nie.

Amber można było z łatwością wziąć z tyłu za Joannę, zwłaszcza po ciemku. Nawet jej głos mógł brzmieć podobnie, gdy krzyczała w ostatnich sekundach życia, bo nie naznaczył go charakterystyczny akcent, typowa dla południa melodyka, osobista nuta - wyrażał jedynie strach.

Griffin pomyślał ponuro, że od przekleństwa, jakim jest bujna wyobraźnia, gorsza jest wyobraźnia człowieka wykształconego i doświadczonego. Amber zginęła nagłą śmiercią. Nie mógł wykluczyć, że pomyłono ją z Joanną. Potrafił dokładnie odtworzyć w myślach przebieg wydarzeń tamtej nocy.

Był to jeden z minusów zawodu policjanta - brak umiejętności upiększania faktów. Często zastanawiał się, jakiego typu umysłowość lub wrażliwość jest niezbędna, by człowiek stawał się podejrzliwy w codziennym życiu i oglądał widoki, których przeciętni szczęściarze nie widzą. Na przykład rozszarpane i potłuczone ciała. Co sprawia, że ktoś zostaje gliniarzem?

Griffin znał odpowiedź w swoim przypadku. Mógł z łatwością określić czas i miejsce, kiedy poczuł wewnętrzny przymus zostania policjantem. Ukształtowały go wydarzenia pewnego lata, których nigdy nie zapomni. Nauczył się wtedy nienawidzić zła, częściej nie dawać wiary, niż ufać, być podejrzliwym wobec zdarzeń pozbawionych logiki i nie znosić pytań pozostających bez odpowiedzi. Tamto lato zmieniło go w policjanta, choć miał wtedy zaledwie piętnaście lat.

Wyparł z myśli prześladowające go wspomnienia i zmusił się do skupienia uwagi na tym, co musiał robić tu i teraz. Po pierwsze - oczywiście - należało zebrać tak wiele informacji, ile zdoła. Potem musi przekopać się przez to wszystko, sprawdzić najmniejszy szczegół dotyczący życia i śmierci Amber Wade.

Prosząc Becketa o ustalenie, czy odbyła przed śmiercią stosunek, strzelał w ciemno. Griffin nie wierzył, żeby Cain współżył z dziewczyną, a ona z kolei tak sobie nabiła nim głowę, że kontakt z innym mężczyzną wydawał się mało prawdopodobny. Gwałt także raczej nie wchodził w grę, bo gwałciciele zwykle nie ubierają ofiar po dokonaniu czynu. Nie mógł jednak wykluczyć, że została napadnięta, zgwałcona i zabita, a potem ubrana i zrzucana z urwiska, by upozorować jej śmierć na wypadek. Co prawda, biorąc pod uwagę pogodę panującą w nocy, to też brzmiało niezbyt przekonująco.

Jednak z drugiej strony, nawet gdyby odbyła stosunek zeszłej nocy, dokąd zaprowadziłaby go ta informacja? Jej partnerem mógł być ktoś nieznany. Sperma w ciele Amber pozwoliłaby ustalić jego grupę krwi - tylko co z tego? Bez potencjalnego lub choćby podejrzanego kochanka zamkniętego w areszcie nic mu nie przyjdzie z tej wiedzy.

Niezadowolony, Griffin zaparkował na stałym miejscu przed biurem szeryfa i wszedł do środka. Przed drzwiami swojego pokoju natknął się na Gwen Taylor, jedną ze swych zastępczyń. Podążyła za nim do gabinetu ze zwykłą dla siebie ponurą miną.

- Mam większość zeznań. Chcesz je przejrzeć, szefie?

- Jakież niespodzianki? - zapytał, wieszając kurtkę.

- To byłoby zbyt proste, prawda? - Uśmiechnęła się. - Mark i Megan zaczynają mieć serdecznie dość pukania do wszystkich drzwi w „Gospodzie” i rozpytywania, czy ktoś znał tę dziewczynę, a może widział ją wczorajszej nocy... Biorąc jednak pod uwagę pogodę...

- Tak, wiem. - Griffin wziął od niej zeznanie i usiadł za biurkiem. - Czy Neal znalazł coś na plaży?

- Nic. - Gwen pokręciła głową. - Nawet jeśli coś tam było, przypływ zabrał wszystko.

- W porządku. Dziękuję, Gwen.

Kobieta podeszła do drzwi, ale przed wyjściem obróciła się, popatrzyła na niego i powiedziała:

- Szefie? Shelley jest ciągle w hotelu. Mówiła mi, że pan Wade zaczął się dopytywać, kiedy będzie mógł odebrać ciało córki.

Griffin poczuł ucisk w piersiach. Przez chwilę nie był w stanie odpowiedzieć. Naturalna reakcja najbliższych. Spotkał się z nią wcześniej tak wiele razy. Chęć ucieczki z miejsca śmierci i grozy, powrót do domu, gdzie - dzięki Bogu - wszystko mogło okazać się jedynie koszmarnym snem. Griffin usiłował wyobrazić sobie, co przeżywają rodzice, których dziecko zginęło nagłą śmiercią, ale natychmiast przywołał się do porządku, niemal okazując to mową ciała. Pomyślał smutno, że nie jest to coś, co łatwo sobie wyobrazić... nikt nie chciałby tego przeżywać. I jeszcze myśl, że jej ciało dozna dalszych uszkodzeń podczas sekcji

zwłok...

- Przekaż Shelley, żeby odpowiadała wymijająco. Nie ma potrzeby informowania rodziców, że czekamy na wyniki sekcji. Niech im powie, że ustalamy okoliczności śmierci ich córki i zrobimy wszystko tak szybko i sprawnie, jak to będzie możliwe.

- A jeśli to ich nie zadowoli?

- Wtedy ja z nimi porozmawiam - oznajmił, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. O Boże, jak bardzo tego nie chciał. Nie mógł im bowiem powiedzieć nic, co złagodziłoby ból. Absolutnie nic.

Griffin patrzył przez chwilę za Gwen, odwołując czytanie zeznań. Niechętnie się do nich zabierał, bo wiedział, że nie znajdzie tam żadnych nowych informacji. Miał dobrych, znakomicie przeszkolonych zastępców, więc skoro oni nie zauważyli niczego istotnego, nie miał powodu, by nie zgadzać się z ich oceną. Oczywiście musiał zapoznać się ze wszystkim, nawet jeśli była to strata czasu.

Natrętna myśl - czy dobrze robi, traktując śledztwo w sprawie śmierci Amber jak każde inne - nie dawała mu spokoju. Czy Joanna miała rację? Czy śmierć tej nastolatki była w jakikolwiek sposób powiązana ze zgonem turysty sprzed miesiąca i wypadkiem Caroline?

Posiadana wiedza i instynkt policjanta mówiły mu, że nie. I jak do tej pory dowody to potwierdzały. Z San Francisco zaczęły napływać informacje o interesach Roberta Butlera i Scotta McKenny w tym mieście, ale na razie nie ustalono między nimi żadnych powiązań. Griffin nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki, nawet najbardziej oględny, sposób Amber mogłaby mieć coś wspólnego z tymi mężczyznami.

Poza faktem, że wszystkie ofiary zginęły, spadając z urwiska, nic nie łączyło tych trojga ludzi, nie istniał też związek między ich zgonami. Niemniej pewność Joanny, choć oparta na niewytłumaczalnych snach, nie dawała mu spokoju.

Najprostsza odpowiedź okazywała się zwykle prawdziwa. A gdyby tym razem była skomplikowana i niejasna?

Gdyby jednak coś łączyło te zgony, tych troje ludzi, ale powiązania okazałyby się tak enigmatyczne lub tak dobrze zakamuflowane, że dostrzec można by je tylko powierzchownie w sennym majaku?

A gdyby Joanna miała klucz do tych trzech zgonów?

I gdyby wiedziała o tym nieodpowiednia osoba?

Późnym popołudniem Joanna wyszła ze sklepu jubilerskiego Landersa w centrum miasteczka. Miała zamiar pójść w kierunku biblioteki, przy której zostawiła samochód, ale

spojrzała na drugą stronę ulicy i zobaczyła Griffina i Scotta McKennę. Instynktownie, nie zastanawiając się, dlaczego to robi, rozejrzała się w obie strony i ruszyła w stronę mężczyzn.

Zbliżając się do nich, pomyślała, że choć podobnie wysocy i tej samej budowy, przedstawiali sobą interesujący kontrast. Scott był niemal koci w swojej elegancji i raczej oziębło przystojny, czujny i niezależny, jak to bywa u kotów. Miał na sobie ciemny garnitur, nie rozjaśniony żadnym żywszym kolorem. Jego twarz niczego nie wyrażała.

Griffin z kolei, ubrany jak zwykle na sportowo, w ciemnych spodniach, jasnej, kolorowej koszuli pod wiatrówką, wyglądał surowiej i choć twarz miał kamienną, robił wrażenie bardziej ożywionego od Scotta, jakby swego wigoru nie umiał ukryć lub kontrolować równie dobrze, jak robił to drugi mężczyzna.

Obaj nie lubili się nawzajem. Nie, chodziło o coś więcej. Scott nienawidził Griffina. Joanna wyczuła to w chwili, gdy minęła barierkę przy chodniku i znalazła się blisko nich. Od Scotta ziało chłodem, niczym od lodowca. Jednak mówił bardzo spokojnie, nawet uprzejmie, bez wątpienia odpowiadając na zadane pytanie.

- Musisz mi wybaczyć, szeryfie, jeśli nie będę umiał przypomnieć sobie czegoś sprzed czterech miesięcy. Ten okres był... trudny.

- Widziałem, jak rozmawiałeś z Butlerem w miasteczku na kilka dni przed jego wypadkiem - powiedział Griffin, ignorując aluzję do śmierci Caroline. Jednak w jego głosie słyhać było napięcie. - Pomyślałem, że dzięki temu utkwiał ci w pamięci.

- Przykro mi, ale nie. - Scott uśmiechnął się nieznacznie. - Przypuszczam, że pytał o godzinę i to wszystko.

- Masz roleksa, prawda? - pytając, Griffin spojrzał znacząco na jego nadgarstek.

- Tak.

- Butler też taki nosił. - Tym razem to Griffin słabo się uśmiechnął. - Miał go na rękę w chwili śmierci, a sądząc po nieopalonej skórze pod spodem, nie zdejmował go przez cały czas.

Joanna stała w odległości niecałych dwóch metrów od nich. Uważnie wsłuchiwała się w ten specyficzny pojedynek, nie usiłując nawet ukryć zainteresowania. Uznała, że obaj zdają sobie sprawę z jej obecności, mimo to koncentrowali się na sobie.

Scott nieznacznie wzruszył ramionami.

- Może jego zegarek źle chodził. A może spytał, gdzie parzą dobrą kawę. Było wtedy w mieście bardzo wielu turystów, więc naprawdę nie potrafię sobie przypomnieć, co któryś z nich powiedział. Zastanawia mnie jednak, dlaczego teraz o to pytasz. Miałem wrażenie, że śledztwo w jego sprawie zostało zamknięte.

- Może zamknąłem je za szybko - odrzekł Griffin.

Scott ponownie wzruszył ramionami.

- To oczywiście twoja działka. Wznów śledztwo, jeśli nadal masz wątpliwości. Ale ja nie bardzo mogę ci w tym pomóc. Nie znałem tego człowieka.

Griffin po chwili pokiwał głową.

- W porządku. Teraz jednak zajmujemy się inną sprawą. Kolejnym wypadkiem. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie byłeś zeszłej nocy?

Jedna z brwi Scotta uniosła się odrobinę, choć on sam zachował kamienną twarz.

- W domu, naturalnie.

- Sam?

Początkowo wydawało się, że Scott nie odpowie. W końcu odezwał się, jednak trochę mniej uprzejmie niż poprzednio:

- Dylan i Lyssa byli u mnie mniej więcej do dwudziestej pierwszej. Po tym czasie nie ma nikogo, kto zapewniłby mi alibi, jeśli o to pytałeś. Gospodyni wróciła na noc do siebie.

Nie wspomniał o córce, ale Joanna pomyślała, że o tej porze dziewczynka leżała pewnie w łóżku, więc Scott uznał, że nie musi tego wyjaśniać. Natężyła uwagę, kiedy Scott zaczął mówić dalej.

- Oczywiście, słyszałem o tej dziewczynie. To przykre... ale nawet jej nie znałem. O ile wiem, nawet jej nie widziałem. Zadowolony, szeryfie?

- Jak na razie - odpowiedział Griffin.

- Więc chyba już pójdę.

Scott minął Griffina i ruszył w kierunku Joanny. Spojrzenie jego chłodnych szarych oczu spoczęło na niej przez chwilę. Pozdrowił ją odruchowo i nie zatrzymując się, poszedł dalej. Kiedy znalazł się przy końcu przecznicy, skręcił i najprawdopodobniej zmierzał w stronę parkingu. Zniknął im z oczu.

- Spotkaliście się? - zapytał Griffin trochę surowo, ale kiedy Joanna spojrzała na niego, zauważyła, że przygarbił się trochę jak ktoś, kto zbyt długo stał sztywno wyprostowany.

Joanna zbliżyła się do niego i oparła o balustradę przy chodniku.

- Przez krótką chwilę tego dnia, kiedy rozmawiałam z Regan w altanie Caroline. Nasze spotkanie przebiegło jednak w znacznie mniej lodowatej atmosferze, tak przynajmniej myślę.

- To było takie oczywiste, co? - spytał, lekko wykrzywając usta.

- Och, nie, wcale nie. Sześciometrowa plansza reklamowa z napisem „Nienawidzimy

się nawzajem” byłyby przy tym jedynie subtelnym znakiem.

- Mam nadzieję, że przesadzasz.

- No... może trochę. Ale i tak wasza wzajemna niechęć rzucała się w oczy. Jak myślisz, dlaczego tak szybko przeszłam na drugą stronę ulicy? Bo miałam dziwne przeczucie, że zaraz zaczniecie się szarpać. Powiedz mi, kto kogo bardziej nienawidzi, ty jego czy on ciebie?

- Co to za pytanie?

- Wścibskie. Mam odpowiedzieć za ciebie? Wydaje mi się, że jeśli Scott McKenna chciałby kogoś zniszczyć, byłbyś pierwszy na liście. A z kolei ty nienawidzisz go tylko dlatego, że nie znosisz, gdy ktoś cię nie lubi.

- Trochę trudno myśleć przyjaźnie o kimś, kto cię serdecznie nienawidzi - zgodził się Griffin.

- On cię nienawidzi, bo...?

- Me wiem.

- Nie wiesz?

- Nie - odparł Griffin na tyle stanowczo, że przestała mu wierzyć. - Ale mówiąc szczerze, nawet gdyby chciał zostać moim kumplem, nie byłbym zainteresowany.

- Dlaczego?

Griffin popatrzył na nią tak, jakby żałował, że powiedział ostatnie zdanie.

- Nieważne. Pewnie to zwykła niezgodność charakterów. Domyślam się, że słyszałaś, co mówił. Zaprzeczył jakimkolwiek związkom z Butlerem. Ostatniej nocy był sam w domu. Tego nie zdołam obalić, nawet gdybym chciał.

- Czego nie zdołasz obalić?

Griffin pokręcił głową.

- Poza tym, że nie potrafię wyobrazić sobie Scotta za „Gospodą” w środku październikowej nocy, kiedy szaleje burza, niezależnie, co miałyby go do tego skłonić, jeszcze mniej prawdopodobne wydaje mi się, żeby zepchnął osiemnastoletnią dziewczynę z urwiska. Na dodatek nikt nawet słowem nie wspominał o jego związku z Amber.

Joanna nie robiła wrażenia zaskoczonej. Miała przeczucie, że jeśli coś łączyło tych dwoje, na pewno było trudne do zauważenia.

- Chyba masz rację - przyznała, a potem w zamyśleniu dodała: - Rano wydałeś mi się znacznie mnie przekonany, że śmierć Amber to nie wypadek. Dobrze myślę?

- Nie. Sekcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił na skutek ran odniesionych przy upadku. Za kilka dni będziemy mieli wyniki badań laboratoryjnych. Dowiemy się, czy w jej

organizmie były jakieś narkotyki, ale lekarz radził mi nie spodziewać się rewelacji.

Joanna zmarszczyła czoło.

- Zatem nie ma dowodów wskazujących, że to nie był wypadek albo samobójstwo.

Dlaczego zatem tak szczegółowo wypytywałaś Scotta McKennę o ostatnią noc?

- Część zwykłej procedury śledczej.

- Czyżby? - Joanna popatrzyła na niego przez moment. - Czy zawsze przesłuchujesz ludzi zupełnie nie związanych z ofiarą?

- Tak, gdy istnieje nawet nikłe prawdopodobieństwo, że ta akurat ofiara mogła być w jakiś sposób powiązana ze śmiercią innej osoby, z którą przesłuchiwany miał związek.

- Nikłe prawdopodobieństwo. Przypuszczam, że sny i przeczucia podpadają pod tę kategorię.

Griffin nie miał specjalnej ochoty przyznawać, że w rzeczywistości szukał dowodów na powiązania Butlera z kimś z Cliffsida - zwłaszcza ze Scottem McKenną. W każdym razie do czasu, aż uda mu się to ustalić.

- Prawdę mówiąc, są poza zakresem normalnej pracy w policji. Rozumiesz?

- Uhm. - Joanna zastanawiała się przez chwilę, niezupełnie pewna, czy chce poruszać kolejny temat, ale szeryf wyczuł, że chce coś powiedzieć.

- Co ci chodzi po głowie, Joanno?

Rozejrzała się dookoła po malowniczym spokojnym miasteczku, spojrzała na kilka osób, które wyszły na ulice w to chłodne październikowe popołudnie, i westchnęła. Jak wiele działo się pod powierzchnią, ukryte przed ciekawskim wzrokiem miejscowych plotkarzy? Z każdym spędzonym tu dniem nabierała większego przekonania, że było tego sporo. To miejsce miało swoje tajemnice. Sekrety, które ludzie bez wątpienia skrywali z niepokojem. Co by się stało, gdyby któraś z tych dobrze strzeżonych tajemnic została odkryta?

Zwłaszcza przez nieodpowiednią osobę.

*Griffinie, zadawanie przez ciebie pytań wydaje się logiczne. Jednak gdybyś ty coś ukrywał, co wtedy? Co robić, jeśli nie mogę ci zaufać?*

Czy miała jakiś wybór?

Joanna sięgnęła ręką do kieszeni koszuli flanelowej, którą włożyła zamiast żakietu, i wyciągnęła naszyjnik znaleziony w starej stodole.

- Poznajesz to?

Griffin patrzył przez chwilę na serduszko, wziął łańcuszek z ręki Joanny i przyjrzał mu się dokładnie. Zanim coś powiedział, przeczytał inskrypcję.

- To Caroline. Często go nosiła.



Joanna zmusiła się do mówienia tonem, który pasowałby do jego kamiennej twarzy.

- Uhm. Od pana Landersa ze sklepu jubilerskiego dowiedziałam się, że kilka lat temu zamówiła podobny naszyjnik z napisem wygrawerowanym dla Regan na jej urodziny. Następnego roku przed urodzinami Caroline Regan pomaszerowała do jubilera, wysypała na ladę garść drobnych i poprosiła o identyczne serduszko z dedykacją od niej. Landers, niczego nie dając po sobie poznać, spełnił jej prośbę, wziął drobne, których w sumie nie było więcej niż trzy dolary, i zachował rachunek, bo wiedział, że Scott lub Caroline wcześniej czy później przyjdą do niego i uzupełnią różnicę. Caroline zapłaciła.

- Mówiono o tym w miasteczku. Więc?

Joanna wzięła od niego łańcuszek i odruchowo bawiła się nim.

- Więc... Kiedy ostatni raz widziałeś Caroline z tym serduszkem na szyi?

- Czegoś takiego się nie pamięta...

- Daj spokój. Jesteś policjantem. Zwracasz uwagę na szczegóły. Kiedy ostatni raz widziałeś Caroline z tym na szyi?

- Dlaczego to takie ważne?

- Odpowiedz na pytanie, proszę, Griffinie.

Szeryf wsunął ręce do kieszeni kurtki i spojrzał na Joannę zamyślonym wzrokiem. Zmarszczył przy tym czoło, jak ktoś próbujący się skoncentrować.

- To było... Mam. Mam! W niedzielę wielkanocną. Widziałem ją w mieście z Regan, obie szły wystrojone do kościoła. I obie miały na szyjach te serduszka.

- Nie pamiętasz, czy potem Caroline nosiła naszyjnik?

- Nie. Dlaczego, Joanno? A w ogóle, skąd go masz?

- Znalazłam.

Joanna zapatrzyła się na złote serce. Niedziela wielkanocna. Caroline miała jeszcze naszyjnik na początku kwietnia. Zatem mogła go zgubić kiedykolwiek od tamtej pory do pierwszego lipca, dnia śmierci. W czasie tych trzech miesięcy musiała być w „grocie” w starej stodole, gdzie spotykali się kochankowie.

- Gdzie go znalazłaś?

- Dam go Regan, kiedy ją spotkam następnym razem. - Joanna wsunęła naszyjnik do kieszonki. - Myślę, że chciałyby go mieć.

- Joanno! Gdzie znalazłaś to serduszko?

Spojrzała na jego zmarszczone czoło i choć chciała wierzyć, że nie był kochankiem Caroline, nie mogła. Pomyślała, że wszystko byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby miała pewność, że nic ich nie łączyło. Gdyby mogła mu zaufać. Ale wątpliwości jej nie opuszczały.

Co prawda, wiedziała o tym od niego, ale w końcu Caroline prosiła go o spotkanie sam na sam w stodole w dniu, kiedy zginęła.

- Znalazłam je w starej stodole - odpowiedziała spokojnie, w napięciu oczekując na reakcję. - W jednym z rogów na tyłach jest rodzaj niszy w sianie. Wiedziałeś o tym?

- Nie byłem w pobliżu tego miejsca od zeszłego lata, kiedy jakieś dzieciaki zapędziły tam konia, który uciekł z zagrody - odparł, a nic w jego twarzy nie zdradzało, że kłamie. - Nisza?

Joanna zastanawiała się - zakładając, że mówił prawdę - dlaczego w ramach normalnych czynności śledczych nie sprawdził stodoły zaraz po wypadku Caroline. Jedyne wytłumaczenia dopatrywała się - przyjmując, że nie był winny śmierci Caroline - w jego poczuciu winy, jakie go dręczyło po tym, co się stało. Może wyrzuty sumienia sprawiły, że uznał stodołę za miejsce, gdzie powinien się stawić, czego nie zrobił, a nie miejsce, gdzie Caroline była na kilka minut przed śmiercią.

Jeśli oczywiście nie miał nic wspólnego z jej śmiercią.

- Nisza - potwierdziła - w której spotykała się co najmniej jedna para kochanków.

- Skąd o tym wiesz?

- Świadczą o tym dowody, szeryfie. - Joanna pozwoliła sobie na złośliwy uśmiešek. - Ładny gruby koc i... pudełko prezerwatyw.

Griffin parsknął śmiechem.

- Cóż, przynajmniej byli ostrożni.

O ile Joanna potrafiła się zorientować, jego rozbawienie nie było udawane i zupełnie naturalne. Nie zmniejszyło to jednak jej napięcia. Kiedy odezwała się łagodnie, nie spuszczała z niego czujnych oczu:

- Biorąc pod uwagę, że znalazłam naszyjnik w niszy na tyłach stodoły, nie uważasz, że Caroline mogła się tam z kimś kochać?

Griffin wyglądał na zaskoczonego, co prawda nie okazał śladu zaskoczenia lub niedowierzania, a samo zdziwienie szybko minęło.

- Przypuszczam, że to możliwe - powoli wymawiał słowa. - Większość mieszkańców Cliffsida prawdopodobnie powiedziałałaby ci, że Caroline nie była szczęśliwa w małżeństwie.

- To prawda czy tylko plotka?

- Jeśli pytasz, czy Caroline opowiadała mi o swoim małżeństwie, to odpowiedź brzmi - nie. Wiem, że była nieszczęśliwa wiele lat temu, ale po przyjściu Regan na świat wydawała się... Sam nie wiem... całą uwagę skupiła na dziecku. Ona i Scott robili wrażenie dalekich sobie, przynajmniej gdy widziałem ich publicznie. Nie wykluczam jednak, że taki związek jej

odpowiadał.

- A może po prostu tak wyglądało jej małżeństwo, i tyle. - Joanna nie czekała, aż Griffin to skomentuje, i szybko dodała: - Zatem mogła się z kimś spotykać w starej stodole?

Griffin wzruszył ramionami.

- Może. Nie wygląda to na miejsce, które sama by wybrała, ale z drugiej strony nie ma tu zbyt wielu zakątków gwarantujących utrzymanie spotkań w tajemnicy. A nawet gdyby miała kochanka, to co z tego?

- To chyba ktoś, z kim powinieneś porozmawiać o jej śmierci.

- Nie mając żadnych dowodów, że to nie był wypadek? I o co miałbym go spytać, Joanno?

- Nie mam pojęcia. Czy widział się z nią tamtego dnia. Czy wyglądała na zaniepokojoną? Sam mówiłeś, że w dniach poprzedzających tragedię była bardziej nerwowa niż zwykle. Dlaczego? Co zaprzętało jej myśli? Nie uważasz, że to ważne, Griffinie? Nie wydaje ci się, że kochanek znałby odpowiedzi?

- Myślę, że kochanek mógłby to wiedzieć - zgodził się z nią. - Jeśli oczywiście miała jakieś problemy. Zakładając, że dowiedziałbym się, kto był jej kochankiem, daję głowę, że jeśli on naprawdę istnieje, to nie puściłby pary z ust. Poza tym, na jakiej podstawie miałbym pytać go o cokolwiek? Nawet jeśli Caroline ze zdenerwowania straciła kontrolę nad kierownicą, nie ma najmniejszego dowodu, że to nie był zwykły wypadek. Prawo nie ściga ludzi za mówienie niewłaściwych rzeczy ani za odmawianie pomocy, gdy ktoś o nią prosi.

- A jeśli to, że miała kochanka, ma jeszcze jakieś inne znaczenie? - Joanna starała się mówić rzeczowo. - Może zginęła właśnie dlatego, że zdradzała męża? Niewykluczone, że Scott się dowiedział. Gdzie był, kiedy samochód Caroline spadł z urwiska?

- Jak zawsze w dni powszednie, w domu.

- Sam?

- Przez większość czasu. - Griffin skinął głową. - Gospodyni miała wolne. Regan była w domu, ale przeziębiona i całe popołudnie przeleżała w łóżku w swojej sypialni. Lyssa obsługiwała klientów w sklepie, a Dylan pojechał do Portlandu. Tego dnia koło domu pracował ogrodnik, ale nie umiał sobie przypomnieć, czy McKenna wychodził gdzieś tamtego dnia. Sprawdziłem to wszystko, możesz mi wierzyć. I co z tego? Jak już sto razy mówiłem, zginęła w wypadku. Jechała samochodem. Nie miała żadnej kolizji, brak też śladów, że ktoś próbował zepchnąć jej wóz z drogi. Co oznacza, że nie popełniono żadnego przestępstwa.

Joanna usłyszała fałszywą nutę w jego głosie.

- Regan leżała w domu chora? I Caroline nie była przy niej?

Griffin zmarszczył na moment czoło, a potem pokiwał głową.

- Dziewczynka nie była poważnie chora. To znaczy, moim zdaniem, Caroline mogła spokojnie zostawić ją na kilka godzin pod opieką Scotta. Zresztą Regan dochodziła już do siebie po przeziębieniu, to wszystko.

Może wszystko, a może nie, pomyślała Joanna. Nadal była przekonana, że Caroline nie zostawiłaby Regan bez naprawdę ważnej przyczyny, na pewno nie wtedy, gdy mała chorowała. Co według niej stanowiło pewien dowód, że tamtego dnia coś bardzo zaniepokoiło Caroline.

Nie wątpiła, że Griffin się z nią nie zgadza. Zacznie szukać nowych informacji o życiu Caroline dopiero wtedy, gdy nabierze przeświadczenia, że nie padła ofiarą wypadku.

Powiedział, że z Caroline nie łączyło go uczucie. Może to prawda, a może nie. Prawdopodobnie nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. Prawdopodobnie. To jednak, oczywiście, nie przeszkadzałoby mu z takich czy innych powodów w zatajeniu jednego lub kilku faktów dotyczących zgonu Caroline. Zatem Joanna nadal nie mogła mu ufać. Cały czas nie mogła ślepo wierzyć we wszystko, co jej mówił.

Z drugiej strony chciała, żeby jej zaufał. Marzyła, że odłoży na bok policyjne przygotowanie i intuicję i uwierzy w to, co nienamagalne. Nie musiał przejmować się snami... ale mógłby po prostu jej uwierzyć. Prawda? Uważała, że dobrze byłoby mieć go po swojej stronie w tej zupełnie pozbawionej logiki sprawie.

- W porządku - powiedziała, wzruszając ramionami nonszalancko. - Moim zdaniem sama możliwość, że miała kochankę, powinna świadczyć o czymś ważnym dla nas.

- Na przykład?

- Na przykład o tym, że w Cliffside istnieją tajemnice. Skoro kobieta, taka jak Caroline, może mieć potajemny romans, o którym nikt nie ma pojęcia, należy założyć, że sporo się dzieje pod płaszczkiem codzienności tego miasteczka.

- Niewykluczone.

Ponieważ Joanna nie chciała, żeby Griffin zorientował się w jej zamiarze grzebania w szczegółach życia i śmierci Caroline, świadomie skierowała jego uwagę na ostatni wypadek.

- Co w tym kontekście można powiedzieć o Amber? To znaczy o przyczynach jej śmierci. Choć to straszne samo w sobie, macie tu miejscowego gwałciciela?

- Gdyby istniał ktoś taki - odpowiedział obojętnie - a ona została przez niego zaatakowana, to albo dałaby sobie z nim radę, albo spadła z urwiska w czasie walki. Amber w chwili śmierci była dziewczicą.

Niemal w tej samej chwili Joanna zobaczyła oczami wyobraźni Amber mówiącą

„och” w przekonaniu, że to bardzo seksy, z ustami ściągniętymi w ciup i maślanymi oczami. Przeszedł ją niespodziewany dreszcz. Wszystkie wyświechtane frazesy odbiły się echem w jej myślach - przejęła się nimi, bo okazały się także prawdziwe: „Umarła, zanim naprawdę zaczęła żyć... Niewinność zachowana na zawsze... Bardziej dziecko niż kobieta...”

- Joanno? - Griffin chwycił ją za ramię. - Nic ci nie jest?

- Nie, nic. - Zmusiła się do uśmiechu. - Jak długo trzeba zajmować się podobnymi rzeczami, żeby zacząć traktować śledztwo w sprawie czyjejś śmierci jako interesującą zagadkę?

- Pracuję w policji od ponad piętnastu lat. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - To nie znaczy, że z każdym rokiem jest mi łatwiej.

- W takim razie, w jaki sposób zachowujesz dystans i obiektywizm, kiedy... kiedy cały czas masz przed oczami obraz ofiary? - Zadawała mu takie pytanie, bo naprawdę ją to interesowało, i Griffin o tym wiedział.

- Główna zasada pracy policjanta polega na tym, że nie ma mowy o skuteczności, jeśli gliniarz jest blisko związany z ofiarą. Jeśli masz zbyt osobiste podejście, nie ma co mówić o obiektywizmie i pojawia się niebezpieczeństwo opatrznego postrzegania faktów.

- Coś jak „śmierć Caroline nastąpiła na skutek wypadku”? - Słowa wymknęły się z ust, zanim Joanna zdołała się powstrzymać. Natychmiast pożałowała, że je powiedziała, bo Griffin cofnął dłoń z jej ramienia i wcisnął ręce do kieszeni.

- Tak właśnie myślisz? Ze coś uszło mojej uwagi, bo byłem zbyt blisko z nią związany? Mówiłem ci już, Joanno, nic mnie nie łączyło z Caroline.

Joanna nie wiedziała, czy powinno jej ulżyć, bo w jego głosie słychać było raczej zniecierpliwienie niż złość.

- Myślę, że miałeś, a może nadal masz poczucie winy z powodu jej śmierci. - Starła się mówić spokojnie. - Sam wspominałeś o wyrzutach sumienia. Może łatwiej ci żyć ze świadomością, że zginęła w wypadku. W końcu jeśli coś się wydarzyło, kiedy czekała na ciebie w starej stodole, coś, co pośrednio lub bezpośrednio spowodowało, że jechała nieostrożnie, niewykluczone, że mogłeś temu zapobiec. Gdybyś oczywiście tam był. Dlatego to nawet dobrze, że w grę wchodzi wypadek, prawda? Nawet gdybyś coś zrobił, nie mogłeś zmienić biegu wydarzeń. Bo przecież chodzi o wypadek.

Griffin odwrócił się i odszedł.

Nie patrzyła za nim. Zamiast tego nadal opierała się o balustradę i przez kilka minut wpatrywała w miejsce, gdzie stał przed chwilą. Dopiero powiew chłodnego wiatru uświadomił jej, że robi się późno. I chłodniej. Znacznie chłodniej.

- Cholera! - zaklęła cicho.

- Mógłbyś zostać na noc - powiedziała Lyssa Maitland.

Mężczyzna pokręcił lekko głową w geście równie kontrolowanym jak wszystko, co robił. Usiadł na brzegu łóżka i przeciągnął się.

- Nie, nie mogę.

Patrząc na ruchy znakomicie ukształtowanych mięśni pod gładką skórą, Lyssa po raz kolejny pomyślała, że natura nie jest sprawiedliwa. Jakby nie dość, że był bogaty i przystojny jak młody bóg, to na dodatek dziedzictwo genetyczne gwarantowało mu zgrabne ciało, którego kształt utrzymywał niemal bez wysiłku. Za chwilę doszła do wniosku, że to dobre określenie, żeby go opisać. Bez wysiłku. To, kim był, co robił, przychodziło mu bez wysiłku.

W każdym razie prawie wszystko.

- Wezmę prysznic, dobrze?

Zawsze pytał.

- Oczywiście. Położyłam dla ciebie czyste ręczniki.

Zerknął na nią przez ramię. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Robię się przewidywalny.

Nie po raz pierwszy Lyssa zastanawiała się, czy umiał czytać w jej myślach. Wcześniej nawet na nią nie spojrział! Usiadła na łóżku, podkładając sobie poduszki pod plecy. Kołdra okrywała ją tylko do bioder, dlatego nagie piersi osłaniały jedynie długie, bardzo jasne włosy.

- Każdy ma jakieś nawyki - odparła wesoło.

Zmrużył oczy, ale nikły uśmiech pozostał na wargach.

- Tak myślę. - Dopiero po chwili dodał: - Jesteś piękna.

Obojętność w jego głosie świadczyła, że nie usiłował jej pochlebić czy sprawić przyjemności, toteż Lyssa wzruszyła ramionami.

- Dzięki. Może to oznacza, że mężczyźni są przewidywalni. Wszyscy, zdaje się, lubicie blondynki o długich nogach.

- Mówisz na podstawie własnych doświadczeń? - zapytał uprzejmie.

Lyssa zastanawiała się, czy była to jedna z jego ironicznych uwag, tym razem nawiązująca do jej burzliwej przeszłości, postanowiła jednak tego nie roztrząsać. Przy tym człowieku nauczyła się nie drążyć tematów zbyt głęboko.

- Jasne. Przez ostatnie dziesięć lat ani jeden facet, którego poznałam, nie zainteresował się faktem, że skończyłam z wyróżnieniem studia na Harvardzie. Wnioski nasunęły się same.

- Bo też nikt nie spodziewałby się, że zaopatrzeniowiec butiku ma dyplom z ekonomii  
- odparł, wzruszając lekko ramionami.

- Powinno to ludzi nauczyć, że nie należy sądzić po pozorach.

- Aha, może w innym, lepszym świecie.

Pochylił się i pocałował ją w ramię, a potem wstał i poszedł do łazienki. Choć nagi, zachowywał się tak, jakby był całkowicie ubrany.

Lyssa leżała w łóżku i wsłuchiwała się w szum prysznica. Brał bardzo gorące natryski, dlatego za kilka minut do sypialni zaczęła przedostawać się para i snuła się pod sufitem niczym upiorne stworzenie szukające drogi wyjścia z pokoju. W chwili gdy lustro przy toalecie zaszło parą, mężczyzna wyłączył wodę i wyszedł z łazienki.

Żyła z nim, więc takie „obyczaje” nie były dla niej tajemnicą. Odkryła też, że był obdarzony zaskakująco dużym temperamentem seksualnym. Jak na tak powściągliwego człowieka, okazał się namiętny i pełen żaru. Nie był egoistycznym kochankiem, co naprawdę ją zaskoczyło. Nie wylegiwał się w łóżku, chyba że spodziewał się więcej seksu. Nigdy u niej nie spał. Nigdy.

Niezmiennie zachęcała go, by został, a on zawsze odmawiał - uprzejmi i mili dla siebie, udawali, że sprawa nie jest warta kruszenia kopii.

Od pół roku scenariusz ich spotkań był niemal identyczny. Dwa lub trzy wieczory w tygodniu. On przychodził do niej albo spotykali się w jakimś hotelu poza miastem, gdzie nikt, z kim musieli się liczyć, nie mógł ich zobaczyć. W hotelu często jedli razem obiad, potem szli na kilka godzin do łóżka, rzadko spędzając tam całą noc. Jeśli spotykali się u niej, zazwyczaj niczego nie jedli. Kiedy wracała z wypadu po nowe ubrania do butiku, spotykali się co wieczór przez kilka dni z rzędu. Lyssa nie była jednak ani tak młoda, ani tak naiwna, by sądzić, że za nią tęsknił - brakowało mu raczej seksu; zresztą wołała nie pytać.

Od kiedy zaczął się ich romans, tylko raz nastąpiła odmiana w schemacie spotkań. Był to miesiąc po śmierci Caroline. Stał się jeszcze bardziej powściągliwy i nieprzystępny. Odsuwał się od niej tak, że Lyssa żywiła pewne wątpliwości, czy ich związek przetrwa, jeśli nie zrobi pierwszego kroku i nie wykorzysta jakoś napięcia, które, jej zdaniem, w nim narastało.

Zaczęli się potem spotykać, jakby nic się nie stało. W ciągu dnia rozmawiali ze sobą tak formalnie, że Lyssa miała niemal całkowitą pewność, że nikt postronny nie domyśli się, iż są kochankami - jak na Cliffsides to było spore osiągnięcie.

Kiedy pierwsze kłęby pary zaczęły wydostawać się z łazienki, pomyślała o jego ciele, gładkim i błyszczącym pod gorącym strumieniem wody. Nie miało żadnych wad. Zupełnie.

Był bez skazy, tak bliski doskonałości, że byle drobiazg nie miał znaczenia. Jego palce miały magiczną siłę...

- Cholera, robię się żalosna - wymamrotała pod nosem, westchnęła i zsunęła się z łóżka. Przeszła do zaparowanej łazienki. Zatrzymała się na chwilę w progu, by popatrzeć na niewyraźny kształt poruszający się za matową szybą prysznicza. Potem znowu westchnęła, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do dusznej kabiny, gdzie jego ciało zajmowało większość miejsca. Było to jak wejście do innego świata. W sekundę później nie miała czym oddychać.

- Dlaczego zwlekałaś tak długo? - spytał i przyciągnął ją.

Lyssa miała zamiar przypomnieć mu, że zwykle tak się nie zachowywali, ale dała spokój. Mimo że znała go już jakiś czas, nadal pozostawały sfery prywatności, do których nie była dopuszczana. Nie wątpiła, że każdy, kto odważyłby się je naruszyć, zostałby bezlitośnie wyrzucony z jego życia. Wystarczyło jej to, co ich łączyło, i choć sam związek był niepewny, zależało jej na nim.

- Zbierałam siły - odparła.

Zaśmiał się cicho, przesuwając ustami po jej policzku, a potem szyi.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek powiesz mi prawdę, a nie to, co chcę usłyszeć - wyszeptał.

*Niech go cholera, czyta mi w myślach!*

- Tylko w interesach, kochanie - powiedziała swobodnie.

Celowo skończyła rozmowę. Położyła dłoń na jego gładkim i twardym biodrze, przesunęła ją na udo, a potem w górę, tam gdzie jej palce oplotły jeszcze twardsze ciało. Nie zdziwiła się, że był podniecony, i nie pochlebilo to jej specjalnie. Kiedy przebywali w miejscu publicznym albo załatwiali interesy, wydawał się stworzony z kamienia i w ogóle nie reagował na jej bliskość, natomiast w sytuacjach jak ta natychmiast i niemal odruchowo jej pożądał.

Wiele razy zastanawiała się, czy jego najwyraźniej wzmożona chęć uprawiania miłości była ceną, jaką płacił za kontrolowanie się przez cały czas.

- Takie akrobacje pod prysznicem nie są zbyt mądre. Zachowujemy się jak dzieci - powiedział.

Ale choć tak się wyraził, nadal dociskał jej plecy do chłodnej szklanej ścianki kabiny. Gorąca woda ściekała jej po piersiach, a on wpatrywał się w nią. Jego dłonie wędrowały w górę i w dół, kciuki pocierały sutki.

Magiczne dłonie... Rozchyliła usta pod naciskiem jego głodnych warg, pieściła go, gładziła coraz szybciej, zgodnie z rytmem, jaki narzucił, pobudzając jej ciało zręcznymi



palcami i niesamowicie zaborczymi ustami. Zachowywał się, jakby posiadał całą wiedzę o tym, co podnieca, sprawia rozkosz i zniewala. Chyba sama Matka Natura obdarzyła go takim talentem. Serce waliło jej jak młot, rosło wewnętrzne napięcie, a potrzeba, by w nią wszedł, stała się palącą koniecznością.

Kiedy ją uniósł, prawie nie czuła na plecach chłodu i wilgoci ścianki ani rozpryskujących się na jej ramionach kropli strumienia wody, uderzających niczym maleńkie palce. Rozchyliła nogi i przyjęła go, a gdy w nią wchodził, aż westchnęła z ulgi. Finał odczuwała niemal boleśnie, pochłaniał ją z przerażającą mocą, jakby akt miłosny z tym mężczyzną był jedyną chwilą absolutnego spełnienia, jaką знаła.

Razem z rozkoszą ogarniała ją panika. Próbując powstrzymać krzyk, przycisnęła zamknięte usta do jego ramienia. Bała się, że on to zauważy i poniży ją. Niemal w ciszy przyjmowała go i brała przyjemność, jaką jej dawał, jednocześnie gardziła sobą za wdzięczność, jaką odczuwała.

Kiedy wreszcie postawił ją na podłodze, czuła się bezwładna. Musiał ją przytrzymać, choć nadal opierała się o chłodną ścianę kabiny prysznicowej.

- Czyj to był pomysł? - spytała rwącym się głosem, bo ciągle brakowało jej tchu. Bardzo się starała udawać nonszalancję.

- Twój. - Pocałował ją, powoli dochodząc do siebie. A potem obdarzył ją typowym dla siebie nikłym uśmiechem i sięgnął do kurka, by zwiększyć strumień.

Zachłystnęła się i odwróciła twarz od zalewającej ją wody.

- Drań!

Chrząknął krótko.

- Obróć się, to umyję ci plecy - odezwał się po chwili.

Posłuchała, a kiedy skończył myć ją z tyłu, z przodu i umył jej nawet włosy, znowu poczuła ogarniający ją bezwład. Jednocześnie miała do niego żal. *Niech go szlag trafi! I te jego magiczne palce!*

Odwzajemniła jego przysługę, mając nadzieję, że nie zorientuje się, jak bardzo drżą jej ręce, kiedy myła mu plecy. Ale nawet jeśli to wyczuł, nie powiedział słowa. Gdy wyłączył wodę i otworzył szklane drzwi, Lyssa zdążyła się trochę uspokoić.

Owinęła się dużym ręcznikiem kąpielowym, mniejszym okryła głowę, a potem usiadła na skraju łóżka. Kiedy włosy jej przeschły, rozczesywała je bezmyślnie palcami. On w tym czasie się ubierał. Nie potrafiła oderwać od niego oczu.

*Boże, naprawdę jestem żalosna.*

- Słyszałam, że miałeś dzisiaj niewielkie spięcie w mieście z Griffinem - powiedziała,

próbując myśleć o czymś innym.

Scott nie spytał, gdzie i od kogo słyszała - w Cliffside źródło takich informacji nie miało znaczenia.

- To nie było spięcie - powiedział, wsuwając koszulę w spodnie. - Pytał po prostu o turystę, który zginął kilka miesięcy temu.

- O Butlera? - Lyssa zmarszczyła czoło. - To było w maju, prawda? Myślałam, że Griff ma pełne ręce roboty przy wyjaśnianiu, jakim cudem wczorajszej nocy ta dziewczyna spadła z urwiska.

Scott usiadł na krześle przy oknie i zaczął wkładać skarpetki i buty, ale przerwał na chwilę i popatrzył na Lysę.

- Też tak myślałem. Wspomniał, że chyba zamknął tamto dochodzenie zbyt szybko.

- Nie bardzo rozumiem.

- Ja także.

- Chyba nawet nie znałeś Butlera.

- Nie, nie znałem. - Scott wrócił do wkładania butów.

Lyssa odczekała chwilę, a skoro nie dodał nic więcej, powiedziała:

- Przecież prowadzi śledztwo w sprawie śmierci dziewczyny. Czyżby uważał, że te wypadki coś łączy?

- Najwyraźniej myśli, że to mogę być ja - rzekł chłodno Scott.

- Co?

- Pytał, gdzie byłem zeszłej nocy, i to nie dlatego, że oczekiwał ode mnie pomocy - informacji, że może coś widziałem. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód poza podejrzeniem, iż jestem w to w jakiś sposób zamieszany.

- Powiedziałeś mi, że byłeś tutaj? - spytała Lyssa.

- Nie. - Scott wstał i włożył marynarkę.

- Wyszedłeś po północy - powiedziała wolno.

Scott stał i patrzył na nią, uśmiezek igrał mu na ustach.

- Jak słyszałem, dziewczyna zginęła wiele godzin później, przed świtem. Dlatego to, co się działo wcześniej, jest dla szeryfa nieistotne. Kiedy umierała, byłem w domu. Nie musi wiedzieć niczego więcej.

- Twoja sprawa - Lyssa odezwała się po chwili. - Ale gdyby zaszła taka potrzeba, śmiało powiedz mu, że część nocy spędziłeś ze mną.

- Nie sądzisz chyba, że bez namysłu poświęciłbym twoją reputację, aby ratować własną skórę? - zapytał, jakby naprawdę go to ciekawiło.

- Nie. Nie sędzę.

Uśmiech Scotta stał się nieco szerszy, ale nie skomentował jej zaufania.

- Powiem szeryfowi tylko tyle, ile musi wiedzieć, i ani słowa więcej.

- Bo nie masz zamiaru ułatwić mu pracy?

- Coś w tym rodzaju.

Lyssa roześmiała się, ale nie zabrzmiało to wesoło.

- Zdaje się, że niespecjalnie się lubicie?

- Raczej nie. - Scott dość niespodziewanie zmienił temat. - Nie zapomnij jutro rano zajrzeć do ratusza i zabrać papierów od burmistrza, zanim do mnie przyjdiesz.

- Nie zapomnę.

- Nie odprowadzaj mnie - dodał.

- Dobrze. Dobranoc.

- Dobranoc, Lyssa.

Nie pocałował jej na pożegnanie ani nawet nie dotknął.

Lyssa zresztą nie spodziewała się tego po nim, nigdy tego nie robił. Tak jak nigdy nie zdradził jej wszystkich, czy choćby części swoich myśli. Nigdy u niej nie nocował, zawsze wracał do tego pięknego, samotnego domu nad urwiskiem, gdzie mieszkał z Caroline, do sypialni, której z nią nie dzielił.

Takie rzeczy wie się o kochanku.

## Rozdział dziewiąty

Joanna wysiadła z samochodu i rozejrzała się dookoła. Schludnie, bardzo schludnie. I cicho. W rzeczywistości tak spokojnie, że cisza wydawała się przybierać materialne kształty, działając jej na nerwy. Był wczesny wtorkowy ranek i jak się zorientowała, nikt poza nią nie przebywał w cieplarni. Na tablicy widniała nazwa tego miejsca: „Róże McKenny”. Joannie powiedziano, że była to jedyna firma Scotta, w której znaku użył własnego nazwiska. A może... nazwiska Caroline?

Cieplarnia właściwie składała się z trzech ogromnych szklarni i niewielkiego budynku, gdzie najprawdopodobniej mieściło się biuro i miejsce wydzielone do handlu roślinami i sprzętem ogrodniczym. Ulokowana była pomiędzy centrum Cliffside a „Gospodą”, blisko drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża, i otoczona lasami. Sądząc po starannie napisanych tabliczkach umieszczonych nad wejściem do każdej szklarni, nie ograniczono się do hodowli róż.

Ponieważ Joanna nikogo nie dostrzegła, a drzwi najbliższej szklarni były otwarte, weszła do środka. Napis na tabliczce głosił „Byliny”. Wewnątrz dominował świeży i mocny zapach kwiatów i zielonych liści. Joanna nie spotkała jeszcze w żadnej szkółce leśnej ani cieplarni takiej różnorodności roślin. Wszystkie były w znakomitym stanie. Zdaje się, że podobnie jak w każdym z prowadzonych przez siebie interesów, Scott zatrudniał jedynie najbardziej odpowiedzialnych i utalentowanych ludzi, by mieć pewność, że jego własność znajduje się we właściwych rękach.

Opuściła tę szklarnię i przeszła do następnej, oznaczonej jako „Rośliny jednoroczne”, gdzie pełno było sadzonek i kwiatów we wszystkich stadiach wzrostu. Joanna ponownie rozejrzała się, a ponieważ nadal nikogo nie było widać, postanowiła iść do trzeciej, z tabliczką „Róże”.

Zawsze kochała róże, kiedy jednak weszła przez frontowe drzwi szklarni, pomyślała, że tylko kwiatów w zamkniętej przestrzeni - nawet tak ogromnej - to trochę zbyt wiele. Mdląco-słodki zapach wypełniał powietrze. Przez kilka minut oddychała przez usta, żeby nie odczuwać tak silnie jego intensywności. Kwiaty były oszałamiająco piękne, we wszystkich kolorach, na jakie pozwalała natura, choć sporo było dziełem ludzkiej pomysłowości.

Podobnie jak w pozostałych dwóch szklarniach panował tu nieskazitelny porządek, rośliny były zdrowe i w znakomitym stanie. Z całą pewnością ktoś bardzo o nie dbał, mimo

że akurat w tej chwili zostawił je same sobie.

Szerokim przejściem między różami szła powoli w kierunku drugiego końca pomieszczenia, uważnie oglądając półki dostosowane do wysokości roślin, by zapewnić im maksimum światła i przestrzeni. Zauważyła kompleksowe - i z pewnością drogie - urządzenie do podlewania. Dopiero po chwili zorientowała się, że przy każdym krzaku umieszczono tabliczkę z nazwą. Nie zdawała sobie sprawy, z jaką uwagą zaczęła je czytać.

Niektóre nazwy nie były jej obce: „Szkarałtany pirat”, „Królowa Elżbieta”, „Miłość”, „Francuska koronka”, „Błogość”, „Tiffany”, „Spokój”. Jednak większość widziała po raz pierwszy. Zastanawiała się, kto je wybrał i dlaczego. „Complicata”, „Madame Hardy”, „Pąs”, „Oczarowanie”, „Lady X”, „Mon cheri”.

Znajdowała się w połowie drugiego rzędu i wracała ku frontowemu wejściu, kiedy nagle stanęła jak wryta. Patrzyła na roślinę ustawioną w pewnym oddaleniu od pozostałych. Rosła w niebieskiej ceramicznej donicy, a nie zielonej plastikowej, jak inne. Chociaż w całej szklarni Joanna nie dostrzegła ani jednego opadłego płatka, wokół tego krzaka róży na półce leżało ich kilka, podobnie jak w jej śnie wokół wazonu z różami. I podobnie jak tamte, te były intensywnie różowe, miały piękne kształty i różniły się trochę wyglądem od wszystkich róż, jakie widziała w życiu.

Wyciągnęła powoli rękę, by dotknąć aksamitnego pąka, i wtedy dostrzegła niewielką tabliczkę z brązu. „Dla Caroline”.

- Witam, mogę w coś pomóc? Przepraszam, że nie było mnie, kiedy pani weszła, ale...

Krępy mężczyzna zamilkł nagle, gdy Joanna obróciła się w jego stronę. Oczy mu się powiększyły, a szczeka opadła. Niewątpliwie przeżywał wstrząs. Do szklarni wszedł tylnymi drzwiami i zatrzymał się kilka kroków od niej. Miał około czterdziestki i miłą twarz. Jedyne bladoniebieskie oczy były niezwykle. Jego spłowiałe dżinsy i bawełniana koszula okazały się równie nieskazitelne jak wnętrze szklarni. Chociaż nie miał brudu za paznokciami, Joanna domyśliła się, że jest specem od roślin, który zarządza tym miejscem.

- Jezu - powiedział cicho. - Mówili, że wygląda pani jak ona, ale...

Minęło już kilka dni, od kiedy Joanna zaskoczyła kogoś swoim wyglądem, dlatego dojście do siebie zabrało jej trochę czasu. Nie trwało to jednak długo.

- Witam - przerwała mu. - Nazywam się Joanna Flynn.

Mężczyzna skinął powoli głową.

- Tak, wiem. Och, przepraszam, że się tak gapię, ale...

Teraz z kolei Joanna skinęła głową.

- Nic nie szkodzi. Spotykam się z tym od tygodnia.

- Mówi pani inaczej niż ona - wymamrotał, a potem pokręcił głową i wyprostował plecy jakby zrzucając z siebie kłopotliwy ciężar. - Jestem Adam Harrison. Kieruję cieplarnią.

Joanna wymieniła z nim uścisk dłoni. W chwilę później wskazała na krzak róży.

- Podziwiałam je wszystkie, ale ten jest wyjątkowy. Bardzo jestem ciekawa, jak się nazywa. O ile dobrze pamiętam, róże dostają nazwy po ludziach, którzy je wyhodowali. Czy wie pan przypadkiem, czyje to dzieło?

- Wiem - odparł. - Kiedy otwieraliśmy to miejsce kilka lat temu, obiecałem Scottowi, że pierwszą roślinę wyhodujemy dla Caroline. - Wzruszył lekko ramionami. - I tak się stało. W końcu stanowiła inspirację.

- A zatem to prawda, że zainteresował się szklarniami, bo Caroline kochała róże? - zapytała Joanna.

Adam Harrison uśmiechnął się, jakby uznał temat za śmieszny.

- Tak, to prawda. Kiedy się pobrali, kilka razy w tygodniu sprowadzał róże z Portlandu. Czasem jednak trudno było je dostać, a wybór okazywał się kiepski. Dlatego uznał, że w Cliffside potrzebna jest szkółka ogrodnicza i sprowadził mnie z San Francisco, żebym się nią zajął. Pracowałem tam dla jego rodziny, toteż wiedział, kogo bierze.

*Następna osoba z San Francisco.*

- Rozumiem. - Joanna nie bardzo wiedziała, jak daleko może się posunąć w rozmowie z tym człowiekiem, w jakim stopniu udałoby się go podejść, ale odczuwała przedziwny niepokój nakazujący jej zadawać pytania. Pomyślała, że to z powodu róż, o których śniła, a które teraz odkryła pod nazwą „Dla Caroline”. To miejsce było w jakiś sposób ważne w poszukiwaniu informacji o Caroline i jej śmierci. A może chodziło o tego mężczyznę. W przeciwnym razie dlaczego przyśniłby się jej wazon z różami? - Zdaje się, że to pana bawi?

- Proszę mi mówić Adam. Dla mnie to pocieszne.

Zamrugnęła oczami, zaskoczona jego ironicznym tonem.

- Ach, tak. Proszę, też mów mi po imieniu. Przepraszam, że pytam, ale... nie lubiłeś Caroline?

Adam patrzył na nią przez chwilę, jakby oceniał jej ciekawość. Nie tyle starał się coś ukryć, jak wiele osób przed nim, ile raczej się zamyślił.

- Słyszałem, że pytasz o nią. Mogłabyś mi powiedzieć dlaczego?

Joanna zawahała się, a potem, jak wielokrotnie od przyjazdu do Cliffside i w rzeczywistości przez większość czasu, zdała się na intuicję.

- Bo jestem do niej podobna. Bo od kiedy się tu zjawiłam, ludzie wiążą ze mną pewne

oczekiwania, myślą, że jestem taka jak ona. A ja... chcę się dowiedzieć, kim była, co robiła. Potrzebuję czegoś więcej niż informacji o jej ulubionych kolorach czy perfumach.

Mężczyzna pokiwał głową, a potem wzruszył ramionami, jakby ten temat w ogóle go nie interesował.

- Brzmi sensownie. Dobrze więc, jestem w mniejszości, bo nie lubiłem Caroline. Pod słodkimi uśmiechami i łagodnym głosem kryła się okrutna kobieta, która parlała jak czołg, gotowa zrobić wszystko, byle zdobyć to, czego chciała, nie zważając przy tym, czy wyrządzi komuś krzywdę.

Joanna słyszała gorycz w jego głosie i nie potrzebowała uciekać się do intuicji, żeby znać tego przyczynę.

- A czego chciała od ciebie?

- Współdziału. I dostała, czego chciała, jak zawsze. - Roześmiał się krótko.

- Współdziału w czym? - zapytała Joanna, nie mając pewności, czy będzie chciał zdradzić jej aż tyle.

Jednak niezależnie od tego, czy sprawiło to podobieństwo Joanny do kobiety, wobec której żywił silne uczucia, czy też zbyt długo tłumił w sobie wszystko, stało się jasne, że nie ma zamiaru przestać mówić.

- W oszukiwaniu Scotta. Potrzebowała miejsca do spotkań z kochankiem, rozumiesz, takiego, gdzie nic by im nie groziło. Założę się, że rozkoszowała się ironią tkwiącą w robieniu tego tutaj, w miejscu, które jej mąż zbudował z miłości do niej.

Joanna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Obraz, który przed nią roztaczał, nie przypominał wizerunku kobiety, jaką znała większość mieszkańców Cliffsides. Pomyślała, że albo przeinacza fakty, powodowany własnymi emocjami, albo tylko on dostrzegał paskudną stronę charakteru Caroline - co wydawało się *mało* prawdopodobne, choć nie było wykluczone; zależy, jak dobrze ją znał. A Joanna zdążyła już sobie wyrobić pojęcie o stopniu zażyłości stosunków.

- W biurze jest pokój na zapleczu - kontynuował Adam beznamiętnym głosem, jakby zorientował się w jej wątpliwościach. - Najczęściej trzymamy tam sadzonki, które nie mieszczą się od frontu. Mam tam łóżko polowe, które przykrywała przyniesionym kocem i spotykała się z kochankiem kilka razy w tygodniu.

Magazyn szklarni... i stara stodoła? Joannie coś tu nie pasowało, dlatego spytała:

- Czyli przed wypadkiem przychodziła tu kilka razy w tygodniu?

Adam zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie wtedy. To było jakiś rok temu. I trwało tylko kilka tygodni, ale do licha,

uważam, że oszukiwanie to oszukiwanie, i tyle. Chciała zrobić przykrość Scottowi i dlatego to robiła. Chciała wykorzystać to miejsce, żeby mu dopiec.

- I udało się jej? Skrzywdziła Scotta?

Adam ponownie krótko się zaśmiał.

- Widzisz, Joanno, problem Caroline polegał na tym, że była tchórzem. Nie wytrzymała konfrontacji. Więc chociaż chciała skrzywdzić Scotta, nie miała dość odwagi, żeby powiedzieć mu o swoich romansach. Nie wiem, może to, że go zdradzała, zaspokajało jej jakąś niezdrową potrzebę wewnętrzną, może cieszyła się tajemnicą, że inni mężczyźni biorą to, co prawnie należało do niego. Najwyraźniej to jej wystarczało. - Wzruszył ramionami. - Jestem przekonany, że nigdy mu o tym nie powiedziała. Prawdopodobnie przypuszczała, że mógłby wściec się aż tak, aby chcieć wyrównać z nią rachunki, po tym jak wystrychnęła go na dudka.

- A ty wyrównałeś? - zapytała cicho Joanna.

Adam zdawał się zaskoczony jej spostrzegawczością.

- Nie - odrzekł bez emocji. Uśmiechał się jedynie smutno. - Ale może udało się to innym. Wiem, że byłem jednym z wielu. Zapytałem ją kiedyś, czy sypia z kochankami na łóżku polowym na zapleczu albo w tanich motelach, bo lubi kontrast między tymi miejscami a wspaniałym domem męża na urwisku. Śmiała się.

Pytania kłębiły się w głowie Joanny. Trochę na oślep wybrała jedno:

- Dlaczego przestaliście się spotykać?

- Bo miała mnie dość. Bo już jej to nie podniecało. Bo nie mogłem jej już zaspokoić. Bo była gotowa przyjąć następnego kochanka. Sama zdecyduj.

- Nie kusilo cię, żeby powiedzieć o tym Scottowi?

Ironiczne rozbawienie Adama zniknęło, odwrócił wzrok od Joanny i patrzył na krzak róży nazwany imieniem jego dawnej kochanki. Zrobił krok naprzód i niemal bezwiednie wyciągnął rękę, by delikatnie usunąć wędnące płatki.

- Język mnie świerbił. Gdybym dzięki temu mógł odpłacić Caroline pięknym za nadobne, nie zastanawiałbym się ani chwili. Ale lubię Scotta i wiele mu zawdzięczam. - Bładoniebieskie, teraz smutne oczy z powrotem zwróciły się w stronę Joanny. - Dlatego zresztą mnie wybrała. Nie chodziło jej tylko o miejsce, o mnie także. Jestem jego przyjacielem i zdradziłem go tak samo jak ona. - Wykrzywił usta.

- Mówisz, jakbyś był bezwolną zabawką w jej rękach - Joanna odezwała się po chwili, nie mogąc się opanować.

Natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.



- Nie, nie twierdę, że nasz romans to tylko jej wina. Do licha, przecież mnie nie zgwałciła. Nawet nie uwiodła. Zauważyła po prostu, że mi się podoba, więc podała mi się jak na tacy, tak samo jak oferujesz podwiezienie, kiedy spotykasz autostopowicza z wyciągniętym kciukiem.

Dopiero wtedy Joanna zrozumiała, na czym polegała prawda. Adam Harrison nie nienawidził Caroline, a jeśli nawet, to żywił wobec niej także inne uczucia. Kochał ją. Jeszcze teraz, choć minęły ponad trzy miesiące od jej śmierci i rok od zakończenia ich romansu, nadal był w niej zakochany. Miał żal, bo ona nie odwzajemniała jego fascynacji, mimo to zgorzknienie nie zdołało zniszczyć w nim uczucia, wynaturzyło je tylko w skomplikowaną i przejmująco bolesną mieszaninę. Męczyło go poczucie winy z powodu zdradzenia przyjaciela, ale gdyby Caroline z nim nie zerwała, najpewniej nadal spotykałby się z nią na zapleczu - co do tego Joanna nie miała wątpliwości.

Pomyślała, że właśnie dlatego natychmiast zaczął z nią rozmowę, dzięki czemu lepiej wszystko zrozumiała. Ponieważ była tak bardzo podobna do kobiety, której nie potrafił zapomnieć, to, co powiedział z własnej woli, przybrało niemal formę spowiedzi.

Joanna nie była kapłanem, który mógłby udzielić mu rozgrzeszenia - nie była też Caroline. Poznanie skomplikowanych i męczących uczuć, jakie żywił wobec pani McKenny, sprawiło, że czuła się zakłopotana, uciekała przed nim wzrokiem, jak ktoś odwracający oczy od przypadkiem dostrzeżonej nagości.

- Przepraszam - powiedziała.

- Ty też chcesz użalać się nade mną? Obejdzie się, do cholery! - rzucił szorstko.

Joanna zebrała się w sobie i ponownie spojrzała na niego. Ulżyło jej, kiedy dostrzegła, że dominowała w nim złość, nie cierpienie.

- Nie jestem Caroline - odezwała się rzeczowo. - Jestem trochę do niej podobna i interesuje mnie jej życie.

- I śmierć?

Wewnętrzna rozterka Joanny trwała tylko kilka sekund. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego, ale miała pewność, że ten mężczyzna nie był zamieszany w śmierć Caroline. Może sprawił to jego ból, żaloszny wygląd, a może podpowiedziała jej to intuicja. Wiedziała jedynie, że trafiła do niego za sprawą snu, więc powinna zdobyć tyle informacji, ile zdoła.

- Tak. I jej śmierć.

- To był wypadek - powiedział Adam. - Wszyscy są tego zdania.

- Nie wydajesz się zbyt przekonany. - Joanna patrzyła na niego uważnie. - Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Och, mówiąc wprost, uważam, że to był wypadek. Nie ma wątpliwości, że prowadziła ten samochód i że była sama. Myślę jednak, że coś bardzo niedobrego działo się w życiu Caroline przez ostatnie dwa tygodnie, zamartwiała się i była przerażona.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Przyszła tutaj na trzy, cztery dni przed wypadkiem, a nigdy się tu nie zjawiała, od czasu gdy przestaliśmy korzystać z pokoju na zapleczu. Nie miałem wątpliwości, że coś ją gryzło. Nie mogła ustać w miejscu, chodziła po szklarniach, jakby czegoś szukała, paliła przy tym jednego papierosa za drugim. I obgryzała paznokcie do krwi. Wiem, bo widziałem.

Joanna prawie odruchowo wsunęła dłonie do kieszeni, żeby ukryć własne obgryzione paznokcie.

- Nie powiedziała ci, czym się zamartwia?

Coś z niedawnego smutku ponownie zagościło w jasnych oczach Adama. Pokręcił głową.

- Nie. Mówiąc szczerze, nie dałem jej szansy. Miałem akurat klientów, a kiedy poszli... cholera, trochę jej dopiekle, rozumiesz, co mam na myśli? Powiedziałem coś złośliwego o jej królewskiej mości odwiedzającej kmieci, a potem stałem się naprawdę niemiły. Nie dałem jej dojść do głosu, przy tym nie miałem nastroju do słuchania.

- Czy wtedy widziałeś ją po raz pierwszy od...

- Od kiedy przestaliśmy sypiać na moim łóżku polowym? Tak, wtedy pierwszy raz byliśmy sami od tamtego czasu. Chyba nazywało się we mnie zbyt dużo i musiałem to z siebie wyrzucić.

Joanna pokiwała głową.

- Tak więc wyszła i nie powiedziała ci, jakie ma kłopoty.

- Bóg jeden wie, dlaczego przyszła do mnie, jeżeli potrzebowała pomocy. Powinna zdawać sobie sprawę, że nadal jestem jak otwarta rana i serdecznie jej nienawidzę. Każdy facet na moim miejscu, potraktowany tak jak ona mnie potraktowała, czułby się identycznie, prawda? Mogła się tego spodziewać. Dlaczego myślała inaczej?

Pytanie było retoryczne i zawierało sporą dozę poczucia winy. Joanna słyszała podobny ton w głosie Griffina, co zdaje się wynikało z takich samych powodów. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni, którzy pojawili się w życiu Caroline, mieli wyrzuty sumienia, że nie pomogli jej, kiedy przyszło co do czego. Jeszcze bardziej interesowało ją, czy Caroline była temu winna. Adam z pewnością ją kochał, Griffin chyba też, choć temu zaprzeczał, a przecież żaden z nich nie zrobił nic, kiedy najbardziej ich potrzebowała. Z tego, co mówił Adam, wynikało, że byli też inni - czy rzeczywiście? Czy w ostatnich dniach życia

poszła szukać pomocy u pozostałych ekskochanków, bo miała problem, z którego nie śmiała zwierzyć się mężowi, ale okazywało się, że wykorzystwała ich tak bardzo, że żadnego nie obchodziła na tyle, by zdobył się na podanie pomocnej dłoni lub choćby jej wysłuchał?

- Najprawdopodobniej i tak nie miałbyś wpływu na to, co się stało - powiedziała Adamowi. Nie była o tym przekonana, ale wiedziała, że to właśnie chciał usłyszeć.

- Niewykluczone. - Adam wzruszył ramionami. - Powtarzam sobie, że to wszystko jej wina. Nie można traktować ludzi jak śmieci, a potem oczekiwać, że odplacą ci lepszą monetą.

- Odniosłam wrażenie, że większość ludzi z miasteczka lubiła Caroline - zauważyła Joanna obojętnie. - Przynajmniej nikt nie powiedział o niej złego słowa.

- Jasne, kiedy chciała, ociekała słodyczą, ale w rzeczywistości to była maska na pokaz. Taką znali ją prawie wszyscy. Założę się jednak, że nie natrafiłaś na kogoś, kto by się z nią przyjaźnił, zwłaszcza wśród kobiet. Caroline nie lubiła kobiet. Oczywiście była uprzejma, bo tak ją wychowano. A przy tym ogromna społeczniczka, bez przerwy robiła coś dobrego dla miasta. I uwielbiała swoje dziecko, to nie budziło wątpliwości.

- Rozumiem. Kiedy mówiłaś, że traktowała ludzi jak śmieci, miałeś na myśli jej sposób obchodzenia się z mężczyznami? - spytała Joanna po krótkim milczeniu.

Po raz pierwszy Adam się zawahał.

- Z niektórymi. Znam co najmniej jeszcze jednego faceta z Cliffside, któremu wyrzuciła świat do góry nogami, ale pewnie są i inni. Jak na kobietę, która nie wyrzucała wykorzystanych kochanków na śmietnik, była... zbyt pewna siebie, swojej władzy i zbyt nonszalancka, kiedy wszystko się kończyło.

Joanna wysłuchiwała jego słów z odrobiną sceptycyzmu. Adam z pewnością nie był obiektywny wobec Caroline, poza tym wzgardzony kochanek nie najlepiej nadawał się do ferowania sądów, jak często zdradzała męża. Dowiedziała się jednak, że istniał jeszcze co najmniej jeden porzucony mężczyzna, który mógłby potwierdzić lub podważyć słuszność opinii Adama o Caroline. Niewykluczone, że to właśnie z tym drugim kochankiem Caroline spotykała się w starej stodole, prawdopodobnie aż do dnia śmierci.

- Powiesz mi, kim jest ten drugi mężczyzna? - zapytała powoli. - Chciałabym z nim porozmawiać.

Adam pokręcił przecząco głową.

- Chyba nie mogę, Joanno. Dla niego reputacja jest o wiele ważniejsza niż dla mnie.

Joanna poczuła rodzaj niepokoju - ciekawiło ją, czy chodzi o szeryfa. On na pewno nie chciałby narażać swojej reputacji. Zastanawiała się też, czy była gotowa usłyszeć, że to prawda. *Och, Boże, dlaczego wszystko wraca do Griffina? Dlaczego po prostu nie mogę*

*uwierzyć, że jej nie kochał?*

Nie była przy tym pewna, czy może - i powinna - przekonywać Adama, że nie wyjawia tego, co ewentualnie usłyszała od niego.

- Jak się o nich dowiedziałeś?

- On mi powiedział. Kiedy puściła go w trąbę, upił się i musiał z kimś pogadać. Przyjaźnimy się, dlatego przyszedł do mnie. - Gorycz wykrzywiła Adamowi usta. - Działo się *to* na wiele miesięcy przed tym, zanim się z nią związałem, dlatego nie mogę powiedzieć, że nie wiedziałem, czym to pachnie.

Wiele miesięcy wcześniej. Zatem Caroline nie spotykała się z tamtym kochankiem przed śmiercią, chyba że odnowili znajomość.

- Chodzi ci o sposób zerwania?

- Tak. Rzuciła go bez powodu, a nawet jeśli miała jakiś powód, nie chciała go wyjawić. Stwierdziła jedynie, że zrywa, i poszła sobie, jak zwykle unikając konfrontacji. A on ją kochał, biedak. Do tej pory się nie pozbierał.

Ty także, pomyślała Joanna. Zatem dwóch mężczyzn było uczuciowo i seksualnie związanych z Caroline. Czy istnieli inni? A Scott? Czy wiedział lub podejrzewał, że żona nie dochowuje mu wierności? Jeśli tak, czy w ogóle go to obchodziło?

Poznanie prawdy znajdowało się poza jej możliwościami.

- Adamie, jak sądzisz, czy była z kimś związana tuż przed wypadkiem?

- Mogła kogoś mieć i prawdopodobnie miała, ale nie jestem stuprocentowo pewny. Tylko jej ewentualny kochanek odpowiedziałby ci na to pytanie.

- W miasteczku aż huczy od plotek - odezwała się Joanna w zamyśleniu. - Jakim cudem udawało się Caroline ukryć romanse? Zwłaszcza że zdarzały się jej dość często.

- Nie mam pojęcia. - Adam wzruszył ramionami. - Może nigdy jej nie przyłapano, bo chciała, by ją przyłapano.

To wytłumaczenie wydało się Joannie w pewien sposób najsensowniejsze - jeśli oczywiście było prawdziwe. Ludziom, którzy nie mają nic do stracenia, często dopisuje niewiarygodne szczęście, jakby los miał przewrotne poczucie humoru. Jeśli Caroline rzeczywiście chciała - świadomie lub podświadomie - żeby mąż dowiedział się o jej niewierności, przeznaczenie postanowiło, że musiałyby mu o tym powiedzieć sama.

Joanna miała teraz sporo do przemyślenia.

- Dziękuję za rozmowę - odezwała się do Adama. - Nie musisz się martwić. Nikomu nie powiem o tobie i Caroline.

- Nie ma za co - wymamrotał od niechcienia.

Joanna zawahała się przez chwilę, jakby chciała coś dodać, ale nie wiedziała co. Ostatecznie odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

- Była zamknięta.

Zaskoczona Joanna stanęła w miejscu i odwróciła się, żeby spojrzeć na Adama. On zaś wpatrywał się w krzak róży, ale za moment przeniósł na nią przygnębione spojrzenie.

- Trumna była zamknięta w czasie ceremonii pogrzebowej - powiedział rzeczowo. - Wypadek był paskudny, wyglądała... nie było sposobu... żeby ją poskładać. Dlatego nie otworzyli trumny. Nawet nie mogłem jej zobaczyć.

I nie miałaś okazji powiedzieć, że żałujesz, dodała w myślach Joanna, która zdała sobie sprawę, że to wyjaśnia reakcje przynajmniej niektórych ludzi na jej widok. Jeśli tylko kilka osób widziało zwłoki Caroline, to żal po zmarłej jakby rozciągnął się w czasie lub był dla wielu spotęgowany. Nie mieli okazji obejrzeć jej w czasie pogrzebu i pożegnać się w sposób, jaki był zwyczajowo przyjęty. Zjawienie się Joanny, podobnej do Caroline, w niedługim czasie po jej śmierci, musiało zatem wywołać znacznie więcej domysłów, niż należałoby się spodziewać.

- Pogadaj z doktorem Becketem, Joanno - Adam doradził jej niespodziewanie. - Znał ją jak my wszyscy.

Joanna nie była pewna, czy zamierzał przekazać jej, że Becket także był kochankiem Caroline, ale nie zdecydowała się pytać. Przyjęła radę bez komentarza.

- Dzięki, pogadam. Do widzenia, Adamie - powiedziała bezradnie, nie znajdując sposobu kontynuowania rozmowy.

- Do widzenia, Joanno. - Adam odwrócił się od niej i zaczął ponownie wpatrywać w krzak nazwany „Dla Caroline”. Był przygnębiony.

Opuściła cieplarnię i wsiadła do samochodu. Nie zapuszczała silnika przez kilka chwil. Z wysiłkiem otrząsnęła się ze współczucia dla Adama, odsuwała je od siebie, a kiedy wreszcie jej się udało, okazało się, że jest zagubiona i niepewna.

Kim była Caroline McKenna? Nieśmiałą kobietą - stłumioną kobietą. Spokojną kobietą - kobietą nerwowo obgryzającą paznokcie. Oddaną matką - notorycznie zdradzającą męża. Kobietą, którą stać na oddanie milionów, żeby polepszyć warunki miejskiego szpitala - kobietą najwyraźniej niespodziewanie i bez skrupułów zostawiającą kochanków.

Kobietą, której małżeństwo stało się puste z powodu obojętności męża? A może kobietą, którego zachowanie spowodowało, że oddalił się od niej, zachowując chłodny dystans?

...i zakłada, że to moja wina, że jestem ludojadem, złoczyńcą burzącym wszystko

dokoła.

- A jest pan? - zapytała.

- Cóż, jestem, pani Joanno. Jestem. To, że wszyscy mówią, że jestem zimnym bydlakiem, nie znaczy, że to nieprawda...

Ale czy to była prawda? Joanna zaczęła się teraz nad tym zastanawiać. Czy Scott McKenna był tak powściągliwy i obojętny, jak się wydawał? A może przypisywano mu więcej grzechów, niż popełnił w rzeczywistości? Czy Scott był jednym z mężczyzn, których Caroline porzuciła z powodu emocjonalnej niestałości, co on z kolei utrzymywał w tajemnicy pod fasadą obojętności i chłodu?

- Niech cię szlag trafi, Caroline, kim ty jesteś? - wymamrotała Joanna, włączając w końcu silnik.

- Jesteś pewny? - zapytał Griffin, rozmasowując sobie kark jedną ręką, w drugiej trzymał słuchawkę telefonu. - Cholera! Wczoraj mówiłeś co innego.

Doktor Becket westchnął.

- Griff, wiesz równie dobrze jak ja, że im dłużej ciało jest wystawione na działanie pogody, zwłaszcza w zimną, wilgotną noc, tym trudniejsze staje się precyzyjne ustalenie czasu zgonu. Wspominałeś, że dziewczyna wymknęła się z hotelu około dwudziestej trzeciej trzydzięci, i pytałeś, czy jest możliwe, że zginęła bliżej północy, niż początkowo zakładaliśmy. Tak, to możliwe. Zgon mógł nastąpić w każdej minucie między dwudziestą drugą a czwartą nad ranem. Nie jestem w stanie określić tego precyzyjniej, w każdym razie nie w sprawozdaniu.

- Domysły - narzekał Griffin pod nosem. - Nauka to wspaniała rzecz.

- Ma ograniczenia, jak wszystko - przerwał mu Becket. - Jeśli potrzebna ci jeszcze jedna opinia, to wezwij z Portlandu biegłego medycyny sądowej.

- Daj spokój, nie wygłupiaj się. Dziękuję, doktorku. - Griffin odłożył słuchawkę i popatrzył na elegancki, oprawiony w skórę pamiętnik, który leżał otwarty przed nim na biurku. - Sukinsyn - powiedział cicho.

- Mamy zły dzień?

Griffin spojrział w otwarte drzwi swego pokoju, a potem odchylił się na krześle i wzruszył ramionami.

- Można tak to ująć.

- Lepiej będzie, jak przyjdę później - powiedziała Joanna.

- Nie. - Griffin pokręcił głową. - Wchodź śmiało.

Joanna weszła niepewnie i usiadła na krześle dla gości.

- Hmm... w związku z tym, co powiedziałam wczoraj...

- Jeśli myślisz, że nadal jestem z tego powodu wkurzony, to się mylisz. Nie jestem - odpowiedział.

- Och? To jak wytłumaczyć, że trochę tu chłodniejsza atmosfera niż zwykle?

- No dobra, ciągle jestem wkurzony. Nie znoszę się mylić.

- Ego przy tym cierpi. - Joanna zamrugła i uśmiechnęła się.

Griffin pomyślał przez chwilę, a potem zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie tak bardzo jak moje poczucie znajomości samego siebie. Udowodniłaś mi coś, o co sam siebie bym nie podejrzewał, i niespecjalnie mi się to spodobało. Miałaś rację, łatwiej było mi wierzyć, że śmierć Caroline to zwykły wypadek. Wyrzuty sumienia nie gryzły mnie tak, gdy myślałem, że nawet gdybym tam pojechał i tak niczego by to nie zmieniło.

- W końcu nie wiemy, czyby zmieniło - przypomniała mu cicho Joanna.

- Nie, ale jeśli pogodzimy się z tym, że... kiedy ja przyjmę do wiadomości, że coś mogło się wydarzyć, gdy na mnie czekała w starej stodole, wtedy zmiana biegu wydarzeń, gdybym się tam zjawił, staje się znacznie prawdopodobiejsza.

- Może. Tyle że nie uda ci się cofnąć w czasie i odtworzyć tamtego dnia. Jaki sens ma w takim razie poczucie winy? Nie zmieni tego, co przydarzyło się Caroline, a tobie z pewnością nie pomaga. Odpuść sobie, Griffinie.

Szeryf zastanawiał się przez chwilę, czy potrafiłby to zrobić, a potem się do niej uśmiechnął.

- Dobrze, popracuję nad tym. Tymczasem niezależnie od tego, co myślę o wydarzeniach tamtego dnia, nie zmienia to w niczym dowodów. Była sama, jechała samochodem, nikt jej nie potrącił ani nie próbował zepchnąć z drogi. Nie popełniono żadnego przestępstwa.

- Godzę się, że nie było przestępstwa w sensie kodeksu karnego. - Joanna pokiwała głową. - Co z prawem moralnym? A jeśli ktoś przyczynił się do wypadku, wyprowadzając Caroline z równowagi?

- To stłukłbym go na kwaśne jabłko - odpowiedział Griffin spokojnie - ale nie mógłbym aresztować.

Jej niezwykle połyskujące złotem oczy wpatrywały się w niego intensywnie. Griffin odniósł nagle wrażenie, że jeśli cokolwiek odkryła, wpłynie to nie tylko na przebieg tej rozmowy, ale także na sprawy znacznie ważniejsze. Najgorsze było jednak to, że nie miał zielonego pojęcia, czego szukała.

Joanna uśmiechnęła się, przestała świdrować go wzrokiem i splotła palce na udach.

- W porządku. Ale co z Amber? Kolejny wypadek? Samobójstwo?

- Co się stało? - przerwał jej, cedząc słowa.

- Nie rozumiem. - Joanna popatrzyła na niego przestraszona, a potem nieufna.

- Rozumiesz. Przyszłaś tu z czymś bardzo konkretnym, a później postanowiłaś, że mi o tym nie powiesz.

- Wolno mi - wyszeptła.

- Zgadza się. - Usłyszał napięcie we własnym głosie i wiedział, że ona także zwróciła na to uwagę. - Niemniej chciałbym wiedzieć, dlaczego zmieniłaś zdanie.

Jej twarz - dla niego nie będąca już tylko kopią rysów Caroline - zdradzała osobę nie potrafiącą blefować przy pokerze. Joannę denerwowało, że bezbłędnie czytał w niej, jak w otwartej książce. Mimo to, kiedy się odezwała, słowa idealnie współgrały z wyrazem twarzy.

- Posłuchaj, dowiedziałam się dzisiaj czegoś, *co* mnie zaskoczyło. Miałam ci powiedzieć, ale potem się rozmyśliłam, bo nie ode mnie powinienes usłyszeć tę historię. Poza tym nie ma ona nic wspólnego z Amber ani twoim śledztwem, więc...

- Dotyczy Caroline, prawda?

- Ale nie jej śmierci. Dlatego właściwie nie ma znaczenia, mam rację?

- Może ja bym o tym zdecydował.

Jej usta wykrzywiły się w tajemniczym uśmiechu.

- Nie, nie tym razem. To ja wysłuchałam zwierzeń, a ponieważ moim zdaniem nie pomogą ci w żaden sposób, pozwól, że zatrzymam je dla siebie. Przepraszam.

Griffinowi nie spodobało się takie rozwiązanie i wiedział, że słyhać to było w jego głosie.

- No cóż, ponieważ tortury są zakazane, nie mogę cię do niczego zmusić.

Na moment zapadła cisza.

- Znowu narozrabiałam i przestaliśmy się kolegować? - wyszeptła Joanna.

- Kolegowaliśmy się?

- Tak myślałam. - Spojrzała na niego, świadoma znaczenia tej chwili. - Myliłam się?

Nastąpiła jedna z chwil w życiu Griffina, kiedy nie był pewny swego. To, co czuł, było zbyt skomplikowane, by mógł jasno określić swoje uczucia, a jakaś część jego osoby chciała uniknąć analizowania ich. Joanna miała tajemnice, których nie chciała z nim dzielić, nie odpowiadała na niektóre pytania i *to* go martwiło. Kim naprawdę była Joanna Flynn i dlaczego tu przyjechała?

Znał ją dopiero od tygodnia - ale miała zostać jeszcze przez siedem dni. Jako



mężczyzna nie miał zatem zbyt wiele czasu.

- To od dawna sporna kwestia - odezwał się w końcu. - Czy kobieta i mężczyzna mogą się tylko przyjaźnić?

- Przypuszczam, że ważne, do czego zmierzają - odrzekła Joanna. - Czy właśnie tego chcesz, Griffinie, przyjaciółki?

- Mam przyjaciół. A ty, Joanno? Czy w Atlancie czeka ktoś na ciebie?

Po raz pierwszy Joanna uciekła przed nim wzrokiem nie tyle ze strachu, ile pilnując sama siebie.

- Flirtowanie w biurze szeryfa? Istnieje pewnie jakieś zarządzenie rady miasta, które tego zabrania.

- Istniało, ale uchylono je w roku 1879. Odpowiedz na pytanie.

- Dobrze. W Atlancie nie czeka na mnie żaden mężczyzna. - Tym razem w jej oczach nie można było niczego wyczytać. - Od kilku lat z nikim nie jestem związana. Zadowolony?

- Prawie. - Głos Griffina nie zdradzał żadnych emocji. - Dlaczego rozpadł się ten związek?

Joanna zmarszczyła czoło.

- Zamordowałam faceta i zakopałam ciało w różanym ogrodzie.

- Pytałem poważnie.

- Nazwijmy to ogólnym niedopasowaniem. - Joanna westchnęła. - Uważał, że powinnam żyć według jego reguł. Problem polegał na tym, że lubię myśleć samodzielnie i decydować, jak się ubieram, zachowuję. Kiedy więc po raz drugi uznał, że nie powinnam wkładać spodni i głośno mówić, co myślę, doszłam do wniosku, że powinien odejść. Bardzo daleko. Teraz usatysfakcjonowany?

- Usatysfakcjonowany, bo to był idiota. - Griffin nie dał jej szansy na skomentowanie tego zdania lub odpowiedź. - Powiedziałbym, że ciotka Sara byłaby z ciebie dumna. - Zaczynał się wycofywać i wiedział o tym. Nieufność Joanny sprawiała, że stawał się ostrożny.

Ze śmiechem pobrzmiewającym ulgą Joanna wreszcie mogła coś powiedzieć:

- Po pierwsze dostałoby mi się od niej za to, że w ogóle zadałam się z takim facetem. Z drugiej strony ciebie chyba by lubiła.

Griffin uśmiechnął się.

- Bo mam czarujący sposób bycia?

- To na pewno potraktowałyby jako plus. Ale przede wszystkim polubiłaby cię, bo ciemni mężczyźni o czarnych oczach byli w jej typie. Co ciekawe, żaden z jej mężów nie był

brunetem. Powtarzała, że na południu naprawdę interesujący są jedynie blondyni.

- I przeżyła ich wszystkich. To powinno ją czegoś nauczyć.

Joanna ponownie zachichotała; zanim jednak odpowiedziała, jedna z zastępczyń Griffina zapukała energicznie i weszła do środka.

- Przepraszam, szefie, pomyślałam, że chciałby pan rzucić na to okiem.

W momencie gdy Griffin wziął do ręki kartkę papieru, poczuł, jak opuszcza go dobry humor. Wiedział, co to jest, mimo to zapytał:

- Złe wieści?

- Mogłyby być lepsze.

- W porządku, dzięki, Megan.

Kobieta obrzuciła Joannę szybkim spojrzeniem i wyszła. Przeczuwając najgorsze, Griffin przeczytał notatkę sporządzoną przez innego zastępcę. Megan miała rację, mogłoby być lepiej. O wiele lepiej.

- Griffinie?

Szeryf spojrzał w zmartwione oczy Joanny.

- Czasami - powiedział - naprawdę nienawidzę zawodu policjanta.

Oboje milczeli przez chwilę.

- Pamiętam, mówiłeś, że bym nie wtrącała się do śledztwa, ale jeśli nastąpił jakiś przełom, bardzo chciałabym o tym wiedzieć.

Griffin zdał sobie sprawę, że chciałby z nią o tym porozmawiać. Nie był tylko pewny, czy z powodu jej intuicji i rzeczowych sądów, czy tylko dlatego, że w ogóle lubi z nią rozmawiać o wszystkim. Niezależnie od powodu, trochę się tym niepokoił.

- Obiecuję, że nie pisnę słówka plotkarzom z Cliffside - dodała.

Szeryf odłożył kartkę i spojrzał na dziennik leżący na biurku.

- Pani Wadę przysłała tu dziś rano - zaczął. - Pakowała rzeczy córki i znalazła jej pamiętnik. - Obrócił niewielki notatnik i pchnął w jej stronę.

Joanna pochyliła się, wyciągnęła rękę i zawahała się. Spojrzała na Griffina zakłopotana.

- Tak, wiem - powiedział. - Pani Wadę go nie czytała, ja też nie miałem na to ochoty. Ale Amber nie żyje. I jeśli cokolwiek z tego, co zapisała, może nam pomóc ustalić, co się stało... Zresztą jeszcze niczego nie wiem na pewno. Przeczytaj ostatni wpis.

Joanna niemal żałowała, że prosiła Griffina o wyjawienie ostatnich odkryć. Ale co się stało, to się nie odstanie. Przyznawała mu w duchu rację, kiedy stwierdził, że do ustalenia tego, co przydarzyło się Amber, potrzebne są informacje. Wzięła pamiętnik do ręki i zaczęła

czytać ostatni wpis. Był datowany na sobotę, godzinę dwudziestą trzecią. Amber pisała dużymi okrągłymi literami, po dziecinnemu, zamiast kropek nad i oraz nad j rysowała małe serduszka.

„Mama i tato położyli się już do łóżka, ale dla mnie ta noc wydaje się taka pełna życia... Czy Cain przeczytał moją wiadomość? Do tej pory na pewno. Więc musi wiedzieć, jak bardzo go kocham. Jak bardzo go potrzebuję. A teraz skoro wie... Och, Boże, teraz kiedy wie... Spotka się ze mną tej nocy, wiem, że przyjdzie. Będziemy się kochać w jego chacie, a burza rozszałeje się wokół nas, a potem wyjedziemy razem... Zapowiadali burze przez całą noc, ale teraz jest cicho. Wymknę się zaraz drzwiami na taras, bo przestało padać. Jestem pewna, że mi się uda... jestem pewna, że burza zaczeka, aż połączę się z moją miłością...”.

Joanna delikatnie odłożyła pamiętnik na biurko i pchnęła w kierunku Griffina. Choć zapis uczuć był bardzo melodramatyczny i wynikał z ogromnej pewności siebie, wiedziała, że Amber rzeczywiście tak to przeżywała. Szczerze żałowała dziewczyny, smutek ścisnął jej gardło. Rozpaczliwe szamotanie się cielej miłości mieściło się w granicach normalności i nie dziwiło w wieku osiemnastu lat. Śmierć do tego nie pasowała.

- Teraz już wiemy, dlaczego wyszła tej nocy - Joanna niemal wyszeptała - i kiedy.
- I z kim planowała się spotkać.
- Griffinie, przecież nawet ona nie była pewna, czy Cain przeczytał wiadomość, więc...
- Śmieszne, on nie wspomniał o żadnej notce - powiedział szeryf spokojnie.
- Może nigdy jej nie dostał.
- A może po prostu nie chciał mi o tym powiedzieć. Tak samo jak nie wspomniał o tym, że wyszedł ze swojej chaty w niedzielną noc.
- Wyszedł z chaty? Skąd wiesz?
- Ktoś go widział. - Griffin popukał wskazującym palcem w kartkę, którą przyniosła Megan. - Cain jeździ srebrnym jaguarem. Taki samochód bardzo rzuca się w oczy, a z powodu zepsutego tłumika silnik strasznie głośno pracuje. Jedna z jego sąsiadek podeszła do okna sprawdzić, czy burza minęła na dobre, czy to tylko krótka przerwa. Odgłos samochodu zwrócił jej uwagę. Jaguar pędził w kierunku szosy biegnącej wzdłuż wybrzeża.
- Która była godzina? - spytała Joanna.
- Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, plus minus dziesięć minut.
- Ale to chyba za wcześnie? Przecież Amber zginęła wiele godzin później, o ile wiem

bliżej świtu.

Griffin pokręcił głową.

- Rozmawiałem właśnie z doktorem Becketem. Stwierdził, że mogło to nastąpić o każdej porze między dwudziestą drugą a czwartą rano. Dzięki pamiętnikowi wiemy, że żyła jeszcze o dwudziestej trzeciej, zatem umarła po dwudziestej trzeciej i przed czwartą. To oficjalna wersja. Zgodnie z prywatną opinią lekarza miało to miejsce około północy.

Joanna zetknęła palce czubkami i patrzyła na nie przez chwilę, a potem spojrzała na spokojną twarz Griffina.

- Dobrze. Sprawdziłam, że do jego chaty z „Gospody” idzie się piętnaście minut spacerowym krokiem. Bieg zajmie znacznie mniej czasu. Jeśli zatem wymknęła się z hotelu zaraz po zapisaniu notki w pamiętniku...

- Co najprawdopodobniej zrobiła - wpadł jej w słowo Griffin. - Burza ucichła już wcześniej, ale Amber spodziewała się, że niedługo znowu się zacznie. Nie zrobiła na mnie wrażenia dziewczyny, która lubiłaby moknąć, zwłaszcza tuż przed spotkaniem z mężczyzną.

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- Zostawałoby wystarczająco dużo czasu, żeby coś się wydarzyło, zanim Cain odjechał. Zdążyłaby nawet dojść do jego chaty i wrócić, sama albo z nim. Może odprowadził ją do hotelu, a potem, jeśli się pośpieszył, zdołał przybiec do siebie z powrotem. Griffinie, to daje pole do bardzo wielu przypuszczeń.

- Tak, wiem. Dysponuję jednak dwoma niezbitymi faktami. Po pierwsze Amber nie żyje. Po drugie Cain nie powiedział mi prawdy o tym, gdzie był, kiedy to się stało.

- Nie możesz wykluczyć, że miał zupełnie niewinny powód, żeby cię okłamać.

- Powody kłamania rzadko bywają niewinne - odrzekł sucho.

- Wiesz dobrze, o co mi chodzi.

- A ty wiesz dobrze, co mam na myśli, Joanno. Nie jestem skłonny wierzyć, że Cain zabił tę dziewczynę, celowo czy przypadkiem. Jednocześnie mam przeczucie, że została zepchnięta albo zrzucona z urwiska, a Caina nie było tam, gdzie zgodnie z jego słowami być powinien. Co w związku z tym mam myśleć?

- Może wyjechał, uciekając przed nią, wziąłeś to pod uwagę? Może przyszła do niego tamtej nocy i żeby ją spławić, powiedział, że musi gdzieś jechać. Dlatego wziął samochód, a ona nie miała innego wyjścia i musiała wracać do hotelu. I... na przykład poślizgnęła się albo skoczyła.

Griffin wzruszył ramionami.

- Możliwe. Ale jeśli rzeczywiście się z nią widział, chcę wiedzieć, dlaczego skłamał.

- Bo uznał, że zaczniesz go podejrzewać?

- I tak był podejrzany, a moim zdaniem świetnie o tym wiedział. To, że przyłapałem Caina na kłamstwie, nie oczyszcza go w moich oczach z zarzutów.

Choć Joanna usilnie próbowała, nie udało się jej pozbyć przekonania, że zgon Amber jest w jakiś sposób powiązany z wypadkiem Caroline i śmiercią Roberta Butlera, a jeśli rzeczywiście tak było, jakie Cain mógłby mieć motyw, żeby zamordować tych troje ludzi. Nie, to nie trzymało się kupy.

- Może po prostu pogubił się w tym wszystkim - odezwał się Griffin, jakby czytał jej w myślach. - Z tego, co słyszałem o Amber, na pewno nie przyjęłaby dobrze odrzucenia. Wpadła w histerię i nie chciała odejść, niezależnie od tego, co jej powiedział. Do licha, mógł ją po prostu trochę za mocno popchnąć.

- Nawet gdyby tak zrobił, nigdy nie zdołasz udowodnić tego w sądzie, mam rację? To znaczy, nie masz żadnych dowodów potwierdzających jakąkolwiek hipotezę. Nie możesz w żaden sposób potwierdzić, że Cain znalazł się w miejscu, gdzie zginęła Amber, albo że był z nią gdzie indziej. Nie ma żadnych świadków wydarzeń. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci był upadek. Ślady wydeptane w trawie mogą znaczyć bardzo wiele... albo nic. Tak więc, dopóki ktoś się nie załamie i nie wyzna wszystkiego, nie masz z czym iść do sądu.

- Tak się to mniej więcej przedstawia. - Griffin uśmiechnął się smutno. - Niezależnie od tego, co Cain mówi, wątpię, żeby był skłonny do zwierzeń. I jak sama zauważyłaś, nie mam niepodważalnych dowodów, że chodzi o morderstwo. Dlatego w ostatecznym raporcie napiszę najprawdopodobniej, że zginęła w wyniku wypadku lub samobójstwa. Że w chwili gdy spadła z urwiska, najpewniej była sama. Że nie wiem na pewno, co tak naprawdę się tam wydarzyło. Takie „gładkie” wyjaśnienie jej rodzice zabiorą ze sobą do domu razem ze zwłokami.

Patrząc na niego, Joanna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak silnie Griffin Cavanaugh wszystko *przeżywał*. Amber była dla niego obcą osobą, lecz prowadzenie śledztwa w sprawie jej śmierci należało do jego służbowych obowiązków, mimo to powodowany nie dumą zawodową, ale zwykłym i szczerym współczuciem gryzł się, że nie może ustalić winnego jej śmierci. Rodzice Amber do końca swoich dni będą się zastanawiali, czy spadła, czy skoczyła i na pewno będą się obwiniać za to, co się stało, nękani wyrzutami sumienia, że może czegoś nie dopatrzyli, że mogli jakoś temu zapobiec - Griffin o tym wiedział. I ta świadomość doprowadzała go do furii.

Hasłem tamtych dni stało się „zamknięcie sprawy”. Griffin chciał zamknąć sprawę przede wszystkim ze względu na zrozpaczonych rodziców Amber. Marzył o podaniu im

powodów i wyjaśnienia bezsensownej śmierci ich córki. Wiele by dał, żeby stanąć przed nimi i móc powiedzieć: „Fakty przedstawiają się następująco... stało się tak dlatego, że... i jest mi cholernie przykro, że nikomu z nas nie udało się temu zapobiec”.

Joanna pomyślała, że oceniała go powierzchownie. Uczepiła się jego poczucia winy i złości będących skutkiem śmierci Caroline i nie dostrzegła, co się naprawdę za nimi kryło. Coś głębszego i bardziej bolesnego niż same tylko wydarzenia tego lata.

- Straciłeś kogoś, prawda? - powiedziała wolno. - Straciłeś kogoś i nikt nie może ci wytłumaczyć, dlaczego tak się stało.

## Rozdział dziesiąty

- Czy to jest aż tak widoczne? - spytał Griffin po chwili trochę szorstko.

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. - Postanowiła nie omawiać szczegółów i tłumaczyć, że raczej to wyczuwała, niż dostrzegała.

- Chyba każdy ma jakiś ciężar do dźwigania - powiedział Griffin. Splótł palce nad blatem biurka i wpatrywał się w nie przez moment, a potem utkwił spojrzenie w Joannie. - To stało się ponad dwadzieścia lat temu. Dokładnie rzecz ujmując, dwadzieścia dwa lata minęły w sierpniu. Miałem piętnaście lat. Moja siostra dwanaście.

Joanna wsłuchiwała się w jego opanowany głos. Przeszedł ją dreszcz, bo wiedziała, czego się dowie.

- Byliśmy ze sobą bardzo blisko. Dzieciaki wojskowych zwykle trzymają się razem, pewnie dlatego, że rodzice bez przerwy przenoszą się z miejsca na miejsce. Znaleźliśmy się w kolejnym mieście i mieliśmy zacząć chodzić do nowej szkoły. Przyjechaliśmy kilka tygodni wcześniej i nie zdążyliśmy jeszcze poznać wielu rówieśników z bazy wojskowej. - Przerwał na moment, ale potem kontynuował rzeczowym głosem. - Lindsey zaprzyjaźniła się z dziewczynką w swoim wieku i tamtego dnia powiedziała mamie, że idzie się z nią pobawić. Dom jej rodziców był w bazie, podobnie jak nasz, i znajdował się kilka przecznic dalej.

Griffin ponownie przerwał opowieść, a kiedy ją podjął, mówienie przychodziło mu ze znacznie większym trudem.

- Już po godzinie wiedzieliśmy, że coś się stało, bo zadzwoniła jej koleżanka, pytając, dlaczego Lindsey nie przychodzi. Jednak dopiero po trzech dniach jej ciało zostało odnalezione w odległości około dwóch kilometrów od bazy. - Rysy twarzy mu się wyostrzyły, ciemne oczy spochmurniały. - W gazetach pisali, że zrobiono jej... krzywdę, zanim ostatecznie umarła. W taki właśnie sposób poznałem kilka faktów, z gazet i telewizji. Policjanci i prokuratorzy wojskowi prowadzący śledztwo nie chcieli mi wiele powiedzieć, a rodzice byli tak zdruzgotani, że nie docierało do nich nic poza tym, że ich córka nie żyje.

- Tak mi przykro - powiedziała Joanna cicho. - Musiałeś przejść piekło.

- Myślę, że najgorsza była najzwyczajniejsza dezorientacja. To stało się tak niespodziewanie, bez ostrzeżenia. Lindsey żyła i nagle umarła. Na dodatek jej śmierć była kompletnie bezsensowna.

- Nikt nie potrafił ci tego wytłumaczyć. - Joanna w duchu dzieliła ból tamtego chłopca i tego mężczyzny. Nic dziwnego, że tak bardzo przejął się wypadkiem Amber. Rozumiał stratę aż za dobrze.

Griffin pokręcił głową.

- Nie było żadnych odpowiedzi na pytania, brak tropów. Śledztwo do niczego nie doprowadziło, nie odkryto motywów ani podejrzanych. Dochodzenie ciągnęło się wiele miesięcy, aż w końcu go poniechano. Pochowaliśmy Lindsey. Życie toczyło się dalej, ale żadne z nas nie pogodziło się z jej śmiercią. Cholera, nie umieliśmy nawet zrozumieć tego, co zaszło, bo zostały nam tylko pytania bez odpowiedzi.

Joanna pomyślała, że najgorsze ze wszystkiego” to nie wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

- Dlatego zostałeś policjantem? Bo chciałeś znajdować odpowiedzi dla innych ludzi? - zapytała.

- Tak - nie wahał się z odpowiedzią, w jego głosie nie wyczuła cienia wątpliwości. - Gdybym był wtedy starszy albo młodszy, inaczej by to na mnie wpłynęło. Zresztą nie wiem. Może tak, może nie. Wiedziałem jedynie, że najstraszniejsze na świecie jest nie wiedzieć, dlaczego się kogoś straciło. Nie było sposobu oderwania się od tego, pogodzenia się z tym. Tamtego lata nabrałem pewności, że zostanę policjantem. - Nagle wzruszył ramionami. - Niewykluczone, że wiele wyborów, dokonanych przeze mnie w życiu, wynikało z tego, co przydarzyło się Lindsey. Wiem jedynie, że tamte pytania bez odpowiedzi zniszczyły moją rodzinę. Rodzice rozeszli się mniej więcej po roku, nadal rozbici, każde z nich obwiniało drugie, że nie zapobiegło czemuś, na co oboje nie mieli wpływu. Mieszkałem z ojcem do chwili, gdy dorosłem na tyle, że sam mogłem wstąpić do wojska. Od tamtej pory widziałem go najwyżej kilkanaście razy. Z matką spotkałem się dwa razy przez ostatnie dziesięć lat. Pojechałem do niej na święta Bożego Narodzenia. W obu przypadkach okazywało się to nieporozumieniem. Jej dom to kaplica poświęcona Lindsey, ja jestem dla niej jak obcy. Ojciec przeszedł na emeryturę i przeniósł się na Alaskę. Matka ma dom na Florydzie. Nie mogli odjechać od siebie dalej, jeśli im o to chodziło, a przy tym oboje są bardzo samotni.

Jedno dziecko umarło, drugie zostało pozbawione miłości - i rozeszły się drogi dwojga ludzi. Joanna pomyślała, że morderstwo Lindsey to coś więcej niż tylko jej śmierć. Zabójca unicestwił także rodzinę. I chociaż Griffin nie załamał się emocjonalnie, nosił w sobie niezatarte piętno tamtych wydarzeń.

- Przypuszczasz, że rodzice nadal byłiby razem, gdyby wiedzieli, kto zabił Lindsey? - spytała, bo sama doświadczyła tego, że niewiedza jest najgorszym elementem każdej



straszliwej tragedii.

- Uważam, że to więcej niż prawdopodobne - rzekł bez wahania Griffin. - Ale w zaistniałej sytuacji nie mieli kogo obwiniać poza sobą. Gdyby istniał jakiś złoczyńca, ktoś, komu mogliby spojrzeć w oczy i zapytać, dlaczego to zrobił, wtedy być może ich małżeństwo przetrwałoby śmierć Lindsey. Może udałoby się im je ocalić.

- Griffinie... bywa, że odpowiedzi po prostu nie istnieją. - Joanna chciała powiedzieć coś innego, coś więcej, jednak wobec tak ogromnego smutku słowa okazywały się zupełnie nieodpowiednie.

Griffin uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiem, możesz mi wierzyć. Nawet gdyby morderca mojej siostry został odnaleziony, i tak nigdy byśmy nie zrozumieli, dlaczego umarła. Jeśli uda mi się podać Wade'om nazwisko człowieka, który zabił ich córkę, nigdy nie pojmą przyczyn jej śmierci.

- Ale ty się lepiej poczujesz. - Joanna nie potrafiła opędzić się od myśli, że być może stanowiło to powód nieprzejednania Griffina, gdy upierał się, że Caroline zginęła w wypadku. Bo bywa i tak, że z przypadkową śmiercią łączą się pytania nie mające odpowiedzi, ale rzadko kiedy można się z tym pogodzić. Z drugiej strony morderstwo rodzi mnóstwo pytań, ale większość pozostaje w umyśle i nieubłagane nęka człowieka.

- Gdybym mógł im powiedzieć, co się stało, czułbym się potrzebny - odezwał się Griffin. - Człłbym, że wykonuję swoją pracę. Możliwe, że Wade'om udałoby się pozbiierać jakoś po śmierci córki. Może nawet pogodziliby się z nią któregoś dnia.

Joanna pokiwała głową ze zrozumieniem. Problem polegał jednak na tym - co ustalili kilka minut wcześniej - że jak na razie, jeśli chodzi o śmierć Amber, nie miał wiele do przekazania jej rodzicom.

- Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin - przypomniała mu. - To, że dziś nie jesteś w stanie powiedzieć im czegoś konkretnego, nie wyklucza, że jutro będzie inaczej.

- Tak, powtarzam to sobie bez przerwy. - Spojrzał w dół na pamiętnik i westchnął. - Tymczasem powinienem przeczytać zapiski Amber, przynajmniej od dnia jej przyjazdu do Cliffside. I muszę pogadać z Cainem.

Joanna nie zazdrościła mu.

- W takim razie przestanę zawracać ci głowę - powiedziała, wstając z miejsca. Ponieważ postanowiła nie mówić mu, czego dowiedziała się o Caroline od Adama Harrisona, a przy tym Griffin był tak bardzo zajęty śledztwem, więc nie pozostawało jej nic innego poza szukaniem na własną rękę szczegółów dotyczących życia Caroline i rekonstruowaniem wydarzeń z kilku ostatnich dni przed jej śmiercią. Dopiero gdy natrafi na coś konkretnego lub

znajdzie ślady powiązań Caroline z dwojgiem ludzi, którzy zginęli na urwisku, przyjdzie z tym do szeryfa. Nie mogła mu pomóc w inny sposób.

- Joanno?

Idąca już w stronę drzwi Joanna zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na niego, unosząc brew.

- Zostajesz jeszcze przez tydzień, prawda?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Co najmniej przez tydzień.

- To dobrze.

Opuszczając niewielki pokój, Joanna czuła jednocześnie radość i niepewność z powodu ostatnich zdań, jakie wymienili. Jednak miły nastrój nie trwał długo. Miała zbyt wiele zmartwień. Sen i jej reakcja na nocne majaki nasiliły się, z kolei im więcej dowiadywała się o Caroline, tym mniej ją lubiła. Poza tym przyjechała tu, żeby wyjaśnić tajemnicę jednej śmierci, a teraz były trzy ofiary. Przebywała w miasteczku dopiero od tygodnia, a problemy mnożyły się jak nigdy w życiu.

„Tik-tak, tik-tak”.

Przystanąła na chodniku przed biurem szeryfa i zagryzła dolną wargę, próbując pozbierać myśli. Nie mogła jednak stać tak w nieskończoność, toteż ruszyła w kierunku głównego skupiska sklepów w centrum miasta. Bardzo chciała porozmawiać z doktorem Peterem Becketem, ale jak do tej pory nie zdołała wymyślić dobrego - wystarczająco niewinnego - pretekstu. Griffin przedstawił ich sobie za „Gospodą” poprzedniego dnia rankiem, kiedy karetka zabierała ciało Amber. Jednak od tamtego czasu nie udało się jej spotkać Becketa niby przypadkiem - a właśnie w taki sposób uzyskała najwięcej informacji o Caroline.

Zastanawiała się, czy nie udać czegoś, na przykład bólu brzucha albo innej niegroźnej dolegliwości, na tyle jednak dokuczliwej, by wytłumaczyć wizytę w szpitalu...

- Dzień dobry, pani Joanno.

- Och, witam. - Joanna przywitała się z Mavis, ekspedientką z drogerii, gdy obie zatrzymały się przy sklepie „Na rogu”. - Wcześniej skończyła pani dzisiaj pracę?

- Aha, dwie godziny wcześniej. Czy... rozmawiała pani z szeryfem? - Mavis usiłowała zadać to pytanie jakby mimochodem, ale wzmogła czujność Joanny.

- Przez kilka minut - potwierdziła Joanna. - Jest bardzo zajęty.

Mavis szybko pokiwała głową.

- Biedna dziewczyna, spadła z urwiska w niedzielną noc. Ja... to znaczy... zaczynają

chodzić słuchy, że pan Barlow miał z tym coś wspólnego. Że nakłamał szeryfowi o tym, gdzie był tamtej nocy.

Rzeczywiście wieści szybko rozchodzą się w tym miasteczku, pomyślała Joanna.

- Gdzie to pani słyszała?

- Pani Norton przysłała do drogerii niedawno temu, to moja sąsiadka, rozumie pani, i powiedziała, że szeryf specjalnie przysłał do niej jednego z zastępców, żeby się dowiedział, czy widziała, jak pan Barlow wyjeżdżał w niedzielę w nocy. A ona widziała. Tuż przed północą, kiedy zginęła ta biedaczka. Jeden z naszych klientów wspomniał, że był akurat w „Gospodzie”, kiedy szeryf wypytywał pana Barlowa, i usłyszał, jak tamten mówił, że był w swojej chacie przez całą noc, więc...

Joanna doszła do wniosku, że pani Norton chyba tylko cudem nie skrzyła sobie karku, gnając jak burza do miasteczka, żeby jak najszybciej podzielić się nowinami.

- Bez względu na to, co pan Barlow powiedział - zwróciła się do Mavis - nie musi to zaraz oznaczać, że miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Amber.

- Och, ale wszyscy wiedzą, jak się za nim uganiała - odpowiedziała Mavis z błyskiem w oczach. - Lecz jemu ona się chyba nie podobała. On jest z Holly Drummond i dam głowę, że ona nie była tym zachwycona. Wychodzi na to, że nie mógłby być za bardzo szczęśliwy z małą Amber. Jestem pewna, że nie chciał jej zrobić krzywdy, ale może popchnął ją trochę, bo mu się narzucała i...

- Dochodziła północ - powiedziała Joanna na tyle rzeczowym głosem, na ile mogła. - Szalała burza. Co, pani zdaniem, Mavis, jest bardziej prawdopodobne? To, że na tyłach „Gospody” istnieje stałe miejsce spotkań kochanków, czy to, że Amber skorzystała z przerwy w ulewie i wymknęła się z hotelu, żeby pooddychać świeżym powietrzem po całym dniu spędzonym w zaduchu i... się poślizgnęła?

- W czasie burzy istniała duża szansa, że nikt ich nie zauważy, a chcieli wszystko utrzymać w tajemnicy z powodu Holly - oświadczyła Mavis stanowczo. - Oczywiście nie wiem, czy to na pewno prawda, pani Joanno, ale szeryf musiał mieć naprawdę ważne powody, żeby podejrzewać pana Barlowa. Wszyscy tak mówią.

Joanna niejednokrotnie już się przekonała, że większość ludzi bardzo chętnie daje wiarę najgorszym opiniom o innych, ale bolało ją to i przygnębiało, tak samo jak wiele lat temu, gdy doświadczyła tego po raz pierwszy. Miała wtedy siedemnaście lat, mieszkała w Charlestonie z ciotką Sarą, kiedy nieodpowiedzialny młody dziennikarz, zainteresowany tajemniczymi zgonami, skłaniający się ku spiskowej teorii wydarzeń, zjawił się w sąsiedztwie i zaczął rozpytywać o rodziców Joanny.

Stopniowo wyszło na jaw, że był święcie przekonany, jakoby Alan Flynn pracował jako adwokat indywiduów ze świata przestępczości zorganizowanej, a „wypadek” na morzu był właściwie sprawką mafii. Dziennikarz utrzymywał, że Flynn miał zamiar przekazać władzom stanowym jakieś dowody, dlatego został zlikwidowany razem z żoną.

Historyjka była tak absurdalna, że oburzona Joanna wprost nie mogła w nią uwierzyć. Potem ogarnęła ją złość, że jakiś obcy człowiek ośmielił się podważać nieposzlakowaną reputację ojca. Wtedy właśnie, rozmawiając o tym z sąsiadką, zobaczyła nagle zły błysk w jej oczach. Przeżyła wstrząs, przekonując się, że ta kobieta chętnie wierzyła w każde słowo dziennikarskich bredni.

Zresztą chodziło nie tylko o jedną sąsiadkę, podobnych ludzi było wielu. Ludzi, którzy znali jej rodziców. Wszyscy uwierzyli bez oporów, nawet krewni.

Ciotka Sara nie mówiła wiele na ten temat, ale w kilka tygodni później wystawiła dom na sprzedaż i przeniosły się do Atlanty, gdzie stały się anonimowe.

Teraz Joanna wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

- Ciotka Sara zawsze mnie uczyła, żeby niczego nie przyjmować na wiarę, dlatego zamiast marnować czas na domysły, zaczekam raczej, aż szeryf kogoś aresztuje.

- Ma zamiar aresztować pana Barlowa? - Mavis pytała natrętnie.

- Bardzo wątpię - odpowiedziała sucho, żałując, że w ogóle wdała się w tę rozmowę. - Ponieważ jednak nie pracuję w biurze szeryfa...

- Myślałam, że szeryf rozmawiał z panią o tej sprawie - kontynuowała Mavis w widoczny sposób rozczarowana.

- Żałuję, ale nic nie wiem - odparła Joanna bez mrugnięcia okiem. - Miło było sobie pogawędzić, panno Mavis.

- Och, mnie też, pani Joanno. Proszę zajrzeć jeszcze do drogerii, dobrze? Postawię pani cherry coke na koszt firmy.

- Zajrzę na pewno, dziękuję.

Joanna patrzyła za pośpiesznie oddalającą się dziewczyną, która nie kierowała się do domu znajdującego się w północnej części miasteczka, lecz weszła do pobliskiego sklepu. Było jasne, że Mavis pali się do dalszego roztrząsania ewentualnej winy Caina Barlowa.

- Niech to cholera - Joanna zaklęła pod nosem.

- Nim zapadnie zmierzch, utyliła go w smole i pierzu - usłyszała kobiecy głos. - Używając metafory, oczywiście.

Joanna obejrzała się szybko i zobaczyła wychylającą się ze sklepu „Na rogu” blondynkę o wyjątkowej urodzie, która w Atlancie wzięła ją za Caroline.

- Witam, witam - odezwała się blondynka. - Nazywam się Lyssa Maitland.

Była piękną kobietą, mniej więcej trzydziestopięcioletnią, ubraną z tą samą niedbałą elegancją, jaką Joanna zapamiętała. Tym razem w ciemne spodnie, jedwabną bluzkę i tkaną kamizelkę. Jasne włosy upięła do góry. Joanna zdała sobie sprawę, że intensywna zieleń jej oczu nie miała nic wspólnego ze szklami kontaktowymi.

- Jestem Joanna Flynn.

- Tak, już mi to przekazano. - Lyssa uśmiechnęła się. - Cieszę się, że okazała się pani prawdziwą osobą, a nie wytworem mojej przemęczonej wyobraźni.

Joanna zrobiła kilka kroków w jej stronę.

- Mną też trochę to wstrząsnęło. Być dwukrotnie wziętą za kobietę, o której nawet nie słyszałam, może zrobić wrażenie.

- Z pewnością. - Lyssa przypatrywała się jej z nieukrywanym zaciekawieniem. - Czy dlatego zdecydowała się pani przyjechać do Cliffside? Żeby się dowiedzieć, z kim panią pomyłono?

Decydując się na krótką wersję wyjaśnień, Joanna odpowiedziała:

- Pracuję w bibliotece i zajmuję się wyszukiwaniem informacji. Wkrótce po spotkaniu pani i Dylana natrafiłam na zdjęcie Caroline w portlandzkiej gazecie. A potem znalazłam jej nekrolog. Miałam jeszcze trochę urlopu, dlatego postanowiłam spędzić go tutaj.

Zbieg okoliczności dotyczący „natrafienia” na zdjęcie po dwukrotnym pomyleniu jej z Caroline nie był niemożliwy, biorąc pod uwagę pracę, jaką wykonywała. Nie skłamała, po prostu nie powiedziała wszystkiego.

Lyssa najwyraźniej uwierzyła w przypadek, bo pokiwała wolno głową.

- Rozumiem. Jednym słowem na wakacjach robi pani to samo co w pracy. Tym razem szuka pani informacji o Caroline.

- Nieoficjalnie, rzecz jasna. - Joanna wzruszyła ramionami.

- Ja pracuję dla Scotta.

Joanna pomyślała, że nie ma sensu udawać, że jej to nie interesuje.

- Tak mi mówiono. Dobrze znała pani Caroline?

- Wątpię, by ktokolwiek dobrze ją znał. Oczywiście poza Scottem.

- Mieszkała tu całe życie. Jak ludzie stąd mogli jej nie znać?

- Moim zdaniem nie chciała dać się poznać. - Lyssa uśmiechnęła się. - Jej próżność zaspokajało poczucie, że stanowi zagadkę dla reszty. Nie podobało jej się życie tutaj, mówię to, na wypadek gdyby nikt pani o tym nie wspomniał.

- Zdaje się, że była bardzo zajęta osobą - rzuciła od niechcienia Joanna.

- Och, pewnie. Uczestniczyła w różnych komitetach i nieustannie robiła coś dla dobra miasta. Ogólnie rzecz biorąc, zapewniała sobie w Cliffside pozycję pierwszej damy.

Joanna zastanawiała się, czy na pewno słyszała zazdrość w głosie tej kobiety.

- I mimo to życie tutaj nie sprawiało jej przyjemności?

- Niespecjalnie. Już jak miała siedemnaście lat i skończyła gimnazjum, nie mogła się doczekać chwili, kiedy się stąd wyrwie. Pojechała do San Francisco do college'u, ale nie wytrzymała tam nawet pół roku. Okazało się, że w wielkim mieście jest tylko małomiasteczkową gęsią, a nazwisko Caroline Douglas nic nie znaczy. Wróciła do domu. Jeszcze w San Francisco poznała Scotta na jakichś zajęciach klubowych i on przyjechał tu za nią.

- Tylko dla niej się tu przeniósł? - spytała Joanna. *A zatem tak się poznali. Czyżbym natrafiła na pierwsze powiązania z San Francisco?*

Lyssa potwierdziła skinieniem głowy.

- Jego rodzina wszystkie swoje interesy prowadziła w San Francisco. Strasznie się wściekli, kiedy sprzedał swoje udziały i przeprowadził do Cliffside. Ale on się nie przejmował. Kupił stary tartak od lat przynoszący straty i w pół roku zmienił go w dające zyski przedsiębiorstwo. Odremontował kilka starych sklepów w mieście i sprowadził z San Francisco mnie i Dylana. Dylan się tu urodził, dlatego chętnie przyjechał. Ja z kolei miałam ochotę na przygodę z zarządzaniem czymś nowym, co wyglądało obiecująco. - Lyssa wzruszyła ramionami. - Tymczasem Scott adorował Caroline. Dawał jej wszystko, jak księżę z bajki o Kopciuszku. Kiedy skończyła osiemnaście lat, zgodziła się wyjść za niego.

*Lyssa, Dylan - dwoje więcej ludzi z San Francisco. To, że Butler także stamtąd pochodził, zaczyna, zdaje się, tracić znaczenie.* Joanna zawahała się, a potem spytała szczerze:

- Słyszałam, że ich małżeństwo nie było zbyt udane. Co w takim razie stało się ze szklanym pantofelkiem?

- Chyba się potłukł. - Lyssa ponownie wzruszyła ramionami. - A może w rzeczywistości nigdy nie pasował na stopę Caroline. Nie była szczęśliwa. Nie lubiła mieszkać w małym miasteczku, ale z drugiej strony nie chciała rezygnować z tego, co tu miała. Jako żona Scotta mogłaby brylować w San Francisco, ale myślę, że przerażała ją śmietanka towarzyska. Poza tym Scott chciał tu zostać, więc zostali.

- Pani jej nie lubiła.

Lyssa się zamyśliła.

- No cóż, jak większość kobiet. Potrafiła być czarująca i miała w sobie coś z nieporadnej bezbronności, co najwyraźniej robiło wrażenie na prawie wszystkich

mężczyznach, ale nie trwonila energii na kobiety, ograniczając się wobec nich do uprzejmości. To dlatego właśnie sprzedawcy i pozostali mieszkańcy miasteczka, którzy ją znali jedynie z powierzchownych rozmów, uważają, że była cudowna albo nieśmiała... albo po prostu naprawdę miła. Ale każdy, kto znał ją trochę lepiej, żywił wobec niej mieszane uczucia.

Joanna odczekała chwilę i dopiero się odezwała:

- Nie rzuciło się pani w oczy, że mniej więcej na tydzień przed śmiercią była wyjątkowo zaniepokojona?

- Niczego nie zauważyłam. A dlaczego? - Zielone oczy Lyssy zwężyły się. - Do czego pani zmierza? Czyżby do tego, że wypadek wcale nie był wypadkiem?

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Słyszałam, że przed tamtym dniem robiła wrażenie zdenerwowanej, wytrąconej z równowagi, dlatego zastanawiałam się, czy to mogło być przyczyną utraty kontroli nad samochodem.

- Tego się chyba nigdy nie dowiemy.

- Chyba nie. - Joanna czuła się niezręcznie, ale zmusiła się do uśmiechu. - Cóż, może mówmy sobie po imieniu. Miło było cię poznać, Lyssy.

- Mnie też, Joanno.

Joanna odwróciła się i poszła chodnikiem w stronę dalekiego końca Main Street, gdzie zaparkowała samochód. Zatrzymała się na rogu i obejrzała za siebie. Lyssa nadal stała w drzwiach sklepu i patrzyła za nią. Brak jakiegokolwiek wyrazu na jej twarzy sprawił, że Joannę przeszedł dreszcz. Szybko skręciła za róg.

Zniknąwszy z pola widzenia Lyssy, Joanna przystanęła, próbując opanować ogarniający ją niepokój. Miała poczucie, że bieg wydarzeń przyspiesza, jakby zamysł wprowadzony w życie *całe* miesiące temu zbliżał się do punktu kulminacyjnego. „Tik, tak, tik, tak”.

Ale, do licha, nadal nie wiedziała, jaki scenariusz jest realizowany, o co chodziło. Nie miała o tym wszystkim zielonego pojęcia. Była jedynie przekonana, że gdyby udało się jej odkryć, dlaczego Caroline zginęła, reszty by się domyśliła.

Czy pod jakimś pretekstem, czy bez niego musiała porozmawiać z doktorem Peterem Becketem.

Doktor Becket przyjął Joannę dość szorstko w zagraconym gabinecie w szpitalu. Zmarszczył czoło i popatrzył na nią wiecznie zmęczonymi niebieskimi oczami.

- Marion powiedziała, że chciała się pani ze mną widzieć - wyjaśnił, powołując się na recepcjonistkę. - Czy coś się stało? To znaczy z pani zdrowiem, Joanno?

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy. Usiadła przed jego biurkiem na brązowym obitym skórą fotelu, który jej wskazał.

- Dobrze się czuję - odpowiedziała.

Lekarz usiadł przy biurku po drugiej stronie.

- Rozumiem. Przyszła moja kolej odpowiadania na pytania o Caroline?

Miał miły głos, mimo to pod czujnym spojrzeniem jego oczu Joanna czuła się niezręcznie.

- Jeśli, oczywiście, nie miałby pan nic przeciwko temu. Ktoś mi wspomniał, że znał pan ją, jak wszyscy, więc pomyślałam, że mogłabym dowiedzieć się czegoś pomocnego.

- Pomocnego? W czym?

Joanna uznała, że doktor celowo udaje trochę tępego, dlatego wzrosła jej czujność. Wzruszyła ramionami.

- Próbuję ją zrozumieć. Kim była, jaka była. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, czuję po prostu, że muszę.

- Rozumiem - powtórzył.

- Tak więc, gdyby mógł pan coś mi powiedzieć, byłabym bardzo wdzięczna.

- Chyba niezbyt wiele usłyszysz pani ode mnie, Joanno - zaczął rzeczowym tonem. - Och, mogę stwierdzić, że była uczulona na pyłek. Mogę dodać, że co najmniej raz w roku poważnie się przeziębiała, ale nigdy nie chorowała na grypę. Mogę powiedzieć, że jej ciąża przebiegała z komplikacjami, ale poród odbył się prawidłowo. Czy to pani w czymś pomoże?

- Każda informacja jest użyteczna, jeśli dzięki niej lepiej zrozumieć Caroline - odpowiedziała Joanna. - Niektórzy mówili, że była nieśmiała. To prawda?

- Raczej powściągliwa.

- Nawet wobec pana?

Becket wzruszył ramionami.

- Byłem jej lekarzem, nie spowiednikiem.

Joanna przestała mieć wątpliwości, że cokolwiek wiedział o prywatnym życiu Caroline, nie miał zamiaru się tym dzielić, a nie chciała naciskać. Zamiast tego spytała:

- Czy rozmawiał pan z nią mniej więcej na tydzień przed jej śmiercią?

Becket wziął z biurka długopis i wpatrując się w niego, obracał go w długich palcach.

- Nie.

Kłamał i robił to nieudolnie.



- Zatem nie może pan wiedzieć, czy była wyjątkowo zdenerwowana lub zaniepokojona tuż przed wypadkiem? - zapytała.

- Nie, tego nie wiem. - Uśmiechnął się do niej sympatycznie. - Przepraszam, ale chyba nie potrafię pani pomóc.

- Nie ma sprawy. - Joanna odwzajemniła uśmiech. - Strzępy informacji. Zdobywam je tu i tam. Niemal każdy miał coś do powiedzenia o Caroline. Kawałki układają mi się w jakąś całość.

- I jaki obraz się wyłania? - tym razem on zapytał.

- Gdybym musiała go zatytułować - odpowiedziała - nosiłby nazwę „Skomplikowana kobieta”. Etykiety, jakie zwykle jej przyczepiano, zdają się do niej nie pasować.

- Zwykle?

- Tak. „Żona bogacza”, „Małomiasteczkowa damulka”, „Opoka społeczności”, „Oddana matka”. Oczywiście wszystkie są odpowiednie, ale nie bardzo pasują.

- Czy takie etykiety pasują do kogokolwiek z nas?

- Wątpię. - Po raz kolejny Joanna czuła się sfrustrowana, ale w milczeniu zniosła porażkę, przynajmniej w tamtej chwili. Podniosła się z fotela. - Dziękuję za poświęcenie czasu na rozmowę ze mną, doktorze.

On także wstał. Miły uśmiech nie rozjaśnił jego oczu, choć rozciągał usta.

- Mówmy sobie po imieniu, Joanno. Od lat wszyscy nazywają mnie po prostu doktorkiem. Żałuję, że nie mogłem być bardziej pomocny.

Podniosła rękę w geście zrozumienia, a potem wyszła z niewielkiego gabinetu i skierowała się ku recepcji. Nie było tam żadnych pacjentów, więc Marion korzystała z okazji w to leniwe popołudnie i wprowadzała dane do szpitalnego systemu komputerowego. Przerwała pracę i spojrzała na Joannę zbliżającą się do okienka.

- Dobrze poszło? - zapytała.

Była energiczną kobietą w średnim wieku, o ciemnych włosach i bardzo bystrych oczach. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie osoby nie znoszącej głupoty.

Joanna doszła do wniosku, że do tego czasu wszyscy wiedzieli o jej rozpytywaniu o Caroline. Biorąc pod uwagę poziom plotkarstwa w Cliffside, było to do przewidzenia - zresztą doświadczenie też jej *to* podpowiadało. Wzruszyła lekko ramionami.

- Niezupełnie.

- Przypuszczam, że zacytował numer paragrafu i rozdziału, mówiącego o niewyjawianiu informacji o pacjentach ze względu na tajemnicę lekarską.

- Nie naciskałam aż tak bardzo, żeby sobie na to zasłużyć - wyznała Joanna. -

Powiedział po prostu, że nie wie o Caroline nic, co mogłoby mi się przydać.

Marion skinęła głową, w ogóle tym nie zdziwiona.

- Nazwanie go dyskretnym człowiekiem to zbyt mało.

Joanna nie miała zamiaru wypytywać tej kobiety, czy Becket spotykał się z Caroline poza szpitalem.

- Dowiedziałam się, że Caroline przychodziła tu z powodu alergii. Znała ją pani?

- Widywałam ją, owszem, nawet zamieniłyśmy kilka uprzejmych zdań, ale Caroline McKenna nie miała zbyt wiele czasu dla kobiet.

- To też słyszałam - przyznała Joanna cicho. - Nie miała przyjaciółek?

- Nic o tym nie wiem.

- Czy widziała ją pani mniej więcej na tydzień przed wypadkiem? - zapytała Joanna.

- Prawdę mówiąc, zjawiała się tu późnym popołudniem na dwa dni przed śmiercią.

Chciała się widzieć z naszym doktorkiem - oznajmiła Marion.

- I widziała się z nim? - Joanna starała się ukryć, jakie wrażenie zrobiła na niej ta informacja.

- Miałam ją właśnie do niego skierować, kiedy zadzwonił telefon. Jeden z chłopców ze szkolnej drużyny koszykówki zranił się w nogę. Doktorek złapał torbę lekarską i natychmiast ruszył do wyjścia. Gdy Caroline usiłowała go zatrzymać, splawił ją dość szorstko. - Marion zmarszczyła czoło. - Przypominam sobie, że wyszła za nim na parking i nadal usiłowała z nim porozmawiać.

Joanna pomyślała, że Becket skłamał, mówiąc, że nie widział się z Caroline, i zastanawiała się, czy zrobił to, bo wiedział o czymś, co wiązało się z jej śmiercią. Możliwe. W końcu to on przeprowadził jej sekcję zwłok. Z drugiej strony jednak mógł skłamać, bo był kolejnym mężczyzną dręczonym wyrzutami sumienia. Caroline przyszła do niego po pomoc w ostatnich dniach życia, a on się od niej odwrócił.

- Wydawała się zdenerwowana? - spytała Joanna.

- Można powiedzieć: trochę przejęta - odpowiedziała recepcjonistka, ściągając usta.

- Nie wie pani, z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia.

- To chyba tyle. Dziękuję pani, Marion.

- Zda się na coś?

- Bóg raczy wiedzieć. Ale mam coraz więcej elementów, z których może wyłoni się rozwiązanie zagadki.

Joanna popatrzyła za siebie w stronę gabinetu Becketa i mogłaby przysiąc, że

dostrzegła jakiś ruch, jakby ktoś, stojąc w drzwiach, cofnął się szybko, kiedy spostrzegł, że patrzy w jego kierunku.

Ile usłyszał z ich rozmowy?

- Powodzenia przy rozgryzaniu tajemnic - powiedziała Marion, która zabrała się z powrotem do pracy.

- Dziękuję. Do zobaczenia.

Joanna opuściła szpital i poszła z powrotem na Main Street po samochód. Zaczynało się robić ciemno, powietrze było przejmująco chłodne. Fragmenty informacji - strzępy - i domysły kłębiły się jej w głowie, zupełnie nie miały sensu. Marzyła o powrocie do „Gospody”, kolacji, długiej gorącej kąpieli i spokojnym przemyśleniu wszystkiego, co tego dnia usłyszała.

Kiedy doszła do Main Street, przystanęła i rozejrzała się po mieście, które wydawało się takie spokojne w późne październikowe popołudnie. Blazer Griffina stał zaparkowany przed biurem, więc najprawdopodobniej szeryf nadal pracował. Pani Chandler zamykała właśnie bibliotekę. Lyssa i Dylan stali przed ratuszem i rozmawiali. Oboje trzymali w rękach nesesery. W chwilę potem rozeszli się, każde do swojego samochodu. Większość sklepów była nadal otwarta - zamykano je o osiemnastej albo dziewiętnastej, w zależności od przyzwyczajień właścicieli. Chodnikami szło kilka osób, niektóre wchodziły do sklepów, inne z nich wychodziły. Nikt się nie spieszył.

Zwyczajne małe ciche miasteczko. Pomijając troje ludzi, którzy zginęli tragiczną śmiercią od wiosny. I z wyjątkiem wielu mieszkańców obserwujących Joannę spod przymkniętych powiek, bo nie lubili obcych albo nie podobały im się jej pytania, lub może też mieli po prostu coś do ukrycia.

Zwyczajne małe ciche miasteczko. Tylko coś tu było nie w porządku.

Wzdychając, Joanna usiłowała otrząsnąć się z niepokoju, który jej nie opuszczał. W tej chwili niewiele rozumiała z tego, co się działo. Należało przerwać na dzisiaj.

Przed powrotem do hotelu musiała jeszcze zaopatrzyć się w kilka rzeczy. Poszła zatem do drogerii. Dotarła tam w dziesięć, piętnaście minut. Pogawędziła z kilkoma osobami. Wychodząc, nie miała najmniejszych wątpliwości co do przyszłych losów Caina Barlowa w tym mieście. Wyglądało na to, że dosłownie wszyscy byli pewni, że miał coś wspólnego ze śmiercią Amber. Joanna była przekonana, że dopóki Griffin nie udowodni jednoznacznie, że ktoś inny jest winny albo że jej śmierć to tragiczny wypadek, podejrzewania będą wisiały nad Cainem niczym chmura gradowa.

Joanna nie była skłonna wierzyć, że Cain zabił dziewczynę, nawet przez przypadek,

nie wiedziała jednak, jak zyskać pewność w tej sprawie, dlatego postanowiła robić swoje - wypytywać ludzi i próbować zrozumieć Caroline.

Kiedy wyszła z drogerii, skierowała się do samochodu zaparkowanego w części miasta najbardziej oddalonej od hotelu. Pogrzebała w kieszeni dzinsów, wyciągnęła klucze i uruchomiła silnik. Odruchowo zapięła pasy, choć droga do hotelu była stosunkowo krótka. Ponieważ samochód stał na trochę pochyłej ulicy, nie musiała naciskać gazu, żeby znaleźć się na Main Street. Wrzuciła wsteczny bieg i trzymała nogę na hamulcu.

Jeszcze przed wypadkiem Joanna zawsze ostrożnie prowadziła. Teraz stała się jeszcze przezorniejszym kierowcą. Nie uznawała szybkiej jazdy niezależnie od okoliczności i nigdy nie dociskała gazu do dechy. Kiedy jednak wrzuciła bieg i lekko nacisnęła pedał gazu, wpadł aż po podłogę.

Zaklinował się.

Przez pierwsze kilka sekund Joanna próbowała go odblokować, uderzając weń nogą, jednocześnie uważała na przechodniów i samochody. Jej wóz nabierał szybkości i mknął główną ulicą Cliffside. Widok za szybą rozmazywał się, w uszach jej huczało od ryku silnika. Joanna potrafiła jedynie myśleć o tym, co się stanie, gdy minie „Gospodę” i posiadłość Scotta McKenny na południe od miasta.

Wcześniej oglądała mapy okolicy. Zarówno na północ, jak i na południe prowadziła autostrada biegnąca wzdłuż krawędzi urwiska, gdzie jedynie niska barierka zabezpieczała samochody przed wypadnięciem z drogi. Nie zatrzymał się na niej jednak samochód Caroline.

Jej także miał małe szanse.

Joanna nie odważyła się oderwać wzroku od szosy, nawet na chwilę, by sprawdzić szybkość; kiedy jednak mijala park na południowym krańcu miasta, wiedziała, że przekroczyła dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Próbowała hamować, ale poza przeraźliwym zgrzytem nie osiągnęła niczego więcej. Usiłowała przesunąć dźwignię biegów na luz, ale przekładnia odmówiła posłuszeństwa. Miała przy tym mgliste przeczucie, że gdyby wyłączyła silnik, kiedy samochód był na biegu i poruszał się z tak dużą szybkością, hamowanie przypominałoby zderzenie z murem. Mimo pasa bezpieczeństwa i poduszki powietrznej w kierownicy, nie chciała ryzykować, chyba że okazałoby się to jej ostatnią szansą.

Mijając zjazd do „Gospody”, usłyszała wycie syreny. Albo Griffin, albo jeden z jego zastępców ruszył za nią i szybko ją doganiał. Joanna nie traciła czasu na patrzenie we wsteczne lusterko, bo na wysokości domu McKenny droga zaczynała się wić. Prowadzenie samochodu pochłaniało całą uwagę Joanny.

A potem po lewej stronie szosy zobaczyła pastwisko z typowymi stogami siana. Joanna nie miała pojęcia, jaki opór może stawić siano, by spowolnić samochód, wiedziała jednak, że na pastwisku ma większe szanse niż na autostradzie.

Gdy z piskiem opon zjechała z drogi, ogrodzenie z drutu kolczastego trochę ją przyhamowało. Rozerwała drut, wyrwała z ziemi jeden kołek. Poczowała, że koła zaczynają się ślizgać po trawie, nadal mokrej po ostatnich ulewach. Walczyła z kierownicą, rozpaczliwie usiłując trafić w najbliższy stóg.

Samochód uderzył w niewielką kopę siana, rozniósł ją w pył, ale nie wpłynęło to na jego prędkość. Joanna nie przestawała zмагаć się z pędzącą maszyną, kierując wóz na następny stóg. Wpadła w poślizg i uderzyła w siano bokiem. Samochód kręcił się wokół własnej osi. Tył karoserii zawadził o trzeci stóg, obroty spowolniały, i jeszcze jedna sęta siana znalazła się na drodze, ale tym razem stawiany przez nią opór okazał się wystarczający.

Samochód ponownie uderzył w stóg bokiem i zatrzęsł się gwałtownie. Silnik zawył, a potem zamilkł niemal natychmiast. Wóz stanął w miejscu. W tej samej chwili siano pokryło maskę i szyby. Joanna znalazła się w ciemności.

Sięgnęła do stacyjki i bezbłędnie namacała kluczyk. Zgasila silnik. Położyła dłonie na udach i siedziała bez ruchu, wsłuchując się w bicie serca, które waliło jej jak młot. Wpatrywała się w kierownicę, w której ukryto poduszkę powietrzną.

Niejasno zdawała sobie sprawę z dochodzących z zewnątrz odgłosów. I nagle światło wpadło do środka, kiedy siano zostało odgarnięte z szyby po stronie kierowcy. Ktoś jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki.

- Joanno? Nic ci się nie stało?

Głos Griffina był zachrypnięty, a tak ponurej miny u niego Joanna jeszcze nie widziała. Chciała zapewnić go, że nic jej nie jest, przeżyła co prawda wstrząs, ale nie zrobiła sobie krzywdy. Zamiast tego jednak wypowiedziała spokojnie na głos myśl kołącą się jej w głowie:

- To już trzeci raz.

- Już ci mówiłam, że nic mi nie jest. - Joanna zdołała uśmiechnąć się, kiedy Becket ze zmarszczonym czołem pochylał się nad nią. - Naprawdę.

- Na to wygląda - odpowiedział lekarz, odkładając na bok stetoskop. - Ale przeżyłaś solidny szok, Joanno. Kiedy poziom adrenaliny się obniży, z pewnością to odczujesz. Chciałbym zatrzymać cię przez noc na obserwacji w szpitalu.

- Nie, dziękuję.

- Posłuchaj, rano wszystko będzie cię bolało jak diabli, bo nieźle się poobijałaś w samochodzie. Jeśli tu zostaniesz, przynajmniej będziemy mogli to złagodzić.

Joanna pokręciła przecząco głową.

- Bez urazy, doktorku, ale nienawidzę szpitalnych łóżek. Nic mi nie będzie.

Becket spojrział w stronę drzwi gabinetu zabiegowego.

- Griff, może ty przemówisz jej do rozumu?

Griffin nie odzywał się słowem w czasie całego badania - wcześniej też niewiele mówił - ale teraz powiedział cicho:

- On ma rację, Joanno. Powinnaś zostać tu na noc pod ich opieką.

Joanna nie chciała uchodzić za osobę upartą, ale nie miała najmniejszego zamiaru spędzać nocy w szpitalu, kiedy nic jej nie dolegało. Miała wrażenie, że jej opanowanie jest pozorne, a kiedy ten stan minie, z pewnością będzie roztrzęsiona, niemniej skoro miała się załamać, wolała być wtedy sama, przez nikogo nie obserwowana.

Spojrzała na Becketa.

- Dziękuję, ale wolałabym wrócić do hotelu. Gdybym się źle poczuła, zadzwonię. Możemy się tak umówić?

- Chyba nie mam wyjścia. - Uśmiechnął się trochę drwiąco. - Ale posłuchaj przynajmniej mojej rady. Mniej więcej za godzinę zaczniesz mieć objawy szoku. Zjedz wtedy coś gorącego, to pomaga. Podobnie jak gorąca kąpiel. A potem spróbuj traktować wszystko ze spokojem. Dobrze?

- Zastosuję się.

- W porządku. - Dotknął lekko jej ramienia, a potem odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. - W jakim stanie jest jej samochód, Griff? - zapytał szeryfa.

- Kompletnie rozbity - odpowiedział szeryf. - A pastwisko Billa Cooka też nie wygląda najlepiej.

Becket pokiwał głową i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Joanna zsunęła się z kozetki.

- Jeśli ubezpieczenie nie pokryje strat, zapłacę z własnej kieszeni - powiedziała zaniepokojona, że Griffin o wszystkim wiedział.

- Nie bądź niemądra. Kto by się przejmował pastwiskiem. - Jego głos był odrobinę szorstki.

- Nie miałam wyboru. - Joanna nadal czuła niepokój. - Pastwisko albo klif. Naprawdę nie chciałam ryzykować jazdy wzdłuż urwiska.

Griffin odsunął się od framugi drzwi i wszedł do niewielkiego gabinetu. Kiedy znalazł

się obok Joanny, wyciągnął ręce z kieszeni i położył jej na ramionach. Bez słowa pochylił głowę i pocałował ją.

Zaskoczenie było tak ogromne, że Joanna nie miała szans jakoś się przygotować - co prawda najpewniej niczego by to nie zmieniło. Ciepły i silny dotyk jego warg sprawiał jej przyjemność, był tym, czego potrzebowała, choć nie umiałaby powiedzieć, dlaczego. Mogła się jedynie w niego wczuwać. Miała wrażenie, jakby rozpaczliwie szukała czegoś ważnego od bardzo dawna i nieoczekiwanie to znalazła w chwili, gdy poniechała wszelkich dociekań.

Ujął dłońmi jej głowę, palcami pocierał policzki, a Joanna ogromnie pragnęła przytulić się do niego. Jej ciało reagowało niczym delikatny instrument muzyczny na dobrze znane sobie ręce, na dotyk, który mógł wydobyć jedynie najczystsze tony. Jakby została stworzona wyłącznie dla niego. Ta pewność ogarnęła ją z niesamowitą siłą, równą tej, która sprowadziła ją do Cliffside.

Griffin zdawał się odczuwać to samo. W jego pocałunku nie było wahania, żadnej niepewności, nie potrzebował zachęty. Zachowywał się jednoznacznie. Chciał ją osiąść, prosto i zwyczajnie. Joanna zdała sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek wątpiła, by coś mogło ich połączyć, to teraz sprawa była zupełnie jasna.

W końcu przestał ją całować. Kiedy oderwał wargi od jej ust, chrząknął cicho. Ale zamiast się odsunąć, otoczył ją ramionami i przytulił. Czowała mocne i szybkie uderzenia jego serca. Zastanawiała się, czy jej własne podchwyci ten sam szalony rytm. Objęła go w pasie. Było dobrze, po prostu dobrze, dlatego nawet do głowy jej nie przyszło, żeby protestować lub go odpychać.

- Ach, przepraszam, chciałem dać Joannie numer pagera, na wypadek gdyby potrzebowała mnie w nocy.

- Zawsze przyłazisz nie w porę, doktorku - powiedział Griffin. Kiedy odwracał się w stronę drzwi, nadal jedną ręką obejmował Joannę.

Ponieważ Joanna należała do kobiet, które niełatwo speszyć, wzięła karteczkę od Becketa i wymamrotała podziękowanie. Ona także nadal obejmowała Griffina w pasie, była tylko trochę zdziwiona, że do tej pory go nie puściła.

- Bardzo przepraszam - powtórzył Becket, patrząc na szeryfa z lekkim uśmiechem.

- Nie ma sprawy - rzucił Griffin.

Wyprowadził Joannę z gabinetu. Szli w stronę izby przyjęć. Becket podążał tuż za nimi aż do okienka recepcji.

- Będę miał dla ciebie jutro wyniki toksykologiczne - przypomniał Griffinowi. - Założę się, że będą negatywne, ale przynajmniej zyskamy pewność.

- Dobra, dzięki.

Wyszli ze szpitala i skierowali się do blazera Griffina, zaparkowanego niedaleko drzwi. Na dworze panowały ciemności, ale dziedziniec był jasno oświetlony, dlatego świetnie widzieli drogę przed sobą. Griffin otworzył drzwiczki po stronie pasażera. Joanna wsiadła do środka. Miał właśnie je zatrzasnąć, kiedy dostrzegli samochód policyjny wjeżdżający na parking.

- Zaraz wrócę - powiedział Griffin do Joanny, zanim zamknął drzwi, i pobiegł porozmawiać z policjantami.

Wrócił po niecałych pięciu minutach, wsiadł do wozu i zapuścił silnik.

- Na noc zostaniesz u mnie - oznajmił.

Joanna przestraszyła się trochę, bo brzmiało to jak polecenie.

- Będzie mi dobrze w hotelu.

Griffin wrzucił bieg, ale nadal trzymał nogę na hamulcu. Obrócił się do Joanny i spojrzał na nią.

- Becket radził, żeby ktoś był w nocy przy tobie, więc tym kimś będę ja.

- Griffinie...

- Posłuchaj, Joanno - nadal mówił szorstko. - Pedał gazu w twoim samochodzie nie zaklinował się tak po prostu, a poduszka powietrzna zawiodła nie przez przypadek. Gaz został zablokowany, a układ elektryczny w samochodzie uszkodzony. Rozumiesz? Majstrowano przy nich. Joanno, ktoś próbował cię zabić.



## Rozdział jedenasty

Należał do niego jeden z domów stojących wzdłuż klifu pomiędzy „Gospodą” a północnym końcem miasteczka. Kiedy przyjechali, było już zupełnie ciemno, dlatego Joanna nie mogła dobrze się zorientować, jak wyglądało to miejsce, musiała przyjąć, że jest podobne do innych, jakie tu widziała - niewielki dom, bardzo solidnie zbudowany i atrakcyjny, usytuowany blisko krawędzi urwiska.

Wsluchiwała się w szum fal, podczas gdy on otwierał drzwi, a potem ruszyła za nim do środka. Griffin od razu zapalił kilka lamp. Joanna rozejrzała się z zainteresowaniem. Weszli przez kuchnię, która łączyła się z jadalnią i salonem, tworząc w sumie przestronne i bardzo duże pomieszczenie. W kuchni panował porządek, a dzięki jasnym kolorom sprawiała wrażenie przytulnej. Na niewielkim stole ze szklanym blatem leżały jaskrawo kolorowe tkane serwetki. W salonie dominował ogromny regał z rodzaju tych, które głównie mężczyźni uważają za bardzo praktyczne, kolory były tu neutralne. Niemal wszędzie leżały porozrzucone niewielkie poduszki.

W obu ścianach jadalni znajdowały się drzwi, które przypuszczalnie prowadziły do sypialni i łazienek. W jednym rogu salonu był kominek, a reszta ściany składała się niemal wyłącznie z okien - z widokiem na morze - i przeszklonych drzwi, które - jak się Joanna domyślała - prowadziły na werandę. Teraz jednak okna były zakryte zasłonami z cienkiego materiału w piaskowym kolorze. W przeciwległym rogu stała wieża stereo i telewizor.

Joanna pomyślała, że kiedyś urządził to zawodowy dekorator, ale z upływem czasu zatarły się zbyt mocne akcenty i dom był jedynie wygodny i cechowała go przyjemna atmosfera.

- Miło tu - powiedziała do Griffina.

Uśmiechnął się do niej przelotnie, umieszczając kurtkę na wieszaku przy drzwiach, ale jego spojrzenie zdradzało ponure myśli. Joanna była pewna, że nadal zastanawia się nad sprawą majstrowania przy jej samochodzie. Sama czuła się trochę otępiąła, nie miała ochoty się nad tym zastanawiać, przynajmniej na razie.

Griffin wyszedł z pokoju. Mniej więcej po minucie Joanna usłyszała wodę leącą do wanny. Kiedy wrócił, nie pozwolił jej dojść do słowa.

- Wiem, że twoim zdaniem nic ci nie jest, ale doktor miał rację, mówiąc o szoku i o tym, że rano będziesz się czuła jak poobijana. Nawet jeśli nie zgadzasz się z żadnym z nas,

spełnij tę prośbę, dobrze?

- Dobrze. - Joanna zdołała się uśmiechnąć.

Griffin rzeczowo skinął głową.

- Położyłem dla ciebie piżamę w łazience. Będzie stanowczo za duża, ale spodnie mają tasiemkę, więc jakoś je dopasujesz. Wymocz się dobrze, a ja w tym czasie zobaczę, co da się zrobić w kuchni. Lubisz omlety?

- Uwielbiam - odpowiedziała. - Ale nie musisz...

Griffin obrócił ją w stronę drzwi korytarza prowadzącego do łazienki i lekko popchnął.

- Wynocha! I nie spiesz się.

Joanna poszła. Z krótkiego korytarzyka dwoje drzwi prowadziło do łazienki i sypialni. Zajrzała do pokoju i uznała, że to sypialnia Griffina. Nie tylko dlatego, że z pewnością trzymał tam piżamy, ale też panująca tam atmosfera jakoś do niego pasowała. Solidne dębowe meble i tkana narzuta na szerokim łóżku podkreślały panujący w sypialni porządek i schludność.

Weszła do łazienki, również czyściutko wysprzątanej. Dekorator postanowił umieścić w niej ogromną staromodną wannę na nogach w kształcie zwierzęcych łap, przez co zajął większość przestrzeni niewielkiego pomieszczenia. Gorąca woda w wannie wyglądała nader zachęcająco.

Joanna zamknęła drzwi i zaczęła się rozbierać. Dopiero wtedy zauważyła granatową flanelową piżamę, ułożoną na półce przy lustrze. Choć materiał robił wrażenie ciepłego i miękkiego, krój nie był zbyt wyszukany. Gdyby tylko miała wybór, z pewnością zdecydowałaby się na coś innego - zwłaszcza po pocałunku w szpitalu. Ale nawet nie przyszło jej do głowy prosić Griffina, żeby po drodze skręcić do „Gospody”, skąd zabrałaby kilka rzeczy, a jechanie tam teraz nie wydawało się najlepszym pomysłem.

W końcu machnęła na to ręką, dokończyła rozbieranie i ostrożnie weszła do ogromnej wanny. Woda okazała się świetna, ale nie za bardzo gorąca. Joanna poczuła, jak rozluźniają się jej mięśnie - nawet nie przypuszczała, że tak bardzo były napięte. Zakręciła krany, położyła się i oparła kark o brzeg wanny.

Myślała, że nic się jej nie stało, że poradzi sobie ze wstrząsem i świadomością, że ktoś bardzo się starał ją zabić. Jednak kiedy ciało odprężyło się w gorącej wodzie, poczuła wilgoć na twarzy i dotarło do niej, że płacze. Nie szlochała, ale nie mogła powstrzymać łez. Płynęły po policzkach, jakby pękła w niej jakaś tama.

Nic jej nie było? Nieprawda, czuła się fatalnie. Była przerażona i wyczerpana jak

nigdy. Ktoś usiłował ją zabić? Ale dlaczego? Bo zadawała pytania dotyczące Caroline? Bo za bardzo zbliżyła się do czyjejś tajemnicy?

Leżała z zamkniętymi oczami. Nie próbowała już wstrzymywać łez. W wyobraźni odtwarzała widziane twarze. Kto? Komu tak bardzo zależało na zachowaniu sekretu, że nie zawahałby się zabić? Od przyjazdu poznała wiele osób. Większość znała Caroline. Jak miała się zabrać do rozwiązania zagadki, kto z tych ludzi, wyglądających na przeciętnych zjadaczy chleba, skrywał tajemnicę wartą, by dla niej mordować?

Zatraciła poczucie czasu. Delikatne pukanie do drzwi i łagodny głos Griffina przywołały ją do rzeczywistości.

- Joanno? Kawa już gotowa, a kolacja będzie za dziesięć minut.

- Już idę - odpowiedziała, odchrząknąwszy.

Przez chwilę za drzwiami panowała cisza.

- Wszystko w porządku? - padło pytanie.

Joanna popatrzyła na drzwi. Łzy zamazywały obraz. Musiała zwalczyć chęć powiedzenia mu prawdy.

- W jak najlepszym. - Tym razem udało jej się mówić w miarę spokojnie. - Wyjdę za kilka minut.

- Dobra.

Usłyszała jego kroki, gdy wracał do salonu.

Namoczyła myjkę zimną wodą i przyłożyła ją do oczu. Powtórzyła to kilkakrotnie, żeby zmniejszyć opuchnięcie powiek. Ostatecznie zdołała zahamować łzy. Bardzo się bała, że to jedynie chwilowe uspokojenie. Ciągle nie opuszczał jej przedziwny lęk, ale niewiele mogła na to poradzić.

Wyszła z wanny i w czasie, gdy się wycierała, spuściła wodę. Potem włożyła granatową piżamę. Griffin miał rację, zmieściłyby się w nią dwie osoby takie jak ona. Zdołała jednak obwiązać się tasiemką w pasie, tak że spodnie z niej nie spadały, i kilkakrotnie podwinęła rękawy, uzyskując w miarę zadowalający efekt.

Griffin nie zapomniał o parze grubych skarpet. Wciągając je, Joanna nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Były równie ciepłe jak piżama, to prawda i... równie seksy.

Pożyczyła sobie jego grzebień i przecesała włosy, złożyła zdjęte ubranie, umieściła je na pokrywie kosza na bieliznę i przeszła do salonu.

Na kominku płonął ogień, a w pokoju unosił się przyjemny zapach palącego się drewna i przyrządzanego jedzenia. Stół był już nakryty. Griffin uwijał się w kuchni, rozbijał jajka w misce, ale przerwał, gdy weszła, i popatrzył na nią uważnie.

- Lepiej się czujesz?

Zamiast odpowiedzieć, Joanna pokiwała twierdząco głową, nie bardzo ufając własnemu głosowi. Griffin mówił do niej łagodnie, jeszcze nie słyszała u niego takiego tonu. Z jakiegoś powodu poczuła ucisk w gardle.

Patrzył na nią jeszcze przez moment, a potem ruchem głowy wskazał blat, na którym stał ekspres do kawy.

- Czuj się jak u siebie.

Ponownie skinęła głową i naląła sobie kawy.

Griffin nie spuszczał z niej oka, kiedy zaczął smażyć omlet. Nie potrzebował wyteńczyć wzroku, żeby dostrzec, że ręce jej drżą, a oczy są wilgotne, powieki zaczerwienione i trochę opuchnięte. Od wypadku zachowywała nienaturalny spokój. Wiadomość o tym, że ktoś usiłował ją zabić, przyjęła odruchowym skinieniem głowy i mrugnięciem, dlatego szeryf w każdej chwili oczekiwał objawów wstrząsu.

Nie spodziewał się natomiast, że tak będzie się czuł, patrząc na nią - najwyraźniej bardzo kruchą w za dużej piźamie i bezbronną w sposób, jego zdaniem, zupełnie dla niej nietypowy. Jeszcze chwila i zapomniałby o bożym świecie, ulegając przemożnej chęci przytulenia jej, ciepłej, realnej i żywej. Podobnie odbierał to w szpitalu, kiedy trzymanie jej w ramionach było ważniejsze od wszystkiego.

Joanna piła kawę małymi łykami, a potem obróciła się, żeby na niego popatrzeć. Lekko wskazując głową na kuchenkę, powiedziała:

- Pachnie smakowicie.

Omlet naprawdę ładnie pachniał. Griffin przestraszył się, że go przypali, jeśli nadal będzie się w nią wpatrywał. Choć kosztowało go to sporo wysiłku, skoncentrował się na smażeniu.

- Będzie gotów za minutę. Może usiądziesz przy stole? - Uznał, że udało mu się mówić normalnym głosem.

Joanna posłuchała i zajęła miejsce. Utkwiła wzrok w filiżankę, którą postawiła na stole, i ujęła ją obiema rękami. Szeryf pomyślał, że jest nieco za bardzo milcząca, odrętwiała. Kilka minut temu dotarło do niej, że ktoś usiłował ją zamordować i musiała teraz stawić czoło temu faktowi. Griffin chciał coś powiedzieć - cokolwiek - żeby przegnać cień lęku z jej oczu, sprawić, by rozbłysły wesołością, jak to im się często zdarzało, jednak intuicja podpowiadała mu, że powinien pozwolić jej samodzielnie uporać się z przeżytym wstrząsem.

Kiedy postawił przed nią talerz, zaczęła automatycznie jeść. Kiedy miłym głosem pochwaliła rezultat jego wysiłków kulinarnych, pomyślał z niejakim rozbawieniem, że to

wpływ dobrego wychowania, wpojonego przez godną najwyższego uznania ciotkę Sarę. Było bowiem jasne, że jadła tylko dlatego, że on ją do tego zmusił, nie zwracała przy tym najmniejszej uwagi na smak. Niemniej podziękował jej, zadowolony, że w ogóle coś przełknęła, a potem zaczął mówić o nieważnych rzeczach, tak formułując zdania, żeby nie musiała odpowiadać.

Gdy zjedli, Griffin dolał jej kawy i kazał przejść do salonu minio - ponownie odruchowego - protestu. Sam posprzątał w kuchni. Chciał dać Joannie trochę czasu, nie osaczać jej, miał bowiem wrażenie, że najważniejsze w tej chwili jest, żeby w momencie kiedy zaczną rozmowę o tym, co się wydarzyło, nie widziała w nim policjanta zadającego pytania, ale mężczyznę, który naprawdę się o nią martwi.

Dokończył porządki w kuchni, zgasił światło i z kawą poszedł do salonu, gdzie mrok rozpraszały jedynie kominek i niewielka lampa stojąca przy sofie, na której siedziała Joanna. Z podkurczonymi nogami i stopami ukrytymi pod poduszką, nieobecny wzrokiem wpatrywała się w ogień. Kiedy jednak Griffin usiadł obok i obok jej filiżanki postawił swoją, odezwała się wyważonym spokojnym głosem:

- Ostrzegając mnie, żebym nie pytała o Caroline, bałeś się, że może dojść do czegoś takiego?

- Nie - odparł cicho. - Nie wierzyłem, żeby w jej życiu albo śmierci było coś wartego próby morderstwa.

Joanna obróciła głowę i popatrzyła na niego. Płomienie odbijały się złotymi iskierkami w jej ciemnych oczach.

- A teraz?

Griffin zrobił głęboki wdech.

- A teraz, cholera, nie przychodzi mi do głowy nawet jeden powód, dla którego ktoś chciałby cię zabić, poza, oczywiście, twoim rozpytywaniem o życie i śmierć Caroline. Moim zdaniem nie narobiłaś sobie tu wrogów, Joanno. Sensowne wydaje się jedynie to, że mogłabyś wpaść na coś, co jest związane z Caroline, a jacyś ludzie bardzo tego nie chcą i mają zamiar posunąć się do ostateczności, byle cię powstrzymać.

- Niczego się nie dowiedziałam - powiedziała Joanna. - To znaczy niczego, co ktoś chciałby przede mną zataić. Nieszkodliwe informacje, które tylko dla Caroline miałyby jakieś znaczenie, bo tylko jej mogłyby zaszkodzić, szczególnie w tak małym mieście. Poza jednym... odkryłam, że Caroline... miała kochanków.

- Czy tego właśnie nie chciałaś mi zdradzić, kiedy się wcześniej widzieliśmy?

Joanna potaknęła.

- Rozmawiałam z kimś. On... nadal o niej myśli, choć zerwali ponad rok temu. Chociaż powiedział o niej kilka brutalnych prawd, moim zdaniem ciągle ją kocha. Mówił, że byli też inni, a przynajmniej jeszcze jeden. Tego jednego był pewny, bo tamten mężczyzna mu się zwierzył. Nie zdradził mi nazwiska, ale chyba wiem, o kogo chodziło. - Pokręciła głową. - Ale dlaczego któryś z nich miałby coś przeciwko mnie? Pierwszego nie obchodziło, czy ktoś się dowie o ich związku, a drugi... on nigdy nie przyznał się, że znał dobrze Caroline, zresztą nie mogę uwierzyć, żeby chciał mnie skrzywdzić, na pewno nie dlatego, że podejrzewałam go o romans z nią.

Griffin nie przerywał jej. Doskonale wiedział, że potok słów mimowolnie wylewających się z jej ust był wynikiem myśli kłębiących się w głowie od chwili katastrofy. Musiała to jakoś uporządkować i wypowiedzieć na głos.

- Ustaliłam jedynie, że Caroline widziała się z nimi w ostatnim tygodniu życia i tylko to wydało mi się dziwne. Przyszła do każdego z nich, może chciała porozmawiać, może potrzebowała pomocy. Tyle że żaden nie dopuścił jej do słowa. Jeden był na nią za bardzo wściekły, drugi gdzieś się śpieszył. A ty z kolei byłeś zbyt zajęty.

Mimo że nie zabrzmiało to jak oskarżenie, a jedynie stwierdzenie faktu, Griffin poczuł się dotknięty.

- Gdybym wiedział, że ma problemy...

Joanna pokiwała poważnie głową.

- Wiem, że byś jej pomógł. Myślę, że tamci dwaj także. Zdaje się, że miała pełną władzę nad niektórymi mężczyznami, jakich spotkała w życiu.

Choć w jej cichym głosie ponownie nie było śladu oskarżenia, Griffin czuł, że musi to powiedzieć:

- Nie byłem jej kochankiem, Joanno.

Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, ale nie potrafił zgadnąć, czego w niej szukała albo czy to zobaczyła.

- Jednak coś było. Z jakiegoś powodu zdecydowała się przecież szukać u ciebie pomocy?

- Może - odpowiedział. - Kiedyś, dawno temu, może coś nas łączyło. Niewykluczone jednak, że wysłała mi wiadomość, bo jestem szeryfem, osobą, do której logika nakazuje zwrócić się o pomoc.

Joanna zgodziła się ruchem głowy.

- Oczywiście, brałam to pod uwagę. Kiedy tamci dwaj się od niej odwrócili, jako szeryf mogłeś być jej ostatnią deską ratunku. Jeśli jej kłopot wiązał się z jakimś

niebezpieczeństwem albo przestępstwem, musiała być przerażona, wysyłając ci tę wiadomość.

Griffin pokręcił głową.

- Ostatnią deską ratunku? Jeśli dysponowała jakimiś informacjami, za które ktoś mógłby zabić, doskonale wiedziała, że zrobiłbym wszystko, żeby ją ochronić. O tym właśnie rozmawiamy, prawda?

Joanna znowu wpatrywała się w kominek.

- Tak, tego dotyczy nasza rozmowa. Myślę, że Caroline była w coś zamieszana albo odkryła coś groźnego. W ostatnim tygodniu życia stała się nerwowa, prawdopodobnie zaczęła się bać. Nie przyszła do ciebie od razu. Dla mnie oznacza to, że albo była tak bardzo zaangażowana, że obawiała się aresztowania lub skandalu, albo też przypuszczała, że tym, co wie, może skrzywdzić kogoś, na kim jej zależało. Niewykluczone, że nie potrafiła się zdecydować, co robić, bo sama ucierpiała, została zdradzona przez kochaną osobę. Myślę, że miała romans, który nawiązała w ostatnich dniach życia, albo trwało to już jakiś czas przed jej śmiercią, dlatego przypuszczam, że jej kochanek może coś wiedzieć.

- Bardzo dużo tych przypuszczeń - zwrócił jej uwagę Griffin. - Nie ma żadnego dowodu, że cokolwiek z tego jest prawdą.

- Wiem. Ale co innego mogę zrobić? Próbuję złożyć w całość elementy układanki, fragment po fragmencie. Komuś zależy, żebym nie zobaczyła ukończonego obrazka. Ktoś chciał mnie dzisiaj zabić.

- Usiłował już w niedzielę w nocy.

Obróciła szybko głowę w jego stronę. W jej oczach ponownie odbijały się płomienie z kominka.

- Uważasz, że Amber zginęła, bo pomyłono ją ze mną? - spytała cicho.

- Chciałbym zaprzeczyć. - Griffin marzył, żeby jej dotknąć, ale się powstrzymał. - Inne wytłumaczenie nie ma sensu, Joanno. Znam Caina od bardzo dawna i po prostu nie mieści mi się w głowie, że mógłby to zrobić tylko dlatego, że dziewczyna się za nim uganiała, a dzisiaj ktoś majstrował przy twoim samochodzie. Kiedy doszło do wypadku, od razu wiedziałem, że te sprawy łączą się w jakiś sposób, tak jak mówiłaś od samego początku. No więc, jaki Amber mogła mieć z tym związek? Żadnego... poza tym, że była bardzo do ciebie podobna z tyłu.

- Ale Amber zginęła w środku burzowej nocy. Nie wierzę, żeby ktoś czekał wtedy na zewnątrz hotelu, licząc, że wyjdę.

- Ja też w to wątpię. Niemniej ktoś mógł z hotelu obserwować drzwi i zobaczyć

wychodzącą Amber. Gość hotelowy, a może ktoś, kto znalazł się tam przypadkiem. Jak słyszałem, rozgrywano kilka partii pokera, przyszło kilka osób z miasteczka. Albo... to mógł być Cain.

- Sam powiedziałaś, że...

- Powiedziałem, że nie mieści mi się w głowie, żeby zabił Amber, bo się za nim uganiała, nie wspomniałem słowem o tym, że uznaję go za człowieka niezdolnego do popełnienia morderstwa. Mając istotny powód, mógłby to zrobić. Wyjaśniałoby to także, dlaczego wyjechał gdzieś w nocy. Zapewniał sobie w ten sposób alibi. Czy zorientował się po fakcie, że zepchnął Amber, a nie ciebie, nie ma znaczenia. Nie mógł przewidzieć, że znajdziemy pamiętnik dziewczyny, skąd dowiemy się, o której dokładnie godzinie wyszła z hotelu.

- Dlaczego w takim razie nie powiedział ci o tym alibi, kiedy go przesłuchiwałaś? Dlaczego twierdził, że przez całą noc był sam w chacie?

- Gdybym to ja miał alibi w takiej sprawie - odpowiedział Griffin - mógłbym uznać, że trzymanie go w rezerwie to mądre posunięcie, przynajmniej do czasu, aż stanę się głównym podejrzanym. Zwłaszcza jeśli tę noc spędził z jakąś kobietą. *Zawsze* mógłby wtedy powiedzieć, że nie chciał się do tego przyznać, bo skrzywdziłby Holly, a kiedy z nim rozmawiałem, ona siedziała obok. Do licha, to nawet trzyma się kupy. Może na tym polega jego zagrywka.

- Amber przesłała mu wiadomość - sprzeciwiła się Joanna. - Jeśli spodziewał się spotkać kogoś na zewnątrz hotelu, to musiała być ona.

- Jeśli oczywiście dostał tę wiadomość.

- Sugerujesz, że jej nie dostał?

Griffin pokiwał głową.

- Zaraz po twoim wyjściu ode mnie, dziś po południu, naszło mnie przecucie, więc posłałem jednego z zastępców, żeby rozejrzał się wokół jego chaty. Chciałem mieć pewność, zanim zapytam Caina o tę wiadomość. Zastępca znalazł liścik od Amber. Był w kopercie wsuniętej pod doniczkę na werandzie. Sądząc po jego stanie, przeleżał nietknięty od chwili, gdy go tam położyła, i z całą pewnością nie był otwierany.

- Czy Cain był w hotelu w niedzielę wieczorem? Nie widziałam go - odezwała się po chwili Joanna.

- Wiem jedynie, że zjadł obiad z Holly. Mógł kręcić się potem po hotelu, zwłaszcza że na zewnątrz szalała burza. Jeśli zauważył *wychodzącą* Amber, mógł ją wziąć za ciebie. Poszedł za nią aż do krawędzi urwiska i zepchnął, zanim się jej dobrze przyjrzał.



- Teraz ty snujesz przypuszczenia - powiedziała Joanna.

- Tak, wiem. - Griffin zaklął pod nosem. - Muszę z nim pogadać. Powiniennem wymóc na nim, żeby stał się rozmowniejszy i przyznał się, gdzie naprawdę spędził niedzielną noc. Muszę też dowiedzieć się, czy romansował z Caroline tuż przed jej śmiercią. Jeśli tak, to na pewno coś wie, chociażby, w jakim była stanie psychicznym na kilka dni przed wypadkiem.

- Czy już wtedy nie był związany z Holly?

Griffin potaknął.

- Punkt dla niego za spryt, bo nie znam wielu mężczyzn na tyle głupich, żeby w małym miasteczku bajerować dwie kobiety naraz.

- Cain nie jest głupi.

- Nie, ale w tej chwili to mój główny podejrzany, Joanno. Jeśli zdoła wyjaśnić, gdzie pojechał w niedzielę w nocy, przekona mnie, że nie miał romansu z Caroline i nie wie nic o przyczynach jej zdenerwowania, to skreślę go z listy przynajmniej na jakiś czas.

- Kto jeszcze jest na tej liście? - Ale zanim Griffin zdążył odpowiedzieć, dodała: - Domyślałam się, że Scott.

- Jeżeli Amber zginęła, bo ktoś wziął ją za ciebie... a moim zdaniem tak właśnie było... i przyjmujemy, że ma to związek z Caroline i jej śmiercią, muszę go podejrzewać. Nie ma dowodów, że był w domu, kiedy Caroline zginęła, podobnie jak na to, że nigdzie nie wychodził w niedzielę w nocy, choć tak twierdzi. Brak świadków, którzy by to potwierdzili. Uważam, że on także, mając wystarczająco ważny powód, jest zdolny do zabójstwa.

- A co może być takim wystarczająco ważnym powodem? Bardzo wątpię, żeby chodziło o to, że odkrył właśnie romans Caroline. Mógłby wtedy co najwyżej popędzić za nią autostradą wzdłuż wybrzeża, ale dlaczego miałby ją zabijać? - Pokiwała przecząco głową. - Gdzieś tu kryje się jakaś tajemnica i to taka, że ktoś gotów jest zamordować, byle tylko nie wyszła na jaw. Myślę, że gdybyśmy się dowiedzieli, dlaczego Caroline tak się denerwowała, reszta sama by się wyjaśniła.

- Potrzebne nam zatem objawienie - powiedział. - Znasz jakieś dobre medium?

Joanna obróciła głowę w stronę kominka. Na jej ustach zjawił się uśmiech.

- Mam przyjaciół, którzy się tym interesują, ale jedyne medium, jakie znam, to telewizja.

Griffin wpatrywał się w jej profil, kiedy zamilkła. Pomyślał, że lepiej byłoby dla niej, gdyby mówiła, bo wtedy mogła skoncentrować się na rozwiązywaniu zagadki dotyczącej wydarzeń w Cliffside. To najlepszy sposób, używany przez wszystkich gliniarzy, dzięki któremu zyskiwało się odrobinę dystansu, wtedy gdy był rozpaczliwie potrzebny. Co prawda

przynajmniej na razie omówili już wszystko, co warte było omówienia.

A potem przypomniał sobie o czymś.

- Kiedy otworzyłem dzisiaj drzwiczki twojego samochodu, powiedziałaś, że to trzeci raz. Co miałaś na myśli?

- Trzeci raz, kiedy wykpiłam się śmierci - odrzekła cicho. - Jeśli jednak biedna Amber zginęła zamiast mnie, to byłby czwarty. - Popatrzyła na niego i lekko się uśmiechnęła. - Ile jeszcze zostało mi szans twoim zdaniem?

Tym razem Griffin nie oparł się pokusie dotknięcia jej. Przysunął się bliżej i ujął jej twarz w dłonie. Usta miała ciepłe i drżące pod dotykiem jego warg, na szyi czuł szybko bijący puls. Jęknęła cicho i chciała się przytulić, musiała jednak najpierw pozbyć się jakoś poduszki, która ich dzieliła, dopiero wtedy całkowicie obróciła się do niego i wyciągnęła ręce, by położyć dłonie na jego torsie.

Wiedział, że tej nocy wyjątkowo łatwo ją zranić, wiedział, że chętnie zaakceptowałaby wszystko, co niesłoby jej pociechę, ale kiedy jej usta rozchyliły się, a język zagłębił w jego ustach, delikatnie, a jednocześnie szalenie zmysłowo, myślał jedynie o tym, jak bardzo jej pragnie.

- Joanno... - Potrafił zmusić się tylko do krótkiego odsunięcia ust, by wyszeptać jej imię, ale musiał to zrobić, musiał wypowiedzieć jej imię, dopiero potem znowu całował ją łapczywie. Jedną ręką gładził jedwabiste włosy, drugą wsunął jej pod plecy i przyciskał do siebie.

Wydała kolejny, gardłowy jęk, wygięła plecy pod jego dotykiem. Ta natychmiastowa reakcja sprawiła, że z krtani wyrwał mu się pomruk, który jednocześnie przywrócił mu trochę poczucie rzeczywistości. Zdołał odsunąć się od niej na tyle, by na nią spojrzeć. Ponownie obejmował dłońmi jej twarz.

- Nie tylko doktorek robi wszystko nie w porę - powiedział ochryplym głosem. - Joanno, miałaś naprawdę paskudny dzień. Nie powinienem tego wykorzystywać.

Jej oczy wydawały się ogromne, nadal pobłyskiwały wilgocią, nadal były ciemniejsze niż zwykle, ale uśmiech igrający na ustach zdradzał dziwne rozbawienie.

- Dziękuję - wyszeptała. - Wiesz, od wielu dni wiedziałam, że to się nam przydarzy. A ty?

Gładził rytmicznie kciukami jej kości policzkowe.

- Tak - przyznał. - Ciągle...

Nie pozwoliła mu dokończyć, po prostu się przytuliła i pocałowała go. Z ustami tuż przy jego ustach wyszeptała, owiewając go ciepłym oddechem:

- Chcę cię. I wiem, co robię. Proszę, nie każ mi spać tej nocy.

Może inny mężczyzna oparłby się tej prośbie, ale Griffin nie potrafił. Otoczył ją ramionami, przysunął do siebie najbliżej, jak mógł, i czule pocałował. Zareagowała natychmiast, objęła go za szyję, przywarła z całych sił do jego ciała. Już nie wydawała mu się krucha i bezbronna. Stała się rozpaloną kobietą, która wie dokładnie, czego chce.

Kiedy podniósł ją z kanapy, przekonał się, że jest bardzo lekka, co uświadomiło mu kruchość jej budowy. Świadomość tego wywołała u niego falę uczuć. Niepokój, bo ktoś próbował - dwukrotnie - ją zabić. Bał się o nią, bo byłaby bezradna wobec siły niemal każdego mężczyzny. Jeszcze nikogo i nigdy tak bardzo nie pragnął otoczyć opieką. Towarzyszyła temu dziwnie prymitywna żelazna wola zapewnienia jej bezpieczeństwa. Niczego podobnego nie przeżywał wcześniej. Nigdy też nie doświadczył tak osobliwej koncentracji zmysłów - wszystko, co widział, słyszał i czuł, skupiało się na niej.

Zaniósł ją do sypialni i postawił delikatnie obok łóżka, sięgając na oślep ręką, by odsunąć narzutę. Nie przestawał jej całować, popychany koniecznością zaspokojenia potrzeby, której nawet nie rozumiał. Jej usta były gorące i namiętne, jakby odczuwała taki sam głód zatracenia się w pocałunku.

Ale ani jej, ani jemu pocałunek nie wystarczał. Poczuł, jak jej palce odpinają mu pasek, on sam w tym czasie odpinał jej guziki piżamy. Nagle oboje chcieli jak najszybciej pozbyć się dzielących ich ubrań. Zdjął przez głowę podkoszulek, a potem zsunął jej z ramion górę piżamy. Dotknęła go nagimi piersiami, stwardniałe sutki paliły jego skórę niczym ogniste punkciki. Griffin bardziej poczuł, niż usłyszał jęk, jaki wydobył się gdzieś z głębi niego.

- Joanno... tak bardzo cię pragnę.

Prawie nie rozpoznał własnego głosu. Jej oczy rozblęły, gdy na niego spojrzała, i przesunęła się lekko, ocierając się sutkami o jego pierś. Pomyślał, że zaraz eksploduje, rozpadając się na tysiące kawałków, tak ogromna była przyjemność, jaką mu tym sprawiła.

Chciał na nią patrzeć, rozebrać do naga i pochłaniać wzrokiem, aż nauczy się na pamięć każdego centymetra jej ciała, jednak pragnienie, by zatracić się w pożądaniu, było znacznie silniejsze. Poszukał palcami tasiemki przy spodniach piżamy, rozwiązał ją, pozwalając, by materiał ześlizgnął się z jej smukłych bioder i wzdłuż ud. Poczuł delikatne dłonie na swoich biodrach, kiedy ściągała mu spodnie i slipy.

Ten intymny dotyk sprawił, że każdy mięsień jego ciała napiął się w pełnym uniesieniu oczekiwaniu, a potem delikatna, gładka skóra jej brzucha przytuliła się do jego nabrzmiałej męskości i przeszył go dreszcz pożądania. Dotarło do niego, że poruszyła się,

zdejmując skarpety, i stanęła obok rzeczy leżących na podłodze. Jemu także udało się jakimś cudem ściągnąć buty i skarpetki i odsunąć je od siebie razem ze spodniami.

Położyli się na łóżku. Jej ciało w świetle lampy okazało się tak piękne, jak się spodziewał. Było smukłe i delikatne, o niewielkich, ale jędrnych i pełnych piersiach, z łagodną linią bioder, stanowiących kwintesencję kobiecości. Jej oczy połyskiwały, wilgotne i zamglone pożądaniem. Usta miała lekko obrzmiałe i zaczerwienione od pocałunków.

Chciał jej wyznać, co czuje. Marzył, żeby powiedzieć, iż jest najpiękniejszym dziełem natury, jakie napotkał, i myśli jedynie o tym, jak bardzo jej pragnie. Nie odezwał się jednak słowem, gdyż bał się, że nie uda mu się dobyć głosu.

Zamiast mówić, przekazał jej wszystko dotykiem. Całował jej twarz i szyję. Błądził dłońmi po piersiach, gładził ciepłą aksamitną skórę, wodził opuszkami po twardych różowych sutkach. Jego usta podążały za palcami, a kiedy jęknęła i zeszywniała w odpowiedzi, ogarnęła go nagła fala napięcia, zrobiło mu się gorąco. Czuł, jak jej serce pod skórą bije w oszalałym tempie, podobnie jak jego, słyszał jej spazmatyczny oddech, szybki i urywany. Smak jej ciała podsycił jego pożądanie do chwili, gdy wydawało mu się, że nie wytrzyma ani minuty dłużej.

Przesunął dłoń w dół jej brzucha, poczuł, jak drży. Przeczesał palcami złotawe jedwabiste loczki, dotarł do wilgotnego, gorącego miejsca, które świadczyło, że była gotowa na jego przyjęcie. Pieścił ją przez chwilę, pocierał delikatnie wrażliwe miejsce, aż uniosła biodra i jęknęła prosząco.

Pękła ostatnia nić, która go powstrzymywała. Wpełznął na nią, rozsunął jej nogi i położył się między nimi. Poczuł jej dłonie na ramionach i plecach. Paznokcie drapiące skórę sprawiały mu niesamowitą przyjemność. Wchodząc w nią, wpatrywał się w pociemniałe oczy.

Była ciaśniejsza, niż oczekiwał, jej ciało opierało mu się, co dodatkowo potęgowało rozkosz. Chciał się w niej zapomnieć, stopić z nią w jedno, aż staliby się nierozdzielni.

Kiedy zaczął się poruszać, najpierw powoli, szalone napięcie rosło. Odpowiedziała zmysłowym przesuwaniem ciała, wydając przy tym urywane, chrapliwe jęki, wskutek czego wpadł w pierwotny rytm. Joanna dostosowała się do szybszego tempa, naprężona wiła się pod nim, wpijając mu palce w ramiona. Jej piękna twarz wyrażała namiętność, patrzył na nią zachłannie, nie widział niczego innego i nie potrafił myśleć o niczym innym.

Porwał ich huragan zmysłów, niósł ze sobą bezwolnych aż na szczyt spełnienia, które stało się przesłaniającą wszystko koniecznością. Joanna krzyknęła, a jej wewnętrzny spazm rozkoszy przemienił się dla Griffina w pieśczętę, która sprawiła, że stał się głuchy i ślepy na

wszystko poza nieokiełznaną siłą własnego zaspokojenia.

- Nie jesteś zbyt rozmowna jako kochanka - powiedział.

Joanna otworzyła oczy i zobaczyła, że Griffin leży na boku i z głową opartą na dłoni wpatruje się w nią. Zdążył już przykryć ich kołdrą. W ciepłym kokonie pościeli, obok niego, pogrążona w kojącym półśnie, wsłuchiwała się w odległy szum fal rozbijających się o skały.

- Wielka odmiana w porównaniu z tym, co było - wyszeptała.

Nie potrafiła niczego wyczytać w jego twarzy. Nie wiedziała, czy jej milczenie mu przeszkadzało, czy też po prostu skomentował panującą ciszę. Jego i tak surowe rysy wyrażały powagę, nie spuszczał z niej bardzo ciemnych - czarnych? granatowych? - oczu.

- Czy... często ci się to przydarza? - zapytał niemal z wahaniem.

Joanna zastanawiała się przez chwilę nad jego pytaniem. Czego naprawdę chciał się dowiedzieć? Niektórzy mężczyźni unikają jak ognia rozmów o wcześniejszym życiu seksualnym kobiet, inni domagają się szczegółów - i na dodatek porównań z poprzednimi kochankami. Z drugiej strony Griffin mógł się najzwyczajniej w świecie zastanawiać, czy uznała to, co razem przeżyli, za coś wyjątkowego.

- Z moim pierwszym chłopakiem, cielecą miłością, chodziłam przez całe gimnazjum, liceum i na pierwszym roku studiów, w sumie sześć lat. Dopiero w ostatnim roku zdecydowaliśmy się na seks i... nie była to zbyt udana próba. Mówiąc szczerze - uśmiechnęła się lekko - nie bardzo rozumiałam, o co tyle szumu. Nie mam pojęcia, dlaczego nie pasowaliśmy do siebie pod tym względem, może po prostu byliśmy za młodzi, a on podobnie jak ja nie miał żadnego doświadczenia. W każdym razie z czasem wcale nie było lepiej, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Przypuszczam, że miałam wypisany na twarzy brak entuzjazmu. Zerwaliśmy sześć miesięcy później. O następnym związku, który dotyczył także sypialni, już wiesz, bo opowiedziałam ci wszystko na posterunku. Trwał jedynie kilka miesięcy. Dlatego nie wiem, czy jestem małomówna jako kochanka. - Wzięła głęboki wdech.

- Wiem tylko, że nigdy nie rozumiałam, jak można... zatracić się w pożądaniu... do dziś.

Wyciągnął rękę i przełożył jej do tyłu kosmyk włosów, a potem pogładził delikatnie po policzku. Jego twarz nadal była poważna.

- Pasujemy do siebie, prawda?

Już sam dotyk jego ręki sprawił, że ogarnęła ją fala gorąca. Joanna potrafiła się zdobyć wyłącznie na tajemniczy uśmiech, ponieważ dla niej jego słowa były co najmniej niedopowiedzeniem.

- Tak, pasujemy - przyznała w końcu i dodała: - Ty także nie jesteś zbyt rozmowny.

To typowe dla ciebie?

- Nie.

Joanna czekała na coś więcej, wpatrując się w niego.

- Nie planowałem, że cię spotkam - zaczął, palcami ciągle głaskał jej skórę, której dotyk sprawiał mu ogromną przyjemność. - To było niemal jak grom z jasnego nieba. Tak nagle, tak niespodziewane. Kiedy zobaczyłem cię pierwszego dnia, gdy odwróciłaś głowę...

- I okazałam się bardzo podobna do Caroline - wpadła mu w słowo.

Ręka Griffina przestała się poruszać i zatrzymała częściowo na szyi, częściowo na linii szczęki. Zmarszczył trochę czoło, ale głos mu się nie zmienił, cały czas mówił cicho i spokojnie:

- Pomyślałem tak w pierwszej chwili, to prawda. Ale to było naturalne. Jednak od razu dostrzegłem różnice. Brzmienie głosu i akcent, twoje włosy i oczy. Mimo to podobieństwo sprawiło, że stałem się ostrożny. Nie wierzę w przypadki, dlatego natychmiast zacząłem się zastanawiać, co tu robisz. Później, kiedy zorientowałem się, że metodycznie wypytyujesz ludzi o Caroline, nie bardzo wiedziałem, co myśleć.

- Dlatego postanowiłeś mnie zniechęcić?

- To mnie niepokoiło. Ty mnie niepokoiłaś, Joanno. Nie miałem pojęcia, jakie mogą być skutki takiego rozpytywania, i Bóg mi świadkiem, nie spodziewałem się morderstwa. Wiedziałem, że wielu ludzi w miasteczku nie pogodziło się jeszcze ze śmiercią Caroline.

Joanna w milczeniu pokiwała głową.

- Nawet mi do głowy nie przyszło, że coś może się nam przydarzyć, przynajmniej nie wtedy - mówił dalej. - Nie jestem nawet pewny, kiedy moje nastawienie do ciebie zaczęło się zmieniać. Ale chyba wtedy, gdy przestałaś mi przypominać Caroline.

Joanna nie wierzyła mu do końca, ale nie chciała drażnić tematu. Woląca myśleć, że to ją wziął dziś do łóżka, a nie sobowtóra Caroline.

Nagle Griffin uśmiechnął się krzywo.

- Wtedy dotarło do mnie, że jestem w tarapatkach.

- Zwaliło cię z nóg? - zapytała cicho z uśmiechem.

- Skopany po tyłku.

Joanna nie umiała powstrzymać śmiechu.

- Nie żartuję - odezwał się niby wesoły, ale w jego głosie pobrzmiwała powaga. - Mam trzydzieści siedem lat, Joanno. Tego typu sprawy powinny mi już dawno wywietrzeć z głowy.

- Sprawy? - dopytywała się niewinnie.

- Wiesz dobrze, o czym mówię. Sny na jawie. Żałośnie kretyńskie odruchy.

Joanna marzyła, żeby opisał jej szczegółowo te sny na jawie i kretyńskie odruchy, ale była zbyt zaskoczona tym, co przypuszczalnie chciał jej dać do zrozumienia, że poza jednym zdaniem nic innego nie przychodziło jej do głowy:

- Żarła cię żądza, co?

Griffin niespodziewanie pochylił się nad nią, w ciemnych oczach dostrzegła błyski.

- Wiem, co to żądza - oświadczył. - Nie o nią chodzi.

Nie wiedziała, co mogłaby mu odpowiedzieć, gdyby oczywiście dopuścił ją do głosu. Ale nie dał jej nawet cienia szansy. Jego usta znalazły się przy jej wargach, mocno przylgnęły, ale nie sprawiały bólu, poruszały się ze zmysłowym rozgorączkowaniem, które szybko i bez wysiłku rozpałiło w jej wnętrzu nieznany ogień. Joanna straciła zainteresowanie do rozmowy.

Wysunęła ręce spod przykrycia i zaczęła dotykać palcami ciała Griffina, które nadal w dużej mierze stanowiło dla niej tajemnicę. Głaszcząc go, doznawała cudownego uczucia. Był bardziej muskularny, niż przypuszczała, pod gładką skórą wyczuwała naprężone mięśnie. Opuszkami wodziła po jego ramionach i karku, namacała równą linię kręgosłupa, a potem pieściła jego piersi pokryte miękkimi czarnymi włosami. Niemal czuła mrowienie w palcach, a tępy ból narastał, aż wydawał się wypełniać całe jej jestestwo.

Myślała wcześniej, że jest kompletnie wyczerpana, ospała i zaspokojona po pierwszym akcie miłosnym, ale teraz napięcie ogarniało ją z coraz większą siłą, gdy uwodził ją ustami, a dłońmi wędrował po ciele. Omal się nie wzdrygnęła, kiedy dotknął jej piersi - paląca rozkosz zaparła jej dech. Wydała z siebie cichy jęk błogości.

Milcząca kochanka? To do niej nie pasowało - nie potrafiła przecież ani powstrzymać, ani kontrolować tych żenująco prymitywnych odgłosów zadowolenia. Niezbyt rozmowna - owszem. Griffin sprawiał, że jej uczucia stawały się tak intensywne, tak wyczerpujące, że w ogóle nie myślała o rozmowie.

Jego usta znalazły się na jej piersi, rzucając ją w wir ślepych doznań, a jego dłoń zsunęła się w dół, dotarła do wżgórka i najwrażliwszego punktu jej ciała. Joanna zdała sobie sprawę, że rozsunała szerzej nogi. Niesłychanie silnie przeżywała akt otworzenia się przed nim. Było w tym zapamiętanie, jakiego wcześniej nie doznała, pozwalała się ponieść pożądaniu.

Pieścił ją do chwili, gdy myślała, że oszaleje, aż kolejny z błagalnych jęków dobył się z jej krtani. Wtedy położył się na niej, a Joanna niemal zaszlochała od doznanej ulgi. Objęła go udami, zarzuciła ramiona na barki i wpatrywała się w jego ściągniętą twarz, gdy w nią

wchodził.

Odczucia, jakich doświadczała, nadal były czymś nowym - otworzył ją i wypełnił sobą. Rodziła się między nimi intymność, która budziła w niej najgłębsze instynkty. A potem zaczął się poruszać, tym razem wolniej, a uporczywy rytm doprowadzał ją do granic wytrzymałości. To, co z nią robił, było cudowne i straszne zarazem. Sprawiał, że traciła rozum i zmieniał jej ciało w twór złożony z wrażliwych miejsc, złakniony i roztrzęsiony. Instynktownie próbowała przyspieszyć rytm, ale Griffin utrzymywał powolne tempo, od którego niemal dostawała pomieszania zmysłów.

Na którymś z poziomów świadomości wiedziała, że płacił cenę za swoją powściągliwość. Mięśnie pod jej palcami drżały z napięcia, ciężko dyszał, a jego twarz zdradzała ogromne podniecenie. Jednak tortura nie łagodziła jej doznań. Wydawała dźwięki, jakich nie słyszała nigdy przedtem. Jej ciało wiło się pod nim z zaskakującą zmysłowością, a kiedy wewnętrzne napięcie osiągnęło szczyt, znajdujący się daleko poza poziomem, który wydawał się jej nie do wytrzymania, wbiła mu paznokcie w plecy.

Griffin nagle jęknął i zaczął poruszać się niemal jak zwierzę. Przestał się kontrolować. Joanna krzyknęła, gwałtownie szczytując, ekstaza przelewała się przez nią falami, mieszając się z pulsowaniem w skroniach. Zadrzał, kiedy jej ciało doznawało pod nim rytmicznych skurczów, z gardła wyrwał mu się charkotliwy dźwięk nieposkromionej rozkoszy, a potem wyzwolony jej kulminacją, przeżył spełnienie.

Kiedy Joanna doszła do siebie, ponownie grzała ją pościel i jego ciało. Obejmował ją ramionami, głowę trzymała wygodnie na jego barku. Tym razem była absolutnie pewna, że nie ma siły się ruszać i chociaż nie czuła senności, nurzała się błogo w półśnie.

- Joanno?

- Uhhh?

- Czy nie pomyślałabyś nad powrotem do Atlanty do czasu, aż się wszystko wyjaśni?

Uniosła głowę i podciągnęła się na łokciu, tak by patrzeć na niego z góry i widzieć dokładnie jego twarz. Zanim jednak powiedziała choć słowo, Griffin odezwał się ponownie:

- Martwię się o ciebie.

Odmówienie prośbie przychodziło jej z trudem, ale musiała to zrobić. Pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę wyjechać przed końcem sprawy. Nawet gdybym chciała. Nie umiem tego wyjaśnić, ale w i e m, że muszę tu być.

Wpatrywał się przez moment w jej twarz i niechętnie dodał:



- Miałem przecucie, że to właśnie usłyszę. Skoro tak, to proszę cię na wszystko, bądź ostrożna. Obiecujesz?

Joanna uśmiechnęła się.

- Zrobię, co będę mogła, obiecuję.

Pochyliła się nad nim i lekko go pocałowała, a potem ułożyła się obok. Nie było jeszcze bardzo późno, ale ten dzień wydawał się wyjątkowo długi, a wieczór zdecydowanie wyczerpujący, dlatego tym razem zasnęła.

Sen zaczął się tak samo jak zawsze. Odgłos fal rozbijających się o brzeg towarzyszył wyłaniającemu się stopniowo zarysowi pięknego samotnego domu na krawędzi urwiska. A potem dom zniknął w kłębach oparów i pojawiały się inne kształty. Zamglony i lekko pochylony kolorowy obraz na sztalugach przesunął się przed oczami śniącej Joanny. Z oddali dochodził ją niewyraźny szloch przerażonego dziecka, rozdzierający jej serce. Zegar tykał miarowo i nieprzerwanie. Wiatr znad wybrzeża kołysał papierowym samolocikiem, unosił go i opuszczał, aż ostatecznie rzucił na jakieś deski. W nadal zamglonej przestrzeni zjawiał się wazon pełen różowych przepięknych róż, wokół którego leżały opadłe płatki. W chwilę potem zniknął, a jego miejsce zajął jaskrawy konik karuzelowy. Przez chwilę obracał się, podnosił i opadał na żerdzi, i nagle stanął. Pozostał w miejscu, wyraźny i prawdziwy, otoczony rozmytym krajobrazem. Płacz dziecka stawał się wyraźniejszy, dochodził z mniejszej odległości, a tykanie zegara było tak głośne, że odbijało się echem.

*Me zostawiaj jej samej.*

Zegar dudnił teraz, zagłuszając wszystko, przypominał bicie serca, rytm stawał się coraz szybszy, coraz szybszy...

Krzycząc, Joanna usiadła i wyciągnęła ręce do... czegoś. Z trudem łapała oddech, serce waliło jak młot, kręciło się jej w głowie. Ogarniał ją strach bliski przerażeniu, przenikał do szpiku kości i ścisnął w gardle. Czuła wilgoć na policzkach. Były to łyzy bólu, zgryzoty i żalu, które nadal czuła. Chciała się głośno wypłakać, wyrzucić z siebie dławione emocje.

- Joanno? Kochanie...

W chwili gdy usłyszała jego niski głos, zaczęła się uspokajać. Potrzeba płaczu minęła. Oddech się uspokoił i wyrównał. Puls zaczął bić normalnie. Przeważenie wywołane koszmarem traciło nad nią władzę, rozluźniły się napięte mięśnie. Kiedy Griffin ją objął, mocno się do niego przytuliła.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - wyszeptała.

Sypialnię wypełniało szare światło wczesnego poranka.

Nieogolona twarz Griffina, który marszczył czoło, wydawała się sroższa niż zwykle.

- Znowu ten sen?

- Każdej nocy - wyjaśniała. - To jeden z powodów, dla których nie mogę wyjechać... sen mi nie pozwoli. - *Caroline mi nie pozwoli.* - Teraz... teraz wszystko dzieje się znacznie szybciej. Za każdym razem też odczuwam coraz silniejszy niepokój. Coś się stanie. Wiem, że tak będzie. Niedługo.

Delikatnie pogłaskał ją po policzku, ścierając palcami ślady łez. Choć nadal marszczył czoło, jego głos był spokojny.

- Jeśli tak właśnie budzisz się każdego ranka, nic dziwnego, że ten sen ma na ciebie taki wpływ. Czyżby się zmieniał? Dzieje się w nim coś innego?

- I tak, i nie. Tak.

Czy tym razem obraz karuzelowego konika nie utrzymywał się dłużej niż zwykle? Czy papierowy samolocik nie zaleciał dalej i nie wylądował w innym miejscu? A rozpaczliwy krzyk - czy był to głos kobiety? - błagający, by nie zostawiała jej samej? Regan? Jeśli chodziło o powiązania z Caroline, w takim razie to musiała być Regan. *Me zostawiaj jej samej.* Zapiekiwać się nią? A może Regan groziło fizyczne niebezpieczeństwo?

Brakowało temu sensu, a Joanna była zbyt wstrząśnięta, żeby spokojnie wszystko przemyśleć.

- Właściwie jest taki sam - powiedziała ostatecznie. - Zjawiają się te same przedmioty. Jednak tym razem było coś jeszcze. Błaganie... żebym kogoś nie opuszczała, żebym nie zostawiała jej samej.

- Jej? - Zmarszczki na czole Griffina pogłębiły się. - Uważasz, że to łączy się z Caroline, że ta prośba jej dotyczy? A może to ona prosi?

- Nie mam pojęcia. Myślę, czuję, że ona chce, żebym pomogła Regan, że dziewczynka ma jakieś kłopoty. Ale nie jestem tego pewna. Wiem jedynie, że zegar tyka głośniejsze i szybciej, więc kończy nam się czas.

## Rozdział dwunasty

„Tik-tak, tik-tak”.

Tykanie zegara rozlegało się w głowie Joanny bez przerwy, było szybsze, niż powinno, i zawierało w sobie ponaglenie, które nie opuszczało jej ani na chwilę. Zmusiło ją, by późnym rankiem nie zgodziła się iść z Griffinem do biura szeryfa, dzięki czemu miałby nad nią pieczę, choć bardzo chciała z nim być.

Musiała coś zrobić. Obawiając się o Regan, mimo zapewnień Griffina, że dziecko jest bez wątpienia bezpieczne w domu i ma zakaz oddalania się od podwórza, Joanna upierała się, że pójdzie do altany mniej więcej wtedy, gdy Regan ma zazwyczaj przerwę w lekcjach. Nie miała, oczywiście, żadnych gwarancji, że dziewczynka się zjawi, ale niepokój dręczący Joannę zmuszał ją, by naocznie przekonała się, czy nic jej nie jest. Nawet gdyby równało się to konieczności zapukania do drzwi domu na urwisku i spytania.

- Mam nadzieję, że dotrzesz tam jakoś bez samochodu - powiedział Griffin, kiedy jechali Main Street. - Zabroniłem wstawiać go do miejscowego mechanika i kazałem odholować z miasta zeszłej nocy.

Joanna popatrzyła na niego, marszcząc lekko czoło. Usiłowała myśleć logicznie i oprzeć się pokusie obgryzania paznokcia kciuka.

- Przecież powiedziałaś doktorowi, że jest kompletnie rozbity.

- Tak, ale to nieprawda. Ma głębokie wgniecenie na przodzie maski, w miejscu gdzie uderzyłaś w słupek ogrodzenia, kilka otarć i zadrapań, to wszystko. Jednak w chwili gdy jeden z moich ludzi odkrył, że ktoś majstrował przy twoim wozie, poleciłem odprowadzić go do warsztatu kilka kilometrów poza miasto, do mechanika, któremu ufam bez zastrzeżeń. Będzie tam bezpieczny i z dala od ludzkich oczu, a my poszukamy w nim śladów, żeby udowodnić przestępstwo. Ponieważ jednak nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać, że ktoś celowo uszkodził samochód, oficjalną przyczyną wypadku jest spięcie w systemie elektrycznym, które spowodowało, że czujnik wtrysku paliwa sfiksował.

- Czujnik wtrysku - powtórzyła. - Domyślam się, że to oczywiste dla każdego?

Uśmiechnął się do niej.

- Mniej więcej. Reguluje ilość paliwa wtryskiwanego do gaźnika. Kiedy samochód jest na biegu, a czujnik nawali, silnik dostaje wściekłych obrotów. Ciotka Sara nie nauczyła cię niczego o samochodach?

- Dla niej samochody to były urządzenia, które przewożą ludzi z jednego miejsca do innego. Myślę podobnie, ale mam też doskonałą pamięć, więc jeśli ktoś zapyta, odpowiem precyzyjnie, że nawalił czujnik wtrysku paliwa.

Griffin pokiwał głową.

- To wystarczy. Dodawaj też, że samochód został kompletnie zniszczony, musiał być odprowadzony do agencji w Portlandzie, bo był wypożyczony, teraz oni się o niego martwią.

Joanna potaknęła, ale zapytała:

- Czy nikt tam wczoraj nie pojechał, żeby obejrzeć wrak? Chodzi mi o zwykłą ludzką ciekawość lub coś podobnego.

- Było kilku wścibskich obywateli, ale moi ludzie trzymali wszystkich z dala, tak że widzieli jedynie kawałek samochodu wystający ze stogu siana. Poza tym zaczynało się robić ciemno. Bardzo wątpię, czy ktokolwiek domyśli się, że nie został aż tak zniszczony, jak utrzymujemy.

- Hmm. Tylko czy morderca nie stanie się podejrzliwy, kiedy będziemy się niemal ostentacyjnie obnosić z tym, że nie mamy pojęcia o jego dłubaniu przy samochodzie?

Tym razem Griffin spojrzął na nią lekko ironicznie.

- Małomiasteczkowi gliniarze często przeoczą różne rzeczy. Mamy także skłonność do szukania najbardziej oczywistych i najprawdopodobniejszych przyczyn wypadków, a sama przyznasz, że znacznie łatwiej uznać, że nastąpiło zwarcie w systemie elektrycznym, niż że ktoś majstrował przy samochodzie, żeby cię zamordować.

- Nie kupi tego, jeśli zna cię choć trochę - oświadczyła Joanna.

Griffin uśmiechnął się.

- Miejmy nadzieję, że kupi. Tymczasem czułbym się znacznie lepiej, gdybyś obiecała, że będziesz się trzymać z dala od urwiska i nie wsiądziesz do żadnego samochodu poza moim i taksówkami.

- Nie mam zamiaru ryzykować - odparła, gnębiona niewielkim poczuciem winy, bo planowała spacer do altany, a droga tam wiodła wzdłuż klifu. Nie chciała jednak go niepokoić, zresztą rozsądek nakazywał jej zachowanie ostrożności.

- Szkoda, że nie bardzo w to wierzę - wymamrotał Griffin. - Zbyt dobrze wiem, jak strasznie ci zależy na wyjaśnieniu wszystkiego.

Joanna nie zaprzeczyła.

- Nie jestem głupia, Griffinie. Nie wybiegnę w koszuli nocnej w środku nocy z hotelu, niczym średniowieczna dziewica, która usłyszała, że coś stuknęło za ścianą.

- Jeśli wolno mi dodać - Griffin wpał jej w słowo. - Nie będziesz już samotnie

spędzała nocy, a ja na pewno nie pozwolę ci ganiać po okolicy w koszuli nocnej. W każdym razie nie beze mnie.

Joanna nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu.

- Zaszokowalibyśmy miejscową ludność. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że stalibyśmy się, choć pewnie już jesteśmy, kolejnym tematem plotek w Cliffsides?

- Brałem to pod uwagę. - Skręcił w drogę dojazdową do „Gospody” i po raz kolejny zerknął na Joannę. - Przejmujesz się?

- Niby czym? Moim zdaniem nie mamy się czego wstydzić, zwłaszcza że oboje jesteśmy wolnego stanu i skończyliśmy po dwadzieścia jeden lat.

- Ale czy się przejmiesz? - powtórzył cicho.

Joanna patrzyła na jego poważną twarz i zastanawiała się, czy naprawdę jest w niej zakochany. Choć nie wprost, ale powiedział jej to ubiegłej nocy. A kiedy mężczyzna zaczyna niepokoić się o reputację kobiety, oznacza to najczęściej, że czuje do niej znacznie więcej niż tylko pożądanie - przynajmniej tak uważała ciotka Sara.

Jednak tego ranka żadne z nich nie poruszyło tego tematu. Joanna chciałaby wiedzieć, czy sprawiła mu przykrość, nic nie mówiąc o tym, co sama czuła. Nie potrafiła jednak zbyt wiele o tym rozmyślać, bo było za wcześnie na głębsze analizowanie własnych emocji. Caroline nadal zaprzętała jej głowę. Joanna wiedziała, że dopóki nie zniknie dręczący niepokój, będzie nie w porządku wobec Griffina, nie dając mu siebie całej. Wobec siebie także byłaby nie fair, bo od przyjazdu do Cliffsides zbyt wiele łączyło ją z tym miejscem, ludźmi... i przeszłością.

Do czasu kiedy uwolni się od koszmaru, nie mogła być pewna własnych uczuć.

Z drugiej strony za każdym razem, gdy próbowała określić, jak ważny jest dla niej Griffin, natychmiast pojawiało się jej w myślach pytanie o Caroline. Może Griffin i Caroline nie byli kochankami, ale sam przyznał, że kiedyś doszło do „czegoś” między nimi. Dopóki Joanna nie dowie się, co to było, nie będzie umiała zwalczyć obawy, że jego uczucia wobec niej wynikają jedynie z tego, co czuł do Caroline. Zwłaszcza że większość mężczyzn Caroline - jeżeli nie wszyscy - było w niej bardzo zakochanych.

Dlaczego Griffin miałby się od nich różnić?

- Joanno?

Blazer stanął przed frontowym wejściem do „Gospody”. Kiedy portier ruszył różnym krokiem w kierunku samochodu, Joanna spojrzała na Griffina i przekonała się, że uważnie się jej przypatrywał.

- Nie, nie przejmę się. A ty? Czy szeryf z małego miasteczka nie powinien świecić

przykładem?

Jego uśmiech był nieco ironiczny.

- Nikt nie będzie miał mi za złe spotkań z tobą. Któregoś dnia nawet sam „wysoki sąd” spytał mnie, na co jeszcze czekam. A w poniedziałek Cain zaproponował, że namaluje mi na rękawie serce przebite strzałą, żeby wszyscy mogli je widzieć. Zdaje się, że moje uczucia nie są dla nikogo tajemnicą.

Joanna uśmiechnęła się do niego, prawie nieświadoma faktu, że drzwiczki samochodu po jej stronie zostały otworzone.

- Możemy spróbować zachowywać się bardziej dyskretnie.

- To chyba nie będzie takie proste - odparł Griffin i pochylił się, żeby pocałować ją przy szwajcarze, który trzymał drzwi i udawał, że niczego nie widzi.

Kiedy odsunął się od niej, spojrzała na niego trochę oszołomiona, a potem powiedziała:

- Nawet na pewno. Hmm... wspominałeś, zdaje się, że nie będzie już samotnych nocy? Spotkamy się u ciebie czy u mnie?

Pogłaskał ją lekko po policzku.

- Później zdecydujemy. Może przejdiesz się do miasta około dwunastej, trzynastej, zjedlibyśmy razem lunch.

- Świetnie. Przyjdę. - Joanna wciągnęła głęboko powietrze.

- Obiecujesz, że będziesz dziś ostrożna?

- Słowo.

Opuszczenie samochodu wymagało od Joanny sporego wysiłku. Nawet widok szwajcara - który z pewnością słyszał każde słowo i wszystko obserwował - nie pomógł jej wziąć się w karby. Ale jakoś udało się jej wysiąść i ruszyć w stronę głównego wejścia bez odwracania się za siebie i bez potykania o własne nogi.

Uznała to zresztą za spore osiągnięcie.

W holu prawie nikogo nie było. W recepcji siedziała Holly. Kiedy Joanna do niej podeszła, brunetka zapytała niemal w tej samej chwili:

- Dobrze się czujesz?

Joanna oparła się łokciem o blat.

- A wyglądam, jakby cegła spadła mi na głowę?

- Ujmując rzecz metaforycznie? Tak.

- To Griffin.

Holly również oparła się łokciem o kontuar. Zrobiła się poważna.

- Zawsze uważałam go za bardzo asekuranckiego faceta. Ale wygląda na to, że z tobą nie tracił czasu, mam rację?

- Chyba już wiesz, że spędziłam u niego noc?

- No cóż, skoro Griff nie robił z tego tajemnicy. Zdaje się, że powiedział jednemu ze swoich zastępców, że zabiera cię do siebie, a to wystarczyło, żeby dowiedzieli się wszyscy w miasteczku. Zgodnie z opinią większości nie korzystałaś z drugiej sypialni w jego domu.

- Nie - przyznała Joanna.

Holly uśmiechnęła się.

- Pewnie dlatego dziś rano wyglądasz na... powiedzmy... lekko oszołomioną.

- Świetnie się czułam do chwili, kiedy musiałam pożegnać się z nim przed minutą - odpowiedziała Joanna z nutą żalu w głosie. - Zaproponowałam mu, żebyśmy byli w miarę dyskretni, bo w końcu jest szeryfem, a on stwierdził, że to niemożliwe. Poza tym twój portier widział to i owo.

- Aha. - Holly pokiwała głową ze zrozumieniem. - Moim zdaniem, Joanno, ukrywanie się nie wyszłoby nikomu na dobre. Ludzie robią teraz zakłady, czy wrócisz do Atlanty, kiedy skończy ci się urlop, czy zostaniesz tu z Griffem.

Zaintrygowana Joanna spytała:

- Co bardziej obstawiają?

- Griff. Widzisz, dość dobrze znamy naszego szeryfa. Jest strasznie uparty i zwykle dostaje, czego chce. Nikt nie wątpi, że tym razem chce ciebie. Myślisz, że mogłabyś tu zamieszkać? To znaczy zrezygnować z Atlanty?

- Tak - odrzekła Joanna, zanim zdążyła się zastanowić. Sama była tym zaskoczona. Polubiła to miasteczko i większość poznanych ludzi mimo pewnego skrępowania i kłopotów, jakie ją spotkały. Nie zdawała sobie natomiast sprawy, jak bardzo się tu zadomowiła. - Myślę, że mogłabym - dodała znacznie wolniej.

Holly znowu się uśmiechnęła.

- Cieszę się. Z tego, co wiem, mieszkańcy naprawdę cię polubili.

Nie wszyscy. Jest jeden, który mnie nie lubi, pomyślała.

- Może w głębi serca jestem dziewczyną z małego miasteczka - powiedziała na głos Joanna. - Zresztą i tak nie rozmawialiśmy jeszcze z Griffinem o wspólnej przyszłości, dlatego staram się o tym nie myśleć.

Miała bowiem inne sprawy do przemyślenia. Uporczywie i niepokojąco zajmujące jej uwagę. *Czy Regan nic się nie stało? Może jest xv tarapatach? Do cholery, Caroline, czego ty ode mnie chcesz?*

- Wiem, jak to jest - powiedziała Holly bardzo cicho. Musiała jednocześnie o czymś intensywnie myśleć, bo dodała dość nieoczekiwanie: - Wiem, Joanno, że nie powinnam cię o to pytać, ale czy Griff naprawdę podejrzewa Caina o zamordowanie Amber?

Joanna spodziewała się, że to pytanie padnie prędzej czy później, dlatego mogła odpowiedzieć uczciwie, nie zdradzając jednocześnie opinii Griffina.

- Ma listę podejrzanych, Holly, i oczywiście jest na niej także Cain. Jego praca polega na eliminowaniu podejrzanych, aż dowie się, co naprawdę zaszło. Nie martw się.

- Jak mam się nie martwić? Całe miasteczko aż huczy, że pojechał gdzieś w niedzielę w nocy, a potem skłamał o tym Griffinowi. Przynajmniej połowa ludzi już go skazała.

- A wiesz, dokąd pojechał? - zapytała Joanna.

Holly lekko się skrzywiła.

- Nie. Mam... mam wrażenie, że mnie unika. Zadzwoił wczoraj, żeby mi powiedzieć, że przez większość tygodnia będzie zajęty malowaniem pejzaży.

- To normalne?

- Że maluje w plenerze? Och, oczywiście, nieraz przez kilka dni. Ale ja go znam. W jego głosie usłyszałam coś, czego nigdy przedtem nie było, najzwyczajniej kręcił. Moim zdaniem skłamał.

Joanna zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Cain jeździ czasami do Portlandu, prawda?

- Tak. Do galerii, oczywiście. Ma zresztą w mieście mieszkanie i pracownię. Zwykle spędzał tam zimy, a tu przyjeżdżał na lato. Nie mam jednak pojęcia, po co miałby jechać do Portlandu w niedzielę późnym wieczorem. Żeby malować jeszcze przez kilka godzin w pracowni? Pamiętam, że wcześniej wrócił. Jeśli jednak tam pojechał, naprawdę nie wiem, dlaczego skłamał Griffinowi.

Joannie także nie przychodziło do głowy żadne wytłumaczenie. Nie chciała mówić Holly, że Griffin zamierza przesłuchać Caina ponownie, tym razem na posterunku. Na pewno nie kwapiła się też, by jej zdradzić, że zgodnie z teorią Griffina Cain mógł pojechać na spotkanie z inną kobietą.

- Sama nie wiem, co z tym począć - zwierzała się dalej Holly. - Zawsze uważałam, żeby nie zapędzić go w kozi róg. Boję się, że jeśli zacznę domagać się wyjaśnień, co i kiedy robił, odejdzie ode mnie...

Joanna pokiwała głową.

- Rozumiem. Posłuchaj, jeszcze przez jakiś czas radziłabym ci uzbroić się w cierpliwość. Śledztwo Griffina dopiero się zaczęło. Za kilka dni prawdopodobnie wszyscy



będziemy wiedzieli znacznie więcej niż teraz. Założę się, że Cain miał ważne i logiczne powody wyjazdu w niedzielę w nocy i dam głowę, że niedługo je poznasz bez konieczności zapędzania go w kozi róg.

- Przypuszczalnie masz rację. - Holly się uśmiechnęła.

- Pewnie, że mam. Niech w miasteczku plotkują, ile wlezie. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, będą się mieli z pyszna, a ty zatriumfujesz.

- Dzięki, Joanno.

- Nie ma za co. - Joanna odwzajemniła uśmiech. - Tymczasem zniknę na trochę w swoim pokoju, a potem chyba się przejdę.

- Brzmi nieźle. Och... Joanno?

- Tak? - Joanna zatrzymała się przy recepcji.

- Wczorajszy wypadek... co się stało?

- Nie mogłam zatrzymać tego przeklętego samochodu. Griffin powiedział, że to czujnik wtrysku paliwa czy coś takiego - wiernie powtórzyła zapamiętaną lekcję. - Spięcie w układzie elektrycznym spowodowało, że kompletnie sfiksował.

- To musiało być straszne - rzekła Holly współczująco. - Aż dziw bierze, że wysłaś z tego bez szwanku. Słyszałam, że samochód jest zupełnie rozbity.

- Uhm. I już się do niczego nie przyda. Odesłaliśmy go z powrotem do wypożyczalni samochodów w Portlandzie. Teraz muszę chodzić pieszo, brać taksówki albo jeździć z Griffinem. - Uśmiechnęła się. - Dobrze, że Cliffside jest niewielkie. Niemal wszędzie mogę po prostu dojść pieszo.

- Tak, to się dobrze składa - zgodziła się Holly. - Cieszę się, że nic ci się nie stało. Trzymaj się, Joanno.

Joanna na pożegnanie pomachała ręką i ruszyła w kierunku windy.

Griffin usiadł na krześle w pokoju na posterunku i od razu zatelefonował do domu Caina. Trzymał słuchawkę aż do dziesiątego dzwonka. Nikt nie odbierał, a automatycznej sekretarki Cain nie kupił, bo nie lubił tego typu urządzeń. Miał także skłonność do przepadania, jeśli znalazł pejzaż lub osobę, które chciał namalować. Bywało, że ginął na cztery dni.

- Cholera - zaklął pod nosem Griffin, odkładając słuchawkę. Przez chwilę bębnił palcami po biurku, a potem wezwał do siebie jednego z zastępców.

Casey przyszedł od razu. Jak zawsze jego twarz o indiańskich rysach zdradzała absolutną obojętność.

- Chce pan czegoś, szefie?

- Poza kilogramem aspiryny? - odpowiedział pytaniem i machnął ręką, żeby powstrzymać ewentualną reakcję podwładnego. - Chcę postępów w śledztwie w sprawie Roberta Butlera, *pronto!* Chcę, żebyście razem z Lee i może Shelly naprawdę pogrzebali w jego życiorysie. Znajdźcie wszystko, co się da o tym facecie, nawet gdyby trzeba było jechać do San Francisco. Szukam jakichkolwiek powiązań, nawet śladowych i niejasnych, z kimś z Cliffside. Powiadamiaj mnie natychmiast o wynikach.

- Więc teraz się śpieszymy? - zapytał Casey.

Griffin pamiętał doskonale własne słowa „bez pośpiechu”, kiedy wydawał pierwsze polecenia dotyczące wznowienia śledztwa. Nie potrafił odepchnąć od siebie myśli, czy udałoby mu się zapobiec próbie zabicia Joanny, gdyby ich nie wypowiedział.

- Tak. Teraz się śpieszymy. Zrób, co tylko możliwe i jak najszybciej dostarcz mi szczegóły z życia tego gościa.

- Jasne - odpowiedział Casey spokojnie.

- Jeszcze jedno. - Griffin ponownie bębnił przez chwilę po blacie, ale kiedy Casey spojrzał z dezaprobatą na jego palce, zmusił się do zabrania dłoni z biurka. - Przekaż Markowi, żeby zajrzał do chaty Caina i zobaczył, czy naszego artysty nie ma gdzieś w pobliżu, może maluje na zewnątrz lub coś w tym rodzaju. Jeśli go tam nie znajdzie, niech szuka gdzie indziej.

- Wysłać za nim list gończy? - zapytał Casey.

Griffin pokręcił przecząco głową.

- Nie. Niech się po prostu rozejrzy dookoła, ale nie wypytuje o niego ludzi. Nie ma potrzeby podsycania plotek.

- Powiem mu - odparł zastępca i wyszedł.

Po jakimś czasie Griffin wpatrywał się w swoje palce, którymi znowu bębnił po biurku, ale teraz nie próbował się powstrzymywać.

Chmury przesłaniały słońce, kiedy Joanna szybkim krokiem zmierzała do altany. Pomyślała, że pewnie dlatego czuje przenikliwy chłód, że słońce, znikając, zabierało całe ciepło. Ale może nie to było przyczyną. Wrażenie chłodu mogła wywoływać bliskość urwiska. Joanna stała się czujna, wszystkimi zmysłami starała się kontrolować, czy ktoś za nią nie idzie, czy nikogo nie ma w pobliżu. Trzymała się z dala od krawędzi, niemniej huk fal rozbijających się o skały przypominał jej ciągle, jak jest niedaleko.

Stały rytm oceanu przypominał bicie serca. Tykanie zegara. Wydawał się dudnić jej w

głowie, szarpać nerwy, aż zatęskniła do ciszy, by spokojnie wszystko przemyśleć i uporządkować jakoś kłębiące się w umyśle fragmentaryczne informacje i domysły.

Kto mógł majstrować przy samochodzie? Lekarz nie był zachwycony jej pytaniami i z pewnością nie wyrywał się ze zwierzeniami, ale czy próbowałby ją zabić? Adam Harrison bez wahania podzielił się tym, co wiedział o Caroline, dlaczego więc miałby na nią czyhać? Przez chwilę brała pod uwagę, że po namyśle zmienił zdanie, ale nadal nie bardzo wierzyła, żeby posunął się do zabójstwa. A to, że Lyssa Maitland gapiała się na nią z dziwnym wyrazem twarzy, też nie musiało niczego oznaczać.

Poza tym bardzo wiele osób chodziło po mieście, kiedy jej samochód stał zaparkowany przy ulicy. Z większością rozmawiała o Caroline. Niektórzy mówili otwarcie, byli szczerzy, inni dawali wymijające odpowiedzi, pilnowali się. Nikt nie zrobił na niej wrażenia niebezpiecznej osoby, która może stanowić zagrożenie. Tyle że nie sposób rozpoznać nieczemnika w człowieku, który uśmiecha się rozbrawiająco, więc kto byłby w stanie dostrzec kłamstwo pod maską uprzejmości.

To mógł być byle kto. Każdy mógł, nie zauważony, majstrować przy samochodzie.

Wszyscy mieszkańcy Cliffsida... czyżby to była lista podejrzanych?

Zdaniem Joanny problem polegał na tym - doszła do tego po pewnym zastanowieniu - że zbyt łatwo było wyobrazić sobie dowolną liczbę ludzi mających motyw, wynikający z najzwyczajszego „zachowania tajemnicy”. Brak precyzyjniejszych kryteriów stwarzał za wiele możliwości. Większość ludzi ma takie czy inne sekrety, ale które z nich były aż tak ważne, by dla nich zabić? W tak małym miasteczku na pewno nie było ich wiele. Na pewno.

Jednak jeśli by nawet przyjąć, że istnieje tylko kilka, nie zawężało to specjalnie pola poszukiwań, bo Joanna nie wiedziała, czego szukać. Dopóki nie pozna przyczyn zdenerwowania i niepokoju, jakie Caroline okazywała tuż przed wypadkiem, nie miała szans na znalezienie wskazówki dotyczącej tajemnicy, która naprawdę miała znaczenie.

Kiedy na to wpadła, dochodziła właśnie do skraju lasu, skąd widać było posiadłość McKennów. Regan siedziała akurat w altanie na karuzelowym koniku i wpatrywała się w ocean. Rysy jej twarzy, podobnie jak u Scotta, niczego nie wyrażały.

Przez ciebie tu jestem, pomyślała Joanna.

Nagle stało się to dla niej jasne. Aż się zdziwiła, że znacznie wcześniej na to nie wpadła. Była tu z powodu Regan. Sen przywiódł ją do Cliffsida, bo Regan potrzebowała pomocy.

*Nie zostawiaj jej samej.*

Czy była to prośba Caroline, błaganie, które zagnieździło się w jej umyśle, kiedy obie

znalazły się w stanie śmierci klinicznej? Czyżby Caroline z odległości tysięcy kilometrów wołała o pomoc dla swej córki i w straszliwej chwili zgonu przerażona i zdesperowana zdołała jakoś nawiązać kontakt z podświadomością Joanny i przekazać mieszaninę wrażeń i obaw?

Joanna wiedziała, że podświadomość rządzi się własnymi wyjątkowymi prawami. Nierzadko przetwarza informacje w abstrakcyjny, nawet surrealistyczny sposób. Na przykład sny mogą mieć znaczenie dosłowne, ale częściej są symboliczne. Co prawda we śnie Joanny większość obrazów istniała w rzeczywistym świecie, co wskazywało, że ich wymowa nie była do pewnego stopnia metaforyczna.

Rozbijanie się fal o brzeg i oczywiście dom Caroline były realne. Obraz na sztalugach także. I karuzelowy konik. Róże też były na tyle prawdziwe, że przywiodły Joannę do szklarni, gdzie rosły i gdzie jej były kochanek chętnie podzielił się informacjami. Tykanie zegara zaś przywodziło na myśl upływ czasu.

Ale papierowy samolocik? Pozostawał zagadką.

Płaczącym dzieckiem musiała być Regan.

Tylko dla Regan Caroline zrobiłaby wszystko, dlatego sensowne wydawało się, że w ostatnich myślach przed śmiercią zrozpaczony umysł matki zawarł obawę o los córki - zwłaszcza że zgon nastąpił gwałtownie, a ona wiedziała, że dziecku coś zagraża.

Ale co? Z jakiego powodu Regan potrzebowała pomocy Joanny? Bo rozpacziała po matce? Nie, z pewnością nie. Sen nie zawierałby takiego ładunku strachu, gdyby Caroline tylko o to chodziło. Ponieważ mała znalazła się w niebezpieczeństwie? Bo coś, co tak strasznie przerażało Caroline, łączyło się jakoś z dziewczynką lub zagrażało jej bezpieczeństwu? To brzmiało znacznie sensowniej, przynajmniej w porównaniu z innymi hipotezami. W ten sposób bardziej prawdopodobne wydało się, że jakaś cząstka świadomości Caroline przetrwała moment śmierci, by dotrzeć do Joanny. Niewiele jest na świecie zjawisk tak potężnych i wszechogarniających jak miłość matki do dziecka, a strach o potomstwo nieraz sprawiał, że matki przekraczały granice normalnych możliwości, gdy zachodziła konieczność obrony ich dzieci.

*Nie zostawiaj jej samej.*

Czy jednak rozumiała to dosłownie, że Joanna powinna przebywać z Regan? Czy małej groziło fizyczne niebezpieczeństwo? A może Caroline myślała o rodzaju bliskości, która złagodziłaby obojętność ze strony ojca?

- Cholera, co mam począć? - Joanna wymamrotała do siebie, wiedząc, że musi coś zrobić.

Nie powiedziała tego głośno, ale w tej samej chwili Regan obróciła głowę, a jej mała twarzyczka natychmiast się rozjaśniła. Uśmiechnęła się z wyjątkowym wdziękiem i wymówiła imię „Joanna” z wyraźną przyjemnością.

- Witaj, Regan. - Joanna przeszła po trawie, weszła do altany i oparła się o balustradę obok konika. - Co słysząc?

Regan wzruszyła lekko ramionami. Uśmiech nadal pozostawał na jej ustach.

- Wszystko dobrze. Sie... siedziałam wczoraj przez chwilę w samochodzie taty.

Niezły wyczyn, jak na dziecko bojące się samochodów. Joanna uśmiechnęła się do niej.

- Cieszę się. Przewyciężanie własnych lęków dowodzi odwagi. Mama byłaby z ciebie bardzo dumna.

- Tobie pierwszej o tym mówię - zwierzyła się Regan.

- Nie pochwaliłaś się ojcu?

- Nie. On ma to w nosie.

Joanna zawahała się.

- Mało znam twojego tatę, Regan, ale jestem przekonana, że na pewno go to obchodzi.

- On się nikim nie przejmuję. Mama tak mówiła.

- Czy... tak właśnie ci powiedziała?

- Nie. - Regan zmarszczyła lekko czoło. - Słyszałam, jak mówiła to tacie.

- Regan - Joanna zaczęła łagodnie. - Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale dorośli mówią sobie czasami rzeczy, które nie zawsze są prawdą. Zwłaszcza kiedy się złością. To, że mamie i tacie nie najlepiej się układało, nie znaczy, że obojgu na tobie nie zależało.

- Mama wcale nie krzyczała na tatę, kiedy mu to powiedziała. - Czoło Regan zmarszczyło się jeszcze bardziej.

- Czy kiedykolwiek krzyczała, kiedy była zła?

- Nie.

- Zatem mogła być zdenerwowana, gdy mu to mówiła, prawda? Chociaż nie krzyczała?

- Chyba tak. - Regan wzruszyła ramionami.

- A czy tobie kiedykolwiek powiedziała, że tacie na nikim nie zależy?

- Nie.

- Posłuchaj, Regan. - Joanna uśmiechnęła się do niej. - Staram ci się wytłumaczyć, że to, co czasami słyszysz, nie zawsze ma takie znaczenie, jak sobie wyobrażasz. Twój tato jest prawdopodobnie człowiekiem, który nie pokazuje po sobie, co naprawdę odczuwa, ale to nie

jest jednoznaczne z tym, że niczego nie czuje. Nie musisz być zła na tatę tylko dlatego, że mama była czasami na niego zła.

- To dlatego chcę krzyczeć na niego przez cały czas, Joanno? - zapytała Regan innym tonem. - Bo jestem na niego zła? Bo wolałabym... żeby to on umarł zamiast mamy?

Pytanie nie zaskoczyło Joanny. Zrobiło jej się po prostu żal tego dziecka, i to tak bardzo, że czuła ucisk w gardle i z trudem dobywała głos.

- Słoneczko, moim zdaniem wolałabyś, żeby w ogóle nie było wypadku. Nie chcesz, żeby tatuś umarł, pragniesz jedynie powrotu mamy. Dobrze wiesz, że to niemożliwe, dlatego musisz być na kogoś zła. Na pewno uważasz, że skoro jest twoim tatą, powinien obronić mamę, prawda? Nie powinien dopuścić, żeby ten wypadek się wydarzył.

Regan w milczeniu potwierdziła skinieniem głowy. Do oczu nabiegły jej łzy.

- Znam to uczucie. Tak samo myślałam o moim tacie, kiedy ich łódka zatonięła. Obwinałam go bardzo długo, bo nie miałam na kogo zrzucić winy. Ale, Regan, mój tata zrobił, co mógł, żeby uratować mamę. A gdyby twój był tam wtedy, na pewno dałby z siebie wszystko, żeby ją ocalić. Tyle że go tam nie było. Znajdował się o wiele kilometrów od tego miejsca, w waszym domu, i nawet nie wiedział, że może jej się stać coś złego. Jak mógł ją uratować? W jaki sposób zdołałby jej pomóc?

- Ciągle jestem na niego zła, Joanno - odparła Regan po dłuższym milczeniu.

- Wiem, kwiatuszku. Spróbuj jednak to przemyśleć i zrozumieć, że twoja mama zginęła, ale nie ma w tym jego winy. Z upływem czasu przejdzie ci złość na niego. Czas sprawi, że to wszystko nie będzie już takie bolesne.

- Nie będzie? Naprawdę? - W dziecięcym głosiku dało się słyszeć zdezorientowanie, co niemal złamało Joannie serce.

- Masz na to moje słowo. Nigdy nie przestaniesz tęsknić za mamą, ale z czasem ból złagodnieje.

- Ciągle tęsknisz za mamą i tatą?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- Bardzo. Teraz jednak to już nie boli. Zawsze będę smutna i nie przestanę żałować, że nie ma ich przy mnie, ale nie płaczę już w poduszkę przed zaśnięciem.

- Ja płaczę - wyszeptała Regan. - Każdej nocy.

- Dobrze jest czasami popłakać, kwiatuszku. Nie cierpi się wtedy tak bardzo.

Regan pokiwała głową i ponownie zamilkła. Wpatrywała się we własne dłonie, którymi gładziła chromowaną żerdź umieszczoną tuż przed siodełkiem konika. Nagle obróciła głowę. Jej twarz była bardzo poważna.

- Miałaś wczoraj wypadek, prawda?

Chociaż Joanna była zadowolona ze zmiany tematu, trochę się przestraszyła. Spodziewała się, że dorośli mieszkańcy Cliffside będą plotkować, ale Regan żyła przecież jakby odcięta od miasta...

- Skąd, u licha, wiesz?

- Słyszałam, jak dziś rano pani Porter mówiła o tym pani Ames - odpowiedziała Regan, wymieniając nauczycielkę i gospodynię w odpowiedniej kolejności. - Joanno... nic ci się nie stało?

- A jak myślisz? - Joanna uniosła ręce i uśmiechnęła się.

Jeszcze przez chwilę Regan pozostawała poważna, ale kiedy dokończyła uważnych oględzin, pokiwała głową i uśmiechnęła się.

- Wygląda, że nic ci nie jest. Cieszę się.

- Ja też. Widzisz, nie było to aż takie groźne. Musiałam po prostu zjechać na pastwisko i rozwaliłam kilka stogów siana.

- Jak to dobrze, że nie było tam akurat koni pana Cooka - zauważyła Regan.

- Zgadzasz się z tobą - powiedziała Joanna ciepło.

Patrzyła przez chwilę na dziewczynkę, zastanawiając się, jak najlepiej z nią postępować. Nadal niezręcznie się czuła na samą myśl o wypytywaniu małej o matkę, ale mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziała, od kogo innego mogłaby się czegoś dowiedzieć. Przypuszczała, że Scott nie będzie miał ochoty na rozmowę o żonie.

Samotny dom nad urwiskiem był przecież jednym z elementów jej snu i bez trudu mogła założyć, że nie stanowił jedynie wskazówki do odnalezienia miejsca, gdzie Caroline mieszkała, a teraz przebywała Regan.

- Joanno?

- Przepraszam. - Joanna zamrugła i uśmiechnęła się. - Zamyśliłam się.

- Mama mówiła, że w tym miejscu dobrze się myśli - powiedziała Regan i ponownie zapatrzyła się w morze. - Przychodziła tu, kiedy chciała być sama. Czy... czy ona ciągle tu jest, Joanno? Czuwa nade mną?

- Nie wiem, czy tu jest - odrzekła ucziwie Joanna. - Ale jestem pewna, że czuwa nad tobą, Regan. Bardzo cię kochała.

Obie usłyszały odległy dźwięk dzwonu.

- Nie będzie ci przeszkadzało, że pójdę razem z tobą do domu? - spytała Joanna, zanim Regan zdążyła się odezwać. - Chciałabym porozmawiać z twoim tatą, jeśli jest w domu.

- Jest.

Joanna była pewna, że Griffinowi by się to nie spodobało. Nazwisko Scotta McKenny znajdowało się na liście podejrzanych. Szeryf z pewnością rozpętałby piekło, gdyby się dowiedział, że sam na sam (na co zresztą miała nadzieję) rozmawiała z tym mężczyzną. Z drugiej strony czuła się nieswojo w tej sytuacji, bo nie mogła wykluczyć, że to właśnie Scott usiłował ją zamordować poprzedniego dnia.

Nie straciła jednak pewności, że potrafi odkryć prawdę o Caroline, dlatego jeśli chciała to osiągnąć, musiała spotkać się ze Scottem. On najlepiej znał żonę, niezależnie od tego, czy ją kochał, czy nie. Mieszkał z nią przez ponad dziesięć lat, a nawyki i rutyna codziennego życia najlepiej obrazują prawdziwy charakter każdego człowieka.

Joanna i Regan szły obok siebie przez niewielki zagajnik oddzielający altanę od ogromnego domu. Kiedy się do niego zbliżały, Joanna próbowała wymyślić, co powie Scottowi.

*Kochałeś żonę?*

*Jesteś odpowiedzialny za jej śmierć?*

*Próbowałeś mnie zabić?*

Gdy przemierzały nieskazitelnie utrzymany trawnik, Joanna nadal nie była pewna, jak zagać rozmowę. Po schodach weszły na werandę. Regan poprowadziła ją przez frontowe drzwi do uroczego, choć bardzo wytwornego przedpokoju, a potem korytarzem ku schodom po lewej stronie.

- Tędy idzie się do jego biura - powiedziała przez ramię do Joanny. - Gabinet Dylana jest na końcu korytarza, ale on chyba jest w mieście. Lyssa przychodzi tu czasami. Tato jest teraz sam. Zaprowadzę cię, a potem pójdę do pani Porter.

Joanna nie sprzeciwiła się. Choć było jej trochę smutno, kiedy Regan otworzyła drzwi pokoju ojca i po prostu oznajmiła:

- Joanna przyszła się z tobą zobaczyć.

Scott, który był sam w gabinecie, wstał zza biurka i popatrzył na Joannę ze zwykłą sobie obojętnością.

- Wejdz, proszę, Joanno.

Jak powiedział pająk do muchy, pomyślała.

Właściwie tak powinna się czuć, ale z jakichś powodów jej obawy zniknęły. Nie umiałyby tego wytłumaczyć, nawet tego nie rozumiała, ale w najmniejszym nawet stopniu nie obawiała się Scotta.

- Zobaczymy się później - powiedziała Regan, spoglądając na nią.



- Jasne - odparła i popatrzyła za dziewczynką, która odwróciła się i odeszła, nie zamieniwszy z ojcem ani słowa.

Joanna zamknęła drzwi i podeszła do jednego z foteli stojących przed sporym biurkiem Scotta. Wygląd pokoju jej nie zdziwił. Był schludny, urządzone z myślą o funkcjonalności, „męski” - na półkach stały kosztowne oprawione w skórę książki, drewniana podłoga lśniła. Biurka nie zaśmiecały żadne papiery.

- Myślisz, że to mądrze, tak często spotykać się z Regan? - zapytał.

- Czyżby cię to obchodziło?

Przez krótką chwilę Scott wydawał się zaskoczony jej odpowiedzią, ale szybko się z tego otrząsnął i powiedział coś, czego Joanna wolałaby nie słyszeć.

- Punkt dla ciebie. Usiądź, proszę, Joanno.

Jak mógł w ogóle nie interesować się małą? Joanna nie potrafiła tego pojąć. Usiadła i patrzyła, jak on zajmuje miejsce za biurkiem. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda się jej zrozumieć tego nieprzystępnego mężczyznę.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie.

- Chciałabym porozmawiać o Caroline - oznajmiła Joanna, zdecydowana iść na całość.

Scott odchylił się w fotelu i wpatrywał w nią, zupełnie nie zdziwiony ani jej prośbą, ani niespodziewanym zjawieniem się u niego w domu.

- Czy mogłabyś wytłumaczyć, skąd to nadmierne zainteresowanie moją żoną?

- Moim zdaniem nie jest nadmierne. Na początku interesowałam się nią ze względu na nasze fizyczne podobieństwo.

- Na początku. A teraz?

- Teraz... - Joanna pokręciła głową. - Nie umiem tego wytłumaczyć. Gdybym spróbowała, wziąłbyś mnie za wariatkę.

- Może jednak spróbuj - zachęcił.

Joanna zawahała się. Oceniała w myślach, ile ryzykuje, zdradzając mu zbyt wiele, i jakie informacje może w zamian zyskać. Problem polegał dodatkowo na tym, że narażając się na niebezpieczeństwo zaufania nieodpowiedniej osobie - na przykład mordercy - nie miała żadnej pewności, że Scott wyjawii jej coś istotnego. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że wiedział bardzo dużo o Caroline i było jasne, że niczego nie powie, dopóki nie pozna powodów jej ciekawości.

Griffinowi na pewno się to nie spodoba.

- Byłeś w mieście wczoraj po południu? - zapytała.

- Nie. Dlaczego pytasz? - Uniósł brew ze zdziwienia.

- Dzień spędziłeś w domu?

- Nie, w Portland. - Ton jego głosu zdradzał niewyczerpane pokłady cierpliwości. - Firma prawnicza zajmuje się tam moimi sprawami, musiałem przejrzeć dokumenty. Wróciłem wczoraj wieczorem około dziewiętnastej. Zapytam ponownie: dlaczego o to pytasz?

Joanna pomyślała, że jego alibi jest łatwe do sprawdzenia. Choć nie mogła wykluczyć, że wynajął kogoś do odwalenia brudnej roboty, uznała, że to mało prawdopodobne.

- Ktoś majstrował przy moim samochodzie - wyjaśniła. - Pedał gazu się zablokował i nie mogłam zatrzymać wozu. Przez miasto przejechałam jak rajdowiec. Gdyby nie udało mi się skręcić na pastwisko i wyhamować na kilku stogach siana, najpewniej już bym nie żyła.

Tym razem Scott uniósł obie brwi.

- Podejrzewasz mnie, Joanno? Pomijając fakt, że nawet nie potrafię wyobrazić sobie, dlaczego miałbym cię skrzywdzić, nie mam zielonego pojęcia o samochodach, umiem jedynie prowadzić.

- Rozumiem.

- Może chodzi po prostu o zwykłą awarię?

Joanna ponownie się zawahała, w myślach przeprosiła Griffina (choć wcale jej to nie polepszyło samopoczucia) i powiedziała:

- Jesteśmy pewni, że to celowa robota. Oznaczałoby to, że ktoś próbował mnie zabić. Z tego wynika, że Amber Wadę została zamordowana w niedzielę w nocy, bo pomyłono ją ze mną. Z tyłu byliśmy do siebie tak podobne, że logicznie rzecz biorąc, nie można tego wykluczyć, na dodatek nie wiadomo, dlaczego ktoś chciałby ją zabić.

- Narobiłaś tu sobie wrogów? - zapytał Scott, marszcząc lekko czoło.

- Zadawałam jedynie pytania o Caroline.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zachmurzył się.

- Chcę powiedzieć, że śmierć Caroline to niekoniecznie był wypadek, jak wskazywałyby pozory. W ostatnim tygodniu jej życia coś się wydarzyło. Denerwowało to ją, bała się.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Składałam w całość wszystkie elementy łamigłówek od chwili przyjazdu do Cliffsides. Rozmawiam z ludźmi, wypytyuję. Jak do tej pory nie udało mi się ustalić, o co chodziło, ale wiem, że coś się działo. - Przerwała na chwilę, a potem zapytała: - Czy przed śmiercią zachowywała się jakoś inaczej?

Scott nadal był zachmurzony, ale odpowiedział niemal natychmiast.

- Byłem wtedy bardzo zajęty przez cały tydzień. Niewiele się widywaliśmy. Ale... w dniu jej śmierci, mniej więcej na godzinę przed wypadkiem, wyrząłem przez okno i widziałem, jak wyjeżdżała. Pomyślałem, że albo była zła, albo czymś zdenerwowana, bo silnik aż zawył, a ona ruszyła z miejsca znacznie szybciej niż zwykle.

Joanna zastanowiła się nad tym przez moment. Caroline przesłała wcześniej Griffinowi wiadomość, co wskazywałoby, że chciała się z nim podzielić swoimi problemami. Najprawdopodobniej spaliła za sobą mosty i w rezultacie tamtego dnia była bardzo zdenerwowana, a może nawet przerażona.

Nie mogła jednak wykluczyć, że coś wydarzyło się tutaj tuż przed wyjazdem Caroline na spotkanie z Griffinem, coś, co mogło jeszcze bardziej wyprowadzić ją z równowagi.

Popatrzyła Scottowi prosto w oczy.

- Nie pokłóciliście się wtedy?

- Nigdy się nie kłóciliśmy - odpowiedział Scott.

- Nigdy? Aż trudno mi uwierzyć.

- Ale uwierz. - Scott uśmiechnął się, ale nie był rozbawiony. - Żeby dwoje ludzi mogło się kłócić, muszą żywić do siebie jakieś uczucia.

- A was żadne nie łączyły?

Scott wzruszył ramionami.

- Czasami tak bywa.

- To dlaczego zostaliście razem? Z powodu Regan?

- Nie. Po prostu nie musieliśmy się rozwodzić.

Dla Joanny nie stanowiło to przekonującego powodu, by trwać w małżeństwie mimo braku miłości. Ledwie potrafiła to zrozumieć. Poza tym chyba nie do końca uwierzyła Scottowi. Widać było na pierwszy rzut oka, że jest dumny a tacy mężczyźni na ogół nie tolerują zdrad żony, choćby najbardziej dyskretnych. Chyba że niczego nie wiedzą.

- Tego dnia, kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że jesteś „czarnym charakterem” - przypomniała mu. - To prawda?

- Caroline była o tym przekonana, to pewne. - Wzruszył ramionami. - Powtarzała, że jestem niezdolny do uczuć. I że nie zależy mi na nikim poza samym sobą. Nie potrafiłem jej uszczęśliwić.

- Bo nie wielbiłeś jej na klęczkach? - spytała szeptem Joanna.

Odrobinę zmrużył oczy, jakby poruszyła czuły nerw.

- Nie potrafiłem jej uszczęśliwić - powtórzył jedynie.

Joanna zamyśliła się nad tym. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie trafiła w

dziesiątkę. Jeżeli doświadczenia Adama Harrisona z Caroline nie były wyjątkowe, to zdaje się lubiła, kiedy mężczyźni obsesyjnie się w niej kochali i jej pożądali, ona zaś coraz bardziej się tym nudziła i w końcu ich rzucała. Czy o to chodziło? Czy Scottowi udawało się zatrzymać żonę przy sobie tylko dlatego, że był taki nieprzystępny i z zimną obojętnością traktował jej romanse? Czyżby jako jedyny mężczyzna w jej życiu tak dobrze ukrywał swą miłość, że nawet się tego nie domyślała?

Z tego, co usłyszała od Regan, mogła wywnioskować, że jego powściągliwość na pewno ją drażniła i prawdopodobnie frustrowała. Mając męża odpornego na jej urok, mogła w zasadzie uznać małżeństwo za rodzaj wyzwania. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby kochał ją tak bardzo i tak otwarcie jak Adam Harrison.

Joanna nie chciała żyć w takim związku - tego była pewna. Ciekawiło ją, czy Scottowi to wystarczało. Może nawet jeśli wiedział o jej skokach w bok, pocieszał się, że żadnemu innemu mężczyźnie nie udało się z nią tak, jak jemu - bo tylko jego nie potrafiła zniszczyć emocjonalnie.

Czy tak brzmiała odpowiedź?

Joanna przestała błędzić myślami i zapytała obojętnym tonem:

- Mogła mieć jakiś romans?

- To prawdopodobne - odparł Scott bez wahania i bez żadnego zakłopotania. - Nie mam jednak zielonego pojęcia, z kim.

- Nie przeszkadzało ci to?

Scott wzruszył ramionami.

- Akceptowałem Caroline taką, jaka była, Joanno. Już na początku... naszego małżeństwa stało się jasne, że jeden mężczyzna nie zdoła zaspokoić jej potrzeb. Nie ukrywała tego przede mną. Jej romanse okazywały się zwykle krótkotrwałe i miała je stosunkowo rzadko. Wątpię, by w trakcie naszego małżeństwa spotykała się z więcej niż pięcioma, sześcioma facetami. Dopóki nie było plotek, godziłem się na to.

Joanna skinęła głową. Nadal nie bardzo wiedziała, czy dobrze oceniła ich małżeństwo, ale nie była jeszcze gotowa do zadawania dalszych pytań lub wygłaszania komentarzy.

- Czy powiedziałaaby ci, na przykład, gdyby coś w takim związku układało się niedobrze? Gdyby z jakiegoś powodu bała się kochanka?

Scott ponownie zmarszczył czoło.

- Bała się? Bo ja wiem, nie sędzę. Nie rozmawiała ze mną o nich. Moja akceptacja nie oznaczała, że chcę znać szczegóły, zresztą dałem jej to jasno do zrozumienia. Nigdy jednak nie zauważyłem u niej śladów mogących świadczyć, że ktoś robił jej krzywdę.

- Nie domyślasz się, dlaczego była taka zdenerwowana w tygodniu poprzedzającym śmierć?

- Nawet nie wiedziałem, że była zdenerwowana. Tak jak mówiłem, rzadko się widywaliśmy. - Przerwał na chwilę. - Jesteś przekonana, że jej śmierć nie była przypadkowa?

- Tak - odpowiedziała spokojnie, ale stanowczo Joanna. - I jestem przekonana, że ktoś próbował mnie zabić, bo za bardzo się zbliżyłam do poznania przyczyn śmierci Caroline. Niezależnie, czy pośrednio, czy bezpośrednio, ktoś przyczynił się do tego, że jej samochód spadł z urwiska. Muszę się dowiedzieć, kto.

Scott wpatrywał się w jej twarz przez dłuższą chwilę, a potem uciekł wzrokiem.

- Przykro mi, ale nie umiem ci pomóc. - Wstał z miejsca.

Najwyraźniej ją odprawiał.

Joanna mogłaby zaprotestować, ale się powstrzymała. Podniosła się z fotela.

- Czy Caroline prowadziła dziennik albo pamiętnik?

- Nie.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie.

Skinęła głową, a kiedy obchodził biurko, żeby podejść bliżej, wyciągnęła do niego rękę.

- Nie rób sobie kłopotu. Trafię do wyjścia.

Scott skinął na pożegnanie głową, ale zamiast wrócić do biurka, stanął przy oknie i zaczął wyglądać na zewnątrz.

Joanna zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego.

- Wiesz, to śmieszne, ale ze wszystkich mieszkańców miasteczka, wszystkich ludzi, którzy znali Caroline, ciebie jednego nie zaszokował mój widok, nie byłeś nawet zdziwiony, kiedy się spotkaliśmy.

- Ostrzeżono mnie - powiedział, nawet na nią nie patrząc. - Spodziewałem się ciebie.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Inni też byli uprzedzeni, mimo to nadal stawali jak wryci na mój widok. Ale nie ty. Moim zdaniem po prostu nie dostrzegłeś zbytniego podobieństwa, bo znałeś ją na wylot, lepiej niż ktokolwiek. Nie musiałeś czekać, aż mnie zobaczysz, żeby przekonać się o różnicach. Nie jestem Caroline i ty świetnie o tym wiedziałeś. Czułeś to, bo ją kochałeś.

Scott ani się nie odwrócił, ani nie zareagował w inny sposób. Powiedział tylko:

- Do widzenia, Joanno.

Czyżby poruszyła czułą strunę? Joanna nie miała pojęcia. Kiedy jednak wyszła z

domu, nie spotykając nikogo po drodze, uległa impulsowi, którego nie umiała wytłumaczyć, i przeszła do rogu budynku, skąd widać było okno biura Scotta. Dziwne, ale nie zaskoczyło jej to, że okno, w którym stał, wychodziło na różany ogród, na pewno bardzo piękny wiosną i latem.

- Myślam, jesteś zupełnie gdzie indziej - powiedziała Lyssa, zamykając skoroszyt z wykazem inwentaryzacyjnym sklepu i odchylając się do tyłu w fotelu Scotta przy biurku.

Nie dość, że interesy zdawały się go w ogóle nie obchodzić, to najwyraźniej w świetle okazywał niepokój - co było dla niego bardzo nietypowe. Patrzyła, jak po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut podchodził do kominka.

- Inwentaryzacją możemy zająć się później - oświadczył. Lyssa chciałaby myśleć, że jest winna jego rozkojarzeniu, ale nie była aż tak naiwna. Ledwie na nią spojrział od czasu, kiedy przyszła godzinę temu.

- Musimy przejrzeć to wszystko w miarę szybko, żeby się zorientować, co księgowi będą mieli do roboty w przyszłym miesiącu - przypomniała mu.

Wzruszył ramionami i zachmurzony wpatrywał się w płomienie.

- Stało się coś złego? - zapytała niepewnie, świadoma, że łamie ich niepisane zasady.

- Nie.

Zawahała się, ale za chwilę powiedziała:

- Jeśli chcesz, mogę zostawić cię samego.

- Mieliśmy zjeść razem obiad - przypomniał.

Był to jeden z wieczorów, kiedy zazwyczaj jechali w kierunku Portland i wstępowali na obiad gdzieś po drodze, zostawiając opiekę nad Regan w kompetentnych rękach pani Ames.

- Ale nie musimy.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie.

- Jestem trochę zmęczony.

- Nie ma sprawy. - Lyssa zręcznie ukryła rozczarowanie za uprzejmym uśmiechem. - Muszę jeszcze tylko przerzucić na twardy dysk pliki z kilku dyskietek, które przyniosłam. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli popracuję tu przez godzinkę?

Miała co prawda komputer w sklepie i laptop w domu, ale wszystkie dane dotyczące interesów Scotta znajdowały się w jego komputerze - zwłaszcza te, które miały największe znaczenie przy corocznym sprawdzaniu ksiąg rachunkowych.

- Nie, rób swoje - usłyszała. A potem Scott w niespodziewanym przyływie energii odwrócił się od kominka i ruszył w stronę drzwi. - Zostawię cię z tym samą.

Nie dał Lyssie szans na pożegnanie się lub choćby krótkie „dobrze”. Nagle znalazła się sama w jego gabinecie.

- Trzymaj się - wymamrotała.

Przygotowanie komputera do przepisania danych z dyskietek zajęło jej kilka minut. Kiedy maszyna pracowała, cicho szumiąc, Lyssa nie miała nic do roboty. Nudziła się przez krótką chwilę, a potem zakłęła pod nosem, wstała od biurka i wyszła z pokoju.

Zdawała sobie sprawę, że ponownie odstępuje od ustalonego scenariusza, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Nigdy jeszcze nie widziała Scotta tak poruszonego, dlatego postanowiła, że musi się dowiedzieć, co się dzieje. Weszła po schodach na górę. Zachowywała się bezgłośnie, bo w całym domu panowała cisza, poza tym Scott zdecydowanie nie byłby zachwycony, gdyby ją na tym przyłapał.

Skręciła w korytarz prowadzący do jego sypialni, zatrzymała się jednak raptownie, zaskoczona widokiem szeroko otwartych drzwi do sypialni Caroline. Od jej śmierci nikt się do nich nie zbliżał, nikt też nie wchodził do tego pokoju.

Skradając się, Lyssa podeszła bliżej, a to, co zobaczyła, złamało jej serce. Scott siedział na łóżku w bardzo kobieco urządzonego pokoju i trzymał w rękach jej koszulę nocną. Miał pochyloną głowę. Lyssa patrzyła, jak unosi zielony materiał do twarzy, najwyraźniej wdychając resztki zapachu żony, jakie się tam utrzymywały. Nagle jego szerokie ramiona zdrząły, a z gardła wydarł mu się głęboki, zachrypnięty jęk rozpacz.

Lyssa wycofała się i niemal na oślep wróciła korytarzem. Przystanąła obok schodów z załzawionymi oczami, utkwionymi gdzieś w przestrzeń.

- Niech cię szlag trafi, Caroline - wyszeptła.

## Rozdział trzynasty

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

Joanna siedziała na krześle dla petentów w pokoju Griffina, kiwając głową z pełnym zrozumieniem i skruchą. Zasłużyła na jego złość.

- Wiem, zachowałam się jak idiotka.

- Skoro wiesz, dlaczego to zrobiłaś, Joanno? Scott jest dla mnie nadal podejrzany, a ty idziesz do niego jakby nigdy nic i uczynisz sobie z nim pogawędkę, sama! Na dodatek opowiadasz mu o wszystkim, co braliśmy pod uwagę jako możliwe...

- Wiem - powtórzyła. - Już wtedy pomyślałam, że nie będziesz zadowolony. Ale, Griffinie...

Uniósł rękę, żeby jej przerwać, a potem policzył w myślach do dziesięciu - co było niemal widoczne. Może do dwudziestu. Zmienił pozycję na krześle i wziął głęboki wdech.

- Cholera jasna! Mam jedynie nadzieję, że podasz mi jakiś naprawdę ważny powód takiego postępowania. Nie żartuję, Joanno. Jeśli Scott jest jakoś powiązany ze śmiercią Amber, mogłaś po prostu zepsuć całe śledztwo.

- Nie jest.

- Och? Przypuszczam, że sam ci to powiedział?

- Nie musiał. - Joanna się uśmiechnęła. - Griffinie, wściekniesz się, jak to usłyszysz, ale jestem przekonana, że Scott nie miał nic wspólnego ze śmiercią Caroline ani Amber. Nie potrafię tego dowieść, ale po prostu wiem.

Griffin zamknął na chwilę oczy, a potem je otworzył.

- Chciałbym zobaczyć twarz sędziego, kiedy przedstawiś mu takie dowody - powiedział.

Joanna poczuła się lepiej, bo jego głos stał się zdecydowanie przyjemniejszy, niż był kilka minut wcześniej.

- Posłuchaj, muszę polegać na intuicji, a ona podpowiada mi, że Scott tego nie zrobił. Oczywiście, nie byłam tego pewna aż do chwili, gdy usiadłam przed nim w jego biurze i porozmawialiśmy. Wiedziałam, że prędzej czy później okoliczności zmuszą mnie do tej rozmowy, więc uznałam, że im wcześniej, tym lepiej. Musiałam... coś zrobić, a wtedy to wydało mi się najrozsądniejsze.

Griffin westchnął.



- Powiedział ci coś, co mogłoby się nam przydać?

- Niezupełnie. - Zastanawiała się przez minutę, a potem wzruszyła ramionami. - Wydaje mi się, że teraz trochę lepiej rozumiem jego związek z Caroline. Niestety, nie wiedział, dlaczego była zdenerwowana, zanim zginęła. Nawet tego nie zauważył. Dam głowę, że zaskoczyłam go, mówiąc, że jej śmierć mogła nie być zwykłym wypadkiem.

- Nie ma dobrego alibi na czas obu zabójstw - przypomniał jej Griffin.

- Może i nie, ale wczoraj, kiedy ktoś grzebał przy moim samochodzie, był w Portlandzie. Cały dzień załatwiał tam interesy. Ma świadków.

- Mógł kogoś wynająć. - Griffin zmarszczył czoło.

- W Atlancie i innych dużych miastach - Joanna uśmiechnęła się - można w książce telefonicznej znaleźć łobuzów do wynajęcia, ale tu? Kogo Scott mógłby nająć do takiej roboty? Pomijając fakt, że musiałby mieć do tej osoby ogromne zaufanie, kto stąd chętnie by mu pomógł?

- Punkt dla ciebie - przyznał Griffin.

- To nie wszystko. Dlaczego Scott chciałby mnie zabić? Bo rozpytywałam o Caroline? Jak na razie nic, czego się dowiedziałam, nie było dla niego tajemnicą, ani też nic z tego nie postawiłoby go w kłopotliwej sytuacji. Bardzo dobrze ją znał, Griffinie.

- W porządku - odpowiedział wolno. - Przyznaję, że Scott był ostatnią osobą, o której pomyślałbym, że stoi na deszczu przed „Gospodą” i czeka, aż wyjdiesz. Zresztą nikt nie widział go w niedzielę w pobliżu hotelu. Przyjmijmy więc, że usuwamy go z listy podejrzanych, przynajmniej do czasu, kiedy wpadną nam w ręce jakieś dowody wskazujące na niego.

- Dobrze. Rozmawiałeś już z Cainem?

- Nie, cholera jasna! Ulotnił się.

- Holly wspominała, że często wyjeżdżał malować w plener, czasami nie było go po kilka dni.

- Wiem, ma taki nawyk. Kazałem zastępcy go znaleźć, ale chociaż szukał cały ranek, nie trafił na jego ślad.

- Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi z miasteczka jest przekonanych, że to on zabił Amber?

Griffin skinął głową.

- Jedno z niebezpieczeństw czyhających na człowieka w małej miejscinie. Skoro raz plotka pójdzie w świat, ludzie szybko wydają wyrok. Staram się nie pogorszyć sytuacji. Zastępca ma zakaz pytania, czy ktokolwiek widział Caina, chodzi po prostu po mieście i ma

oczy otwarte.

- To masz związane ręce, dopóki Cain się nie pojawi?

- Albo dopóki nie wkurzę się do tego stopnia, żeby wysłać za nim list gończy.

Joanna uważnie mu się przyjrzała.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Ależ oczywiście, że bym zrobił. Mam już ekspertyzę mechanika. Ktoś dokonał prawdziwego majstersztyku sabotażu w twoim samochodzie, a Cain mógłby to zrobić z zamkniętymi oczami. Spędza tyle samo czasu na dłubaniu w silniku swojego wozu co na malowaniu. Chcę wiedzieć, gdzie był wczoraj po południu. Chcę wiedzieć, gdzie był w niedzielę w nocy, choć upiera się, że siedział sam w domu. Nie mam zamiaru dłużej czekać na odpowiedzi. Nie wtedy, gdy stawką jest twoje życie.

- Ktoś musiałby być strasznie głupi, żeby jeszcze raz próbować mnie zabić - odparła. - Wczoraj, kiedy nikt nie podejrzewał, że Amber zginęła, bo ktoś wziął ją za mnie, owszem, mógł spokojnie się na mnie zacząć, jej śmierć bowiem w żaden sposób nie wiązałaby się ze mną. Jednak wczoraj mu się nie udało, więc teraz nie może mieć pewności, że nie podejrzewasz sabotażu, co w logicznej konsekwencji mogłoby cię naprowadzić na myśl, że ktoś chciał zabić właśnie mnie, a nie Amber. Dlaczego miałby ryzykować, w dodatku od razu?

- Sama mówiłaś, że kończy nam się czas - przypomniał jej Griffin. - Może on też ma rodzaj nieprzekraczalnego terminu. A może po prostu się boi, że odkryjesz jego tajemnicę.

Joanna westchnęła i spojrzała na poobgryzane paznokcie - jawny dowód zdenerwowania, bo trudno byłoby uznać je za objaw skutecznego działania.

- Nie musi się niczego obawiać. Wszystko wskazuje na to, że nie zbliżyłam się ani trochę do rozwiązania. - Milczała przez chwilę, podczas gdy Griffin się w nią wpatrywał. - Nie wiedząc, z kim miała romans tuż przed śmiercią, nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

- No cóż, tymczasem ja ruszyłem innym tropem. Wspominałaś, że twoim zdaniem nasz turysta, który zginął na wiosnę, mógł zapoczątkować bieg wszystkich wydarzeń, dlatego kazałem swoim ludziom dokładnie go sprawdzić. Prosiłem, żeby zwrócili szczególną uwagę na powiązania, choćby bardzo nikłe, Roberta Butlera z kimkolwiek z Cliffside.

- Doskonały pomysł. Znaleźli coś?

- Jeszcze nie. Zabierze im to pewnie co najmniej dzień lub dwa. Jeśli zajdzie potrzeba, jestem gotów wysłać kogoś do San Francisco. Jeżeli istniał jakiś związek, muszę go znać.

- Może dzięki temu znajdziemy klucz do całej sprawy - powiedziała Joanna, kiwając

głową.

- Może. - Uśmiechnął się do niej. - A tak przy okazji, masz ochotę na lunch?

- Jasne. Jeśli oczywiście nie jesteś już na mnie zły.

- Oczywiście, że jestem wściekły - odpowiedział, wstając z miejsca. Obszedł biurko i pomógł jej podnieść się z krzesła. - Jeśli nie przestaniesz nadstawiać głowy jak dziś rano, zamknę cię w areszcie. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- Jakie są w nim łóżka? - wyszeptła Joanna, kiedy już odzyskała oddech.

- Paskudne. Poza tym zaszokowalibyśmy policjantów, dlatego nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił, dobrze?

- Będę ostrożniejsza, obiecuję - odparła uśmiechnięta.

- Twoja definicja ostrożności bardzo się różni od mojej - zauważył.

- Przedyskutujemy to w trakcie lunchu - zaproponowała.

Resztę popołudnia Joanna spędziła z Griffinem w komisariacie, ponieważ miała wyrzuty sumienia, że wcześniej go zdenerwowała. Mieli czym się zająć. Griffin po raz pierwszy pokazał jej materiały dotyczące śledztwa w sprawie Butlera, dokumenty związane z wypadkiem Caroline. Joanna była zaskoczona ilością papieru, jaką pochłaniało każde policyjne dochodzenie.

Niestety, zawartość teczek nie zaskoczyła jej. Tak jak mówił Griffin - oba zgony uznano za wynik wypadku i nie istniały żadne dowody, że mogło być inaczej.

Pod koniec dnia zaczęły napływać informacje o Butlerze, ale żadna z nich nie wydała się im przydatna. Pochodziły z oficjalnych archiwów, zawierały dane o tym, gdzie i kiedy się urodził, kim byli jego rodzice, do jakiej szkoły chodził. Nie było w nich niczego szczególnego i zdecydowanie nie wskazywały na jakiegokolwiek powiązania z Cliffside.

O godzinie siedemnastej Griffin uznał, że czas kończyć pracę i zaproponował, żeby pojechali do niego. Ale Joanna odpowiedziała, że ponieważ zaniechali dyskrecji, hotel oferuje kilka udogodnień, które obojgu sprawią przyjemność. Jak choćby obsługa hotelowa. Griffin pomyślał, że w tej sytuacji jego opinia nie zostanie narażona na szwank, kiedy będzie szedł przez hol.

- Chodźmy zatem - zgodził się.

Jego buńczuczne nastawienie na nic się zdało, bo w holu nie było nikogo poza recepcjonistką, która nawet na nich nie spojrzała, gdy przechodzili.

- Kelner z obsługi hotelowej i tak o tym rozpowie - oznajmiła Joanna w windzie.

- Wszystko mi jedno - odpowiedział Griffin. - Mam zamiar otworzyć mu drzwi w

samym ręczniku na biodrach, to dopiero podgrzeje temperaturę plotek.

- Nie odważyłbyś się - skwitowała Joanna.

Odważył się i tak właśnie zrobił. Zmusił Joannę, żeby schowała się w sypialni i nie wychodziła stamtąd, udając, że jest naga, podczas gdy on wpuścił kelnera z kolacją, podpisał rachunek, dał mu sowity napiwek, a potem zniecierpliwiony wypchnął go za drzwi.

- Aż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - powiedziała Joanna i śmiejąc się, przeszła do salonu apartamentu.

Uśmiechnięty Griffin objął ją wpół i przytulił.

- Mówiłem ci, że dziwnie się ostatnio czuję.

Joanna oparła dłonie na jego piersi. Dotyk twardych mięśni sprawiał jej przyjemność. Niejako automatycznie gładziła porastające tors czarne włosy.

- Wiem, ale nie miałam pojęcia, jak daleko możesz się posunąć. - Wciąż nie miała ochoty zastanawiać się nad własnymi uczuciami ani pytać, co on czuje. - Zaczynam dopiero poznawać cię jako kochanka.

- Jako twojego kochanka.

Joanna pomyślała, że to niemal zbrodnia, jak szybko i bez trudu zmieniał ją w bezrozumne stworzenie łaknące tylko jego pieścizot, ale nawet nie próbowała z tym walczyć. Objęła go za szyję, stanęła na palcach, by mocniej się do niego przytulić, rozchyliła usta tuż przy jego wargach.

Jego dłonie zsunęły się na jej pośladki. Dociskał ją do siebie, a ona czuła, jak jego męskość nabrzmiewa.

- Nadal jesteś ubrana - wyszeptał, trzymając usta przy jej wargach.

- Uhm - wymamrotała. - No to zrób coś z tym - zachęciła go. Odsunęła głowę i spojrzała na niego. - Kolacja nam ostygnie.

- Do diabła z nią. Odeślemy ją do kuchni, żeby podgrzali. Kelner i tak się tego spodziewał.

Joanna roześmiała się, ale nie protestowała, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Jak na dwoje inteligentnych ludzi, nie postępowaliśmy zbyt mądrze - powiedział Griffin jakiś czas potem. - Zdaje się, że żadne z nas nie pomyślało o zdrowiu, nie mówiąc już o kontroli urodzin, dobrze mówię? Przepraszam, Joanno, ale w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

Leżeli oboje na sofie w salonie, ubrani w szlafroki kąpielowe, jedli spóźnioną kolację

- nie odesłali jej do kuchni, bo byli głodni, zresztą smakowała im taka, jaka była - i oglądali wiadomości w telewizji.

- Ja też o tym zapomniałam - odpowiedziała. - - Co trzy miesiące mam robiony zastrzyk, bo mój organizm nie toleruje pigułek. Zastrzyki mają tę przewagę, że zabezpieczają nie tylko przed ciążą. - Wzruszyła ramionami. - Co do zdrowia, wiem, że jesteś odpowiedzialnym człowiekiem, dlatego się tym nie przejmowałam. Zeszłego lata po wypadku zrobiono mi wszystkie możliwe badania, w tym badanie krwi. Więc nie musisz się niczego obawiać.

- Nie bałem się, przyszło mi po prostu do głowy, że powinniśmy o tym porozmawiać.

- I miałaś rację. - Pochyliła się i pocałowała go. - W dzisiejszych czasach seks może być niebezpieczny.

Dotknął jej policzka, co często ostatnio robił.

- Dla kobiet nigdy nie było bezpiecznego czasu. To zawsze wy ponosicie konsekwencje.

Joanna zachichotała, kiedy się odsunął.

- Święta prawda. Nie potrafię jednak wyobrazić sobie, jak to wszystko zostało wypaczone. Wiesz, że wyniki ostatnich badań dowodzą, że nasze pojęcie o człowieku pierwotnym jest błędne? Lansuje się teraz teorię, że kiedy nasi przodkowie zajmowali się zbieractwem i łowiectwem, żyli w niewielkich grupach i nie znali ubrań, ich społecznościami najprawdopodobniej rządziły kobiety. W końcu wśród wielu gatunków zwierząt, a zwłaszcza naczelnych, panuje w rzeczywistości matriarchat.

Griffin uśmiechnął się do niej.

- Aha. W takim razie mężczyźni musieli znaleźć sposób przejęcia rządów.

Joanna poważnie pokiwała głową.

- Nie jestem pewna, kiedy i jak nastąpiła zamiana ról, ale gdy już przechwyciliście władzę, nie mieliście najmniejszego zamiaru się nią dzielić. A potem nie wiedzieć kiedy zmuszono nas do wkładania absurdalnych rzeczy, jak gorsety, staniki, buty na wysokich obcasach. Wychodząc za mąż, oddawałyśmy się praktycznie w niewolę. Musiałyśmy wiązać się z mężczyznami, bo ojcowie nie zostawiali nam złamanego grosza ani nieruchomości, a praca zawodowa była dla nas niedostępna. Teraz, kiedy sprawy przybierają lepszy obrót, co się dzieje?

- Co? - zapytał potulnie.

- Jesteśmy bez przerwy krytykowane. - Joanna zmarszczyła czoło. - Albo za to, że pracujemy, albo że nie pracujemy. Że wychodzimy za mąż albo zostajemy starymi pannami.

Że mamy dzieci albo że ich nie mamy. Jeśli kobieta zajmuje wysokie stanowisko, ludzie patrzą na jej strój. Na Boga, kto patrzy na ubrania mężczyzny?

- Najczęściej nosimy ciemne garnitury - zaprotestował Griffin. - Nudne jak diabli.

- Uhm. Może na tym polega problem. Gdybyśmy wrócili do prymitywnych czasów zbieractwa i wszyscy chodzili nago...

- Przy dziurze ozonowej? Zabrakłoby kremów z filtrami.

Joanna roześmiała się wbrew sobie.

- To już nie jest poważna rozmowa, prawda?

- Prawda. - Uśmiechnął się do niej. - Proponuję ci przeprosiny w ciemno za wszystko, co kiedykolwiek zrobiła moja pleć od chwili, gdy staliśmy się męskimi szowinistycznymi świniami. Wystarczy?

- No cóż... Pamiętaj tylko, że mam cię na oku. Dlatego nawet nie próbuj wracać do czasów, gdy kobieta nie miała prawa głosu.

- Tak jest, proszę pani! - Zasalutował ręką, w której trzymał biskopta.

Roześmieli się i zabrali z powrotem do jedzenia, spoglądając przy tym w ekran telewizora. Dopiero po kilku minutach Griffin odezwał się ponownie.

- Joanno...

Joanna wpatrywała się w kość, która została z kurzego udka. Westchnęła i pochyliła się, zęby odłożyć ją na talerz stojący na niewielkim stoliku. Dopiero wtedy usiadła prosto i spojrzała na Griffina.

- Tak?

- Wspomniałaś, że widząc dziś Regan, nabrałaś pewności, że jesteś tu z jej powodu, że masz jej pomóc.

- Niezachwianej. - Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

- W jaki sposób miałabyś jej pomóc?

- Tego nie wiem. Jednak skoro Caroline była na tyle przerażona, by zdobyć się na to, na co się zdobyła, i błagać mnie o opiekę nad Regan, niebezpieczeństwo, w jakim mała się znalazła, musi być poważne, przynajmniej zdaniem jej matki. Mówiąc szczerze, niechętnie opuszczałam dziś dom Scotta, ale powtarzałam sobie, że będę mogła jej pomóc tylko wtedy, gdy odkryję, czego bała się Caroline.

Wpatrujący się w nią Griffin zmarszczył czoło.

- Czemu mam dziwne wrażenie, że martwiąc się o bezpieczeństwo Regan, sama nie jesteś zbyt ostrożna, tak jak bym sobie tego życzył?

Joanna nie uciekała się do wymijających odpowiedzi.

- Gdyby coś przytrafiło się Regan, coś, czemu mogłabym zapobiec, nigdy bym sobie tego nie darowała. Ona nie ma nikogo poza mną, Griffinie. Scott zachowuje się, jakby nic dla niego nie znaczyła. Regan... mnie polubiła. Pewnie dlatego, że jestem podobna do Caroline, ale wolę myśleć, że to pomogło jedynie przełamać pierwsze lody.

- Posłuchaj, zgadzam się, że mała potrzebuje przyjaznej duszy, może nawet obrońcy. Proszę tylko, żebyś o jednym pamiętała. Nie będziesz mogła jej bronić, jeśli tobie coś się stanie.

- Wiem. Będę ostrożna. - Joanna skinęła głową.

Musiał wyczuć smutek w jej głosie, bo uśmiechnął się i objął ją.

- Staję się zbyt opiekuńczy, co? - zapytał.

- No cóż, wystarczyłoby ostrzec mnie raz czy dwa - odpowiedziała poważnie.

- Nie chcę cię stracić, to wszystko.

Pocałował ją, a potem odsunął się i przyjrzał uważnie. Palcem wskazującym obrysował łuki brwi, linię kości policzkowych, nos, usta. Joanna czuła się niemal zahipnotyzowana intensywnością jego skupienia, miała niejasne wrażenie, że wstrzymała oddech.

- Sprawę pogarsza jeszcze fakt, że tak naprawdę cię nie mam - wyszeptał, nadal gładząc palcem jej twarz, jakby chciał nauczyć się jej na pamięć. - Między nami... istnieje dystans, granica, której nie pozwalasz mi przekroczyć. Co to jest, Joanno? Dlaczego to ukrywasz?

Joanna starała się koncentrować na jego słowach, a nie trochę ochrypłym głosem, który działał na nią jak pieszczota.

- Znam cię zaledwie tydzień, Griffinie, i tyle się wydarzyło. Potrzebuję... trochę czasu i tyle.

- Tylko to?

- Nie - odrzekła szczerze. - Chodzi o... wszystko. Nie umiem ci wytłumaczyć, jak bardzo to, co się tu dzieje i działa przed moim przyjazdem, zaprzęta mi myśli. Sny, pytania, możliwości. Czasami to strasznie męczy. Znalazłam się tu z konkretnego powodu, zostałam niejako zmuszona do przyjazdu i nie mam teraz... sił na wykrzesanie czegoś więcej. To nie ma nic wspólnego z tobą. Chodzi o mnie.

Dotknął jej twarzy i wolno pogładził kciukiem dolną wargę.

- W takim razie chyba jeszcze przez jakiś czas muszę być cierpliwszy.

Joanna prawdopodobnie odpowiedziałaby coś, podziękowała albo zgodziła się, że tak będzie najlepiej, ale on znowu ją całował. Tym razem nie była to zwykła pieszczota.

Natychmiast i w niej obudziło się pożądanie. Zareagowała instynktownie, jak kwiat otwierający się ku słońcu.

Przestała myśleć, pograżając się w tym stanie na wiele godzin. Kiedy leżeli już obok siebie, ciasno przytuleni w ciszy nocy, Joanna wiedziała już na pewno, że nie potrzebuje więcej dowodów na to, że Griffin ją kocha.

Potrzebowała natomiast czasu, by zrozumieć, kim była dla niego Caroline, i wyrzucić tę kobietę z własnych myśli.

A może też... i jego?

Griffin wyszedł rano, bo musiał być wcześniej w pracy. Joanna zaplanowała, że przejdzie się później do miasta, wstąpi do biblioteki, porozmawia z panią Chandler i załatwi kilka spraw. Obiecała, że będzie ostrożna.

Około dziesiątej wyszła z hotelu. Rozbawiło ją, jak wiele osób w holu zerkało na nią ukradkiem, kiedy przechodziła. Zatem albo kelner był gadułą, albo Griffinowi nie udało się rankiem niezauważenie opuścić hotelu. A może po prostu jego samochód stojący przez całą noc na parkingu hotelowym dał wszystkim wiele do myślenia.

Między ludźmi trudno o dyskrecję. Joannie w zasadzie odpowiadało, że wszyscy się tu znają, a jeśli musiała pogodzić się z pewnym brakiem prywatności - mówi się trudno, gdyby nawet dotyczyło to znacznej części jej osobistego życia - nadal uznałaby to za niewielką cenę za poczucie więzi z tą niewielką społecznością.

Wstąpiła do biblioteki. Porozmawiała przez kilka minut z panią Chandler. Poruszyły kilka obojętnych tematów, ale kiedy Joanna jakby odruchowo zapytała, czy bibliotekarka zauważyła coś niezwykłego w zachowaniu Caroline mniej więcej na tydzień przed jej śmiercią, otrzymała zaskakującą odpowiedź.

- Tylko jedno. Przyszła tu kilka albo kilkanaście dni przed wypadkiem i zadała mi dziwne pytanie. Chciała wiedzieć, jak zdobyć informacje, które państwa nie mają podpisanej ze Stanami Zjednoczonymi umowy o ekstradycji.

- Chciała wiedzieć, gdzie amerykańscy kryminaliści mogą jechać bez obawy, że ich tam zaaresztują? - Joanna zmarszczyła czoło.

- Tego właśnie szukała. Zdziwiłam się wtedy, ale wielu ludzi przychodzi do biblioteki z naprawdę zaskakującymi pytaniami, dlatego nigdy potem o tym nie myślałam.

- Może zauważyłaś coś w jej zachowaniu? Chodzi mi o to, czy wydała ci się zaniepokojona albo czymś zdenerwowana?

Pani Chandler nieco zmrużyła oczy.



- Mówiąc szczerze, nie pamiętam. Dlaczego o to pytasz, Joanno?

Joanna wzruszyła ramionami.

- Usiłuję dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

- Wybacz, ale nie bardzo w to wierzę. - Bibliotekarka uśmiechnęła się. - Ale nie ma powodu do obaw, nie będę dociekała prawdy. Prędzej czy później i tak ją poznam.

- Jedna z zalet małego miasteczka?

- Cóż, prawda zawsze wychodzi na jaw, a kiedy to się stanie, wszyscy się o tym dowiadują. Co oczywiście nie oznacza, że plotkarze się z nią liczą. Jak teraz. Nie dziwiłabym się Cainowi Barlowowi, gdyby na stałe wrócił do Portlandu.

- Widziałas go może niedawno? - zapytała Joanna.

- Ostatni raz kilka dni temu. Nie ma w tym nic szczególnego, czasami przepada, żeby malować, ale nie jest głupi. Jeśli zna najnowsze plotki, nie zaskoczyłby mnie, gdyby po prostu stąd wyjechał.

Joanna zastanawiała się nad tym, kiedy wyszła z biblioteki i ruszyła w kierunku sklepów na głównej ulicy. Gdyby Cain rzeczywiście uciekł przed plotkami, nie mógł wybrać gorszego momentu. Im szybciej oczyści się z zarzutów, tym szybciej zamknie usta plotkarzom. Joanna знаła Griffina na tyle, by wiedzieć, że gdy tylko przekona się o niewinności Caina, dopilnuje, żeby natychmiast całe Cliffsides przyjęło to do wiadomości.

Jednak do tego czasu...

A co z pytaniem, które Caroline zadała bibliotekarce? Wszystko coraz bardziej wskazywało na to, że naprawdę była zamieszana w coś niebezpiecznego. Czyżby sama dopuściła się jakiegoś przestępstwa? Może odkryła zbrodnię popełnioną przez kochanka, który szykował się do ucieczki z kraju? Czy była to kropla przepełniająca puchar, kiedy się dowiedziała, że mężczyzna, którego kocha, zamierza wyjechać i nie ma zamiaru brać jej ze sobą?

Ponieważ Scotta nie brała już pod uwagę, a Cain chwilowo znajdował się poza zasięgiem, Joanna natychmiast pomyślała o doktorze. Czy był jej kochankiem? Jeśli tak, to w co takiego mógł być zamieszany, że Caroline się przeraziła? Lekarz - oczywiście - dysponuje wiedzą i środkami niezbędnymi do zabijania, prawda? Czy Caroline przypadkiem to odkryła? Joanna nie sprawdziła listy tak zwanych naturalnych zgonów w Cliffsides w czasie ostatniego półrocza - może powinna to zrobić?

Niewykluczone, że doktor był - i nadal jest - zamieszany w coś innego. Jako główny lekarz miasteczka miał dostęp do bardzo wielu informacji. Czy mógł kogoś szantażować?

Rozmyślając z niezadowoleniem o takiej ewentualności, Joanna rozejrzała się i

stwierdziła, że znalazła się w pobliżu kawiarni. Lyssa i Dylan stali w drzwiach sklepu i rozmawiali, a blondynka o egzotycznej urodzie zmierzała do swojego sklepu „Na rogu”. Dostrzegła Joannę, ale pomachała jej tylko i poszła dalej.

- Witaj, Joanno. - Dylan uśmiechnął się do niej. - Wypijesz ze mną kawę? Właśnie robię sobie przerwę i miałem iść do kawiarni.

- Jasne, dziękuję. - Weszła za nim do środka i zapytała: - Przerwę?

- W zmaganiach z papierami - wyjaśnił. - Scott chce przyspieszyć budowę nowego skrzydła kliniki. Nie uwierzylabyś, ile to wymaga papierkowej roboty. Ostatnie dwie godziny spędziłem w sądzie.

Siadając naprzeciw niego przy stoliku, Joanna uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Można by pomyśleć, że w małych miastach sprawy wyglądają trochę inaczej, ale okazuje się, że tu jest tak samo jak w Atlancie.

Uniosła głowę, gdy Liz podeszła do ich stolika, i zamówiła kawę. Dylan poprosił o to samo. Kelnerka przyniosła ją niemal od razu i z czarującym uśmiechem zapytała, czy już doszła do siebie po wypadku.

- Całkowicie, dziękuję - odpowiedziała Joanna. - Nic mi się nie stało, nie mam nawet zadrapania.

- Miło słyszeć - powiedziała Liz, kiwając głową. - Mój Boże, w nowoczesnych samochodach jest tyle drutów, że aż dziw bierze, jak to działa, i chyba cudem wszyscy nie zderzamy się na autostradzie, tracąc kontrolę nad kierownicą. Mój brat jest mechanikiem. Twierdzi, że między czujnikami i innymi elektronicznymi gadżetami w tych maleńkich samochodach nie starcza miejsca na porządny silnik.

- Następnym razem wypożyczę coś większego - wtrąciła Joanna. - Może jeepa.

- Jeepy mi się podobają - powiedziała Liz, choć nikt jej nie pytał. Słyszając wołanie kucharza, że zamówienie czeka, przewróciła oczami. - Głos pana i władcy - wymamrotała i odeszła z dzbankiem kawy.

- Scott powiedział, że miałaś wypadek samochodowy - odezwał się Dylan, kręcąc głową. - Nawalił wtrysk paliwa czy coś w tym rodzaju? Jezu, czasami myślę, że lepiej byłoby wrócić do koni i powozów.

Joanna ucieszyła się. Scott nic mu nie wspomniał, że ktoś majstrował przy jej samochodzie. Roześmiała się.

- Och, nie musimy posuwać się aż tak daleko. Awaria okazała się przypadkowa. Zresztą teraz to zmartwienie firmy wypożyczającej samochody i nie mam zamiaru się tym przejmować.

- Mądre podejście.

Joanna uśmiechnęła się do niego i upiła łyk kawy.

- A co z twoim nawalem pracy? Widziałam spychacze obok szpitala, dlatego pomyślałam, że budowa nowego skrzydła jest nieźle zaawansowana.

- Scott trochę się pośpieszył z poleceniem oczyszczenia terenu. Prace trzeba wstrzymać aż do uzyskania niezbędnych zezwoleń i załatwienia papierków. Doktorek nie jest szczęśliwy z tego powodu, bo zbliża się zima, więc prace przeciągną się do lata i koszty znacznie przewyższą początkowo planowane.

- Caroline zostawiła dość pieniędzy na pokrycie kosztów budowy?

- Prawdopodobnie tak. - Skinął głową. - Ale może się okazać, że za mało. Oczywiście w razie czego Scott wyłoży resztę.

- Scott?

- O, tak. Caroline chciała, żeby to było zbudowane, więc on tego dopilnuje.

Joanna zawahała się, ale po chwili, kiedy Dylan napił się kawy, powiedziała:

- Domyślałam się, że dość dobrze ją znałeś.

- Przychodziłem do nich do domu niemal codziennie - odparł zamyślony. - Tak, chyba dobrze ją znałem. Choć prawdę mówiąc, nie zwracała specjalnej uwagi na wyrobników.

- Wyrobników? - Joanna poczuła dreszcz i uważnie spojrzała na niego. - Na pewno miała taki stosunek do ludzi, którzy pracowali dla Scotta? - W tej samej chwili pomyślała o Adamie Harrisonie, nieszczęśliwie zakochanym w Caroline.

- To nie była pogarda. - Dylan zmarszczył trochę czoło. - Po prostu obojętność. Wychowała się w domu ze służbą, więc dla niej tacy ludzie byli po prostu przezroczyści. Ponieważ miałem biuro w ich domu, a pracowałem u Scotta, uznała mnie za służącego. Nie było w tym nic złego. - Uśmiechnął się lekko drwiąco. - Niemniej świadomość, że jest się przezroczystym, to średnia przyjemność.

*Przystojni mężczyźni nie byli jednak przezroczyści dla Caroline - niezależnie od ich pozycji społecznej.* Joanna była tego tak pewna jak słońca na niebie.

- Wyobrażam sobie - rzekła powoli. *Jeden z jej kochanków? Boże, czyżby sypiała z facetem, który widywał się codziennie z jej mężem w ich własnym domu?* Prawdopodobieństwo tego wydawało się duże, ale Joanna nie była gotowa do zadawania bezczelnych pytań. - Czy zauważyłeś coś dziwnego w jej zachowaniu w ostatnim tygodniu przed wypadkiem? Czy na przykład była zdenerwowana?

- Zdenerwowana? Caroline nigdy się nie denerwowała, przynajmniej ja nigdy tego nie widziałem. - Wzruszył ramionami. - Co prawda w tamtym tygodniu często jeździłem do

Portlandu, więc rzadko ją spotykałem. Dlaczego pytasz?

Tym razem to Joanna wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że może była czymś wyprowadzona z równowagi i dlatego straciła kontrolę nad samochodem.

- Cały czas się zastanawiam, skąd mogła wracać - powiedział Dylan. - Było to dość daleko na północ od miasta, a Griff twierdzi, że jechała w stronę Cliffside. Rzadko wyjeżdżała, poza tym czemu w środku dnia?

- Może pojechała do Portlandu po zakupy - zasugerowała Joanna, nie mając zamiaru wspominać o spotkaniu w starej stodole. *Znasz to miejsce, Dylanie? Spotkałeś się tam z nią?*

- Nie była ubrana jak po zakupy w Portlandzie - skwitował Dylan. - Zawsze, kiedy jechała do miasta, bardzo się stroiła, nie, nie miała by na sobie džinsów i swetra. Niewykluczone jednak, że przebrała się gdzieś po drodze.

- To możliwe. Coś mi się zdaje, że szukam przyczyny, podczas gdy tak naprawdę ona nie ma najmniejszego znaczenia.

Dylan popatrzył na nią uważnie. Na twarzy malowała mu się powaga.

- Czujesz z nią jakiś związek, prawda? Z powodu podobieństwa?

- Chyba tak, nie wiem. Już sam fakt, że wygląda się jak ktoś inny, daje wiele do myślenia. A wiadomość, że taka osoba umarła, wywołuje jeszcze większy szok. I... chyba Regan mnie polubiła.

- Szkoda mi tego dzieciaka - powiedział Dylan, wzdychając. - Ostatnio prawie jej nie widuję, choć bywam niemal codziennie u nich w domu. Jakby zmieniła się w cień i niknęła w kącie, gdy się na nią spojrzy.

Joanna postanowiła ostatecznie zadać mu dość śmiałe pytanie.

- Czy Scott zawsze był dla niej tak obojętny?

Dylan natychmiast pokręcił przecząco głową.

- Przeciwnie. Kiedy się urodziła, dostał bzika na jej punkcie. Naprawdę, świata poza nią nie widział. Nic nie było zbyt dobre dla małej. A ona go uwielbiała, to było widać na pierwszy rzut oka. Ale jakieś trzy, cztery lata później wszystko się zmieniło. Na początku myślałem, że po prostu zaczął więcej pracować, często wyjeżdżał do Portlandu i do San Francisco. Najwyraźniej nie miał już czasu dla Regan. Caroline z kolei... trzęsła się nad nią, czytała jej, prowadziła na lekcje tańca, zabierała na przyjęcia do przyjaciół. Myślałem, że starała się wynagrodzić małej brak kontaktu z ojcem, który stał się zbyt zajęty. Stopniowo jednak docierało do mnie, że jego stosunek do córki zmienił się radykalnie. Kiedy na nią patrzył, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Sam widziałem, jak kilka razy po prostu

odepchnął ją od siebie. Potem nie próbowała już się do niego zbliżyć.

- Domyślasz się, dlaczego tak się zmienił? - zapytała Joanna, bo przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Prosty, wywołujący dreszcz.

- To, co wiem, ogranicza się jedynie do obserwacji, nic więcej - mówił, krzywo się uśmiechając. - Scott chyba nikomu się nie zwierza, a już na pewno nie mnie. Nie, nie domyślam się, Joanno.

Joanna piła kawę pogrążona w myślach. *Czy Dylan był kochankiem Caroline?* Ostatnim kochankiem? Bardzo chciała go o to zapytać, ale w publicznym miejscu nie odważyłaby się na to. Dlaczego Scott odwrócił się od Regan? Joanna ciągle jeszcze żywiła wobec Scotta mieszane uczucia, brakowało jej pewności oceny. Jedno wiedziała na pewno - daleko było mu do mężczyzny pozbawionego uczuć. W związku z tym tylko jedno wytłumaczenie wchodziło w grę.

- O cholera - odezwał się nagle Dylan, spoglądając na zegarek. - Muszę wracać do sądu. Zostań tu, Joanno, jak długo zechcesz, zamawiaj na mój rachunek.

- Dzięki, Dylanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Podniósł się z miejsca. - Do zobaczenia.

- Na razie.

Joanna patrzyła za nim, jak idzie do kasy i płaci, a potem spojrzała na filiżankę. Odsunęła ją od siebie. Pomyślała, że Griffin na pewno próbuje odgadnąć, co się z nią dzieje. A jeśli zostanie tu jeszcze trochę, na pewno da się wciągnąć w rozmowę z Liz lub kimś innym.

Odczekała, aż Dylan wyszedł z kawiarni i znalazł się po drugiej stronie ulicy, kierując się do sądu. Wtedy pomachała Liz na do widzenia i ruszyła przed siebie, nie zatrzymując się, bo to mogłoby zachęcić kelnerkę do pogawędki.

Miała zamiar pójść na posterunek i na razie poniechać załatwiania innych spraw, ale kiedy dostrzegła doktora, który wychodził z drogerii, natychmiast skrzyła w jego kierunku i szybko go dogoniła.

- Doktorku?

Zatrzymał się, obejrzał i widząc ją, uniósł brwi.

- Witaj, Joanno. Czym mogę służyć?

Stali sami na ulicy, drzwi do najbliższego sklepu były zamknięte, dlatego Joanna nie wahała się ani przez moment. Dobre maniere nie działały na doktora, może więc obcesowość coś da.

- Możesz mi powiedzieć prawdę - powiedziała. *Przepraszam, ale kończy mi się czas...*

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi - odrzekł uprzejmie, uśmiechnął się nawet, choć oczy zdradzały czujność.

- Och, wiesz doskonale. Oszukałeś mnie, mówiąc, że nie widziałeś się z Caroline niedługo przed jej śmiercią.

- Wypadło mi z pamięci, to wszystko. - Zacisnął usta.

- Naprawdę? - Joanna oparła się o balustradę i skrzyżowała ręce na piersi. Zdobyła się na uśmiech. - A może chodzi o kolejnego mężczyznę, który ma wyrzuty sumienia, bo nie pomógł Caroline, kiedy go potrzebowała?

- Co masz na myśli, mówiąc „kolejnego”?

Zdobyła jego pełną uwagę. Zebrała w sobie wszystkie siły. Ani trochę nie podobało jej się to, co zamierzała zrobić, ale nie miała wyboru.

- Och, doktorku, można powiedzieć, że była przyczyną prawdziwej epidemii poczucia winy, zwłaszcza wśród byłych kochanków. Tylko mi nie mów, że uważałeś się za tego jedyne? Nawet Scott przyznał, że w czasie ich małżeństwa musiała mieć co najmniej sześciu facetów.

Twarz doktora nie zmieniła się ani trochę, ale jego głos stał się uprzejmiejszy, kiedy powiedział:

- Dziękuję, że mi to uświadomiłaś.

- Może taka wiedza okaże ci się potrzebna. - Joanna pozwoliła sobie na trochę złośliwości, ale wkrótce zmęczenie przytłumiło inne uczucia. - Może wszyscy powinniście to wiedzieć, bo jak zdążyłam się zorientować, żaden z was nie umiał z niej zrezygnować.

- Nic nie rozumiesz.

- Nie? To wytłumacz mi, doktorku. Zdradz mi, w jaki sposób niszczyła mężczyznę emocjonalnie, nie naruszając jego zafascynowania swoją osobą.

Doktor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknął i zapatrzył się przed siebie.

- Nie potrafię - odezwał się po chwili. - Była... po prostu miała coś w sobie.

- Tak myślę. - Joanna pokręciła głową. - Niszczycielsko uwodzicielska. Niektórzy ludzie uznaliby to za definicję czystego zła.

Doktor szybko zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie zła. Caroline... stale walczyła ze sobą, ciągle się zmagala. Nigdy nie była zadowolona z tego, kim jest, albo z tego, co miała, nieustannie chciała czegoś więcej. Nigdy świadomie nie zachowywała się okrutnie, musisz to zrozumieć. Tyle że kierował nią wewnętrzny przymus, musiała dostawać, czego pragnęła, niezależnie od tego, jakie koszty

ponosił ktoś inny.

- Brzmi jak charakterystyka rozpuszczonego dziecka - zauważyła Joanna.

Rysy jego twarzy złagodniały tak bardzo, że Joanna zaczęła go żałować.

- Rzeczywiście było w niej coś dziecinnego. Coś z natury niewinnego. Tak, mogła być rozpieszczona, ale jednocześnie potrafiła zdobyć się na ogromną wielkoduszność i miłość. Taką Caroline pamiętam.

- Nie miałeś z nią romansu tuż przed jej śmiercią, prawda?

- Nie - odpowiedział trochę nieobecny tonem. - Dwa lata temu.

Joanna nie musiała pytać, czy wiedział, kto spotykał się z nią ostatni, bo wiadomość, że miała innych kochanków, najwyraźniej go zaszokowała.

- Czy kiedy ostatni raz ją widziałeś, przyznała ci się może, na jaki temat chce z tobą porozmawiać?

Doktor zdawał się wracać do rzeczywistości, bo zamrugał, patrząc na Joannę.

- Nie. Spieszyłem się do wezwania. Powiedziała, że musi się ze mną rozmówić... a ja nie dałem jej skończyć.

Joanna westchnęła, nie zdziwiona poczuciem winy w jego głosie.

- Nie tylko ty tak zrobiłeś - wyjaśniła mu. - Postaraj się o tym pamiętać. I dzięki za prawdę.

Skinął lekko głową, a potem bez słowa odwrócił się i poszedł swoją drogą.

Joanna stała tam jeszcze przez moment i patrzyła za nim, a później ruszyła w stronę posterunku. Griffin z pewnością nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że przyparła doktora do muru i wypytała - ale przynajmniej zrobiła to w środku miasta na oczach wielu ludzi.

Joanna doszła do wniosku, że istnienie przerażającej tajemnicy związanej z doktorkiem, która mogła niepokoić Caroline, jest prawdopodobne, ale mało przekonujące. Nadal nie wiedziała, kto był jej ostatnim kochankiem. *Chyba że to Dylan.*

Kiedy zmęczona i zdezorientowana weszła do pokoju Griffina i usiadła na krześle dla petentów, stało się dla niej jasne, że on od razu wyczytał to z jej twarzy.

- Mam nadzieję, że masz dla mnie dobre wieści.

Griffin spojrzał na nią znad papierów pokrywających biurko i uśmiechnął się trochę drwiąco.

- Nie mam żadnych wieści, ani dobrych, ani złych. Poza tym, że Cain nadal się nie odnalazł. Jak minął ci ranek?

Joanna westchnęła.

- Pani Chandler zwierzyła mi się, że Caroline była w bibliotece na krótko przed wypadkiem i pytała o państwa, które nie mają podpisanej ze Stanami umowy o ekstradycji. Nabieram coraz silniejszego przekonania, że była zamieszana w jakąś aferę, nie uważasz?

- Ujął bym to raczej w ten sposób, że wzrosło prawdopodobieństwo takiej sytuacji - zgodził się z nią.

- Rozmawiałam też z doktorkiem - przyznała się Joanna. - Nie na wiele mi się przydał. To nie on był jej ostatnim kochankiem, choć dwa lata temu z nią kręcił. Nie musisz tego umieszczać w sprawozdaniu, prawda? Chyba nie powinnam ci tego mówić.

- Informacje tego rodzaju nie są odnotowywane w raporcie, chyba że dotyczą sprawy. A zresztą wiem o tym.

Joanna przyjrzała mu się uważnie.

- Wyznam szczerze, że kiedy pierwszy raz wspomniałam, że Caroline mogła mieć jakiś romans, wydawałeś się zaskoczony.

- Byłem zaskoczony. O ile wiem, nikt nigdy nie mówił o doktorku i Caroline, dlatego trochę się przeraziłem, że mogłabyś za szybko dowiedzieć się wszystkiego o dość intymnych szczegółach jej życia.

Joanna nie spytała, skąd wiedział o ich związku, dlatego skinęła po prostu głową.

- W każdym razie przypuszczam, że on może znać jakąś tajemnicę, której nie wyjawii, ale z drugiej strony nie wyobrażam go sobie w roli mężczyzny grożącego Caroline albo spychającego kogoś z urwiska.

- Ja także.

Joanna miała zamiar wspomnieć o spotkaniu z Dylanem i podejrzeniach, jakie w niej budził, ale zanim zdążyła otworzyć usta, rozległy się odgłosy szamotaniny przy drzwiach, a potem Scott McKenna wszedł do środka i ostentacyjnie zamknął je za sobą.

Była zadowolona, że zajęła miejsce nie znajdujące się na linii wzroku między obu mężczyznami. Niemal dosłownie odczuła rosnące napięcie Griffina. Wyraz oczu Scotta był daleki od przyjacielskiego. Zresztą to określenie zupełnie nie oddawało jego nastroju. Patrząc na nich, zażenowana sytuacją Joanna postanowiła czekać.

- Scott - odezwał się Griffin grzecznie, ale nie wstał z miejsca.

Scott ledwie skinął głową na powitanie.

- Zgodnie z tym, co usłyszałem od Joanny - zaczął od razu - istnieją jakieś wątpliwości dotyczące śmierci Caroline. To prawda?

- W zasadzie tak. Usiądź.

Ignorując słowa szeryfa, Scott spojrział na Joannę.



- Kiedy wyszłaś wczoraj ode mnie, zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno Caroline nie prowadziła dziennika lub pamiętnika. Przejrzałem jej rzeczy.

- Znalazłeś pamiętnik albo dziennik?

Pokręcił głową, a potem sięgnął do kieszeni w marynarce i wyjął stamtąd niewielki kluczyk z brązu.

- Znalazłem jedynie to. - Położył klucz na biurku Griffina i ponownie spojrzął na szeryfa. - Leżał na stoliku w jej sypialni. Nigdy przedtem go nie widziałem. Z tego, co wiem, ten klucz nie pasuje do niczego w domu.

Joanna popatrzyła na Griffina.

- Ktoś mi wspominał, że na krótko przed śmiercią Caroline kupiła ozdobną szkatułkę - powiedziała.

- Wśród jej rzeczy nie ma czegoś takiego - odparł Scott.

Griffin sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Czy kupiła ją w sklepie „Jeszcze jedna rzecz”, Joanno?

- Tak myślę.

Scott stał nieporuszony i z kamienną twarzą obserwował telefonującego Griffina.

- Bonnie? Griff. Posłuchaj, czy pani McKenna kupiła latem niewielką starą szkatułkę? Kiedy? Rozumiem. Czy była zamykana na kluczyk? - Pokiwał głową i dodał: - Dzięki, Bonnie. - Odłożył słuchawkę.

- To kluczyk od tej szkatułki? - zapytała Joanna.

- Albo duplikat. Pytanie brzmi natomiast, gdzie jest zamek, do którego ten klucz pasuje?

Scott patrzył przez chwilę na nich dwoje, a potem zatrzymał wzrok na Joannie.

- Dlaczego myślisz, że miała coś do ukrycia?

Ponieważ Griffin nie zdradzał chęci wtrącania się do rozmowy, Joanna odpowiedziała:

- Tylko przypuszczam. Uważamy, że Caroline wiedziała o czymś, co mogło być dla kogoś niebezpieczne. Sama się bała. Na kilka dni przed wypadkiem usiłowała porozmawiać z kilkoma osobami z miasteczka, którym, zdaje się, ufała, ale z tych czy innych powodów nikomu nie zdołała się zwierzyć.

- Dlaczego nie przyszedła do mnie? - zapytał bezbarwnym głosem Scott.

Joanna pokiwała głową.

- Na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć. Jesteśmy jednak przekonani, że tuż przed śmiercią była gotowa powiedzieć wszystko Griffinowi.

Scott popatrzył na szeryfa.

- Jak bardzo przekonani? - spytał.

- Przysłała mi wiadomość, w której prosiła o spotkanie - wyjaśnił Griffin. - Jednak utknąłem tutaj i nie zdążyłem. To się działo w dniu jej wypadku.

Rysy twarzy Scotta lekko się wyostrzyły.

- Więc choć raz nie poleciałeś na pstryknięcie palcami.

Zapadła krępująca cisza. Ale w chwilę później Griffin przerwał ją, akcentując każde słowo:

- Co to niby, do cholery, ma znaczyć?

Scott wzruszył ramionami, usta wykrzywił w złym uśmiechu.

- A co? Nic nie znaczy, szeryfie. Po prostu przyzwyczailem się, że zawsze byłeś gotowy na każde skinienie mojej żony.

Joanna skrzywiła się i zastanawiała, jak długo narastało napięcie, nim między obu mężczyznami doszło do konfrontacji. Bo prędzej czy później musiało dojść do wybuchu. Wiedziała to od chwili, gdy spotkała ich na chodniku w Cliffside.

- Posłuchaj - odezwał się Griffin złowieszczo, zrywając się z miejsca. - Nie wiem, na czym polega twój problem, ale mam już dość takiego pieprzenia za uszami. Chcesz mi coś powiedzieć? To powiedz wprost. Chcesz się ze mną bić? Wskaż czas i miejsce poza tym budynkiem, a przyjdę na pewno. Tymczasem lepiej będzie, jak wrócisz do domu i posiedzisz trochę z małą smutną dziewczynką. Ona potrzebuje ojca, a mnie jedynie zawracasz głowę.

- W takim razie może s a m do niej pójdziesz - wymamrotał Scott, odwracając się od biurka.

- Co takiego?

Griffin zdołał zrobić jeden krok, kiedy Scott obrócił się gwałtownie. Twarz wykrzywił mu tak wielki ból, że Joanna najchętniej uciekłaby stamtąd.

- Powiedziałem, że może sam pójdziesz pocieszać Regan. - Jego głos zdradzał wściekłość. - Niech cię szlag trafi! Ona nie jest moją córką. To twoje dziecko.

## Rozdział czternasty

W pewien sposób Joanna była przygotowana na okrutne słowa Scotta już w chwili, gdy dowiedziała się o jego nagłej zmianie w stosunku do Regan wiele lat wcześniej. Tylko takie wytłumaczenie miało jakiś sens, było jedynym sposobem wyjaśnienia nieoczekiwanej oziębłości ojca wobec niewinnego małego dziecka. A znając postępowanie Caroline, istniało duże prawdopodobieństwo, że mówił prawdę.

Joanna nie spodziewała się jednak, że oskarżenie kierowane pod adresem Griffina zaboli ją tak mocno.

- Nie - powiedział Griffin. Nie spojrzał nawet na Joannę, bo utkwiał wzrok w Scotcie.

- Przypuszczasz, że byłbym w stanie zmyślić coś takiego? Caroline mi powiedziała. Zwierzyła mi się kilka lat temu.

Griffin położył dłonie na biurku i pochylił się do przodu. Nie spuszczał oczu ze Scotta.

- Posłuchaj - odezwał się spokojnie i bardzo cicho. - Skłamała. Nie wiem dlaczego, ale oszukała cię. Nie mieliśmy romansu. Ani razu nie spaliśmy ze sobą. Nie ma takiej możliwości, żeby Regan była moja.

Joanna odzyskała oddech.

- Nie wierzę ci. - W głosie Scotta nadal słychać było wściekłość. - Nie okłamałaby mnie w takiej sprawie. Nie w takiej.

- Chcesz, żebym się poddał testowi na ojcostwo? Chętnie. Ale wtedy ty też poddasz się badaniu. Ona jest twoją córką, Scott.

Zapadło milczenie.

- Wiem, że twoim zdaniem Regan jest bardzo podobna do Caroline. - Joanna przerwała pełną napięcia ciszę. - Radziłabym ci jednak przyjrzeć się jej bliżej, Scott. Ona ma twoje oczy i twoje uszy. Często podobnie się zachowujecie. A jej dłonie? To żeński odpowiednik twoich rąk. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam was razem, pomyślałam, że jest bardziej podobna do ciebie niż do Caroline.

Scott podszedł w stronę biurka i chwycił oparcie drugiego krzesła. Patrzył przed siebie, jakby Griffin stał się niewidzialny. Zaślepiął go ból. Twarz mu pobladła. Jednak gdy się odezwał, mówił już spokojniej:

- Nie mogłem przecież być aż tak zaślepiiony.

- To przez nią - wtrąciła Joanna. - Po tym, co ci powiedziała, musiałeś patrzeć na Regan z powątpiewaniem. A skoro raz w to uwierzyłeś, szkoda została wyrządzona. Caroline musiała bardzo chcieć cię zranić.

Dopiero po chwili Scott pokiwał głową, ale wzrok nadal miał nieobecny.

- Nie, nie chciała mnie zranić. Chciała mieć Regan wyłącznie dla siebie, a ja stałem jej na drodze. Dobrze wiedziała, co powiedzieć, żebym odwrócił się od dziecka, bo tylko tego bym nie zniósł.

*Doktor miał rację - zawsze dostawała to, czego chciała, niezależnie od wszystkiego.* Do Joanny przemawiało, że Caroline mogła uciec się nawet do bardzo drastycznych okrutnych i niewiarygodnie egoistycznych posunięć, byle tylko zyskać całą miłość i uwagę dziecka. Pewnie nawet jej do głowy nie przyszło, że pozbawiając małą uczuć ojca, bardzo ją krzywdzi. Pewnie uważała, że jej miłość wystarczy Regan. Z drugiej strony trzeba przyznać, że okazała się wspaniałą matką, która poświęciła się dziecku bez reszty. Ale jaką cenę płaciła za to Regan?

I ile kosztowało to Scotta?

Ani Joanna, ani Griffin nie powiedzieli już nic więcej. Czekali w milczeniu, aż Scott odzyska równowagę po przeżytym ciosie. W końcu powoli doszedł do siebie. Jego wzrok odzyskał ostrość, myślami był tu i teraz. Świadomość zupełnego obnażenia się w niewielkim pokoju na posterunku musiała być straszliwie bolesna dla kogoś tak dumnego i powściągliwego.

Popatrzył na nich oboje, odwrócił się i skierował ku drzwiom. Gdy je otworzył, przystanął na chwilę i obejrzał się na Joannę.

- Miałaś rację - powiedział jedynie i wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą.

- W czym miałaś rację? - zapytał Griffin.

Nadal zapatrzona w miejsce, gdzie przed sekundą stał Scott, Joanna wymamrotała:

- Kochał Caroline. Niezależnie od tego, co robiła, kochał ją przez wszystkie lata.

- Jezu Chryste! - Griffin usiadł ciężko na krześle. - Nic dziwnego, że przez cały ten czas nienawidził mnie jak wściekłego psa.

Joanna wzięła oddech i spojrzała na niego.

- Pewnie nawet nigdy nie przyszło ci do głowy, że on cię uważa za ojca Regan?

- Boże, nie. Gdyby tak było, już dawno temu postarałbym się wszystko mu wyjaśnić. - Pokręcił głową. - W końcu nie mogłem nawet brać pod uwagę takiej możliwości, a Regan była dla mnie ewidentnie jego córką, więc sprawa nie istniała. Nie wydawał się co prawda zbyt z nią związany, ale, do licha, on z nikim nie jest zbyt blisko.

Joanna nie dziwiła się, że obojętność Scotta wobec Regan była uznawana niemal za normę przez Griffina i innych. Tylko ktoś, kto spędził dużo czasu blisko rodziny McKennów - jak na przykład Dylan - mógł zauważyć jego nagłą i drastyczną zmianę, i próbował dojść jej przyczyn.

- Musiałeś jednak zastanawiać się, dlaczego Scott ni stąd, ni zowąd zaczął cię nienawidzić? - spytała Joanna.

- Myślałem...

- Co takiego myślałeś?

Griffin zawahał się, a potem zaklął pod nosem.

- Powiedziałaś kiedyś, że między mną i Caroline w przeszłości z pewnością coś zaszło. Nie myliłaś się do pewnego stopnia. Między nami coś było.

Joanna czekała w milczeniu, mając nadzieję, że wreszcie zrozumie, jaki wpływ miała na niego tamta uwodzicielska i niszcząca wszystkich kobieta - i jaki ciężar w związku z tym Griffin teraz dźwiga.

- Mieszkałem w Cliffside od niedawna - zaczął powoli. - Opuściłem Chicago, bo czułem się niemal wypalony wewnątrz, miałem dość przemocy i zbrodni, z którymi stykałem się każdego dnia. Pomysł zostania szeryfem w małym miasteczku wydawał mi się drogą do raju. Byłem akurat w Portlandzie i kiedy usłyszałem o takiej możliwości, nie wahałem się ani minuty. Moje kwalifikacje władze miasta uznały za odpowiednie i po dwóch tygodniach wprowadziłem się do domu, gdzie do tej pory mieszkam. - Wzruszył ramionami. - Pierwsze kilka tygodni było dla mnie prawie jak wakacje, przynajmniej w porównaniu z Chicago. Nie zgłoszono wtedy nawet jednego przestępstwa. Mogłem trochę odetchnąć. Powoli się zadomowiałem, poznawałem mieszkańców. Caroline była jedną z kobiet wiodących prym w mieście. Och, była młoda, wyszła za mąż dwa lata wcześniej, wydawało się, że bierze udział we wszystkim, co się tu działo. Robiła na mnie wrażenie nieśmiałej i jakby kruchej, pewnie dlatego poświęcałem jej znacznie więcej uwagi, niż powinienem.

- Zakochała się w tobie? - wtrąciła Joanna.

Griffin potwierdził skinieniem głowy.

- Kompletnie mnie zaskoczyła wyznaniem miłości, kiedy byliśmy sami u mnie w domu. Tłumaczyła się, że wyszła na spacer i wstąpiła do mnie, żeby o coś zapytać, nie pamiętam już, co to było. Kiedy powiedziała, że mnie kocha, nie wiedziałem, jak się zachować. Nic do niej nie czułem, absolutnie nic. Była dla mnie żoną Scotta i osobą jakby z zupełnie innej bajki. Zawsze wydawała mi się bardziej dzieckiem niż kobietą.

Przynajmniej raz twoja maska słodkiej niewinności zawiodła, pomyślała Joanna z

pewnym zadowoleniem.

- Usiłowałem łagodnie odsunąć ją od siebie - mówił dalej Griffin. - Powiedziałem, że to z mojej winy opacznie zrozumiała moje intencje. Dorzuciłem kilka banałów, że niby nadal jesteśmy przyjaciółmi, że zaszła zwykła pomyłka i tak dalej.

- Jak to przyjęła?

Griffin rozmasował ręką kark i smutno spojrzął na Joannę.

- Zaczęła strasznie płakać. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle zorientowałem się, że siedzimy oboje na kanapie, a ja ją obejmuję.

*Łzy. Jezu, Caroline! Czy była jakaś sztuczka, której na nim nie wypróbowałaś?*

- Do niczego nie doszło - dodał Griffin trochę zbyt szybko, bo najprawdopodobniej dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy Joanny. - W którymś momencie dotarło do mnie, że przestała płakać. Wzięła mnie za rękę i położyła ją sobie... zresztą nieważne.

- Miły jesteś - powiedziała Joanna.

- Dobrze, już dobrze. - Uśmiechnął się. - Sama się prosiłaś. W każdym razie udało mi się wyprowadzić ją z domu. Przez jakiś czas panowało między nami pewne napięcie, ale nigdy nie wspomniała słowem o tamtym zajściu. Ja także. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Zawsze jednak przychodziła do mnie, gdy miała jakiś problem, a Scott, jak się domyślam, musiał to zauważyć.

- Powiedział, że latałeś do niej na pstryknięcie palcami?

- Tak. Nabrałem swego rodzaju nawyku pomagania Caroline, jeśli tylko mogłem. Przeważnie chodziło o drobne sprawy, jak szybkie uzyskanie odpowiedniego zezwolenia, gdy chciała urządzić imprezę dla dzieci, albo przekonanie radnych, że jej pomysły dotyczące miejskiego teatru nadają się do realizacji. Tego rodzaju rzeczy.

- Więc gdy spostrzegłeś, że cię nienawidzi...

- Przyjąłem po prostu, że albo się dowiedział, albo podejrzewał Caroline o durzenie się we mnie i wściekał się, gdy spędzałem z nią sporo czasu. Ja z kolei miałem świadomość, że nic złego się nie dzieje i dlatego zadbałem, żeby nigdy już nie widywać się z nią na osobności. A ponieważ rzadko natykałem się na Scotta, nie zastanawiałem się nad tym, co o mnie myślał.

Joanna pokiwała głową.

- Rozumiem. Dlatego miałeś wyrzuty sumienia, że nie spotkałeś się z nią w dniu jej śmierci, bo zwykle jej pomagałeś?

- Czyżbyś się czymś zaniepokoiła?

- Trochę. Caroline zawsze wywierała ogromny wpływ na mężczyzn, który trwał

jeszcze długo po zerwaniu znajomości. Dlatego nie mogę oprzeć się myśli...

- Że także byłem w niej zakochany.

- Przeszło mi to przez myśl - przyznała się Joanna. - Nawet wtedy, gdy wyparłeś się jakiegokolwiek związku z Caroline, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jednak coś was łączyło. Wydawało mi się to bardzo prawdopodobne. A ponieważ wszyscy jej mężczyźni najwyraźniej nadal nie mogą jej zapomnieć... Cóż. Żyjąca rywalka to jedno, a zmaganie się z duchem to drugie. Zwłaszcza z tym, który prześladowuje cię tak samo jak człowieka, którego kochasz.

Griffin wstał z krzesła, obszedł biurko i objął Joannę.

- Byłem pewny, że jasno się wyraziłem - powiedział spokojnie. - Wygląda jednak na to, że nie bardzo. Miła moja, przed tobą nigdy nikogo nie kochałem. I, do cholery, nie zakochałem się w tobie dlatego, że trochę przypominasz Caroline lub kogoś innego. Nigdy nie spotkałem kogoś o tak dużych złotych oczach jak twoje i słodkim, spokojnym głosem. Nikt nie działa na mnie tak jak ty, odbierasz mi rozum i potrafisz myśleć tylko o tobie.

- Ale... znamy się zaledwie od tygodnia - odparła Joanna trochę oszołomiona.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał cicho.

Po chwili milczenia Joanna pokręciła głową.

- Nie, Griffinie...

W tej samej chwili gwałtownie przerwał im jeden z zastępców, który wtargnął do pokoju z plikiem papierów.

- Przepraszam, szefie - powiedział beznamiętnie - ale chciałeś dostać materiały o Butlerze, jak tylko przyjdą. Dostaliśmy cały stos faksem z San Francisco.

- Casey - zwrócił się do podwładnego Griffin. - Nie chciałbym po raz kolejny powtarzać, że przychodzisz nie w porę.

Joanna nie potrafiła powstrzymać się od cichego śmiechu, kiedy uwalniała się z objęć Griffina.

- Nie ma sprawy, możemy pogadać później - odezwała się. - Posłuchaj, Griffinie, mam parę rzeczy do załatwienia, dlatego wrócę do hotelu, a ty będziesz mógł zająć się pracą.

- Jest pora lunchu - zaprotestował szeryf, choć wyraz jego oczu wskazywał na coś innego niż apetyt na jedzenie.

- To może zjemy późny lunch - zaproponowała. - Przyjechałbyś do mnie do hotelu około czternastej, dobrze?

Griffin spojrzał na Caseya, który nadal czekał niewzruszenie.

- Chyba tak musi być. Tylko nie zapomnij, w którym miejscu przerwaliśmy rozmowę.

- Masz to jak w banku.

W chwili gdy wychodziła z biura szeryfa, poczuła dobrze znane napięcie. Nadal dziwiło ją wrażenie, jakie Griffin na nią wywierał. Sama myśl o nim niemal dosłownie tłumiała wszechobecny niepokój. Miała ogromną ochotę wrócić i zarzucić mu ramiona na szyję, bo nie wiedziała, jak długo zdoła panować nad emocjami.

Tak długo, jak będzie trzeba, pomyślała. Jej determinacja była nieodłącznie związana z wydarzeniami jeszcze sprzed wyjazdu z Atlanty, na przykład wewnętrznym przymusem, żeby coś zrobić. Męczyło ją to niewymownie, frustrowało bez końca, ale nigdy nie opuszczało.

Pewnie dlatego jej głos zabrzmiał trochę ostrzej, niż powinien, gdy ponownie natknęła się na Dylana, tym razem na chodniku, o przecznicy od biura szeryfa.

- Możesz poświęcić mi chwilę? - zapytała, podchodząc do niego. Nie chciała stracić okazji porozmawiania z nim bez obawy, że ktoś może ich podsłuchać.

- Jasne. O co chodzi? - Jego miłą twarz zdobił uśmiech, ale... czyżby w oczach widać było czujność?

Joanna uznała, że nie ma czasu na subtelności, a poza tym bezpośredniość sprawdziła się w przypadku doktora.

- Miałeś romans z Caroline? - zapytała bez ogródek.

W jednej sekundzie jego twarz zmieniła się w zastygłą maskę.

- Pytasz z czystej ciekawości, Joanno? - Zdobył się na słaby uśmiech.

Nie rezygnując z obranej linii, pokiwała głową i powtórzyła:

- Miałeś romans z Caroline?

Dylan spuścił wzrok i zaczął wpatrywać się w trzymany w ręku neseser, jakby unikał jej spojrzenia. Jego twarz ponownie stała się niczym maska bez wyrazu, a kiedy popatrzył na Joannę, w oczach miał smutek.

- Pani na włościach... zniżyła się. Czy to chciałaś usłyszeć? Tak, to prawda. Kiedy tu przyjechałem, żeby pracować dla Scotta, jej widok był dla mnie jak uderzenie obuchem. Dorosła w czasie, kiedy uczyłem się w college'u i na dobre osiadłem w San Francisco.

- Ona coś do ciebie czuła?

- Nie, do licha! - Wykrzywił usta w rozzaleniu. - Większość czasu spędzała na drażnieniu się ze mną. Kiedy tylko Scotta nie było w pobliżu, uśmiechała się i flirtowała ze mną, bez przerwy jednak trzymała mnie na dystans. Szlag by ją trafił, przez nią mało nie oszalałem!



- Ale w końcu mieliście romans.

Joanna odniosła wrażenie, że podobnie jak u innych jego głos zdradza gorycz i... obsesję.

- Można to i tak nazwać. - Wzruszył ramionami. - Przez tydzień spotykaliśmy się codziennie i niemal zdzieraliśmy z siebie ubrania. A potem... było po wszystkim. Powiedziała mi, że to koniec, i zachowywała się tak, jakby nigdy nic się nie zdarzyło.

- Gdzie się spotykaliście? - zapytała cicho Joanna, odwracając wzrok, by nie widzieć jego uśmiechu przepełnionego rozgoryczeniem.

Dylan zaśmiał się krótko.

- Na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Możesz w to uwierzyć? Mówiłem jej, że stać mnie na wynajęcie pokoju, ale ona się upierała przy samochodzie. Więc jeździliśmy do miejsc, gdzie mogłem zaparkować na poboczu i gdzie nikt nas nie widział, a potem łądownaliśmy na tylnym siedzeniu.

Joanna pomyślała, że Caroline nawet wtedy, gdy szukała przyjemności, robiła wszystko, jakby chciała się ukarać, bo znowu wyszło na jaw, że chodzi o udziwnione, niewygodne miejsce.

- Dawno to było, Dylanie?

- Nie, jakiś rok temu, tuż po moim powrocie. Czy mogłabyś teraz powiedzieć mi, dlaczego, do cholery, to cię interesuje? - zapytał dość obojętnie.

- Próbuję poskładać jakoś fragmenty łamigłówki, to wszystko. - Pokiwała głową. - Nikomu nic nie powiem, możesz być pewny, Dylanie. Musiałam cię zapytać. - Zawahała się, a potem dodała: - Czy Caroline usiłowała z tobą porozmawiać mniej więcej na tydzień przed śmiercią? O czymś, co ją niepokoiło?

Dylan zmarszczył czoło.

- W tamte dni prawie jej nie widywałem. Trzy razy jeździłem wtedy do Portlandu i przynajmniej dwa razy zostałem tam na noc. Zresztą dlaczego chciałaby ze mną o czymś rozmawiać, skoro ignorowała mnie po mistrzowsku?

*Może nie usiłowała. Może do tamtej pory przekonała się, że nie ma sensu szukać pomocy u byłych kochanków. Niewykluczone, że wtedy zwróciła się do Griffina.*

- Zastanawiałam się po prostu - odezwała się Joanna. - Próbuję odgadnąć, czy coś ją gnębiło w ostatnim tygodniu życia.

- Caroline nigdy się nie denerwowała, już ci mówiłem. Była panią na włościach... nigdy nie traciła panowania nad sobą.

Wyglądało na to, że rozgoryczenie i złość trwały w Dylanie dłużej niż miłość, choć

Joanna była pewna, że jeszcze przez długi czas będzie cierpiał z powodu ran zadanych przez Caroline. Reagowali tak wszyscy jej mężczyźni.

- Dzięki za szczerość. - Joanna uśmiechnęła się smutno.

- Wybacz, jeśli nie powiem „proszę bardzo” - odrzekł sucho i podobnie jak doktor odszedł w ponurym nastroju.

Westchnąwszy ciężko, Joanna ruszyła przed siebie. Miała niewesołe myśli. Jak wielu mężczyzn Caroline wykorzystwała i porzuciła? Czy Cain się do nich zaliczał? Czy był jej ostatnim kochankiem, choć jednocześnie spotykał się z Holly?

*A niech cię, Cainie! Gdzie ty się podziewasz?*

Przez całą drogę do Portlandu Holly powtarzała sobie, że robi potworny błąd. Powinna była posłuchać rady Joanny, przeczekać burzę, cierpliwie wyglądać powrotu Caina do Cliffside i dopiero wtedy wszystko wyjaśnić. Jednak kiedy dziś poszła do miasta, od plotek aż huczało - pytano ją bez owijania w bawełnę, czy Cain zostanie aresztowany za zabójstwo Amber Wadę.

Rozmawiała tego ranka z Griffem, gdy wychodził z „Gospody” - choć zdawał się rozanielony pogłębieniem znajomości z Joanną, nie był zachwycony nieobecnością Caina i nie zamierzał dłużej czekać, nawet przez wzgląd na przyjaźń z Joanną.

Właśnie dlatego Holly rzuciła wszystko i wyruszyła do Portlandu. Skoro nikt nie widział go w Cliffside, a samochód nie był zaparkowany tam, gdzie zwykle - a nie był, sama sprawdziła - logicznie uznała, że miejsce, gdzie mogłaby go znaleźć, to pracownia. Nikt w miasteczku nie miał pojęcia o jej istnieniu, lecz Holly wiedziała przynajmniej, gdzie szukać. Cain zawsze bardzo niewiele mówił o swoim atelier. Nie miał tam telefonu, bo nie znosił, gdy przerywano mu pracę, więc Holly nie miała wyboru - musiała pojechać.

Nie miała pojęcia, co mu powie. Nawet parkując przed ogromnym magazynem zamienionym na mieszkania, w którym Cain miał na ostatnim piętrze pracownię, nie wiedziała, jakie słowa padną z jej ust, kiedy i jeśli w ogóle wpuści ją do środka.

Naciskała guzik domofonu wielokrotnie, zanim po kilku minutach usłyszała w głośniczku poirytowany głos Caina:

- Słucham.

- Cain, to ja, Holly. Mogę wejść?

Zapadła krótka cisza, a potem rozległ się zgrzyt windy towarowej zjeżdżającej na dół. Gdy dotarła na parter, Holly otworzyła drzwiczki przypominające płot i wsiadła do środka. Powolna jazda na czwarte piętro wydawała się nie mieć końca, na dodatek Holly nadal nie

wiedziała, co powiedzieć.

Cain czekał już na nią i otworzył zewnętrzne drzwi windy, podczas gdy Holly zmagala się z wewnętrznymi. Widać było, że ucieszył się na jej widok.

- Witaj, kochanie. Co cię sprowadza?

- Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? - Zdziwiła się ostrością własnych słów.

Cain uniósł obie brwi.

- Przez ostatnie dwa dni? Byłem tutaj.

Holly jeszcze bardziej oburzyła się na samą siebie, kiedy niczym jędzowata żona wysyczała następne zdanie, przechodząc obok Caina do ogromnego pokoju, gdzie stało kilka sztalug i stolików zastawionych puszkami z pędzlami, niezliczonymi słoiczkami, tubkami farby i szmatami, a dalej znajdowało się podwyższenie, na którym modelki mogły pozować.

- Znikasz, prawie nic mi nie mówiąc, a ja sama muszę stawić czoło plotkarzom w Cliffside.

- Och, czy to znaczy, że zostałem już osądzony i powieszony? - zapytał ze znudzoną obojętnością w głosie. - Holly, moja obecność niewiele by zmieniła. Dlaczego ich po prostu nie ignorujesz? Gadanie ucichnie równie szybko...

- Nie, nie ucichnie - odpowiedziała, stając do niego twarzą. - Nie rozumiesz, Cainie? Nakłamałeś szeryfowi o niedzielnej nocy i wszyscy w miasteczku o tym wiedzą.

- Jak wpadł na to, że skłamałem? - Cain zmarszczył czoło.

- Ktoś widział twój samochód wyjeżdżający około północy. Dokąd pojechałeś? Przyjechałeś tutaj?

Cain zawahał się, a potem potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, przyjechałem tutaj.

- Po co? Żeby malować? Co mogło być tak cholernie ważne, że musiałeś wymknąć się w środku nocy i gnać tutaj, żeby nad tym pracować? I dlaczego, na Boga, okłamałeś Griffina?

- To nie twoja sprawa. Posłuchaj, nie zabiłem tej dziewczyny...

- Niech cię cholera! Wiem o tym! Nie rozumiem po prostu twojego kręactwa i powodu ukrywania się tutaj, podczas gdy w domu rozpętało się prawdziwe piekło, i dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać... - Przerwała nagle, w chwili gdy jej wzrok spoczął na obrazie stojącym na sztalugach w części pokoju przeznaczonyj do pracy.

To był portret Caroline. Ukończony. I piękny.

- A jednak rozumiem - wymamrotała. - Zupełnie cudownie udało ci się uchwycić podobieństwo. Zdaje się, że bardzo dobrze ją znałeś? Tak, nawet bardzo dobrze. Byłeś jej kochankiem, prawda?

- Tak - odpowiedział Cain.

Gdy Joanna wracała do hotelu, na niebie zaczynały zbierać się chmury. Zmieniająca się pogoda doskonale pasowała do jej nastroju. Była równie niespokojna jak ciemne kłębiące kształty rozpościerające się w górze, mimo myśli, że może udało jej się coś zrobić, by pomóc Regan.

Nadal martwiła się o dziewczynkę. Ciągłe prześladowało ją wrażenie, że niebezpieczeństwo czyha gdzieś w pobliżu i zagraża małej. Jednak coś się zmieniło - mogła jedynie mieć nadzieję, że na korzyść Regan.

Scott się zmienił. Albo przynajmniej tak się jej zdawało.

To Joanna zapoczątkowała tę przemianę, ale czy na pewno? Gdyby nie powiedziała Scottowi o podejrzaniach swoich i Griffina, nie przejrzałby rzeczy Caroline i nie zorientował się, jak ważny mógł okazać się mały kluczyk z brązu. Gdyby tego nie zrobił, najprawdopodobniej nie doszłoby do rozmowy z Griffinem - na pewno nie w sytuacji, kiedy unikali się wzajemnie przez tyle lat.

Zatem niewykluczone, że Joanna im pomogła. Może także, choćby tylko pośrednio zwróciła Regan ojca. Może.

Wiedziała, że nagła zmiana wzajemnych stosunków nie będzie łatwa ani dla Regan, ani dla Scotta. Dziewczynka ciągle jeszcze nienawidziła ojca, po części z powodu śmierci matki, po części zaś dlatego, że kilka lat temu odepchnął ją niespodziewanie. Joanna miała jednak pewność, że Scottowi uda się odtworzyć zerwane więzi, bo każdy, kto choć raz tak bardzo kochał dziecko jak on, chce przeżywać to uczucie ponownie.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju w „Gospodzie”, zaczęła myśleć o Griffinie. Już nie bała się widma Caroline, nadal jednak nie miała specjalnej ochoty na wyrażanie uczuć słowami. Doznała nawet swego rodzaju ulgi, kiedy Casey im przerwał. Trochę powątpiewała, czy Griffin ucieszyłby się, słysząc: „Kocham cię, ale nadal myślę o Caroline”.

Do czasu aż się wszystko wyjaśni, nie mogłaby powiedzieć mu nic innego. Choć z drugiej strony Joanna wcale nie była pewna, że nawet wtedy, gdy zagadka zostanie rozwiązana, trzy morderstwa wyjaśnione, a Regan zyska absolutne bezpieczeństwo - że nawet wtedy wszechobecny niepokój opuści ją na dobre.

Nie myślała o tym aż do tej pory - sama możliwość, że Caroline będzie prześladowała ją już zawsze, strasznie Joannę zdenerwowała. Obecność czyjejkolwiek świadomości we własnym umyśle jest czymś okropnym, ale...

- Byle nie twojej, Caroline - Joanna wymamrotała pod nosem, trochę ponuro. -

Ktokolwiek, byle nie ty.

Joanna usiadła na łóżku i wzięła głęboki wdech, odsuwając od siebie narastającą panikę. To się nie zdarzy. Nie zdarzy. W taki czy inny sposób dojdzie do szczęśliwego zakończenia splotu wydarzeń. A kiedy będzie po wszystkim, wtedy pomyśli o Griffinie.

Koniec i kropka.

Siedziała przez jakiś czas w zamyśleniu, usiłując pochwycić coś niejasnego, co ją dręczyło. Coś, co wiedziała? Coś usłyszanego od kogoś? *Cholera, co to było?* Wstała i podeszła do toaletki, wzięła do ręki szczotkę, żeby przeczesać włosy. Zmarszczyła czoło, gdy jej wzrok padł na niewielką szkatułkę podróżną na biżuterię. Czy to właśnie ją męczyło?

Naszyjnik Caroline. Joanna otworzyła pudełko, by go wyciągnąć, a potem wpatrywała się w trzymane w palcach delikatne dzieło jubilera.

- Cholera, zapomniałam oddać go Regan - powiedziała do siebie.

Owinęła łańcuszek wokół dłoni i obracała serduszkami, ustawiając je pod różnymi kątami do światła. Z którym kochankiem Caroline spotkała się w starej stodole, kiedy to zgubiła? Czy to był Cain? Zdołałby spotykać się z dwiema kobietami w małym miasteczku tak, by jedna nie wiedziała o drugiej?

A jeśli był jej ostatnim kochankiem, w co mógł być zamieszany, że Caroline śmiertelnie to przerażało? *A może myślę się i zdenerwowanie Caroline nie miało nic wspólnego z jakimś mężczyzną?*

- Niech to szlag trafi!

Trzymając naszyjnik w ręku, przeszła do okna balkonowego, otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Powietrze było zimne i wilgotne. Popatrzyła w stronę południa, gdzie stał dom Scotta i Caroline. Myślała. Myślała.

Sen sprowadził ją tutaj. Zawiódł ją do wielu miejsc, które musiała zobaczyć, i ludzi, których musiała poznać. Niemal dosłownie wszystko ze snu znalazło odpowiednik w rzeczywistości. Fale rozbijające się o brzeg i ogromny dom nad oceanem istniały naprawdę. Budynek ze snu mógł wskazywać między innymi na Dylana, bo w końcu Caroline miała romans z mężczyzną we własnym domu. Bardzo kolorowy obraz ustawiony na sztalugach - także okazał się symbolem, bo zaprowadził Joannę do Caina i sprowokował ich rozmowę. Czyżby nie zwróciła wystarczającej uwagi na to, że on go namalował lub że przedstawiał małą dziewczynkę?

Czy nie doceniła znaczenia obrazu?

- Cholera! - Joanna ponownie zaklęła pod nosem i zmarszczyła czoło. A co z innymi przedmiotami? Różne okazały się bardzo realne i wskazały jej drogę do Adama Harrisona. Czy

na pewno miały tylko takie znaczenie? Karuzelowy konik istniał w miejscu, które Caroline szczególnie lubiła. Papierowy samolocik nadal stanowił zagadkę. Nigdzie w Cliffside nie zauważyła nawet śladu samolotu zabawki.

Chodziłoby o głębiej ukryty symbol?

- Papier. Fruwający papier. Papier, który jest w ruchu - powiedziała. - Co to, do diabła, może oznaczać?

Nic nie przychodziło jej do głowy. Tykający zegar z pewnością odnosił się do upływającego czasu. Płaczącym dzieckiem musiała być Regan. Była córką Caroline, a poza tym żadne inne dziecko nie miało nic wspólnego z całą sprawą.

A emocje, jakie odczuwała? Strach, który trzymał ją za gardło i sprawiał, że zrywała się ze snu z szaleńczo bijącym sercem, obezwładniona niepokojem - co z tym? Ostrzeżenie od Caroline? Rozpaczliwe błaganie o pomoc dla dziecka? A może jedynie mieszane wrażenia kobiety, w chwili gdy umierała w wypadku?

Nie. Musiało chodzić o coś więcej. Joanna była przekonana, że znalazła się tu z jakiegoś innego powodu. W Cliffside zaczęły się kłopoty. Tutaj też kryło się niebezpieczeństwo. Bo jeśli nie, to dlaczego ktoś usiłował ją zabić?

Wzdychając, przeniosła wolno spojrzenie od wielkiego domu na urwisku i ponad las, wpatrywała się w miejsce, gdzie stała altana Caroline zasłonięta przed jej wzrokiem drzewami. Mogłaby tam zanieść łańcuszek i zostawić dla Regan. W końcu było to ulubione miejsce Caroline...

Zupełnie niespodziewanie Joanna zobaczyła oczami wyobraźni papierowy samolocik, unoszący się i opadający, przed lądowaniem - tym razem w innym miejscu. Tak, to jasne. Tym właśnie różnił się jej sen w ostatnich dniach od poprzedniej wersji. Przedtem samolocik opadał na trawę. Pamiętała doskonale jej soczystą zieleń. Natomiast ostatnich kilka razy lądował gdzieś indziej. Gdzieś... na deskach.

Podobnych do podłogi w altanie.

- Pewnie uznałeś, że to dla mnie nie ma znaczenia. - Głos Holly zdradzał napięcie.

- Wiedziałem, że się przejmiesz. Właśnie dlatego ci nie powiedziałem.

- Niech cię cholera!

- Holly, posłuchaj mnie. - Cain nawet nie próbował jej dotknąć lub choćby podejść bliżej. Mówił spokojnym cichym głosem. - To się wydarzyło, zanim cię spotkałem, wiele lat temu. W moje pierwsze wakacje w Cliffside. I trwało tylko jedno lato.

- Ale wróciłeś następnego lata.

- Tyle że nie z powodu Caroline. Spodobało mi się miasteczko. Okazało się dobrym miejscem do malowania. Nie przyjechałem tam ponownie z jej powodu.

- I ja mam w to uwierzyć? - Holly nieświadomie roześmiała się chrapliwie. - Tak się przejąłeś jej śmiercią, że zniknąłeś na tydzień. Co powiesz na to? - Kiwnęła głową w stronę portretu. - Malowałeś go, kiedy zginęła, wiem, bo widziałam ten obraz w twojej chacie.

- To było zlecenie, Holly. Caroline poprosiła, żeby odłożyć pozowanie do wiosny. Chciała dać Regan ten portret. Pozowała mi tylko do szkiców. A potem okazało się, że oboje nie mamy czasu. Tak więc nie był skończony, kiedy zmarła. Dokończyłem go jednak i postanowiłem dać Regan na urodziny. Caroline chciałaby tego.

- Oczywiście, za wszelką cenę róbmy to, czego chciałaby Caroline.

Choć Cain zacisnął usta, jego głos był spokojny.

- Zdaje się, że bez wyjaśnienia sobie sprawy Caroline nie zaczniemy rozmawiać o czymkolwiek. Tak, wyjechałem po jej śmierci, ale sama wiesz, że przygotowywałem wtedy wystawę. Musiałem skoncentrować się na pracy i dlatego tu przyjechałem. Ty byłaś zajęta pocieszaniem Scotta, całe miasteczko nie robiło zresztą nic innego, tylko przejmowało się Scottem, dlatego uciekłem. Ale nie z jej powodu. Holly, nigdy nie kochałem Caroline. Nawet kiedy z nią sypiałem.

- Jakoś nie potrafię ci uwierzyć - wyszeptała. - Widziałam, jak mężczyźni ją traktowali. Wy wszyscy. Wpatrywaliście się w nią. Opiekowaliście się. Podziwialiście, jakby była najbardziej zadziwiającym stworzeniem. To nie miłość?

- Nie. - Cain wciągnął powietrze. - Przynajmniej nie z mojej strony, a przypuszczam, że także w przypadku wielu innych facetów. Wstrząśnięta? Nie ma potrzeby. O tak, miała paru kochanków w czasie tych lat. Holly, nie tylko Griffa, jeśli rzeczywiście był jej kochankiem. Opowiedziała mi o nich. Fakt, nigdy nie mówiła, że z nim spała, dlatego nie jestem tego pewny.

Holly milczała przez chwilę, zanim zdołała zapytać:

- Opowiadała ci o nich? O innych kochankach?

- Znowu zaszokowana? - Uśmiechnął się lekko. - Caroline taka była, Holly. Między innymi dlatego mnie fascynowała. Wyglądała superkobieco i zwykle zachowywała się tak uroczo i niepewnie, że mężczyźni lgnęli do niej jak pszczoły do miodu. Tyle że brała sobie kochanków, a potem ich rzucała, nie przejmując się nimi specjalnie, jak kotka w rui. Moim zdaniem nie miała pojęcia, na czym polega miłość, wątpię też, czy kiedykolwiek ją czuła, nawet do Griffa.

Holly nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czuła jedynie ulgę, bo w jego głosie

brzmiała bezstronność, a twarz wyrażała głęboki namysł.

- Nie mam pojęcia, czy taka już się urodziła - mówił dalej Cain. - Może. Niewykluczone, że gdyby miała w życiu więcej okazji do dokonywania wyborów, gdyby nie wyszła za mąż tuż po szkole, mogłaby stać się kimś innym. Z drugiej strony, może po prostu taką miała naturę. Lubiła seks. Ale nie interesowały jej uczucia. Bezgranicznie uwielbiała Regan. W to wierzę. Ale w końcu nawet kotka, która robi wszystko dla kociąt, nikogo nie dziwi, prawda? Kiedy kociaki podrosną, stają się dla matki jedynie innymi kotami, nie mającymi z nią nic wspólnego. Jestem przekonany, że gdyby Regan podrosła, Caroline widziałyby w niej po prostu drugą kobietę, rywalkę.

Nie miała już wątpliwości, że Cain nie kochał Caroline.

- Cainie, jak mogłeś romansować z kobietą, o której myślałeś w ten sposób?

- Nie znałem jej, kiedy zaczęliśmy się spotykać, choć przyznaję, że w czasie tej znajomości sporo się nauczyłem. - Pokiwał głową. - I nie będę się wypierał, że tamtego lata miałem bzika na jej punkcie. Ale nigdy jej nie kochałem, Holly. Kiedy przyjechałem następnego roku, czułem dla niej jedynie litość.

Holly nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś litował się nad Caroline.

- Czyżby?

Cain z powagą pokiwał głową.

- Nigdy nie była szczęśliwa. Chwilami odczuwała zaspokojenie, ale nie szczęście. Nawet w stosunkach z Regan.

Po chwili Holly także pokiwała głową.

- Przepraszam. Zdaje się, że zachowałam się, jak...

- Jakbyś była zazdrosna - dokończył za nią Cain. Uśmiechał się, a w zielonych oczach miał wesołe iskierki. - Co szczerze mówiąc, biorę za dobry znak.

- Dobry znak?

- Uhm. Zanim jednak o tym pogadamy, czy moglibyśmy najpierw zająć się tym, że skłamałem Griffowi.

- Chyba tak - odparła Holly dziwnie potulnie.

Cain podszedł do niej i wziął za rękę.

- Nie powiedziałem mu prawdy, gdzie pojechałem tamtej nocy, bo siedziałaś obok, a nie chciałem, żebyś się dowiedziała. Właściwie powinienem z nim później porozmawiać i wyjawić, o co chodzi, ale uczciwie stawiając sprawę, nawet mi do głowy nie przyszło, że to będzie miało jakieś znaczenie.

To tłumaczenie trafiało Holly do przekonania. Zawsze, kiedy pochłaniało go



malowanie, na niewiele spraw zwracał uwagę i skupiał się wyłącznie na tym, co właśnie robił.

Cain podprowadził ją do jednej ze sztalug, na której stał obraz zasłonięty płótnem.

- Pracowałem nad nim z przerwami od wielu tygodni. Nie chciałem, żebyś się dowiedziała, aż się upewnię, że... dobrze oddałem temat. - Ręką ściągnął płótno z obrazu.

Holly patrzyła na własny portret. Przedstawiał ją nie upozowaną, zapatrzoną w ocean, z ciemnymi włosami zmierzwionymi wiatrem. Jak na wszystkich jego obrazach kolory były żywe i pulsujące, a postać oddana jak żywa - Holly niemal się spodziewała, że usta na portrecie rozchylą się i usłyszy własny głos.

- Cainie... jest cudowny - wyszeptała. - Ale przecież sam mówiłeś, że nie znasz mnie wystarczająco dobrze.

- To wymówka - odezwał się cicho. - Najłatwiejsza odpowiedź, bo nie byłem gotów, żeby wszystko dokładnie wyjaśnić. W rzeczywistości nie mogłem cię malować przez długi czas, bo znałem cię za dobrze, zbyt często cię widywałem. Nie umiałem spojrzeć na ciebie z punktu widzenia artysty. Znajdowałeś się zbyt blisko, przepełniały mnie szczegóły związane z tobą. I dopóki nie uporządkowałem jakoś swoich uczuć do ciebie, nie mogłem cię malować.

Holly odwróciła się od portretu i popatrzyła na niego. Serce mocno jej biło.

- Tak więc... uporządkowałaś swoje uczucia?

Wykrzywił lekko usta, a w zielonych oczach nagle mogła czytać jak w otwartej księdze.

- No cóż, zdałem sobie sprawę, że moje życie bez ciebie będzie puste i bez sensu. Kocham cię, Holly.

Holly wzięła głęboki wdech i splotła mu ramiona na szyi.

- Dzięki Bogu - wyszeptała, dotykając ustami jego warg. - Od miesięcy jestem w tobie zakochana.

Wylądowali na podeście z draperią, gdzie pozowały modelki, który okazał się nie tyle wygodny, ile odpowiedni dla tego, co zamierzali zrobić. Zresztą Holly dopiero po wszystkim zorientowała się, jak bardzo się do tego nie nadawał. Zrobiła Cainowi łagodną wymówkę, że mogli przejść na łóżko stojące niecałe trzy metry dalej.

Cain rozejrzał się dookoła i zachichotał.

- Łóżko też by się nadawało, ale minęło tyle dni, więc musisz mi wybaczyć lekką niecierpliwość. - Pocałował ją najpierw delikatnie, a potem z pasją. - Zostaniesz na noc, prawda, kochanie?

- Jest dopiero popołudnie - powiedziała, ale szybko dodała: - Oczywiście, że zostanę. Dana będzie czuwać nad „Gospodą”.

- Aha. Zapowiedź tego, co będzie normą?

- Tak, obiecałam ci, że postaram się mieć więcej czasu dla nas. A Dana świetnie sobie poradzi, zastępując mnie od czasu do czasu. - Poglądziła palcem wskazującym jego dolną wargę. - Powinniśmy jednak wrócić jutro do Cliffside albo zadzwonić do Griffa. Nie jest z ciebie zadowolony. Naprawdę musisz mu wyjaśnić, dlaczego skłamałeś.

- Pewnie nadal jestem podejrzanym numer jeden - powiedział Cain, ale nie był zbyt przejęty. - Zastanawiam się, kto rzeczywiście zabił tę dziewczynę.

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że Griff to wyjaśni, zanim ludzie z miasteczka powieszą cię za tę zbrodnię. - Holly była trochę smutna. Zmarszczyła czoło. - Słyszałam, że szuka związku pomiędzy śmiercią Amber i Caroline. Nie wiesz, czy Caroline miała z kimś romans tuż przed wypadkiem?

- Jeżeli nie zerwała go po rozpoczęciu pozwania do portretu, to spotykała się wtedy z Dylanem Yorkiem - odpowiedział.

Biegając przez hol w kierunku werandy, Joanna doszła do wniosku, że zajmie jej to tylko kilka minut i zanim Griffin zjawi się po służbie, zdąży dojść do altany i wrócić. Musi jedynie się postarać. Wiedziała, że powinna zaczekać na niego, ale chciała jak najszybciej sprawdzić, czy jej domysły są słuszne.

- Hej, Joanno? Dokąd tak pędzisz?

Zatrzymała się tuż przed drzwiami werandy i zaskoczona spojrzała na Dylana.

- Muszę coś załatwić - powiedziała. A co ty tutaj robisz, Dylanie?

- Mieszkam, czyżbyś nie wiedziała? - Wzruszył ramionami. Zaniepokojenie, które okazywał w mieście w trakcie ich ostatniego spotkania, najwyraźniej minęło. - Tak samo jak Holly mieszkam w hotelu. Wróciłem, bo Scott powiedział mi, że mogę mieć wolne popołudnie, jak tylko skończę sprawę w sądzie. Napijesz się kawy?

- Dziękuję, ale trochę się spieszę. Myślisz, że będzie padać?

- Pewnie. Zbiera się na deszcz i pewnie zmokniesz.

- Nie jestem z cukru - odparła, pomachała mu i pobiegła przez werandę. Na zewnątrz zaczynało się ściemniać.

- Uwierzyłeś w to, co usłyszałeś - stwierdziła cicho Lyssa, obserwując Scotta chodzącego nerwowo po pokoju.

- Należałoby mnie za to zastrzelić - odezwał się niskim, zachrypniętym głosem. - Powinienem domagać się ustalenia ojcostwa, zamiast bez słowa wierzyć w to, co mi mówiła, zmusić ją do udowodnienia, że Regan nie jest moja. Ale ja jej słuchałem. Słuchałem i

wierzyłem. Boże, wybac mi! Pozwoliłem, żeby jad Caroline zatruł miłość Regan do mnie.

- Nie miałeś przecież pojęcia, że ona kłamie, Scotcie. Zresztą skąd mogłeś to wiedzieć? - Lyssa podeszła do niego, kiedy zatrzymał się obok kominka, i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Podobny gest nie należał do ich rytuałów.

Scott zadzwonił do niej niecałą godzinę wcześniej i poprosił, żeby przysłała do niego do domu. A kiedy przyjechała, opowiedział, co Caroline mu zrobiła.

Lyssa nadal otrząsała się z szoku. Ani trochę nie lubiła Caroline, ale zniechęciłaby każdą kobietę, która wyrządziłaby własnemu mężowi taką krzywdę. Była tak okrutna, że z trudem mieściło się to w głowie.

Nie bardzo wiedziała, co robić w tej sytuacji. Jak pomóc Scottowi. Nigdy jeszcze nie widziała go tak bezbronny jak w tej chwili, nikt jeszcze tak go nie zranił - a nie była pewna, na co może sobie pozwolić wobec niego. Reagowała instynktownie, powodowana uczuciami. Stały się jej przewodnikiem. Miała jedynie nadzieję, że nie pogarsza jego nastroju.

Nie zwrócił uwagi na jej dotyk. Mówił w dalszym ciągu niskim głosem, którego prawie nie rozpoznawała. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, choć nie dzielił ich już taki dystans.

- Dobrze wiedziała, co najbardziej mnie zabolę. Jego nienawidziłem już wcześniej, bo nie miałem wątpliwości, że się w nim zakochała. Nie chodziło o pożądanie, jak w przypadku innych, to była miłość albo stan bardzo jej bliski. Dlatego kiedy powiedziała mi, że to jego dziecko, że Regan nie jest moja... uwierzyłem jej bez zastanowienia.

Lyssa otwierała właśnie usta, żeby coś wtrącić, ale zamiast tego szybko obróciła głowę, bo doszły ją ciche dźwięki z korytarza.

- Słyszałeś...?

Scott zdążył w tym czasie przejść przez pokój do uchylonych drzwi i otworzył je na oścież.

W pierwszej chwili Lyssa pomyślała, że niczego tam nie ma. Ale wtedy Scott się nachylił, kiedy zaś się wyprostował, trzymał w ręku lalkę - jedyną, z jaką Lyssa kiedykolwiek widziała Regan.

- Nie - wyszeptwała.

Scott obrócił się, by na nią spojrzeć. Twarz miał poszarzałą. Wtedy oboje usłyszeli odgłos zatraskiwanych gdzieś dalej drzwi.

- Och, Boże! Ona to słyszała - powiedział Scott zachrypniętym głosem.

Informacje przefaksowane z San Francisco to był prawdziwy groch z kapustą -

począwszy od szkolnych ocen Roberta Butlera, przez oficjalne dane o jego różnych firmach po prywatne doniesienia. Od czytania sterty papierów Griffina rozboleła głowa. Nie mógł sobie pozwolić na pominięcie czegokolwiek, dlatego bacznie śledził każde słowo.

Zmarły pan Butler okazał się człowiekiem bardzo zamożnym, rekinem finansjery pod każdym względem. Jego firmy osiągały zadziwiające sukcesy. Griffin czytał cierpliwie o kolejnych osiągnięciach, szukając jakichkolwiek powiązań, choćby najmniejszych, z Cliffsides lub którymś z jego mieszkańców.

Dotarł niemal do końca stosu, kiedy na jednej ze stron zauważył znane sobie nazwisko. Skupił na tej kartce całą uwagę. Przeczytał ją wolno i uważnie. Potem jeszcze raz. Fakty przedstawione w prywatnych papierach Butlera, dostarczonych przez jego siostrę, mówiły same za siebie.

Istniał związek.

Dylan York pracował przed laty u Butlera. Ukradł pracodawcy pieniądze. Dużo pieniędzy. Dylan zniknął na moment przed ujawnieniem afery - Butlerowi zaś zostało wyjaśnianie bardzo dziwnych zapisów w księgach rachunkowych. Nie złożył formalnego zawiadomienia o przestępstwie - widocznie ludzie o jego pozycji są przyzwyczajeni do samodzielnego załatwiania własnych spraw.

Wpatrując się w papier, Griffin zaczął snuć domysły. Załóżmy, że w trakcie ubijania ogromnego interesu, o którym wspominała jego siostra, lub w jakiś sposób od brokerów, których wynajął do tego celu - dowiedział się, że Dylan York mieszka w Cliffsides. Przyjmijmy, że Butler tu przyjechał z zamiarem stanięcia twarzą w twarz z Dylanem, by spojrzeć w oczy mężczyźnie, który go okradł. Załóżmy, że się spotkali, celowo lub przypadkiem, za „Gospodą”, w której Dylan mieszkał, i doszło między nimi do bójkii.

To tylko spekulacje - upomniał Griffin sam siebie. Niemniej Robert Butler zginął na skałach urwiska - a to było faktem.

Pierwsza śmierć? Myśli Griffina pobiegły kolejnym torem. Zbierał w całość strzępy informacji i snuł domysły, kiedy brakowało mu pewników. Dylan znalazł pracę u następnego bogacza. Niewykluczone, że znowu chciał się posłużyć wypróbowanymi sztuczkami. Człowiek o naturze chciwca z pewnością dałby się skusić zarówno fortunie Scotta, jak i jego tendencji do przrzucania odpowiedzialności na pracowników. Przez lata Dylan mógłby naprawdę sporo nakraść.

Może Caroline w jakiś sposób to odkryła albo dowiedziała się czegoś o śmierci Butlera, bo związała się z Dylanem. Czemu nic nie powiedziała Scottowi? Pewnie dlatego, że akurat romansowała z Dylanem i była z nim na tyle blisko, że początkowo nie potrafiła

uwierzyć w podobne świństwo.

Później - tego Griffin nie wiedział - coś przeraziło Caroline. Albo Dylan, albo to, co robił, dlatego postanowiła poszukać pomocy. Niewykluczone, że udało się jej zyskać jakieś dowody, ukryte teraz w niewielkiej szkatułce, której nikt nie widział - Dylan mógł podejrzewać lub się dowiedzieć, że Caroline może posłać go na długo za kratki.

Nietrudno było sobie wyobrazić, że mógł tamtego dnia wrócić z Portland wcześniej, niż się spodziewano, i zobaczyć samochód Caroline obok starej stodoły. Nie trudno sobie wyobrazić, że doszło między nimi do konfrontacji. Był zły i podejrzliwy, ona uciekła od niego w panice. Nie trudno sobie wyobrazić jeden samochód goniący drugi po krętej szosie wijącej się wzdłuż wybrzeża, aż do chwili gdy straciła panowanie nad kierownicą i spadła z urwiska.

Od tego momentu nie potrzeba wyobraźni, żeby nabrać pewności, iż kiedy Joanna zaczęła wypytywać o Caroline i układała fragmenty zagadki w całość, także stała się zagrożeniem dla Dylana. Bardzo poważnym zagrożeniem.

Miała rację. Miała rację we wszystkim.

- Jezu - wymamrotał Griffin. Spojrzał na zegarek i nagle poczuł zimny dreszcz. Było dwie minuty po czternastej. Spóźni się.

Sięgnął po słuchawkę telefonu, drugą ręką otworzył szufladę biurka i zacisnął palce na rękojeści pistoletu, którego nie używał od czasu wyjazdu z Chicago.

## Rozdział piętnasty

Joanna była w połowie drogi do altany kiedy łagodna bryza zmieniła się w zimny wiatr, a wilgoć powietrza przeszła w krople deszczu. Biegła, instynktownie trzymając się z dala od krawędzi urwiska. Burzowe chmury nad jej głową sprawiały, że popołudnie wypełniała atmosfera grozy. Zapadał przedwczesny zmierzch. Miało to dziwny wpływ na stan jej umysłu.

Urywki rozmów i strzępy informacji kłębiły się jej w myślach niczym obrazy we śnie i najwyraźniej nie potrafiła nad nimi zapanować. Było tak, jakby jej podświadomość czegoś szukała, przerzucając strony pamięci. I wtedy gdy znajdowała się nieopodal altany, odpowiedni rozdział pamięci został odnaleziony. Joanna stanęła jak wryta.

*Skąd wiedział, w co była ubrana?*

Dżinsy i sweter - tak powiedział. Nie ubrała się tamtego ranka na wyjazd do miasta, bo włożyła dżinsy i sweter. A przecież tamtego ranka jego nie było w Cliffside - Joanna zapamiętała to stwierdzenie z protokołu zeznania, który czytała u Griffina. Wyjechał do Portlandu dzień wcześniej i został tam na noc. Wrócił dopiero późnym popołudniem po wypadku Caroline. Nie mógł też jej widzieć tuż po śmierci, bo na miejscu katastrofy byli jedynie ratownicy, Griffin i miejscowy lekarz. Identyfikacja zwłok nie przedstawiała najmniejszego problemu, więc nawet Scott nie widział ciała żony tamtego dnia.

W gazetach zaś nie wspomniano słowem, co Caroline miała na sobie w dniu śmierci.

Skąd zatem Dylan mógł wiedzieć, jak była ubrana w chwili wypadku - chyba że widział ją wcześniej tego dnia, może w starej stodole...?

Joanna poczuła przemożną chęć obejrzenia się przez ramię, ale zamiast tego - przyspieszyła. Powtarzała sobie, że nawet nie wie, czy zamierzał znowu ją zaatakować, tym bardziej że chyba nie posunąłby się do napaści w środku dnia. Ale jeśli taki pomysł chodził mu po głowie, najprawdopodobniej był teraz gdzieś w drodze między nią i hotelem - a ona nie miała ochoty tego sprawdzać. Pomyślała, że najlepsze, co może zrobić, to iść naprzód, minąć altanę i kierować się do domu Scotta, gdzie byli ludzie i gdzie będzie bezpieczna aż do przybycia Griffina.

Kiedy jednak wybiegła na polanę, zobaczyła Regan. Dziewczynka była w altanie, zwinęła się w kłębek na podłodze za konikiem z karuzeli. Każda cząstka jej ciała wyrażała ból i żal.

Joanna nie wahała się ani chwili. Instykt kążący jej podejść do dziecka był tak silny, jakby to ona urodziła Regan. W momencie gdy znalazła się w altanie, z nieba lunęło jak z cebra, ograniczając widoczność do niecałego metra.

Uklękła obok małej i delikatnie jej dotknęła, myśląc, że Regan nie mogła już dłużej panować nad bólem po stracie matki.

- Regan? Kochanie...

Regan spojrzała na nią. Jej mała blada twarzyczka była mokra od łez. Ze szlochem rzuciła się w ramiona Joanny.

- Nie mój - łkała żałośnie, dławiąc się od czasu do czasu. - On nie jest mój, Joanno!

- Nie twój? Regan...

- Dopiero co słyszałam, jak mówił Lyssie. Tak jej powiedział. Mówił, że mama najlepiej wiedziała, co najbardziej go zaboli, i że nie jestem jego dzieckiem. On nie jest moim tatą, Joanno! Nie mam taty! - Nadal zanosząc się płaczem, dziewczynka opowiadała głosem ledwie przebijającym się przez szum deszczu i wicher.

Joanna nie miała pewności, co dziewczynka usłyszała, musiała jednak założyć, że z jakiegoś powodu Scott wyjaśniał Lyssie sytuację, a Regan podsłuchiwała jedynie urywki ich rozmowy.

- Posłuchaj mnie, kochanie - zaczęła, zmuszając małą, by na nią spojrzała. - Znowu pewnie nie wszystko słyszałaś, dlatego źle zrozumiałaś. On jest twoim tatą, zapewniam cię i sam o tym świetnie wie.

- Powiedział...

- Nieważne, co powiedział. Regan, on jest twoim tatą. I kocha cię, wiem, że nawet bardzo cię kocha.

- Nie, nie jest! - Regan uparcie kręciła przecząco głową. - Już nie jest. Byłam niegrzeczna, Joanno, dlatego Bóg zabrał mi ich oboje.

- Kwiatuszku...

- Ty nic nie wiesz! Myślałam, że to zabawa, kolejna gra, tak jak cały czas bawiłam się z mamą. Myślałam, że schowała szkatułkę przede mną i chciała, żebym ją znalazła. Szukałam wszędzie kluczyka, ale nie udało mi się go odnaleźć. I wtedy zobaczyłam mamę, jak stąd wychodziła. Wiem, że się strasznie przestraszyła, kiedy nie znalazła szkatułki, wiem, bo była blada i wyglądała, jakby chciało się jej płakać. A kiedy wsiadła do samochodu, strasznie szybko odjechała... i nigdy nie wróciła, Joanno! Nigdy nie wróciła, a to wszystko moja wina! Przyniosłam tu później szkatułkę i włożyłam z powrotem do skrytki, w której ją znalazłam, ale mama już nigdy nie wróciła...

Joanna obejmowała szlochające dziecko, myśląc, jak łatwo można przeoczyć najważniejszą wskazówkę. *Byłam niegrzeczna, Joanno*. Dziewczynkę dręczyło poczucie winy, a Joanna nie zwróciła na to wcześniej należytej uwagi.

- Regan, kochanie, nie jesteś niczemu winna - zaczęła, ale przerwał jej głos, który rozległ się złowieszczo spokojnie tak niespodziewanie, że podskoczyła.

- Jakie to wzruszające.

To był Dylan. W rękę trzymał pistolet. Stał na zewnątrz altany, choć znajdował się pod jej dachem. Oparł ramię o balustradę i celował w Joannę.

Udało się jej wstać i cofając się, zasłonić dziecko. Dylan się uśmiechał. Joanna aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak przerażający może być zwykły uśmiech. Jego oczy były... martwe. Po prostu martwe.

- Dylanie, nie bądź głupi - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. - Wszystko skończone. Myślisz, że następną śmierć też uznają za wypadek? Jak dotąd dopisywało ci szczęście, ale...

- Szczęście? Tak to nazywasz? - Roześmiał się z goryczą, kiwając głową. - Od miesiący szukałem tej dyskietki, gdzie się dało, a ten dzieciak miał ją tu przez cały czas? Jezu!

*Dyskietka?* Joanna nie miała zamiaru się dopytywać.

- Pozwól Regan wrócić do domu - zaproponowała, nie mając większej nadziei, że wyrazi zgodę.

- Nie, to nie najlepszy pomysł. - Dylan ponownie się uśmiechnął. - Widzisz, słyszałem wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że mała wybiegła z domu w panice, więc wydaje się prawdopodobne, że za bardzo zbliżyła się do krawędzi urwiska, a przy takim deszczu, sama rozumiesz. I ty tu jesteś, Joanno, żywy obraz jej matki. Zdażyłaś się zresztą przywiązać do dziecka, czy to nie urocze? Moim zdaniem będziesz próbowała ratować Regan. I żadna z was nie wyjdzie z tego cało. - Pokręcił głową, marszcząc lekko czoło. - Mamy tu niebezpieczne urwiska. Bardzo niebezpieczne. Zwrócę się z petycją do władz miasta, żeby je solidnie ogrodzić po tej najświeższej tragedii.

Regan objęła Joannę w pasie i milczała. Trzęsła się cała - Joanna była pewna, że mała jest w szoku. Ukradkiem położyła dłoń na uchu Regan i przytuliła do siebie jej główkę, mając nadzieję, że uniemożliwi jej w ten sposób usłyszenie rzeczy, których nie musiała wiedzieć o matce i o tym, co się stało. Teraz chodziło jej tylko o granie na zwłokę i zajmowanie Dylana rozmową tak długo, jak to będzie możliwe.

- Kłamałeś, kiedy opowiadałeś mi o waszym romansie, prawda, Dylanie? Nie byliście



razem wiele lat temu, raczej kilka miesięcy. Tuż przed śmiercią Caroline.

Kiwnął lekko głową w ironicznej parodii uprzejmego potwierdzenia.

- No cóż, musiałem kłamać, Joanno. Nie chciałem, żebyś zapamiętała mnie jako faceta, który był najbliżej z Caroline w chwili jej śmierci. Mogłabyś powiedzieć o tym Griffowi, zanim usunąłbym cię z drogi, a to byłoby mi bardzo nie na rękę. Oczywiście, wiedziałem, co chcesz usłyszeć. Że Caroline wykorzystywała mnie jak ogiera rozplodowego, a potem rzuciła, zostawiając mnie ze złamanym sercem. Czy to właśnie mówili ci inni?

- Skąd wiedziałeś?

- Bo obserwowałem ją od lat. Patrzyłem, jak postępowała z kochankami. Widziałem, co zrobiła Scottowi. Uważałem, że któregoś dnia ta wiedza może mi się przydać... i tak się stało w chwili, gdy postanowiłem uwieść panią na włościach. - Uśmiechnął się. - Wiedziałem, który guzik nacisnąć, możesz mi wierzyć. Tym razem dla odmiany Caroline przekonała się, że została wykorzystana.

Coś w jego głosie, rodzaj perwersyjnej przyjemności i podniecenia, sprawiło, że Joannę przeszedł zimny dreszcz. Wstrzymała oddech.

- Zabieraj tę dyskietkę i zostaw nas w spokoju. - Usłyszała strach we własnym głosie.

- Nie stanowimy dla ciebie zagrożenia, Dylanie.

- Oczywiście, że stanowicie, Joanno. Ty jesteś dla mnie zagrożeniem od chwili przyjazdu. Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Rozpytujesz ludzi, wtykasz nos w nie swoje sprawy, tak jakbyś wiedziała... - Przekrzywił głowę, nagle zaciekawiony. - Od samego początku podejrzewałaś, że śmierć Caroline to nie był wypadek, mam rację? Dlaczego tak uważałaś?

- Caroline mi powiedziała - wyszeptała.

Muszę grać na zwłokę, powtarzała rozpaczliwie w myślach, starając się zapomnieć o strachu. Musiała zatrzymać go tak długo, by dać Griffinowi czas na dojechanie do hotelu. Umówiła się z nim na czternastą? Nie odważyła się zerknąć na zegarek.

- Caroline już wtedy nie żyła. - Dylan zmrużył oczy.

- Tak. - Joanna zmusiła się do uśmiechu. - Nie żyła. Ale wydarzyło się coś dziwnego, Dylanie. Zeszłego lata, kiedy Caroline zginęła, ja także umarłam.

- Co takiego?

Joanna potaknęła ruchem głowy.

- Miał miejsce jeszcze jeden wypadek. Wysłałam z niego bez zadrapania, ale na mój samochód upadł kabel linii wysokiego napięcia. Zostałam śmiertelnie porażona prądem. W tej samej chwili co ja umarła Caroline.

Dylan wykrzywił usta, najwyraźniej zaniepokojony usłyszaną informacją, zgodnie z życzeniem Joanny.

- Zbieg okoliczności. I co z tego?

- A to, że zaistniało między nami jakby połączenie i wiem niektóre rzeczy, które wiedziała Caroline. Powiedziała mi, Dylanie. Chciała, bym pomogła Regan, żeby tu przyjechała i dopilnowała, żeby małej nic się nie stało. Chciała też, żeby prawda wyszła na jaw. Prawda o tobie.

Dylan roześmiał się krótko.

- Przykro mi, ale nie kupuję tego.

- Nic mnie nie obchodzi, czy to kupujesz, czy nie. - Joanna nie przestawała się uśmiechać. - Wiem o sprawach, Dylanie, o których nie powinnam wiedzieć. Na przykład o tym, że spotykaliście się w starej stodole. Pewnie zacząłeś coś podejrzewać, kiedy wracając wcześniej z Portlandu, zobaczyłeś, że jej samochód stoi tam zaparkowany. Przypuszczałeś, że spotyka się z kimś innym, dlatego zatrzymałeś się i chciałeś przycisnąć ją do muru. Ale Caroline nie lubiła konfrontacji i nie miała zamiaru niczego ci powiedzieć, prawda?

- Była strasznie zdenerwowana - wymamrotał Dylan. - Wiedziałem, że ma się tam z kimś spotkać, ale nie miałem pojęcia, z kim.

- Poza tym brakowało ci pewności, że ona ma dyskietkę, prawda? Przynajmniej wtedy.

- Najpierw wydawało mi się, że sam ją gdzieś wetknąłem - odparł. - I nagle zdałem sobie sprawę, dlaczego Caroline jest taka podenerwowana, dlaczego ni stąd, ni zowąd mnie rzuciła. Miała dyskietkę. Ta mała suka mi ją ukradła.

Joanna wstrzymała oddech.

- Bała się ciebie, mam rację? Obchodziłeś się z nią dość obcesowo, kontrolowałeś ją, a nigdy przedtem się jej to nie zdarzyło.

- Scott i reszta za dużo jej pozwalali - powiedział z uśmiechem samozadowolenia. - Ale nie ja. Pokazałem jej, kto jest panem.

*Och, Caroline, tym razem trafiła kosa na kamień.*

- Ale tamtego dnia... - Joanna nadal grała na zwłokę. - Zdałeś sobie sprawę, że to ona ma dyskietkę. Jednak zanim się do niej dobrałeś, Caroline ci uciekła. Wsiadła do samochodu i pojechała w stronę miasta. A ty ruszyłeś za nią w pościg.

- Wpadła w panikę i straciła kontrolę nad wozem - wtrącił, wzruszając ramionami. - Kiedy tam dojechałem i popatrzyłem, stało się dla mnie jasne, że nie żyje. Tak więc to naprawdę był wypadek.

- Wypadek spowodowany przez ciebie - stwierdziła Joanna. - A co z Amber? Zginęła zamiast mnie, Dylanie?

- Kolejna wrzaskliwa dziwka - mówiąc, wykrzywił usta. - Wyszła tamtej nocy na werandę i mnie zobaczyła. Patrzyłem na twój balkon i zastanawiałem się, czy warto ryzykować i pozbyć się ciebie. Zapytała mnie, co tam robię z bronią. - Wzruszył ramionami. - Snując się po hotelu w okolicach salonu, gdzie wszyscy grali, musiała wcześniej zauważyć, że mam pistolet. Wtedy już od jakiegoś czasu cię obserwowałem i dlatego zatknąłem go za pasek. Uwierzyłybyś, że ta gówniara dostrzegła broń?

- Dlatego ją zabiłeś? Bo wiedziała, że masz pistolet?

- Mogłaby komuś o tym powiedzieć. Chyba to rozumiesz, Joanno? - Ton jego głosu brzmiał dziwnie rzeczowo. - Najprawdopodobniej Cainowi, bo mało jej majtki nie spadały na jego widok. Albo Griffowi. Nie mogłem ryzykować. Zresztą jedna więcej, jedna mniej, czy to ma jakieś znaczenie? Zwłaszcza w przypadku takiej małej kretynki. - Ponownie wzruszył ramionami. - Ona się kompletnie nie liczyła. Stawka była zbyt wysoka, przegrana mogłaby mnie zniszczyć. I jak do tej pory szczęście mi dopisuje. Śmierć Caroline uznano za wypadek, Roberta Butlera...

- Roberta Butlera? Jego też zabiłeś?

- Uderzyłem go, nic więcej. - Dylan zmarszczył czoło. - A on spadł.

- Kolejny wypadek? Nie wydaje mi się, Dylanie.

- Myśl sobie, co chcesz. - Znowu się uśmiechnął. Jego twarz wydała się Joannie jeszcze bardziej przerażająca niż wcześniej, bo tym razem malował się na niej podziw. - Jesteś cwana, Joanno. Muszę ci to przyznać. I tobie też chyba sam diabeł pomaga. Mam cię na oku, od kiedy wróciłem, ale nigdy nie udało mi się zbliżyć do ciebie w sprzyjających okolicznościach.

*Obserwował mnie przez cały czas i nic o tym nie wiedziałam.* Poczwała zimny dreszcz przenikający aż do szpiku kości. Ze strachu trudno było jej zebrać myśli, ale mimo to próbowała. Nadal nie bardzo rozumiała, co mogło łączyć Dylana z Robertem Butlerem. Widziała, że Dylan staje się coraz bardziej niecierpliwy, nie potrafiła jednak ocenić, jak długo uda się jej jeszcze go zwodzić. Dlatego szybko zareagowała na jego słowa:

- Raz udało ci się mnie podejść. Co powiesz o moim samochodzie? Sporo się przy nim napracowałeś.

- Najwyraźniej jednak sfuszerowałem. - Roześmiał się, ale w tym śmiechu słychać było gorycz i irytację. - Tym razem dopilnuję, żeby załatwić wszystko jak trzeba. I ciebie, i dzieciaka. Wtedy zabiorę dyskietkę i będę mógł spać spokojnie.

- Dylanie, nie masz szans wykręcenia się kolejnym nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Griffin już tu jedzie, a musisz wiedzieć, że zaczął węszyć w sprawie poprzednich wypadków. Stał się bardzo podejrzliwy. Sprawdza wszystko od początku. W końcu natrafi na właściwe powiązania.

- Jakie powiązania? On gównie wie.

- Istnieje związek między tobą a Robertem Butlerem - powiedziała Joanna, blefując. Miała nadzieję, że zdoła zachwiać w ten sposób jego pewność siebie. - Zabiłeś go z określonego powodu. Może ci się wydawać, że nikt o tym nie wie, ale Griffin to odkryje. A w chwili, gdy wypadki zaczną wyglądać na coś innego, nie spocznie, póki nie wyjaśni reszty. Zwłaszcza teraz, Dylanie. Przypuszczasz, że łatwo pogodzi się z moją śmiercią? Przemyśl to jeszcze raz.

- Zaryzykuję. - Wykrzywił usta. - Wychodźcie, jazda!

Joanna nie poruszyła się. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w pewnej odległości za Dylanem.

- Ani mi się śni. Jeżeli uważasz, że grzecznie zaprowadzę Regan nad urwisko i pozwolę ci zepchnąć nas obie, to się grubo mylisz. Chyba ci rozum odebrało.

Wskazał kierunek pistoletem.

- Powiedziałem: jazda!

- Jak masz zamiar wytłumaczyć dziury po kulach u ofiar „wypadku”? A policja robi badania balistyczne. Ustalą, że pochodziły z twojej broni.

- To pistolet Scotta - przerwał jej zniecierpliwiony. - A ponieważ mam na rękach gumowe rękawiczki, pożyczone od doktora, będą na nim jego odciski palców. W wiadomościach o dwudziestej trzeciej podadzą, że zrozpaczony wdowiec zastrzelił córkę i kobietę bardzo podobną do zmarłej żony. - Uśmiechnął się. - Brukowce będą miały o czym pisać, nie uważasz?

- Moim zdaniem jesteś szalony - odpowiedziała Joanna.

Dylan roześmiał się głośno.

- Nie, jedynie zdeterminowany. Mam dość pracowania dla bogaczy, Joanno. Przyszedł czas, żebym odebrał nagrodę. Wychodźcie z altany albo strzelam. Ostrzegam, najpierw zastrzelę dzieciaka.

- Dylanie!

Aż podskoczył w miejscu. Twarz mu pociemniała, gdy zobaczył Scotta, stojącego kilka metrów dalej za Joanną. W jednej chwili jednak niezadowolenie zniknęło z jego twarzy, która przybrała wyraz złowieszczej uprzejmości.

- Och, dobrze, że tu jesteś. Może ciebie też zabiję.

- Pozwól im odejść - powiedział Scott cicho. Stał w ulewnym deszczu, ubranie miał przemoczone, włosy przylepiły mu się do czoła, a mimo to nadal wyglądał dziwnie imponująco. - Sprawa skończona.

- Nie, nie skończona. Nadal może mi się udać - ocenił Dylan rzeczowo.

- Nie - inny głos, o stanowczym brzmieniu, rozległ się z tyłu. - Nie może ci się udać. Rzuć broń, Dylanie.

Zamiast posłuchać, Dylan obrócił się i stanął tak, że widział ich obu - Scotta i Griffina. Deszcz szybko go przemoczył, blond włosy pociemniały mu od wilgoci. Pistolet trzymał jakby od niechcenia, nie celował też w nikogo.

- Cześć, Griff. Nie wiedziałem nawet, że masz pukawkę.

Griffin trzymał broń wymierzoną w Dylana. Jego spojrzenie stało się lodowate.

- Czyżbyś zapomniał, że byłem gliniarzem w Chicago?

Uwierz, że nie straciłem wprawy. Nie zmuszaj mnie, żebym ci to udowodnił. Rzuć broń. Wiem, co zrobiłeś Robertowi Butlerowi i dlaczego tu za tobą przyjechał. I założę się, że ten sam numer wywinąłeś Scottowi. Dowody są na dyskietce, prawda?

Uśmiech zaczął znikać z twarzy Dylana, który zaczął się powoli wycofywać w stronę krawędzi urwiska.

- Nie chciałem wyjeżdżać z kraju - powiedział. - Myślałem o tym co prawda zeszłego lata, ale nie chciałem. Bez dyskietki, na której jest zapisane wszystko, co zrobiłem, nawet najlepsza kontrola, jaką by przeprowadzili księgowi Scotta, niczego by nie wykazała. Byłbym wolny i miał czyste ręce. Potem rzuciłbym posadę u Scotta i wyjechał. Nigdy w życiu nie musiałbym już pracować. Dostałbym to, na co zasłużyłem. Miałbym to, co on ma. - Skinął głową w stronę Scotta.

- Rzuć pistolet, Dylanie - powtórzył spokojnie Griffin.

- I idź do więzienia? Ani myślę. - Wykrzywił usta. - A byłem tak blisko. Nie mogłem jednak odmówić sobie wypieprzenia pani na włościach i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło. Zrujnowała mnie. Niech ją szlag trafi! Wszystko zniszczyła!

- Nie rób tego! - krzyknął Griffin rozkazująco, gdy Dylan unosił pistolet.

Paskudny grymas nadal szpecił twarz Dylana.

- Przykro mi, Griff. - Wycelował w szeryfa.

Joanna odwróciła się instynktownie i zasłoniła Regan, żeby mała niczego nie zobaczyła. Sama również zamknęła oczy akurat w chwili, gdy kula trafiła Dylana prosto w pierś i rzuciła do tyłu.

Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy spadał z urwiska.

Na dłuższą chwilę zamarli w bezruchu. A potem, jakby na dany znak, deszcz nagle przestał padać. Griffin schował powolnym ruchem pistolet do kabury pod pachą i ruszył w stronę urwiska. Spojrzał w dół i wrócił do altany. Miał ponury wyraz twarzy.

Scott ruszył do przodu, ale zatrzymał się z jedną nogą na podeście. Utkwił wzrok w córce.

- Regan?

Joanna poczuła, że małą ponownie wstrząsnął dreszcz, wątle ramionka ścisnęły ją silniej, ale nie powiedziała słowa. To była sprawa pomiędzy Regan i Scottem. Sami musieli ją załatwić.

- Regan, kochanie... popatrz na tatę - odezwał się niskim, czułym głosem, jakiego Joanna jeszcze u niego nie słyszała.

Dziewczynka obróciła lekko głowę i spojrzała na niego zażawionymi oczami.

- Mówiłeś, że nie jesteś moim tatą - wyszeptwała.

- Nie - odpowiedział. - Mówiłem, że tak mi się wydawało. Przez dłuższy czas myślałem, że nie jestem twoim tatą, ale się myliłem, Regan. Jestem twoim tatą. Proszę, daj mi szansę, żebym ci to wynagrodził.

Mała nie ruszyła się z miejsca, choć Joanna poczuła, że dziecięce ramiona nie obejmują jej już tak mocno. Dziewczynka wpatrywała się w niego, trochę zagubiona i nadal w szoku po tym, co się przed chwilą wydarzyło. W końcu była tylko dzieckiem, nie potrafiła zrozumieć wszystkiego, co tu widziała i słyszała. Potrzebowała miłości i spokoju, więc kiedy ojciec wyciągnął do niej rękę, marzyła jedynie o tym, by pobiec do niego.

- Kocham cię, Regan - powiedział Scott trochę zachrypniętym głosem.

Regan puściła Joannę i zrobiła w jego stronę pierwszy, nieporadny krok. Potem następny. Ostatecznie wybuchnęła płaczem i rzuciła mu się w ramiona. Mocno ją przytulił, zamknął oczy. Dopiero po chwili spojrzał na Griffina, który stał przy altanie.

- Zabiorę ją do domu - powiedział.

Griffin skinął głową i patrzył, jak Scott niesie małą przez las w kierunku domu. Wtedy dopiero wszedł energicznie do altany i niezdarnie objął Joannę.

- Jezu Chryste! Wystraszyłaś mnie śmiertelnie - powiedział, wtulając usta w jej włosy.

W jego objęciach Joanna czuła się jak po powrocie do domu po bardzo długiej nieobecności - cudownie i bezpiecznie. Przytuliła się do niego i aż drżąc z emocji, wyszeptwała - Sama też się bałam. Wiem, powinnam była poczekać na ciebie, oszczędziłabym ci zdenerwowania. Zachowałam się jak kompletna idiotka, pozbawione mózgu debilka.

Przepraszam, ale myślałam...

- Po prostu nigdy więcej tego nie rób. - Pocałował Joannę. Głos mu się łamał. - Ostatnie dziesięć minut zafundowało mi pierwsze siwe włosy.

Joanna uśmiechnęła się do niego. Czuła, że miękną jej kolana, a w głowie zaczyna się kręcić - nie była pewna, czy to z powodu szoku, czy obecności Griffina.

- Przepraszam, naprawdę. Ale przynajmniej jest już po wszystkim, prawda?

- Mniej więcej - odpowiedział.

Niewielką szkatułkę znaleźli w skrytce Regan pod obłuzowaną deską w podłodze altany. Kluczyk z brązu znaleziony przez Scotta pasował doskonale. W środku leżała dyskietka komputerowa, która zawierała dowody chciwości Dylana.

Zdaniem Griffina do wyjaśnienia całości sprawy potrzebny teraz był zespół księgowych Scotta i jeden lub dwóch prawników. Wyglądało na to, że Dylan znalazł tak wspaniały sposób szachrowania w zapisach księgowych, że udało mu się wyprowadzić prawie dwa miliony dolarów bez pozostawienia śladów. Były to koszty, jakie Scott miał ponieść za zbytnie zaufanie niewłaściwemu człowiekowi.

Ponieważ jednak metoda Dylana była dość skomplikowana, musiał trzymać coś w rodzaju bazy danych, za co w konsekwencji sam zapłacił straszną cenę. Z tego, co na koniec powiedział Joannie, można było wnioskować, że Caroline odkryła w jakiś sposób jego poczynania. Często go odwiedzała - mieli przecież romans - i zapewne któregoś dnia natrafiła na ślad jego działalności.

Tak czy inaczej, zabrała dyskietkę. Prawdopodobnie w wolnej chwili w domu przejrzała jej zawartość i zdała sobie sprawę ze skali oszustw Dylana. Oczywiście powinna była natychmiast iść z tym do Scotta albo Griffina - dlaczego tak nie postąpiła, można było jedynie spekulować.

Dylanowi udało się w jakiś sposób - bez uciekania się do przemocy fizycznej, czego ślady Scott lub ktoś inny mógłby zauważyć - upokorzyć Caroline i sprawić, że naprawdę zaczęła się go bać. Niezależnie od tego, czy jej groził, czy miał po prostu silniejszą osobowość, trzymał ją w garści. W pewnym momencie Caroline pojęła, że jej kochanek jest zdolny do wszystkiego, dlatego próbowała zebrać się na odwagę, uwolnić i wyjawic jego przestępstwa.

Zwracała się po kolei do byłych kochanków, szukając u nich pomocy albo rady. Ale wtedy chyba sam los postanowił z niej zakpić, bo nieodmiennie spotykała się z ich obojętnością. Może chodziło o udowodnienie prawdziwości starego porzekadła „Jak Kuba

Bogu, tak Bóg Kubie”. Najwyraźniej bezpardonowe traktowanie tych mężczyzn ostatecznie zemściło się na niej. Bardzo prawdopodobne wydawało się, że nie poszła do Scotta, bo musiałaby przyznać się do romansu z człowiekiem, nad którym nie miała władzy, a tego nie zrobiłaby za żadne skarby.

W końcu postanowiła przekazać dyskietkę Griffinowi. Zapewne liczyła na to, że uda się jej nakłonić go, by tak pokierował wszystkim, żeby jej nazwisko nie łączyło się z tym w żaden sposób, a może podała jakieś niewinne powody, dzięki którym poznała prywatne sprawy Dylana. Jedno jest pewne - wysłała mu wiadomość i poszła wyjąć dyskietkę ze skrytki w altanie.

Regan musiała zostać w domu z powodu przeziębienia i przez okno widziała matkę wracającą z altany; choć nie potrafiła tego w pełni zrozumieć, rozpoznała zdenerwowanie i panikę malujące się na twarzy Caroline. Natychmiast domyśliła się, że źle zrobiła, zabierając szkatułkę ze schowka, a poczucie winy, jakie się z tym wiązało, nie opuści jej najprawdopodobniej do końca życia. Nie zobaczyła matki już nigdy więcej.

Dalszy ciąg wydarzeń dał się łatwo ustalić, głównie dzięki ostatnim słowom Dylana. Mieli jego przyznanie się do zabicia Roberta Butlera - „w wypadku” i Amber Wadę - z zimną krwią. Słyszeli je Joanna, Scott i Griffin.

Ostatecznie więc Griffin mógł rodzicom Amber wyjaśnić przyczyny śmierci córki, choć okazały się pewnie dla nich niezrozumiałe.

Wyciągnięcie ciała Dylana z dna przepaści zajęło ekipie ratowników prawie dwie godziny. Do tego czasu mieszkańcy Cliffsida zdążyli już poznać wszystkie szczegóły tej historii. Ciekawscy wyszli z domów i chcieli popatrzeć mimo padającego bez przerwy dokuczliwego deszczu. Naturalnie prawie od razu wiele osób przysięgało, że już od dawna uważało Dylana za podejzranego typka.

Co było zresztą do przewidzenia.

Tymczasem Griffin dostał wiadomość od Caina, dzięki której poznał przyczyny jego kłamstwa. Szeryf powiedział mu później z wyrzutem przy jakiejś okazji, że trochę za długo zwlekał z daniem znaku życia.

Joanna została z Griffinem przez resztę popołudnia z dwóch powodów. Po pierwsze chciała, a po drugie usłyszała, że on nie ma zamiaru spuścić jej z oka, dopóki jego ciśnienie krwi i puls nie wrócą do normy. Co zabrało trochę czasu. Wiedziała, że straszliwie się o nią bał, bo niewiele brakowało i stałaby się czwartą ofiarą Dylana - dlatego zrobiła, co w jej mocy, żeby go przekonać, że nic jej nie jest.

Może to dziwnie zabrzmieć, ale wtedy wcale tak bardzo tego nie przeżywała. Szalenie



trzymał ją na muszce pistoletu, a potem widziała, jak zginął, co oczywiście wstrząsnęło nią, ale mimo to była spokojna i nie straciła panowania nad sobą. Czuła satysfakcję, którą z kimś dzieliła, miała wrażenie spełnienia. Sprawa dobiegła końca. Ostatecznie było po wszystkim.

Lyssa stała w drzwiach sypialni Regan i w milczeniu patrzyła na Scotta siedzącego przy śpiącej córce. Jedną dłonią trzymał jej małą rączkę, nad którą pochylił głowę. Palcem wskazującym gładził jej skórę, jakby dopiero poznawał ją dotykiem. W końcu ułożył jej rączkę pod kołdrą i po prostu wpatrywał się w córkę.

Lyssa czekała.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno. Lampa w pokoju Regan rzucała krąg ciepłego światła, wydobywając z mroku ojca i córkę. Scott siedział przy jej łóżeczku prawie od dwóch godzin, w końcu jednak wstał i podszedł do drzwi.

- Nie chciałem zostawiać jej samej - powiedział. Lyssa skinęła głową.

- Lekarz zapewnił, że po zastrzyku będzie spała całą noc. Może zejdziemy na dół? Powinieneś coś zjeść. Poprosiłam panią Ames, żeby zostawiła dla ciebie coś w piecyku.

Scott zawahał się, spoglądając na Regan, a potem kiwnął głową i dołączył do Lyssy. Kiedy szli w kierunku schodów, zapytał:

- A gdzie jest pani Ames?

- W swoim pokoju. Powiedziałam jej, że jeśli będzie potrzebna, zawołamy ją. Jest zupełnie rozbita. Bardzo lubiła Dylana.

Scott popatrzył na nią, lekko marszcząc czoło.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze. - Zdobyła się na uśmiech. - Oczywiście przeżyłam szok. Znałam go bardzo długo, albo przynajmniej tak mi się wydawało. Czy to wszystko prawda? Czy on naprawdę zabił tych ludzi?

Scott nie zdziwił się, słysząc, że zdążyła się już dowiedzieć, mimo że sam nie powiedział słowa na ten temat. Nie wątpił, że przez ostatnie parę godzin co najmniej kilka osób telefonowało, żeby porozmawiać z nią lub z gospodynią.

- Tak, to prawda - odpowiedział. - Przez niego Caroline straciła panowanie nad kierownicą. Robert Butler spadł z urwiska, bo Dylan go uderzył. Z premedytacją zepchnął Amber Wade, bo zobaczyła u niego pistolet i nie chciał ryzykować, że komuś o tym powie.

- Mój Boże. - Lyssa pokręciła głową. - Okradł cię? Sprzeniewierzył pieniądze?

- Dla mnie to jego najmniejsze przestępstwo. - Scott wzruszył ramionami. - Gdyby poprzestał na tym... Ale morderstwo nie może być zapomniane ani wybaczone.

Lyssa w pełni się z nim zgadzała. Poszli razem do kuchni, gdzie stał niewielki stolik używany jedynie przez kucharkę. Zaczęła wyjmować garnki z piekarnika.

- Pani Ames najwyraźniej zadbała, żebyś nie musiał głodować.

- Ty też nic nie jadłaś - powiedział Scott i sięgnął do szafki po dwa talerze.

Usiedli przy małym stole, nagle bliscy sobie jak nigdy przedtem, i jedli w zupełnej ciszy. Lyssa nie miała pojęcia, jak od tej chwili potoczą się ich losy. Jeśli w ogóle jeszcze będzie ich coś łączyło. Wcześniej tego dnia scenariusz spotkań legł w gruzach, a bez niego czuła się zagubiona.

Próbowała pocieszać się myślą, że dzisiaj to właśnie do niej Scott zadzwonił, żeby z kimś porozmawiać, i wysłuchał jej rad, zanim poszedł szukać zrozpaczonej córki. „Ona potrzebuje miłości, Scotcie, twojej miłości. Nie okazywałeś miłości, co czujesz przez tak długo, teraz musisz jej to powiedzieć. Powiedz po prostu, że ją kochasz”.

Sądząc po tym, jak Regan przytuliła się do niego, kiedy ją przyniósł do domu, przynajmniej na razie chciała, by wynagrodził jej wcześniejsze wątpliwości. Prawdopodobnie jednak czeka ich jeszcze wiele trudnych chwil - lat zaniedbania nie da się odpokutować w jeden dzień.

Lyssa współczuła Scottowi tak samo jak Regan, żalowała Caroline i jednocześnie była na nią wściekła za to, co im zrobiła. Zostawiła za sobą rany, które być może nigdy się nie zagoją, i to tylko dlatego, że była aż taką egoistką.

- Lepiej bym zrobił, gdybym od niej odszedł - odezwał się Scott niespodziewanie, patrząc na opróżniony do połowy kieliszek z winem. - Albo ją stąd wykopał.

Znowu miała wrażenie, że czyta jej w myślach, ale tym razem to Lyssie nie przeszkadzało.

- Kochałeś ją - powiedziała spokojnie.

Scott przeniósł wzrok na jej twarz, a potem uśmiechnął się ironicznie.

- Kochałem ją. I nienawidziłem... Pożerała mnie żywcem. To nie był normalny związek. To nie było normalne małżeństwo.

- W takim razie zapomnij o nim. I idź dalej. - Lyssa uśmiechnęła się. - Zostało ci po nim coś cudownego, nie zapominaj o tym. Masz Regan.

- Zanim ją odzyskam, minie dużo czasu. I... nie wiem nawet, ile i co słyszała w altanie. Joanna próbowała zasłonić jej uszy, ale coś tam pewnie do niej dotarło. Prawdopodobnie nie zrozumiała większości, ale zapamięta słowa. Pewnego dnia przyjdzie do mnie i zacznie pytać o matkę.

- Możliwe - odpowiedziała Lyssa. - A może do tego czasu będzie już wiedziała, że

ludzie, których kochamy, mogą mieć wady. Wystarczy ci problemów, więc nie wymyślaj nowych.

- Zapewne masz rację. - Uśmiechnął się słabo.

- Oczywiście, że mam rację. Jak zawsze.

Nagle Scott sięgnął ponad stołem i przykrył dłońmi jej rękę.

- Jesteś dla mnie bardzo wyrozumiała.

- No cóż, to był trudny dzień.

- Nie. - Pokręcił głową. - Jesteś i byłaś dla mnie bardzo wyrozumiała.

W pierwszym odruchu Lyssa chciała się wycofać, zasłonić żartem, wykpić nonszalancją. Miała jednak przeczucie, że to jeden z najważniejszych momentów ich związku i jeśli teraz ucieknie, wrócą do ustalonych zasad - bezpiecznych, wyciszonych i pozbawionych emocji. Straci go.

Wzięła głęboki wdech. Zapanowanie nad łamiącym się głosem nie przyszło jej łatwo, choć jednocześnie pozwoliła sobie na niewielką kpinę z samej siebie.

- Trzydzieści pięć lat to trochę dużo jak na pierwszą miłość. Nie ma się już złudzeń, marzeń, którymi można się pocieszać, kiedy sprawy nie układają się najlepiej. Wtedy musi wystarczyć cierpliwość i wyrozumiałość.

Scott najwyraźniej nie był zdziwiony jej wyznaniem. Uśmiechnął się do niej. Po jego oczach poznała, że sprawiła mu przyjemność, dostrzegła też w nich łagodność.

- Nie będzie łatwo - powiedział cicho. - Zwłaszcza z Regan. Ona potrzebuje bardzo dużo czasu. Rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem.

- Czy w takim razie mogłabyś być cierpliwa jeszcze trochę? Dasz mi trochę czasu, żebym wszystko uporządkował i ponownie zbliżył się do córki?

Ścisnęła mu dłoń. Uśmiechnęła się.

- Nie spiesz się, nigdzie się nie wybieram.

Scott odsunął krzesło i wstał. Nadal trzymając ją za rękę, pochylił się i pocałował lekko, ale z uczuciem.

- Dziękuję - powiedział.

Lyssa zmusiła się, by puścić jego rękę, kiedy się prostował.

- Nie ma o czym mówić. Posłuchaj, może wrócisz teraz do Regan? Ja w tym czasie posprzątam tu i pójdę.

Zawahał się.

- Chciałbym, żebyś została... Czułbym się lepiej... gdybyś była w pobliżu.

Moglibyśmy pogadać, ale...

- Nie będzie żadnych rozmów - przerwała mu. - Powiem pani Ames, że jesteś u Regan, a ja zostaję na wypadek, gdybym okazała się potrzebna. Położę się na jednej z przepastnych sof, bo nie mam ochoty spać w sypialni dla gości. Możemy być spokojni, że jutro i tak wszyscy się o tym dowiedzą. Pani Ames o to zadba.

Scott skinął głową i pogłaskał ją lekko po policzku.

- Dziękuję - powtórzył i poszedł na górę do pokoju córki.

- Nie powinno być z tym większych problemów - powiedział Griffin. - Policja stanowa będzie chciała przejrzeć moje akta, bo zastrzeliłem podejrzanego, ale ponieważ trzy osoby słyszały jego przyznanie się do winy i potwierdzą, że do mnie celował, wątpię, żeby skończyło się inaczej niż gratulacjami za dopadnięcie łobuza.

Joanna, leżąc z nim pod grubym kocem na stosie poduszek rozrzuconych przed kominkiem, spojrzała zaniepokojona.

- Chyba się tym nie przejmujesz? Nie miałeś wyboru i słusznie postąpiłeś.

Zgodził się skinieniem głowy.

- Nie rozpaczam po nim, Joanno. Był winny śmierci trzech osób, chciał zabić ciebie i Regan. Ale oboje wiemy, że nie miał dość odwagi, żeby samemu ze sobą skończyć, dlatego we mnie wycelował i zmusił, żebym go zastrzelił.

- Tak myślałam - odpowiedziała Joanna. Postawiła kieliszek z winem na podłodze i westchnęła. - Czy ta cała sprawa wyjdzie na jaw? To znaczy, że on i Caroline byli kochankami?

- Nie, jeśli ja będę mógł o tym zdecydować. - Griffin zamyślił się przez chwilę. - Moim zdaniem nie ma potrzeby ogłaszanie światu o ich związku. Ona znalazła dyskietkę, nie musimy mówić, w jaki sposób, bo i tak tego nie wiemy. Ukryła ją. Dylan zauważył brak dyskietki i zaczął grozić Caroline, przeraził ją tak bardzo, że w panice straciła panowanie nad samochodem. Ale nie miał pojęcia, gdzie jest dyskietka. A wtedy ty się tu zjawiałaś. Zaczął się denerwować, bo rozpytywałaś o Caroline. Bał się, że możesz jakimś cudem dowiedzieć się o dyskietce. Dlatego dwa razy próbował cię zabić.

Joanna uśmiechnęła się nieznacznie.

- Znowu udało mi się wykpić śmierci. Od tej pory powinnam bardziej uważać, nawet przy przechodzeniu przez ulicę, dobrze mówię?

Griffin także odstawił kieliszek i pochylił się nad nią.

- Nie żartuj sobie z tego - powiedział bardzo poważnie. - Mam nadzieję, że masz

siedem żywotów jak kot, ale proszę, obchodź się z nimi ostrożnie. Obiecujesz? Nie chciałbym cię stracić. Nigdy nie chciałbym cię stracić.

Joanna objęła go za szyję i zagłębiła palce w jego ciemnych włosach. Uznała, że jego oczy są ciemnoniebieskie.

- I nie stracisz - odpowiedziała szeptem, unosząc twarz w milczącej prośbie.

Jej usta rozchyliły się pod naciskiem jego rozpalonych warg. Rozbudzone zmysły sprawiły, że przestała myśleć o czymkolwiek, bo umysł nie był do tego potrzebny. Chciała jedynie odczuwać, nie myśleć. Oddała się bez reszty wspaniałości tej chwili.

Griffin obudził się o świcie. Usiadł niemal natychmiast, kiedy zdał sobie sprawę, że jej nie ma obok niego. Odrzucił kołdrę i wstał. Błyskawicznie włożył slipy i podkoszulek. Wchodząc do nadal pogrążonego w mroku salonu, poczuł powiew zimnego powietrza. Ulżyło mu, gdy zobaczył uchylone drzwi na werandę i Joannę stojącą na zewnątrz.

Owinęła się kocem, którym przykrywali się przed kominkiem. Dostrzegł kołnierzyk swojej koszuli wystający przy jej szyi. Najprawdopodobniej tylko ją miała na sobie.

Podszedł do niej. Jedną ręką zaczął gładzić ją lekko po plecach, drugą oparł się o balustradę.

- Hej, zamarzniesz tutaj - powiedział.

Spojrzała na niego. Wzrok miała czysty, a policzki zaróżowione od porannego chłodu.

- Myślałam o tym wszystkim - odezwała się bardzo cicho. - Zwłaszcza o Dylanie. W jaki sposób ktoś może stać się taki jak on? Kiedy chciwość osiąga taki poziom, że bez problemu można zabijać, Griffinie?

- Nie wiem, słoneczko.

Westchnęła. Jej oddech zamieniał się w parę.

- Takie żalosne przestępstwo kosztowało życie trojga ludzi. Żeby nikt nie dowiedział się o nadużyciach. Chodziło tylko o pieniądze.

Griffin zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie tylko, przynajmniej nie Dylanowi. Jemu zależało na władzy. Balansował... na krawędzi i brał to, co jego zdaniem mu się należało. Oczywiście nie wahał się zabijać, byleby dostać, czego chciał. Walczył o swoje marzenia, Joanno, o to, jakiego siebie widział. Złapany, okazałby się jedynie kolejnym głupawym przestępcą. Sukces oznaczałby, że jest cwańszy od wszystkich.

Joanna pokiwała głową i milczała przez chwilę. A potem znowu westchnęła.

- Więc teraz jest już naprawdę po wszystkim. Zeszłej nocy niczego nie śniłam.

Wreszcie uwolniłam się od tego snu, Griffinie. Mam znowu wrażenie, że niczyja obecność nie zakłóca mi myśli. Caroline już nie ma. Wczoraj tak mi się tylko zdawało, dziś wiem to na pewno. - Popatrzyła na niego poważnie.

- Cieszę się, słoneczko. - Poglądził ją po policzku.

- Nie byłam... w stanie przeżywać czegokolwiek innego, dopóki nie odeszła.

- Wiem.

- Wiesz i to, że cię kocham? - zapytała, nadal bardzo poważna.

- Miałem cichą nadzieję - rzekł powoli, uśmiechając się. - Chociaż zmusiłaś mnie, żebym długo czekał na te słowa.

- Musiałam wyrzucić Caroline z myśli - wyjaśniła.

- I upewnić się, że nie ma jej w moich?

- Coś w tym rodzaju.

Pochylił się i pocałował Joannę.

- Nigdy nie zaprzątałem sobie nią głowy - powiedział spokojnie, trzymając usta tuż przy jej wargach. - Tylko tobą. Boże i to jak. Jesteś w moich myślach, w moim sercu, pod skórą... tak głęboko we mnie, że wydaje mi się, jakbyś była częścią mnie samego. Jakby zawsze tak było. Kocham cię, Joanno.

- Ja też cię kocham - wyznała Joanna, wzdychając przy tym z wyraźnym zadowoleniem.

Griffin odsunął się trochę, żeby popatrzeć na jej twarz, i delikatnie pogładził jej policzki opuszkami palców.

- Powinniśmy wracać do środka. Jesteś przemarznięta. Uśmiechnęła się tak uroczo, że serce niemal mu zamarło.

- Chciałam zobaczyć wschód słońca. Kiedy człowiek nie budzi się śmiertelnie przerażony, wszystko wygląda inaczej. Spójrz tylko, Griffinie, czy to nie jest piękne?

‘ Trudno było mu zmusić się do patrzenia na cokolwiek poza nią, jednak posłusznie obrócił głowę w stronę horyzontu, gdzie mrok nocy nabierał koloru purpury i nad ich głowami przechodził w granatowy, rozjaśniający się stopniowo na wschodzie, gdzie wkrótce miało pojawić się słońce. Był przypyły, dlatego ocean ryczał, rozbijając się falami o brzeg urwiska. Poranne powietrze wypełniała słonawa wilgoć.

Griffin wciągnął głęboko powietrze.

- Zakochałem się w tym miejscu w chwili, gdy je zobaczyłem - powiedział.

- Tak jak ja. - Uśmiechnęła się do niego. - Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo gdzie spójrzałam, wszędzie czaiły się jakieś cienie, napięcie wisiało w powietrzu,

a mimo to w środku czułam, że to przepiękne miejsce.

- To zostań tu... ze mną. Wyjdź za mnie. - Griffin nie miał zamiaru oświadczać się jej, w każdym razie nie tak szybko, ale w tej chwili nie potrafił się powstrzymać. - Wiem, że musiałabyś zrezygnować z wielu rzeczy, Joanno, ale...

Palcami zakryła mu delikatnie usta.

- Z czego niby będę musiała zrezygnować? Z miasta? Nie jest mi potrzebne. Z rodziny? Ciotka Sara była ostatnia. Z przyjaciół? Poznam nowych.

- Słoneczko...

- Kocham cię, Griffinie - powiedziała czule. - Nie ma na świecie takiej rzeczy, której chciałabym bardziej, niż zostać tu z tobą.

Griffin wziął głęboki wdech, ale nie zmniejszyło to dziwnego ucisku w piersiach. Objął ją.

- Obiecuję, że nie będziesz żałowała, Joanno.

- Wiem. - Zatopiła palce w jego włosach, a jej uśmiech obiecywał znacznie więcej niż światło poranka. - Wiedziałam to od chwili, gdy cię zobaczyłam, choć nie chciałam się do tego przyznać nawet w myślach. Spojrzałam na ciebie, w twoje oczy przyglądające mi się podejrzliwie, i byłam pewna, że nie wrócę do Atlanty, a jeśli, to tylko po to, żeby się spakować.

- Coś mi się zdaje, że masz w sobie sporo z czarownicy - rzekł Griffin wesoło.

- A mnie się zdaje, że jestem ogromną szczęściarą.

Griffin pomyślał, że to jemu dopisało szczęście, ale nie chciał się z nią spierać, dlatego wziął ją na ręce i zaniósł do ciepłego łóżka.

## Epilog

Kiedy Griffin szedł obok Joanny do starego cichego kościółka na północnym krańcu miasteczka, miały dokładnie dwa tygodnie od jej przyjazdu do Cliffsida. Był słoneczny dzień - wtorek, połowa października. Doprowadził ją do kutej z żelaza bramy w murze, którą otworzył.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł? - zapytał.

- Jestem pewna. - Joanna uśmiechnęła się do niego. - Muszę to zrobić sama.

- Dobrze - zgodził się. Pochylił się i pocałował ją, rozumiejąc wszystko bez dalszych wyjaśnień. - Zaczekam tu na ciebie. Pamiętaj tylko, że jesteśmy umówieni. Masz piętnaście minut.

- To nie zajmie aż tyle czasu.

Joanna weszła na najstarszy cmentarz w miasteczku. Ruszyła jedną z wysypanych żwirem alejek w kierunku miejsca, o które wcześniej dokładnie wypytała. Jak niemal wszędzie w Cliffsida teren był bardzo ładnie utrzymany, oświetlony słońcem i tylko kilka starych dębów rzucało cień tu i ówdzie. Szum oceanu ledwie tu dochodził, choć czuło się jego dudnienie, niemal jak puls Ziemi. Wprawdzie spoczywali tu zmarli, ale miejsce robiło wrażenie pełnego życia.

Aż do tej chwili Joanna unikała cmentarza. Starła się nawet o nim nie myśleć, bo bała się, że krucha więź łącząca ją z Caroline może uciepieć przez surową świadomość istniejącego naprawdę nagrobka.

Ta więź, która trwała tyle czasu, została ostatecznie zerwana, stała się jedynie niejasnym wspomnieniem. Nadszedł czas pożegnania się z Caroline.

Nagrobek okazał się nieskazitelnie schludny, jak wszystkie na tym cmentarzu. Trawa była równo przycięta i soczyście zielona mimo połowy października, marmurowa płyta wypolerowana. Imię i nazwisko wykuto w kamieniu głębokimi nacięciami. Caroline Douglas McKenna. Daty urodzin i śmierci również wyryto. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, a ostatnie dziesięć sama zmieniła sobie w piekło. Wbrew wszystkiemu Scott kazał wyryć napis: „Kochanej żonie i matce”. Joanna nie miała wątpliwości, że nie był to pusty gest z jego strony.

Biedna Caroline. Żyła i umarła, nie mając pojęcia, co ją ominęło.

Po obu stronach nagrobka stały wazony na kwiaty, w każdym pyszniły się wspianiałym kolorem róże nazwane jej imieniem. Joanna pomyślała, że o tej porze roku nie wytrzymają



długo, ale w szklarni rosną już nowe, które zastąpią te, gdy zajdzie potrzeba. „Dla Caroline”, tak, to prawda. Joanna była w dziwny sposób przekonana, że jeszcze przez długi czas świeże kwiaty zawsze będą na grobie Caroline.

- Te pewnie by ci się nie spodobały - powiedziała, kładąc na grobie bukiet z różnych kwiatów. Mówiła głośno, bo uznała, że tak powinna. - Przynoszenie róż zostawiam twoim mężczyznom, Caroline.

Popatrzyła na płytę nagrobną, błędziła wzrokiem po literach i wolno wymówiła imię i nazwisko kobiety o skomplikowanej osobowości, która - zdaniem Joanny - umarła, by ratować córkę.

- Wiedziałaś, że Regan grozi niebezpieczeństwem, prawda? Może zdałaś sobie sprawę w ostatnim momencie, że to ona znalazła szkatułkę z dyskietką. A może... może tuż po śmierci dowiadujemy się, co spotka tych, których zostawiamy. Niezależnie od wszystkiego, wierzę, że wiedziałaś. Wiedziałaś, że będzie potrzebowała pomocy, kiedy Dylan odkryje, iż to ona ma dyskietkę. Niewykluczone, że chciałaś załatwić coś jeszcze. Dobrze myślę, Caroline? Czy ostatecznie żałowałaś tego, co zrobiłaś Scottowi? Czy zdałaś sobie sprawę, że Regan powinna odzyskać ojca?

Oczywiście nie usłyszała odpowiedzi, ale to nie powstrzymało jej od mówienia na głos, od usiłowania zrozumienia tej najbardziej nieuchwytniej i zagmatwanej części całej sprawy.

- Chcę wierzyć, że żałujesz paru rzeczy, Caroline. Że ściągnęłaś mnie tutaj nie tylko, bym obroniła Regan, ale też bym przynajmniej spróbowała zagoić kilka ran, jakie zadałaś. Scott poznał już prawdę o Regan. Adam miał okazję... wyrzucić z siebie wszystko. Nawet Griffin nie ma teraz takiego poczucia winy z powodu twojej śmierci.

Całe miasteczko jakby ozdrowiało, bo prawda wyszła na jaw. Myślę, że śmierć twoja i Butlera wstrząsnęły mieszkańcami bardziej, niż chcą się do tego przyznać. Moje zjawienie się, podobieństwo do ciebie i rozpytywanie zwiększyły jeszcze napięcie. Griffin też wyczuwał, że w miasteczku dzieje się coś niedobrego. Nie wiem, może więcej ludzi zdawało sobie z tego sprawę. Tak czy inaczej, teraz jest znacznie lepiej. Powód, dla którego tu przyjechałam, pozostanie tajemnicą dla wielu osób, ale nawet ci, którzy wcześniej się na mnie boczyli, teraz uśmiechają się i są serdeczniejsi. To miłe miasteczko, Caroline. Chyba będzie mi się tu bardzo podobało.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uśmiechała się dziwnie smutno, gdy patrzyła na nagrobek.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogły się polubić, ty i ja. Nie podoba mi się wiele

rzeczy, które o tobie odkryłam od chwili przyjazdu. Ale z drugiej strony, nie nienawidzę cię. Prawdopodobnie niewiele mogłaś poradzić na to, jaka byłaś, dlatego jaki sens miałaby nienawiść? Wiem jednak na pewno, że życie nie sprawiało ci przyjemności, a to szkoda, wielka szkoda. Nie znosiłaś litości, więc nie będę się nad tobą litowała, ale żałuję...

Czego? Joanna westchnęła.

- Jestem zadowolona, że mnie tu sprowadziłaś, Caroline. Cieszę się, że mogłam pomóc, nawet jeśli to wszystko doprowadzało mnie do szaleństwa i więcej niż raz najadłam się strachu. Jedynie Amber mi żal. Griffin mówi, że to nie moja wina, że to Dylan. Ale w jakiś sposób czuję się odpowiedzialna za to, co się stało. Muszę się nauczyć z tym żyć. To pewnie cena, jaką muszę zapłacić za przyjazd do Cliffside.

Regan ma się dobrze. Scott i ona mają przed sobą długą drogę, ale początek wyglądał obiecująco. Pojechała z nim wczoraj do miasta samochodem, po raz pierwszy od twojej śmierci. Wszyscy cieszyli się na jej widok. Prawdopodobnie nie będziesz zachwycona, ale moim zdaniem Scott zwiąże się z Lyssą. Wygląda na to, że ona pomaga mu przejść przez to wszystko. Powinnaś być z tego zadowolona, Caroline. Kochał cię, wiesz dobrze. Niezależnie od tego, co robiłaś, zawsze cię kochał.

Joanna zmarszczyła lekko czoło.

- Już wiem, czego żałuję: że ominęło cię wszystko to, co Scott mógł ci ofiarować. Nie wiem, co wam poszło źle na początku, czy twój temperament sprawił, że on ochłódł zupełnie, a może przestałaś się nim przejmować, bo nie umiał wyrazić, co do ciebie czuje, a ty... potrzebowałaś, żeby okazywać ci oddanie i miłość.

Jestem jedynie pewna, że ominęło cię najwspanialsze uczucie, jakim życie może nas obdarzyć, Caroline. Szkoda mi cię z tego powodu.

Przez kilka chwil Joanna milczała, a potem uśmiechnęła się nostalgicznie.

- Wiem, że nie potrzebujesz mojej litości. Mam jedynie nadzieję, że odpoczywasz w spokoju. Obiecuję, że będę uważała na Regan. Zegnaj, Caroline.

Joanna odwróciła się i ruszyła alejką w stronę kościoła. Odczuwała satysfakcję, zamknęła pewien rozdział życia. A kiedy dostrzegła ukochanego mężczyznę, który czekał przy cmentarnej bramie, i jego oczy, jaśniejące na jej widok, przyśpieszyła kroku i miała wrażenie, że przepelnia ją szczęście. Nie obejrzała się za siebie, bo przeszłość nie miała już znaczenia.

Liczył się tylko czas teraźniejszy. I przyszłość.